

BIBLIOTEKA
PW
SP
KRAKÓW

35.448

M 138

WYDROBY POLSKIEJ
WIEDZY I UMIEŹNOŚCI

dla klasy pierwszej
szkół gimnazjalnych
i realnych

WYPISY POLSKIE

DLA KLASY PIERWSZEJ

SZKÓŁ GIMNAZYZALNYCH I REALNYCH,

UŁOŻONE PRZEZ

FRANCISZKA PRÓCHNICKIEGO i JÓZEFA WÓJCIKA.

WYDANIE TRZECIE.

Cena egzemplarza oprawnego 75 ct.

WE LWOWIE

NAKŁADEM TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH.

1897.

GEBETHNER I SPÓŁKA

W KRAKOWIE,



35.448

Z Drukarni Zakładu Nar. im. Ossolińskich
pod zarządem Juliusza Birkenmaiera

SPIS RZECZY*)

	Str.
1. Do Boga, przez Jana Kochanowskiego	1
2. Boże dary, wedł. Józ. Ign. Kraszewskiego	1
3. Do młodzieży, przez Stanisława Jachowicza	3
4. Owoc nauki, wedł. Du Campa: »Cnota we Francyi«	3
*5. Wilczek, przez Ignacego Krasickiego	4
6. Piast, przez K. R.	4
*7. Pieśń o ziemi naszej. Wstęp, przez Wincentego Pola	6
8. Krakowiacy, przez Oskara Kolberga	6
9. Krakowiak, przez Antoniego Góreckiego	8
10. Śmierć Olega, wedł. Kroniki Nestora	8
11. Mój domek, przez Teofila Lenartowicza	9
12. Chata w ziemi krakowskiej, przez O. Kolberga	10
**13. Ogród, przez Adama Mickiewicza (Pan Tadeusz)	12
14. Burza w Tatrach, przez W. Pola (Obrazy)	13
15. Bolesław Chrobry i św. Wojciech, wedł. Lucyana Siemieńskiego i Piotra Skargi	14
16. Dowcip kwestarza, przez Ignacego Chodźkę	15
17. Fajarka pastusza, wedł. Adolfa Dygasińskiego	17
18. Walka za wiarę, wedł. Jaroszewicza »Matka świę- tych, Polska«	20
19. Zmyślność psa, z »Przyjaciela dzieci«	21
20. Wyżeł i brytan, przez Ign. Krasickiego	21
21. Wodospad w Tatrach, przez Seweryna Goszczyń- skiego (Dziennik podróży po Tatrach)	21
22. Jakto na Góralach, przez T. Lenartowicza	23
23. Przygoda w podróży, przez Henryka Sienkiewicza	24
24. Bolesław Krzywousty rycerzem, według J. I. Kra- szewskiego	26

*) Ustępów, jedną gwiazdka oznaczonych, mają się uczyć na pamięć wszyscy uczniowie; dwiema gwiazdkami oznaczone służyć mogą do wyboru uczniom pilniejszym.

	Str.
25. Chata huculska, przez Władysława Zawadzkiego .	28
*26. Cerkiew wiejska, przez Juliusza Słowackiego (Jan Bielecki)	29
27. Ofiara, wedł. Klementyny z Tańskich Hofmanowej .	30
28. Potęga modlitwy, przez Ignacego Hołowińskiego .	31
29. Leszek Biały i Goworek, wedł. L. Siemieńskiego i Juliana Niemcewicza	32
*30. Kulawy i ślepy, przez Ign. Krasickiego	33
31. Szczególna łagodność, przez M. J. Zaleską	33
32. Lew i mysz, przez Franciszka Dyonizego Kniaźnina .	34
33. Podziemny zamek krakowski, wedł. Mączyńskiego .	35
34. O różnych materyałach do pisania, przez St. Ja- chowicza	36
35. Mogiła Świętosława, wedł. Czytanki ruskiej I. dla szkół gimnazyalnych	37
36. Chata gajowego, przez H. Sienkiewicza (Sielanka) .	38
37. Gajowy, przez Stefana Witwickiego	40
38. Wieże kościoła Najśw. Panny Maryi w Krakowie, wedł. Mączyńskiego	41
39. Do Najśw. Maryi Panny, przez Karola Antoniewicza .	42
40. Przywiązanie psa, przez M. J. Zaleską	43
41. Pan i pies, przez Ign. Krasickiego	44
42. Sen Leszka Czarnego, według Karola Szajnochy i Maryana Dubieckiego	44
**43. Wisła, przez Antoniego Czajkowskiego	45
44. Dniestr, według Słownika geograficznego	47
45. Podanie o założeniu Wilna, wedł. Feliksa Bernato- wicza (Pojata)	50
46. Szkoła w Smorgoniu, z »Przyjaciela dzieci«	51
47. Czystość ciała warunkiem zdrowia, z »Książki do nauki dopełniającej«	53
*48. Dobre rady, przez W. Pola	54
49. Gość nieznanym, przez J. I. Kraszewskiego (Król chłopów)	54
50. Wigilia Bożego Narodzenia, przez Antoniego Andrze- jowskiego (Ramoty starego Detiuka)	58
51. Wigilia, przez T. Lenartowicza	60
52. Kolęda, przez Władysława Syrokomłę	61
53. Niedźwiedź w Nieświeżu, z »Przyjaciela dzieci« .	62
*54. Przyjaciele, przez A. Mickiewicza	65
55. Stopka królowej Jadwigi, wedł. Mączyńskiego .	65
56. Wawel, wedł. Ambrożego Grabowskiego (Kraków i jego okolice)	66
57. Dwa miecze, wedł. Karola Szajnochy (Jadwiga i Jagiełło)	69
58. Nietoperze, przez Kazimierza hr. Wodzickiego .	70
59. Kolęda noworoczna, przez K. z Tańskich Hofmanową	73

	Str.
60. Wartość drobnostki, przez Kazimierza Brodzińskiego . . .	77
61. Miłość prawdy, przez Paulinę Kraków . . .	77
*62. Św. Jan Kanty, przez K. Antoniewicza . . .	78
63. Step ukraiński, przez W. Pola (Obrazy) . . .	80
64. Napad dzików, przez W. Pola (Obrazy) . . .	83
65. Posąg św. Barbary, wedł. Adama Wiślickiego . . .	85
66. Modlitwa górników, przez Franciszka Morawskiego . . .	88
67. Jezioro stepowe, przez Lucyana Tatomira (Obrazki geograficzne) . . .	88
68. Piękny cały świat, przez Adama Asnyka . . .	90
69. Skarbonka gliniana, przez K. z Tańskich Hofmanową . . .	90
70. Stańczyk, przez L. Siemińskiego . . .	92
71. Lasy pierwotne w Ameryce południowej, wedł. Józefa Siemiradzkiego . . .	93
**72. W głębi lasu, przez A. Mickiewicza (Pan Tadeusz) . . .	96
73. Jałmużna, przez Karola Balińskiego . . .	97
74. Żebak, przez A. Góreckiego . . .	99
75. Z życia lwa, wedł. Wincentego Niewiadomskiego . . .	100
**76. Lew i zwierzęta, przez Ign. Krasickiego . . .	102
77. Karol Chodkiewicz, przez E. Bogusławskiego . . .	102
*78. Dwór szlachecki, przez A. Mickiewicza (Pan Tadeusz) . . .	103
79. Łowy na wilki, przez Kazim. Wład. Wójcickiego . . .	105
*80. Wilczki, przez Ign. Krasickiego . . .	108
81. Dobroczynność Skargi . . .	109
82. Święty Jacek, przez K. Antoniewicza . . .	110
83. Morze, przez Antoniego Rehmana . . .	112
84. Czerwona latarnia, wedł. M. J. Zaleskiej . . .	114
*85. Powrót taty, przez A. Mickiewicza . . .	116
86. Żelazna buława, przez Al. Borkowską . . .	119
87. Burza na morzu, wedł. J. Siemiradzkiego . . .	122
88. Jan Sobieski na łowach, wedł. L. Tatomira (Ślady króla Jana) . . .	123
89. Nieśluszne podejrzenie, przez M. J. Zaleską . . .	126
*90. Talar i czerwony złoty, przez Ign. Krasickiego . . .	129
91. Spełniona przepowiednia, przez L. Tatomira (Ślady króla Jana) . . .	129
92. Święcone, przez Łukasza Gołębiowskiego . . .	130
93. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił, przez J. Kochanowskiego . . .	133
94. Wydra króla Jana Sobieskiego, przez Jana Chryzostoma Paska . . .	133
*95. Rybka mała i szczupak, przez Ign. Krasickiego . . .	137
96. Wielka pustynia afrykańska, przez Bolesława Baranowskiego . . .	138

	Str.
97. O sposobie życia tatrzańskich kozic, przez Maksymiliana Nowickiego (Kozica)	140
98. Przytomność umysłu, przez Jana Pawła Woronicza	143
99. Gorąca chęć nauki, wedł. Pauliny Wilkońskiej	143
*100. Praca, przez Ign. Hołowińskiego	148
101. Z życia świstaka, przez M. Nowickiego (O świstaku)	148
102. Burza na pustyni, przez L. Tatomira (Obrazki geograficzne)	151
103. Dobroczynna królowa, wedł. Niezabitowskiego	154
**104. Garnek popiołu, przez Ign. Hołowińskiego	155
105. Koń, wedł. A. Mazura i A. Felińskiego	155
106. Bieda, przez Kazim. Wład. Wójcickiego (Klechdy)	161
107. Kmieć i Merkury, przez F. D. Kniaźnina	163
108. Z życia osła, wedł. Brehma	163
*109. Osieł i Jacek, przez F. Morawskiego	165
110. Mieszkańcy lodów podbiegunowych, przez L. Tatomira (Obrazki geograficzne)	166
111. Zima, przez A. Asnyka	169
112. Łaskawość Maryi Teresy, z »Kłósów ojczystych«	169
113. Kominiarczyk królewski	170
*114. Wolność Tomku w swoim domku, przez Aleksandra hr. Fredrę	172
115. Leniwce, przez J. Siemiradzkiego	172
116. Uczciwy chłopiec, przez Wł. Betzę	175
117. Cesarz Józef II. lekarzem, wedł. Fr. Soave (Novelle morali)	176
118. O języku ojczystym, przez Kl. z Tańskich Hofmanowę	178
119. Nasz język, przez K. Brodzińskiego	179
120. Koty morskie, przez Benedykta Dybowskiego (Wyspy Komandorskie)	179
121. Rękawka, wedł. Franc. Wężyka i Ł. Gołębiowskiego	181
122. Lodowce i lawiny w Alpach, przez L. Tatomira	183
123. Praca, przez Kl. z Tańskich Hofmanowę	187
124. Praca, przez Fr. Wężyka	190
*125. Skutek próżnowania, przez Bohdana Zaleskiego	190
126. Z życia cesarza Franciszka I., wedł. Eylerta	190
127. Polowanie na lodach podbiegunowych, przez L. Tatomira (Obrazki geograficzne)	191
128. Tadeusz Kościuszko, wedł. Wł. Zawadzkiego	193
129. Sypanie mogiły T. Kościuszce, z »Przyjaciela ludu«	196
130. Z życia mrówki, wedł. Antoniego Żyszkiewicza	199
131. Konik polny i mrówka, przez F. Morawskiego	202
132. Mrówka i pszczoła, przez F. Morawskiego	202
133. Miłosierdzie, wedł. Du Campa: »Cnota we Francyi«	203

	Str.
*134. Pielgrzym, z Waltera Scotta przez Bohdana Zaleskiego .	205
135. Góra św. Bernarda, z »Przyjaciela ludu«	206
136. Miłość ojczyzny	208
137. Ojczyzna, przez Wł. Betę	209
138. Zadziwiająca pamięć trzmieli z »Wszechświata« 1887	209
139. Wulkany, z »Przyjaciela dzieci«	211
140. Arcyksiążę Karol	213
141. O warunkach istnienia owadów, przez Maryana Łomnickiego	214
142. Pszczółka, przez Sewerynę Pruszkową	219
143. Ul, przez W. Betę	219
144. Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego, wedł. Bernarda Kalickiego	220
145. Niedźwiednik, przez K. W. Wójcickiego	221
146. Człowiek i zdrowie, przez Ign. Krasickiego	226
147. Mickiewicz w Weimarze, wedł. Ant. Edw. Odyńca (Listy z podróży)	226
148. Śniadanie, przez A. Mickiewicza (Pan Tadeusz)	227
149. Trafiła kosa na kamień, według L. Siemińskiego i K. Balińskiego	228
150. Błogosław Boże, przez Mieczysława Romanowskiego	230
151. Rolnictwo, wedł. Franciszka Staszica	230
152. Modlitwa podczas pracy w polu, przez Franciszka Karpińskiego	233
153. Babie lato, przez Leopolda Wajgla	233
154. Szlachetność wodza, a) wedł. Teuffenbacha	235
b) wedł. Tomkowicza	236
155. Wielki gejzer islandzki, przez L. Tatomira (Obrazki geograficzne)	237
156. Pies mścicielem	240
157. Arcyksiążę Franciszek Karol	243
158. Trzęsienie ziemi w mieście Karakas, wedł. Stroynowskiego i B. Szyszki	243
159. Modlitwa, przez J. Kochanowskiego	246
160. Perły, przez L. Wajgla	247
161. Mądry Maciuś, przez Ryszarda Berwińskiego	251
162. Ces. Franciszek Józef w szkole wojskowej, według Dr. L. Smollego	253
*163. Cierpliwość, przez F. Morawskiego	255
164. Wyprawa na połoniny, przez W. Zawadzkiego (Huculi)	255
165. Sobótka, przez W. Pola (Obrazy)	257
**166. Wieczór letni na wsi, przez A. Mickiewicza (Pan Tadeusz)	259
167. Gąbka, przez Józefa Bąkowskiego	261

	Str.
168. Ces. Franciszek Józef i wieśniak tyrolski, według Dr. L. Smollego	262
169. Podróż w świat gwiazdzisty, przez B. Baranow- skiego	264
170. Opatrzność Boga, przez Klem. z Tańskich Hofma- nowę	268
171. Pieśń dziękczynna, przez F. Morawskiego	269
172. Austriacki hymn ludu, wedł. Teuffenbacha	269
173. Hymn za Cesarza	270

1. Do Boga.

Wszzechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce rzuca strzały swoje,
Po całym świecie słynie Imię Twoje;
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twej, wielki Boże!

Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy te w górze, jaśniejsze od złota;
Ty w nocy ślicznem światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne!

A człowiek czym jest, że Ty, niestworzony
Wszystkiego Twórca i Pan niezmierzony,
Raczysz nań pomnieć? Czem jest syn człowieczy
Godzien Twej pieczy?

Dałeś w moc jego wszystkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swawolne;
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.

Wszzechmocny Panie, wiekuisty Boże!
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Jan Kochanowski.

2. Boże dary.

Jeden staruszek, bardzo zacny i święty, który przepędził młodość z szablą, a późniejszy wiek przy uprawie roli, ciężko raz zaniemógł. W tej słabości uczynił ślub, że jeśli wyzdrowieje, już tylko o Bogu rozmyślać będzie i nauczać maluczkich. Wejrzał Bóg miłosiernem okiem na gorącą modlitwę swego sługi i staruszek wkrótce odzyskał zdrowie.

Dopełniając uczynionego ślubu, wziął staruszek kij w rękę i powędrował od wioski do wioski.

Gdzie tylko stanął, gromadził działwę około siebie i opowiadał jej różne ciekawe dzieje. Ale przychodziły nań takie dni, że jak się zamyślił, to i cały dzień przesiedział nieruchomy, słowa do nikogo nie mówiąc. Po każdym jednak takim zachwyceniu wstawał daleko rzeźwiejszy, z nierównie jaśniejszą twarzą i jakby upojony szczęściem.

Zdarzyło się, że podczas jednego takiego zachwycenia ujrzał się na drugim świecie i wcisnął się nawet do samego nieba. Trafił właśnie na chwilę, kiedy sam Pan Bóg wyprawiał stamtąd młodziuchne duszyczki na pielgrzymkę życia, zawieszał każdej torbeczkę na szyję i błogosławił jej na drogę. Co się tam jednak w tych torbeczkach znajdowało, tego staruszek nie dojrzał, bo choć bardzo był święty, to oczyma świeżo z ziemi przyniesionemi nie potrafił jeszcze wszystkiego rozeznąć.

Szczęściem, stojący u drzwi jakiś mąż święty, widząc ciekawość staruszka, zbliżył się do niego i zapytał:

— Chcesz zapewne wiedzieć, co się w tych torebkach znajduje?

— O, i bardzo! — odpowiedział staruszek.

— Wiedz więc — rzekł święty — że żadna duszyczka nie wychodzi stąd bez darów niebieskich, którymi je sam Pan Bóg szczodłą dłonią uposaża; ale wszystkie potem, powracając z ziemi, muszą ze skarbu im powierzonego ścisły zdawać rachunek.

— Spójrzjyno tylko — dodał święty po chwili — przez to okienko, przez które widać drogę ziemską i duszyczki po niej idące; co się z temi niebieskimi torbeczkami dzieje!

Staruszek, ponieważ był bardzo ciekawy tego, wychylił głowę przez okienko i patrzył... Gościńcem szły tysiące duszyczek, z torebkami na piersiach pełnemi... Nie rychło rozpatrzył się staruszek w tym tłumie. Ale gdy poszedł okiem powoli za jedną, potem za drugą i trzecią duszą, dopiero zauważył, jak się to dary Boże marnują na ziemi. Jedni szli, wesoło śpiewając, i gubili je po ziemi przez nieuwagę; drudzy, nie patrząc pod nogi, jak należy, upadali i rozsypywali je po ziemi; innym znowu zabiegali drogę filuci i za lada cacko wykpiwali od nich najdroższe zapasy życia; a tylko bardzo mało było takich, którzy donosili do mety to, co im Bóg dał, całe lub pomnożone.

Najczęściej odarty i nagi przychodził człowiek do kresu pielgrzymki i dopiero u drzwi niebieskich postrzegał, że próżną niósł torbę. Byli czasem i tacy, co ochronili całą swą puściznę, ale gdy

przyszło do obrachunku, pytano się ich, czemu z darów Bożych nie korzystali i nie pomnożyli ich pracą? Niektórzy znowu zamiast brylantów niebieskich nieśli z powrotem w torebce błoto i piasek. Inni wreszcie mieli ją napelnioną łzami gorzkimi i żalem, ale tych ostatnich Ojciec niebieski przytulał do serca, bo łzy i żal warte były drogich kamieni.

Patrzył się tak staruszek a patrzył: taki to był cudny widok tych ziemskich pielgrzymów w białych z początku sukienkach, które się brukały, prały we łzach, to znow świeciły i znowu czerniały. I byłby tam staruszek nie wiedzieć jak długo patrzył, gdyby go ów święty nie był odciaął od okienka.

Wtem zdało mu się, jakoby się ze snu przebudził, znalazł się bowiem na tym samym kamieniu, na którym usiadł przy drodze. Ale pamięć tego widzenia nie zatarła się w nim przez całe życie. Opowiadał je chętnie drugim, ale i sobie często przypominał, z czem on to wyszedł na pielgrzymkę życia i z czem z niej powinien powrócić. Zbierał więc, co utracił, a co zebrał, pomnażał ciągle; to też, gdy przyszedł na końcu drogi do obrachunku, pewnie łzą żalu pocziwą reszty torebki dopełnił.

Józef Ignacy Kraszewski.

3. Do młodzieży.

Żwawo, żwawo do pracy, przyjaciele młodzi!
Goni chwila za chwilą, czas szybko uchodzi;
A kto wiernie dopełnia powinności swojej,
Wesół czeka wieczora, śmierci się nie boi.

Stanisław Jachowicz.

4. Owoc nauki.

Michał był dobrym i pracowitym czeladnikiem, ale lubił pić i hulać; nieraz owoc kilkudniowej pracy przetrwoniał z towarzyszami w ciągu jednego wieczora.

Pewnego razu zaszedł z towarzyszami do szkoły niedzielnej. Właśnie nauczycielka wymownemi słowy przedstawiała ciężącą na dzieciach powinność utrzymywania starych rodziców z należytem uszanowaniem i troskliwością. Michał przypominał sobie, że jego stara matka żadnego nie ma przytułku, że nie ma nawet gdzie siwej głowy do snu złożyć, lecz sypiać musi, gdzie się uda, naj-

częściej pod jakimś wozem. Zawstydził się bardzo i niezadowolony był z siebie. Wyszedłszy ze szkoły, już tego dnia nie pił wcale, mimo zachęty, a nawet docinków towarzyszy. Zamiast wódki, kupił parę desek, zbił z nich niekształtne schronisko i wprowadził w nie matkę staruszkę. Nędzna i ciasna to była buda, ale biedna kobieta znalazła przynajmniej dach nad głową i zasnąć mogła spokojnie, bez obawy przed deszczem, zimnem lub psami.

Taki był początek. Odtąd przy pracy i dobrych chęciach Michała coraz lepiej było sędziwej jego matce. Dziś Michał jest dobrym rzemieślnikiem i zapobiegliwym ojcem rodziny; w domu jego panuje dobrobyt, a matka mieszka przy nim.

Spotkawszy się raz z nauczycielką, tak jej dziękował za naukę: „Pani mnie zbawiłaś swoją powiastką. Byłem pijakiem i hulaką; nagle zrozumiałem, że winien matce pomoc i opiekę — i zbudowałem dla niej schronisko. Był to pierwszy wysiłek, który mnie nie mało kosztował. Teraz czuję błogosławieństwo Boże nad sobą“.

5. Wilczek.

Wilczek chowany zrobił się grzecznym,

Bezpiecznym.

Jegomość pieścił, jejmość pała:

Przywykł do mleka i masła.

Hoży, dorodny —

Wilczek był modny.

Nieszczęściem kurczę zaszło mu drogę.

Chęć; zjem to kurczę; skrupuł: nie mogę.

Więc cheiwy, trwożny, a czuły,

Gdy się biedził ze skrupuły,

Jakoś w tej walce gorącej

Zjadło się kurczę — niechcący.

Po kurczęciu kogutek, po kogucie kura;

Przemogła w nim natura.

Wkońcu poszedł do lasu, a wpadłszy w manowce,

Ów wilczek stał się wilkiem, gryzł gęsi i owce,

Aż go na koniec w jamie dostali.

Najciężej zacząć, pójdzie się dalej.

Ignacy Krasicki.

6. Piast.

W pogańskich jeszcze czasach, za panowania księcia Popiela II., żył w Kruszwicy nad jeziorem Gopłem cichy i pocziwy rolnik,

a zarazem kołodziej, imieniem Piast. Żona jego Rzepicha była również bogobojną i cnotliwą niewiastą. Oboje odznaczeni się dobrem sercem, sprawiedliwością, zamiłowaniem pracy i gościnnością.

Zdarzyło się, iż bogaty i dumny książę Popiel i ubogi a skromny kmiotek Piast równocześnie sprawiali synom swoim postrzyżyny.

Był to starodawny zwyczaj, iż dzieciom w siódmym roku życia po raz pierwszy postrzygano włosy, przy czem nadawano im imiona, jak u nas na chrzcie świętym. Otóż w dniu tym wesoło i gwarno było w domu Piasta. Sproszono krewnych i sąsiadów, a gospodarz niczego nie żałował, aby ugościć zebranych.

Wtem weszli do chaty jacyś dwaj podróżni, których późniejsze podanie aniołami zowie. Przybywszy do Kruszwicy, udali się oni najpierw na dwór księcia Popiela; ale niegościnny i nieużyty książę zamknął przed nimi swe serce i drzwi domu swego. Poszli więc podróżni pod ubogą, ale gościnną strzechę Piasta, gdzie ich otwartem przyjęto sercem i wśród biesiadujących gości posadzono za stołem.

Rozpoczęła się uczta. Wnoszono misy jadła i dzbany miodu, ale szczupłe zapasy ubogiego Piasta nie mogły wystarczyć, ażeby uraczyć wszystkich tak, jak przysłało na tak znaczną uroczystość. Spostrzegli to dwaj pielgrzymi. Przez wdzięczność tedy za gościnne przyjęcie uczynili cud, jak niesie podanie: oto pomnożyli pokarmy i napełnili tak, iż wszystkiego było podostatkiem.

Kiedy podczas biesiady wszyscy kolejno postrzygali włosy syna Piastowego, uczynili to i owi podróżni, poczem nadano mu według podania imię Ziemowit, któreto imię w ówczesnej mowie znaczyło tyle co: »podbijający ziemię«. Nadaniem tego imienia podróżni przepowiedzieli niejako synowi Piasta przyszłe jego wywyższenie. Ale i Piastowi samemu oznajmili, jak mówią, iż będzie panem Polski i że ród jego będzie w Polsce długo panował, a kraj cały pod rządem książąt i królów z jego rodu stanie w rzędzie pierwszorzędných mocarstw.

Stało się tak rzeczywiście.

Niebawem zginął sromotnie książę Popiel II., a zebrani na wiecu Polacy wynieśli na tron książęcy znanego im z dobrego serca i z wielu cnót Piasta, o którym słusznie sądzili, że kto umie dobrze gospodarzyć na małym, ten i na wielkim podoła. Długo namyślał się i wahał pocziwy kmiotek kruszwicki, czy mu wypada przyjąć tak wielki zaszczyt, ale zarazem i tak ciężki obowiązek;

wolałby był bowiem zostać przy swym pługu i roli, przy pasiece i rzemiosle, niż rządzić szerokim krajem i kierować losami narodu. Wreszcie ulegając woli współziomków, przyjął rządy książęce, ale rozkazał pług swój postawić przy tronie, przy czem w następujące mniej więcej odezwał się słowa:

»Ziomkowie moi, kiedy mam panować,
Gdy wy i same nieba tak zrządziły,
Zaklinam, chcecie rolnictwo szanować:
W mieczu i pługu są Polaków siły!«

Odtąd długo panował Piast w Polsce. I nie zawiódł się naród na jego wyborze, bo książę, jak mógł i umiał, szczerze starał się o dobro swego kraju. Naród wdzięczny mu za tę troskliwość, nie tylko wybierał i później książąt i królów z jego rodu, póki ród ten istniał, ale nawet i wtedy, kiedy już z różnych domów wybierano królów, króla-Polaka zwano zawsze Piastem.

7. Pieśń o ziemi naszej.

(W s t ę p).

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?¹⁾

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się ściły?

A czy znasz ty, co w nich leży?
— O nie zawsze, o nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!

Kto tam zgadnie, gdzie osiedziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z tego gniazda!
Miła-ć będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na swe ziemie
I rodzinne swoje plemię...

Wincenty Pol.

8. Krakowiacy.

Wśród ludu polskiego, zamieszkałego w kraju naszym, pierwszeństwo należy się ludowi ziemi krakowskiej czyli Krakowiakom.

¹⁾ Dunaj, rzeka wpadająca do morza Czarnego, tutaj oznacza morze wogóle.

Są oni zwykle wzrostu miernego, włosów w pacholęcym wieku jasnych, które później znacznie ciemnieją; oczy mają siwe, nosy wydatne, rysy twarzy przyjemne. Pospolicie gołą cały zarost na twarzy, ale młodszy noszą też obwisłe wąsy, ocieniające górną wargę; tylko brody nigdy nie zapuszczają. Nad czołem obcinają włosy krótko, z tyłu nie strzygą ich wcale, tak iż w długich kędziorach spadają im na barki.

Odznacza się lud krakowski wielką żywością i wrażliwością, wielką zdolnością i giętkością umysłu, samorodnym dowcipem i wesołem zwyczajnie usposobieniem. Żywosć Krakowiaków przebija się w ich mowie prędkiej, posługującej się krótkimi zdaniami; wesołość zaś maluje się we wszystkich ich obrzędach i zabawach, z którymi łączą się zawsze skoczne tańce, przeplatane piosenkami, pełnymi żartów i dowcipnych porównań.

Niech się co chce dzieje:
Krakowiak się śmieje!

przyspiewują sobie weseli Krakowiacy; a kiedy ich nieszczęście nawiedzi, w pierwszej tylko chwili płaczą i narzekają, ale rychło rozsądek bierze górę i już z cierpliwością znoszą najprzykrzejszą dolę. Chwycony za serce lub w chwili nagłego niebezpieczeństwa, zdolny jest Krakowiak do największych poświęceń, choćby mu przyszło skoczyć w ogień lub wodę dla uratowania życia drugiemu, albo rzucić się przed rozpędzone konie, aby zasłonić od strатовania zagrożone dziecię.

Ale przy całej dobroci serca unosi się Krakowiak łatwo gniewem i nieraz lada słówko, rzucone niebacznie, lada żart niewczesny wywołuje zażartą, ale niedługą kłótnię, bo w jednej chwili przychodzi do bitki. Nie zna on jednak długo tajonej nienawiści i po przejściu pierwszego szału niezdolny już jest do zemsty.

Wzrosły na ziemi, która była niegdyś głównem ogniskiem dziejów jego ojczyzny, na której też pozostały do dzisiaj liczne pamiątki minionej świetności, ma lud krakowski swoją tradycję dziejową; przechowuje podania, nierozłącznie związane z gruzami starych zamków i klasztorów, z mogiłami, skałami i odwiecznymi borami; obchodzi też do dzisiaj pamiątkowe obrzędy, których początek sięga częstokroć zamierzchłej przeszłości.

Znany z waleczności osobistej, wielkie ma upodobanie w sztuce wojennej. Przyzwyczajony od dzieciństwa do jazdy, lubi nade-

wszystko konnicę i z łatwością uczy się używać broni. Był on zawsze nieustraszonym obrońcą swego kraju; we wszystkich wojnach jego lanca i kosa zawsze się sławą okryły, a nieprzyjaciół nieraz doznał jego waleczności.

Rolnictwo jest głównym źródłem utrzymania Krakowiaków. Trzeźwy i pracowity, obdarzony bystrym rozsądkiem, a po największej części umiejący czytać i pisać, chodzi też wieśniak tamtejszy lepiej około gospodarstwa, ma porządniejsze obejście, lepsze narzędzia, bydło dorodne, konie rosłe i piękną uprząż — jednym słowem, jest zamożniejszy, choć pieniędzy zbierać nie lubi.

Pięknie też wyglądają wioski krakowskie, zdala wabiące oko rozkosznym położeniem, starannością budowy i schludnością całego obejścia.

Według Oskara Kolberga.

9. Krakowiak.

Jestem Krakowiaczek
Z tamtej Wisły strony;
Gdzie jodłowy krzaczek,
Naszej wsi zagony.

Za górą granica,
Tam się coś zieleni;
To moja pszenica,
Będzie grosz w jesieni.

Wesołość w mym progu,
Choć ubóstwo w domu;
Lecz też — dzięki Bogu —
Nie dłużnym nikomu.

Oj tanio jej nie dam,
W Krakowie ją sprzedam;
Tam dobrze zapłacą
I będzie żyć za co.

Antoni Górecki.

10. Śmierć Olega.

Za czasów jeszcze pogańskich panował na Rusi wielki książę Oleg, a przemieszkował w stolicy swojej, w Kijowie. Nawojowawszy się za lat młodych do syta, a zawsze szczęśliwie, żył Oleg w spokoju z wszystkimi sąsiadami.

Pewnego razu wezwał Oleg do siebie wróżbitów swoich i zapytał: »Od czego przyjdzie mi zginąć?« — Na to rzekł mu jeden wróżbit: »Książę! koń twój, którego lubisz i jeździsz na nim, będzie przyczyną twej śmierci«. — Oleg pomyślał sobie tedy: »Mam ja zginąć od niego, to nigdy go wolę nie dosiadać i widzieć go więcej nie chcę«. — Kazał więc mieć o nim staranie, ale nie przyprowadzić do siebie.

Tak upłynęło lat kilka. Ale gdy z jednej wyprawy wojennej powrócił do Kijowa, przypomniał sobie znowu swego ulubionego konia i zateśknął za nim. Wezwał do siebie koniuszego i zapytał: Co się dzieje z moim koniem, któremu kazał karmić i mieć o nim staranie? A ten odrzekł smutno: »Nie żyje, panie!« Na to Oleg rozśmiał się i począł szydzić z onego wróżbita: »Sklamał, wiadać, ów wróżbit: koń zginął, a jam żyw!« I kazał sobie osiodłać dzielnego rumaka z swej stajni, mówiąc: »Nie mogłem go używać, niech przynajmniej obaczę jego kości!«

Gdy przyjechał na miejsce, gdzie leżały nagie kości jego konia i łeb, i przyglądać się im począł, wypełzła ze łba końskiego żmija i ukąsiła go w nogę. Od tego czasu rozchorował się Oleg i umarł. Płakał po nim wszystek lud płaczem wielkim; zanieśli go i pogrzebali na górze, która się zowie Szczekowica, i wzniesli nad nim mogiłę.

Jest na tej górze pod Kijowem po dziś dzień mogiła, którą zowią mogiłą Olegową.

11. Mój domek.

Jakto ja sobie
Domek ozdobię,
Ten modrzewiowy
Dworzec ojcowy!

Naprzód przed drzwiami
Lipę zasadzę,
Wkoło płotami
Sad oprowadzę.

Stawię przy wodzie
Świętego Jana,
A na ogrodzie
Gniazdo bociana.

Jeśli kto do mnie
Łaskaw przyjedzie,
To słup przed sienią
Stoi na przedzie.

Przy nim mosiężne
Wiszą kołeczka,
Gdzie się przewleka
Długa uzdeczka.

A zechce bawić,
To — jak zwyczajnie —
Konia postawić
Każe się w stajnie,

Gdzie koniczyną
Poza drabiną
Przy czystym żłobie
Przegryzie sobie.

* * *

Teraz we dworze
Jak ja ułożę!

Wszedłszy do sieni,
To być powinna
Zaraz najpierwsza
Izbą gościnna.

W niej stół dębowy,
Szafa u ściany,
W której cynowy
Dzban pobielany.

A zaś na ścianie
Obraz Łazarza —
Coto psy liżą
Rany nędzarza —
By mieć w pamięci,
Że w szczęściu jedni,
A drudzy ludzie
Straszliwie biedni...

A w drugiej stancyi,
W mojej siedzibie —
Co kto ukochał,
Z tem się tam zdybie.

Nad mojem łóżkiem
Bartos¹⁾ z Kościuszkiem,
Stefan Czarniecki,
Pogromca szwedzki,
I Jan Zamojski
I ten pan wojski,
Jan Kochanowski.

A zaś nad nimi,
Nad dziećmi swęmi,
Twarz Matki Boskiej
Świeci — a w dali
Zbroja ze stali.

Teofil Lenartowicz.

12. Chata w ziemi krakowskiej.

Nie dość jest z daleka obejrzeć wieś w ziemi krakowskiej; trzeba ją poznać bliżej, przypatrzeć się życiu jej mieszkańców, wstąpić nawet w progi ich chaty, która budową swoją i urządzeniem niemało różni się od chat wiejskich w innych stronach naszego kraju.

Chaty w ziemi krakowskiej, zwane chyżami albo budami, budowane są z drzewa na podmurowaniu kamiennem, a kryte słomą. Nad każdą wznosi się komin murowany, a szpary pomiędzy belkami ścian wylepione są gliną, którą dla ozdoby nakrapiają wapnem w cętki, kreski i gzygzaki.

Sień rozdziela całą chyżę na przełaj. W niej mieszczą się żarna, stępa, sąsieki czyli duża skrzynia na obrok dla koni i kojce dla kur, a po ścianach wiszą na kołkach kosy i sierpy. Nad drzwiami tylnymi, które równie jak i przednie zasuwają się od wnętrza na długą zaporę drewnianą, ze dworu zaś zamykane są na wrzeciądz żelazny, na skubel i kłódkę, umieszczone bywają w sieni pod powalą słomiane gniazda dla gołębi, zwane bańkami.

Z jednej (zwykle z prawej) strony wchodzi się ze sieni do izby mieszkalnej, zwanej piekarnią, poza którą u bogatszych kmieci bywa jeszcze porządna i widna świetlica. W piekarni, mającej pospolicie tylko jedno niewielkie okno, ze środka na haczyk zamykane, rzadko kiedy — chyba u najzamożniejszych gospodarzy — bywa podłoga; najczęściej zastępuje ją ziemia, twardo ubita.

¹⁾ Bartosz Głowacki, który się odznaczył w bitwie pod Raławicami.

Pierwsze w tej izbie miejsce zajmuje piec piekarski, czasem z zielonych kafli, przy którym znajduje się nałepa czyli miejsce do gotowania, kapą¹⁾ nakryte, a ponad niem polednia²⁾ z żerdzi, służąca do suszenia drzewa i odzieży. Od czasu, jak zaczęto używać węgla do opalania, bywa jeszcze przy piecu cyganek czyli kuchenka z blachami, służąca zarazem do ogrzewania izby. Pod piecem widać podpiecek, siedlisko kokoszy z pisklętami, a czasem płochliwych królików.

Oprócz naczyń drewnianych, oprócz ław, przypartych do ścian, i stołu na krzyżowych nogach czyli kozłowniach, znajdują się jeszcze w każdej izbie jedno lub dwa łóżka z pierzynami i poduszkami. U biedniejszych urządzony bywa w zapiecku tapczan z trochą słomy, na którym sypiają dzieci. Nadto znajduje się tutaj w każdej chacie szafka na naczynia gliniane i szklane, kilka skrzyń i półskrzynek na bieliznę, malowanych w jaskrawe kwiaty, żółte, czerwone i niebieskie, wreszcie u drzwi kropielnica z wodą święconą i obrazy świętych, pozawieszane rzędami pod powałą.

Po przeciwnej stronie sieni jest komora, w której zsypują lepsze ziarno w siasieki, wieszają polcie słoniny na żerdziach i chowają inne zapasy żywności w beczkach i faskach. Do komory przypiera od pola stajnia na bydło i konie. Czasami znajduje się jeszcze przy chałupie przyczepiona z tyłu przystawka czyli przykłapa, która służy za wozówkę i na przechowanie potrawu³⁾ i koniczu. Czworograniasta stodołka, stawiana zwykle drzwiami pod wiatr, któryby ułatwiał wianie zboża szuflą podczas młocki; grudza czyli zagroda na cielęta i nierogaciznę; piwniczka na przechowanie ziemniaków, wkopana zwykle w stok pagórka, a od przodu przykryta darnią; buda dla psa; przed oknami ogródek kwiatowy, w którym dziewczęta sadzą róże, barwinek, lewandę, rutę, józefek, szałwię, miętę i macierzankę; z boku sadek, w którym zwyczajnie rosną tylko śliwy i jabłonie, pod płotami agrest, porzeczki i maliny a rzadko spotyka się grusze i wiśnie; za stajnią okopana gnojówka, zwana oborą, i śmiecisko, w którym grzebie drób czyli, jak powiada Krakowiak, gadzina — oto całe obejście tamtejszych wieśniaków.

¹⁾ Kap a, rodzaj sklepienia ponad kuchnią, dla lepszego ciągu powietrza. —

²⁾ polednie, żerdzie (zwykle dwie), do powały przymocowane, a służące do wieszania na nich odzieży. — ³⁾ potraw, trawa, która na skoszonych już łące w tym samym roku porosła (olawa).

Ubożsi stawiają sobie oczywiście mniej przestronne i porządne chałupy, które właściwie budami nazywają, mianując zarazem część wsi, gorzej zabudowaną, budzynie^m. Bogatsi zato mieszkają pospolicie po dwie izby, letnią i zimową, i murują chaty z cegły, którą sami wypalają; w Dębniku¹⁾ zaś, gdzie są kamieniołomy marmurowe, z marmuru. Jest to jedyny w kraju naszym przykład przepychu u kmieci, który nie wynika jednak ze zbytku, lecz jedynie z braku innego materiału budulcowego w pobliżu.

Wedł. Oskara Kolberga.

13. Ogród.

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, płacząc strączki w marchwi zielonym warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Ówdzie podnosi złotą kitę kukurudza,
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.
Grędy rozcięte miedzą. Na każdym przykopie
Stoją, jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn: ciche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyły,
Na nich, myślisz, że rojem usiadły motyle,
Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych mak żrenić mamie!
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Kągły słonecznik licem wielkiem, gorejącem,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.
Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym
Okryły grędy, jakby kobiercem fałdzistym.

Adam Mickiewicz.

¹⁾ Dębnik, wioska w ziemi krakowskiej, w powiecie chrzanowskim, od dawna słynąca z kopalni marmuru.

14. Burza w Tatrach.

Nieraz widziałem w Tatrach, stojąc na słonecznej turni¹⁾, jak się srożyła burza pod nogami i jak później wzbierały potoki, kiedy na turnię ani jedna kropla deszczu nie padła: ale szczególnie pamiętam jedną burzę, na którą patrzałem, stojąc nad »Krakowem«. Górale nazywają tak w Tatrach wielki jakoby kocioł, którego ściany wznoszą się pionowo, dzieląc się niby na ulice i rynki.

W tym tedy kotle widziałem osobliwszą burzę, która się wysrożyła niespełna w piętnastu minutach na »Małym Rynku« pod stopami naszymi. Stojąc na szczycie, ujrzałem, jak jedną z ulic tego tatrzańskiego Krakowa posuwała się mała chmurka, na którą zresztą nie zwracałem uwagi. Po drugiej stronie ulicy na skałach ujrzałem kępę alpejskich dzwonnów, które tak rozkosznie zakwitły, iż były widoczne z daleka. Prosiłem tedy przewodnika mego, aby mi z korzeniami i ziemią przyniósł garść tych roślin. Spuścił się góral w dół po skale i wnet, może w pół godziny potem ujrzałem go, przy kępie dzwonnów alpejskich, na przeciwległej skale.

Oddalenie było na oko tak nieznaczne, iż zahukałem ku niemu, a on mi odpowiedział hukaniem; ale zastanowiło mię to, iż zamiast żeby miał do mnie powracać z roślinami, usiadł sobie na skale spokojnie, dobył lulki i, wykrzesawszy ognia, położył się na skale. Hukałem ku niemu i dawałem znaki, ażeby powracał, lecz on ani poruszył się z miejsca. Usiadłem tedy także na skale i patrzałem w ulicę.

Wtem spostrzegłem, iż pode mną przesuwawa się mała czarna chmurka. Druga, zupełnie do niej podobna, ale barwą odmienna, bo więcej szarawa i różowa, zalegała środek rynku i wisiała znacznie niżej od czarnej chmurki w ulicy. Nagle podniosła się w górę i stanęła w jednej wysokości z czarną chmurką w ulicy, ale to tak nagle, że ledwo mogłem dostrzedz, co się stało. Przez chwilę było jeszcze dno jaru ulicy widoczne, lecz tu nastąpiło uderzenie drugie; obie chmurki rzuciły się w błyskawicach ku sobie; mniejsza z rynku wpadła w ulicę, zagrzmiało krótko kilka razy, kilka silnych uderzyło piorunów — i jedną wąską smugą opadła ulewa na ulicę. Zaraz potem obie chmurki znikły bez śladu: już było po burzy.

Góral dzwignął się ze skały, z rozpalonych kamieni podnosiły się białe pary; a kiedy mój przewodnik do mnie powrócił, śmiał

¹⁾ Skaliste i nagie szczyty gór wysokich.

się z tej chwilowej burzy, która się między nami wyrożyła i przeszła bez śladu, zanim jeszcze lukki mógł dopalić.

Wincenty Pol.

15. Bolesław Chrobry i św. Wojciech.

Wkrótce po śmierci Mieczysława I. i wstąpieniu na tron syna jego Bolesława Chrobrego przybył do Polski arcybiskup praski, imieniem Wojciech, mąż głośny już wówczas z nauki i cnót chrześcijańskich. Bolesław przyjął męża świętobliwego z czcią należną, a pragnąc w kraju swym ustalić wiarę chrześcijańską, dopiero przez ojca zaprowadzoną, zamierzał nawet gościa swego osadzić na opróżnionej właśnie biskupiej stolicy w Gnieźnie. Atoli św. Wojciech, pałając gorącą chęcią opowiadania słowa Bożego poganom, prosił Bolesława, ażeby mu pozwolił udać się do dzikich Prusaków, którzy mieszkali na północy od Polski i nieraz rabowali i pustoszyli sąsiednie ziemie Bolesława.

Niechętnie tylko zgodził się na to Bolesław. Wtedyto święty Wojciech, odwzajemniwszy się królowi polskiemu za gościnne przyjęcie ułożeniem pobożnej pieśni do Bogarodzicy, udał się z dwoma towarzyszami do Prus. Lecz pogańscy Prusacy niechętni byli nowej wierze. Kiedy więc św. Wojciech odprawiał mszę świętą na miejscu, pogańskim bożyszczom poświęconem, rzucili się Prusacy na świętobliwego kapłana i zamordowali go okrutnie.

Król Bolesław, dowiedziawszy się, iż św. Apostoł zginął śmiercią męczeńską, wyprawił zaraz do Prusaków poselstwo z żądaniem, ażeby mu wydali ciało świętego męża. Atoli Prusacy — tak głosi podanie — zażądali tyle złota i srebra, ile ciało św. Wojciecha zaważy.

Zaczęto więc zewsząd znosić bogate ofiary i składano je na wagę. Ale wszystkiego było za mało: ciało świętego było tak ciężkie, iż żadne skarby nie mogły go podnieść. Wtem przystąpiła uboga jakaś a pobożna niewiasta, która ostatni grosz, jaki miała, rzuciła na wagę. Naraz spadły wszystkie skarby, a ciało stało się tak lekkim, iż zaledwie tyle ważyło, co drobny ów pieniądz ubogiej kobiety.

Prusacy zdumieli się, widząc cud tak wielki, i bez wahania oddali Polakom ciało świętego kapłana. Z wielką czcią i pobożnością przewieziono je do Gniezna, gdzie je pochowano uroczystie w kościele katedralnym.

Dotychczas spoczywa tamże ciało świętego męczennika z czcią przechowywane w srebrnej trumnie, a co niedzieli u grobu świętego męża śpiewają kapłani pobożną pieśń, którą on sam przed dziewięciuset laty ułożył na cześć Bogarodzicy.

16. Dowcip kwestarza.

Przebywszy Niemen w Mikołajowie, ciągnęliśmy gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołym niebem, jeżeli nie we dworze jakim. »Po co nam karczmy? — mówił Marcin, stary furman klasztorny — mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróżny, i barany napasiemy i sami posilim się i nic nie zapłacimy«. Mieliśmy więc po zwyczaju mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy właśnie; ale spostrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu zaglądnąć, na co i Marcin się zgodził. A zatem stanęliśmy z naszymi wózkami obok pańskiej karocy.

Ujrzały nas piękne panięta, to jest chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek; wybiegły z karczmy, a za nimi i ichmość rodzice wyszli.

— *Laudetur Jesus Christus!*¹⁾ — rzekłem, kłaniając się *humillime*²⁾.

— *In saecula saeculorum!*³⁾ — odpowiedział *Magnificus*⁴⁾, jak się potem dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę — rzekł on — nie masz gdzie popasać, księżu kwestarzu!

— Nic to, Dobrodzieju! ja też nie na popas zajechałem; odpoczną tylko moje szkapę i powlokę się dalej.

— Owszem, pomieścimy się jakoś. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie między moimi i mój obrok zjedzą, samego zaś Waści na nasz podróżny obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księżu kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JW. Pana, byłem nie przyczynił subiekcyi.

— Żadnej, żadnej — odpowiedziała pani.

A zatem i zostałem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzegania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać

¹⁾ Niech będzie pochwalony J. Chr. — ²⁾ bardzo uniżenie. — ³⁾ na wieki wieków. — ⁴⁾ wielmożny.

zaczęli staremu i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i konie jego były dobrze nakarmione, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów: udobruchał się przecie i wnet pobratał się z wszystkimi. W karczmie już był stół nakryty, a nim dano obiad, starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka: Z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? — zadawał rozmaite inne, wyzywając mię zawsze na jowialne¹⁾ odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem, dotrzymywałem placu; i uśmiechał się pan, a nawet sama imość, bo ja, pamiętając na instrukcyę księdza gwardyana, umiałem trzymać język za habitem. Nakoniec przystawiono talerz i zasiedliśmy do stołu.

— Będiesz głodny, księże kwestarzu! — rzekł starosta — obiad podróżny krótki i porcy nie sute, bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias*²⁾, Dobrodzieju! a na cóż więcej?

Jakoż pocziwy był rosół z jędora. Pani starościna po dwa razy mi nalewała i posiliłem się należycie. Dano pieczyste. Były to cztery jarzabki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dzieciak po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu; jarzabków cztery, a nas pięcioro.

— Posiliwszy się z łaski Państwa tak wysmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarzabków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Carissime!*³⁾. Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i kwestarz nielada; musiałeś więc szkoły traktować?

— JW. Panie! aż do poetyki⁴⁾ *inclusive*⁵⁾, a Alvara⁶⁾ gryzłem na pamięć jak rzepę.

— Zapewne uczyłeś się arytmetyki?

— Uczyłem się i arytmetyki; lecz zostawszy kwestarzem, najwięcej praktykuję addycyę⁷⁾ i multiplikacyę⁸⁾; dalsze zaś działania dla mnie nie wielce potrzebne; o frakcyach⁹⁾ i słuchać nie chcę. Nigdy ich cierpieć nie mogłem, tem bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

Otóż, pomyślałem sobie, znowu i wędę z konceptem zarzucałem do wspaniałości pańskiej. Punktualnie wypełniam instrukcyę ks. gwardyana. Obaczymy, co wyciągnę.

¹⁾ żartobliwe. — ²⁾ Bogu dzięki i zato. — ³⁾ najdroższy (tytuł dawany braciom zakonnym). — ⁴⁾ klasa piąta. — ⁵⁾ włącznie. — ⁶⁾ szkolna gramatyka łacińska. — ⁷⁾ dodawanie. — ⁸⁾ mnożenie. — ⁹⁾ ułamki.

— A więc daj experiment¹⁾ — rzekł starosta — ze swojej nauki; podziel te cztery jarząbki na pięć osób, ale bez frakcyi, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest bez rozrywania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcyi się dostało. Kiedy tego dokażesz, powiem ci, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine*²⁾.

— Nic łatwiejszego, Dobrodzieju! byleście się na moją dywidendę³⁾ zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie — rzekł znowu starosta — i za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księżu kwestarzu.

— Ani się dotknę nożem.

Podsuniąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość Dobrodziej, Jejmość Dobrodziejka i jarząbek — to troje; Panicz, Panienka i jarząbek — to troje; kwestarz i dwa jarząbki — to znowu troje.

— Brawo! — krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie; tożsamo i pani starościna. — Zgadza się na podział, wysmienicie.

— Ale ja się nie zgadzam — rzekłem. — Jarząbki zostaną przy Państwu i przy Paniętach, a w indemnizacyi⁴⁾, jeżeli JW. Pani pozwoli, wezmę tę bułkę dla siebie, a dla klasztoru, co wola i łaska.

— Z największą ochotą i jedno i drugie ofiarujemy ci, *Carissime*, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój stąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JW. Panie! dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę, to jadę, byłem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnali mię ci zacni państwo i my też powlekliśmy się za nimi.

Ignacy Chodźko.

17. Fajarka pastusza.

Raz król pewien zabłądził na polowaniu. Szukając drogi, przybył na wzgórze, gdzie jakiś pastuszek pał trzodę owiec; siedział

¹⁾ Próbę, dowód. — ²⁾ co do rzeczy i z imienia. — ³⁾ podział. — ⁴⁾ wynagrodzenie poniesionej szkody.

on pod drzewem i przygrywał sobie na fujarce. Miłe dźwięki pieśni, a oraz ciekawość pociągnęły króla do tego chłopca. Podo- bała mu się miła twarz jego, a że zapytywany o różne rzeczy, odpowiadał śmiało i rozumnie, zabrał go król z sobą i kazał wychowywać na swoim dworze.

Jako kwiat polny, który z nieurodzajnej gleby dostaje się na lepszą ziemię, w krótkim czasie się rozrasta, a oraz żywszemi barwami przyozdabia; tak rozwijał się ów chłopiec i wyrósł na męża niezwykłych cnót pełnego. Król z każdym dniem coraz więcej przywiązywał się do niego, a wreszcie uczynił go swoim ministrem i powierzył mu straż nad swoim skarbem.

Młody dostojnik królewski posiadał wszystkie cnoty, mogące zdobić człowieka: czystość obyczajów, wierność i pilność w pełnie- niu obowiązków, szczególną uprzejmość dla wszystkich, a co naj- ważniejsza, nadzwyczaj zawsze był skromny. Wszystkie jego czyny dobre pochodziły z najczystszego źródła — ze szczerej chęci, aby ludziom być użytecznym.

Atoli zazdrośni dworacy niechętnem okiem patrzali na jego wyniesienie i rozmaite stawiali nań zasadzki, starając się pozbawić go tego zaufania, jakim go zawsze darzył monarcha. Jednak wszel- kie ich zabiegi były daremne, bo król był władcą pełnym rzadkich przymiotów, a podejrzliwość nie znajdowała przystępu do wielkiej jego duszy; to też dopóki on żył, podskarbi miał zawsze najlepsze zachowanie u dworu.

Na nieszczęście umarł ten wielki król, a jego następca miał wręcz przeciwny charakter, prędki był i podejrzliwy. Teraz posta- nowili zazdrośnicy zgubić znenawidzonego im ministra. Oczernili go więc przed królem, jakoby nadużywał położonego w nim zaufa- nia i skarby królewskie obracał na własne potrzeby. Król uwierzył potwarczemu oskarżeniu dworzan, kazał przywołać do siebie mini- stra i, gniewnie nań spoglądając, zawołał:

— Sługo niewierny, niecnota twoja jest mi już znana. Straciłeś swoje stanowisko i rozkazuję ci w przeciągu czternastu dni złożyć rachunki!

Zasmucił się podskarbi, ale się bynajmniej nie przestraszył, bo miał czyste sumienie. Ponieważ jednak rozumiał, że byłoby rzeczą niebezpieczną kazać swoim nieprzyjaciołom czternaście dni czekać na dowód swej niewinności, rzekł więc do króla:

— Miłościwy panie, życie moje jest w twoich rękach. Jestem gotów złożyć natychmiast u stóp twych klucze królewskiego skarbcu.

Król zgodził się na to i bezzwłocznie udał się do skarbcu; ale tu wszystko znalazł w najlepszym porządku. Zmieszał się król, widząc, iż niesłuszne były skargi dworzan i jego podejrzenia. Jednak niezupełnie jeszcze przekonany, wymyślił sobie jakiś pozór i poszedł do domu podskarbiego, bo się spodziewał znaleźć tu owe kosztowności, o jakich mu dworzanie opowiadali. Ku wielkiemu atoli zdziwieniu wszystko tam było jak najskromniejsze: pospolite obicia, najniezbędniejsze sprzęty. Jeszcze więc bardziej zmieszał się król, widząc, jak wielką krzywdę wyrządził temu prawemu mężowi; i już chciał się oddalić, kiedy mu jeden z dworzan ukazał w kącie drzwi, żelaznemi okute sztabami. Monarcha przystąpił do tego miejsca i zapytał gospodarza, co przechowuje poza temi drzwiami.

Podskarbi zmieszał się nieco i zarumienił, lecz wnet opamiętał się i rzekł:

— Miłościwy panie, w tej kryjówce przechowuję to, co dla mnie jest najdroższego na świecie. Wszystko, coś widział w tym domu, należy do ciebie, króla i pana mojego; lecz moją wyłączną własność stanowią przedmioty, znajdujące się poza temi drzwiami.

Te słowa na nowo obudziły w królu dawne podejrzenia: kazał sobie drzwi owe otworzyć. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy wszedłszy do owej tajemniczej alkowy, ujrzał tylko cztery ściany, a na jednej z nich zawieszoną lichą odzież wieśniaczą i fujarkę pastuszą.

Podskarbi, widząc zdziwienie króla, rzekł:

— Miłościwy panie, w młodości pasłem trzody; ale wielki twój ojciec wezwał mię do dworu swojego i obsypywał mię dobrodziejstwami. Otóż tutaj, w tej spokojnej izbie, przepędzam odtąd codziennie godzinę czasu; z radością przypominam sobie dawny mój zawód i powtarzam piosnki, które niegdyś wygrywałem, pilnując trzody. O pozwól mi, królu, znowu powrócić na ojczystą niwę, gdzie byłem daleko szczęśliwszy, niż na twoim dworze.

Król uściskał zacnego człowieka, przeprosił go za wyrządzoną mu krzywdę i błagał, ażeby nadal na jego dworze pozostał. Odtąd umilkła zazdrość i niechęć niegodziwych ludzi, a mąż ów zacny długo jeszcze żył potem, używając zasłużonej nagrody cnót swoich — miłości i szacunku bliźnich.

18. Walka za wiarę.

(Podanie rodzinne).

Pomiędzy herbami, którymi się na Rusi wiele rodzin pieczętowało, była Szalawa, t. j. koło z trzema krzyżami. O powstaniu tego herbu opowiadano sobie następujące podanie.

Długo wahał się Włodzimierz Wielki, książę kijowski, czy ma przyjąć wiarę chrześcijańską, czy wytrwać przy pogańskiej wierze swych przodków. Chcąc lepiej poznać nową naukę, wysłał (jak mówiono) do Carogrodu jednego z najdzielniejszych swych rycerzy, imieniem Halkę, i polecił mu, ażeby się w stolicy cesarskiej dobrze wszystkim obrzędowi przypatrzył i za powrotem zdał mu z nich sprawę.

Po jakimś czasie powrócił rycerz z Carogrodu i, stanąwszy przed Włodzimierzem, swym panem, przedziwnymi pochwałami zalecał mu wiarę Chrystusową. Słyszeli to niektórzy dworzanie książęcy; a gdy zarówno z wiary, jak i z Halki, który ją słał, szydzili, przyszło do tego, iż ten, nie mogąc dłużej wytrzymać hanby imienia Chrystusowego, trzech z nich wyzwiał na pojedynek. Ci, co przy tem byli obecni, szalonym go nazwali, że się na tyle sam jeden odważał; atoli on, ufając pomocy tego Boga, którego cześć tak odważnie bronił, natychmiast koło jak do pojedynku na ziemi zakreślił i stanął do walki z przeciwnikami. Skutek był bardzo pomyślny, bo mówiąc słowa: *W imię Ojca* — ciał jednego, mówiąc: *I Syna* — powalił drugiego, a mówiąc: *I Ducha świętego* — położył i trzeciego.

Wtedy to Włodzimierz — jak mówiło podanie — chcąc uznać dzielność swojego rycerza, nadał mu herb Szalawę.

19. Zmyślność psa.

Zmyślność psów dochodzi czasem do nadzwyczajnego stopnia, tak, iż prawie w podziw wprawia ludzi.

Pewien uczony w Niemczech miał ten zwyczaj, iż położywszy się wieczorem, długo w łóżku czytywał. Bardzo często zmęczony czytaniem zasypiał i zapominał świecy gasić. Jest to rzecz bardzo niebezpieczna i nieraz z tego smutne wyniknęły wypadki; od świecy bowiem mogą się zapalić papiery na stoliku, dalej pościel, a potem i dom cały; i najczęściej człowiek nierozważny, który przez niepamięć swoją był powodem takiej szkody, sam najpierwej albo

doznaje ciężkiego poparzenia albo nawet w dymie i płomieniach śmierć okropną znajduje.

Ów tedy uczony w nocy budził się nieraz ze strachu, przypominając sobie, że świecy nie zgasił. Ale zawsze świeca była zgaszona. Drzwi od swego pokoju sam na klucz zamykał, nie mógł więc pojąć, kto mu taką przysługę czyni i tak nad nim czuwa.

Nareszcie chcąc się koniecznie przekonać, zostawił raz świecę niezgaszoną; udał, że śpi, ale naprawdę przymrużył tylko oczy i czekał, co dalej będzie.

Ledwie kilka minut tak spokojnie leżał, gdy jego ulubiony pudel, który w kącie na posłaniu spał spokojnie, wstał, wskoczył na krzesło, z krzesła na stolik, a przypatrując się dobrze panu, czy śpi, gdy widział, iż się nie rusza, łapą świecę zgasił. •

20. Wyżeł i brytan.

Pan strzelił, trafił kaczkę, pies dostał i dobił;
A gdy spostrzegł brytana, który nic nie robił,

Zgrzytnął zębami:

»My tylko sami,

Wyżły legawę,

Dajem wam strawę,

A wy śpicie, leniuchy!«

»Patrz na moje łańcuchy —

Rzekł brytan, stróż domowy; —

Gdy ty idziesz na łowy,

Ja nic wprawdzie nie robię;

Ale gdy w nocnej dobie

Do wczasu się sposobisz

I nic wtedy nie robisz,

Ja, uwolnion z łańcucha,

Czyniąc urząd podsłucha,

Gdy wyręczam kolegę —

Pana, ciebie, dom strzegę!«

Ign. Krasicki.

21. Wodospad w Tatrach.

Spuściwszy się z góry ku wodom Rostoka, mieliśmy drogę cokolwiek wygodniejszą; tylko głazy i drzewa, postręcane od wichrów i deszczów, jakoteż głębokie łożyska potoków, suche dzisiaj i za-

walone niezmiernymi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Jednakże wynagradzały nam wszelkie trudy skaliste ściany na kilkaset metrów wysokie, liczne wody, snujące się przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc innych obrazów, co krok rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia. Ujrzeliśmy nakoniec Siklawą wodę. Jest to wodospad utworzony przez Rostok, a zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością.

Byliśmy od niego więcej jeszcze, niż o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał i rwał oczy długi, kipiący bałwan, biały jak śnieg. Im więcej zbliżaliśmy się, tem szybciej chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi, bo przeprawa tem trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczącego i zapienionego Rostoku, aby odtąd iść prawym jego brzegiem. Przedarliśmy się przez gęstwy kosodrzewiny, odpoczywając po każdym kilkudziesięciu krokach; tak przykro wciąż droga szła pod górę. Już nam się zdawało, że zbliżamy się do kresu podróży, gdy wtem widzimy, iż to było złudzenie. Do spodu Siklawej wody niepodobna dostać się, bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczyrych, prostopadłych opok; musimy pść się wyżej. Krótka wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącej nie mieliśmy dotąd, bo po zboczach to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i ślizkich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dotarliśmy do skały, po której przewala się Siklawą wodą. Zgrzani, wpół omdleni, padliśmy na kamień, aby wypocząć.

O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swojemi mgłami. Przekrojony od sterczącej na wierzchu opoki, rzuca się on prostopadle dwoma pasmami kilkumetrowej szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jej wyżłobienie i, wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci dalej, a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią w to wyżłobienie kamień wylatuje z niego jak piłka na kilka metrów w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniej 90 metrów. Lecąca woda, połamana, pokłębiona, wraca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niej wieczny deszczyk i zlewa w pobliskie miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęcze; nam około godziny drugiej z południa nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze, wspanialsze jeszcze zjawisko ma wy-

dawać zima. Niepodobna, jak mi mówili przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu tej budowy i piękności ozdób z lodu, pod tysiącnymi rozsznianych kształtami.

Seweryn Goszczyński.

22. Jaktó na Góralach.

Nasi karpaccy bracia Górale
Siedzą w dolinkach, co się zwą hale.
Pod modre niebo góry się jeżą,
Śniegi tam zimą i latem leżą.

W nizinach szumią wody rozliczne,
Przy wodach bujne łąki prześliczne.
Po skałach ciemne świerki się chwieją;
Jak zajrzysz, góry w mgłach błękitnieją.

Tak ci tam rażno, tak nic nie trzeba,
Jakbyś naprawdę trafił do nieba;
Chłodne strumienie lecą w doliny,
Szumią po dołach, huczą jak młyny.

Kędyś przed chatą, w ciemnym wąwozie,
Wesoły Góral beczy na kozie¹⁾.
Cygan włóczęga brzęczy na drumli,
A pies przy nogach, dziwiąc się, skómlą.

Nad Morskiem Okiem, nad stawem eichym,
Jest wielka góra, co zwie się Mnichem.
Kiedy w powietrzu ma się na burzę,
To góra we ćmie, jak mnich w kapturze.

Ach! na Góralach takie śliczności,
Że się przypatrzeć naszej piękności:
Za byłem Góral w kawowej goni²⁾
Śpiewając biegnie z toporem w dłoni;

Przez lato w górach barany pasie,
A zwierza strzela w zimowym czasie.
Góral nierady w dolinę schodzi,
Z tak pięknej ziemi wyjść się nie godzi.

T. Lenartowicz.

¹⁾ Kozą, kobzą, i drumlą, instrumenta muzyczne u Górali. —

²⁾ Goniam, wierzchnia suknia Górali.

23. Przygoda w podróży.

(Ustęp z pamiętnika malarza).

Zwiedzałem raz z przyjacielem moim, Świąteckim, góry wysokie. Zbłądziliśmy, nie znając drogi. Ponieważ zapadła noc i łatwo było gdzieś w przepaści życie postradać, więc Świątecki powiada do mnie:

— Słuchaj, Władek! Ciebie większa szkoda, więc ja pójdę naprzód. Jak spadnę, to posiedzisz na miejscu do rana, a rano już sobie jakoś poradzisz.

— Nie ty pójdziesz naprzód — powiadam — tylko ja pójdę, bo mam lepsze oczy.

Na to Świątecki:

— Ja pójdę naprzód; wszystko mi jedno, gdzie i kiedy zginę.

Zaczynamy się sprzeczać. Tymczasem robi się ciemno, jak w piwnicy. Koniec końcem, umawiamy się, że pójdziemy na losy. Idziemy. Świątecki wyciąga węzełek i rusza naprzód. Posuwamy się przełęczą. Z początku jest dość szeroko, później coraz wężiej. O ile możemy wymiarkować, w prawo i w lewo są przepaście, pewnie bezdenne.

Grzbiet staje się jeszcze węższy, a co więcej okruchy zwietrzałych skał usuwają się nam z pod nóg...

— Idę na czworakach, bo nie można inaczej! — mówi Świątecki.

Rzeczywiście nie można było inaczej, więc opuszczamy się na czworaki i idziemy dalej jak dwa szympanse. Ale wkrótce pokazuje się, że i to na nic... Grzbiet skalny robi się nie szerszy od końskiego. Świątecki siada na oklep, ja za nim — i, opierając się rękoma przed sobą, posuwamy się naprzód... Po jakimś czasie słyszę głos Świąteckiego:

— Władek?

— Co takiego?

— Grzbiet się skończył.

— A co dalej?

— Pusto... Musi być przepaść.

— Weźże jaki kamień i ciśnij; posłuchamy, czy długo leci.

W ciemności słyszę, jak Świątecki szuka rękoma, by wynaleźć jaki okruch zwietrzalej skały, a następnie mówi:

— Ciskam... słuchaj!

Nadstawiamy obaj uszu... Cisza!

— Nie słyszałeś nic?

— Nie!

— Ładnieśmy się wybrali; musi być ze sto sążni.

— Ciśnij jeszcze raz!

Świątecki wynajduje większy okruch, ciska... Ani odgłosu!

— Cóż tam? dna niema, czy co? — mówi Świątecki.

— Trudna rada! Będziemy siedzieli do rana.

I siedzimy. Świątecki puszcza jeszcze parę kamieni; wszystko napróżno. Upływa jedna godzina, druga; już może być pierwsza w nocy, albo nawet i nie tyle. Zaczyna padać drobnouchny deszcz. Naokoło ciemność nieprzebita. Dochodzę do przekonania, że żyjąc między ludźmi, czy w miastach czy na wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni. Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale.

Z początku położenie nasze zajmuje mnie; siedzieć jak na koniu i tuż nad niezglębioną przepaścią, to się przecie byle komu w stolicy nie trafi; ale wkrótce robi się zimno, coraz dotkliwsze.

Świątecki rzucił jeszcze parę kamieni, powtórzył jeszcze parę razy: »Ani słychu!« i odtąd milczeliśmy ze trzy godziny.

Zdawało mi się, że niedługo powinien się być zacząć brzask. Nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł. Było jeszcze ciemno i nie mogłem nic dojrzeć; ale byłem pewien, że to orły poczynają krążyć nad przepaścią. »Kra! kra!« rozlegało się coraz silniej w górze i w ciemności. Dziwiło mnie, że słysząc tak dużo tych głosów, jakby przelatywały całe legiony orłów. Ale bądź co bądź, zwiastowały one dzień.

Jakoż po jakimś czasie dojrzałem swoje ręce, oparte o brzeg skalisty; potem zarysowały się przede mną plecy Świąteckiego, zupełnie jak czarna sylwetka¹⁾ na cokolwiek mniej czarnem tle. Tło owo bladło z każdą chwilą.

Coraz się robiło widniej. Patrząc, staram się zapamiętać te zmiany tonu i potroszę w duszy maluję, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świąteckiego:

— Tfy! głupcy!

I plecy jego giną mi z oczu.

— Świątecki! — krzyknę — co robisz?

— Nie wrzeszcz! — powiada — patrz!

¹⁾ sylwetka, rysunek jakiejś postaci. zdjęty z jej cienia.

Pochylałam się, spoglądałam — cóż się pokazuje? Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o półtora łokcia poniżej. Mchy głużyły odgłos kamieni, bo zresztą łąka jest równiutka; w dali widać drogę, na niej wrony, które poczytałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, ażeby pójść najspokojniej do domu. Tymczasem przesiedzieliśmy na zrębie, szczękając zębami, całą Bożą noc.

Henryk Sienkiewicz.

24. Bolesław Krzywousty rycerzem.

Nadzwyczaj wspaniale i uroczyście odbył się obrzęd pasowania Bolesława Krzywoustego na rycerza.

W dniu oznaczonym książę Bolko z dwunastu towarzyszami swoimi szedł naprzód na nabożeństwo. Odziani skromnie, jak pokutnicy, suknie mieli z prostego sukna grubego, bez ozdób żadnych, nakształt sutanny, którą duchowni nosili. Podczas mszy św. wszyscy spowiedź odprawili. Nie godziło się dnia tego używać rozrywki ni wspólnie z innymi biesiadować. Stół mieli osobny, jadło skromne i niewytworne. Dzień upłynął na skupieniu ducha i na nabożeństwie. Wysłuchawszy nieszpórów, wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym na ołtarzu Przenajśw. Sakramentem i przy płonącej lampie noc całą przebyli na czuwaniu i modlitwach.

Jak tylko rozedniało, wyszedł sam biskup ze mszą świętą, po której przystąpili wszyscy do stołu Pańskiego. Szli potem do przygotowanej łaźni, a zmieniawszy odzież, wzięli bogatszą, krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną¹⁾. Zwyczaj, którego ściśle pilnowano, wymagał, aby po łaźni położyć się do łóżka i w niem przyjmować odwiedziny przybywających z powinszowaniami. Oprzeć się chciał temu przymusowemu spoczynkowi Bolko, lecz wkońcu choć na chwilę ledz musiał, aby się zwyczajowi zadość stało. Wpuszczono ciekawych i przynoszących życzenia, na których nie zbywało.

Gdy się odwiedziny te skończyły, starsi trzech wojowniczy przystąpili do odziewania królewicza wedle obyczaju. Jeden podał mu koszulę, u szyi i piersi złotem wyszywaną, białą jak śnieg, bo szatę niewinności oznaczającą, przyozdobioną cnotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego, jak siatkę dzianą i misternie ple-

¹⁾ bramowany, brzegiem wyszyty lub wyłożony inną materją.

cioną; ta oznaczała jakby włosienicę rycerską, godło trudu, bólu i wstrzemięźliwości. Na oną drugą koszulę żelazną wdziewano kaftan łośiowy, który tamte okrywał tak, jak człowiek cnotę swą i boleść winien przed oczyma bliźnich osłaniać skromnie. Po kaftanie poczęto opinać zbroję, całe ciało osłaniać mającą, aż do rękawic i nagolenników¹⁾. Narzucono mu potem płaszcz rycerski na ramiona, szczęściem z lekkiej tkaniny, gdyż w skwar sierpniowy ledwie ciężar ten cały można było udźwignąć.

Tak samo przyodziani byli towarzysze Bolkowi wszyscy, dla których on koszule, zbroje i miecze jednakie zawczasu przysposobił.

Przybrani, wszyscy młodzi, pacholeta jeszcze, uroczyscie szli do kościoła, gdyż król chciał, aby pasowanie ani w izbie ani w podwórzu, ale w katedrze się odbyło. Na wielkim ołtarzu złożone były miecze z pasami, które sędziwy biskup pobłogosławił.

Gdy orszak ruszył z dworca, wszystkie podwórza, wały, okna pełne były ciekawego ludu, wznoszącego okrzyki na cześć młodego pana i jego rodziny. W uroczystym pochodzie szli wszyscy do kościoła: młodzież naprzód, starszyzna za nimi.

Król zasiadł na wezglowiu²⁾ pod baldachinem. Duchowieństwo licznie było zgromadzone. Lud tłoczył się do kościoła. Szedł naprzód królewicz przed ołtarz wielki, a tu odprawivszy modlitwę krótką, szedł do ojca, przed którym składać miał przysięgę. Jedna dla wszystkich rycerska przysięga brzmiała, że krwią, życiem, mieniem, nie szczędząc ich, rycerz miał bronić wiary świętej i Kościoła, walczyć z poganymi, osłaniać sieroty i wdowy, stawać w obronie wszelkiego ucisnionego. Po złożeniu przysięgi dopiero przystąpili do królewicza starsi rycerze, aby mu złożone przypiąć ostrogi. Z ołtarza klerycy, wzięwszy pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym pasie złocistym, a pochwę miał zdobną w drobne krzyżyki złote, nieśli je przed króla.

Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a król Władysław, trzykroć mieczem uderzywszy po ramieniu, drżącemi rękoma przypasał mu rycerskie znamię. Uderzenia, jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić powinien był cierpliwie ciosy i razy — za wiarę i za prawdę.

¹⁾ nagolennik, część zbroi, noszona na gołeniach (nagolenica). —

²⁾ poduszka.

Wstał Bolko, cały radością promieniejący, dziękując ojcu; a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim towarzyszom jego pasy nakładać, wyręczyła go starszyczna, dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi i trąby. Uderzono we dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko. Lud cały, w podwórzach stojący, nowych rycerzy witał.

Józ. Ign. Kraszewski.

25. Chata huculska.

Wszystkie chaty huculskie są tak zbudowane, iż na prawo od wnijscia do sieni jest izba przeznaczona dla gości, którą gospodarz przystraja w co może najlepszego i utrzymuje chędogo; izbę zaś po lewej od wnijscia, wraz z komorą do niej przytykającą, zachowuje dla siebie.

Ściany jej wewnętrzne nie są nigdy otynkowane ani bielone, lecz gładko z drzewa ciosanego ułożone. Gościnna izba ma zawsze podłogę, piec kaflowy, okna niewielkie, najczęściej kratami żelaznymi zaopatrzone; drzwi okute, z klamką i zamkiem roboty ślusarskiej. W izbie tej stoi zazwyczaj jedno szerokie łóże, dokoła ścian obiegają ławki, a na środku izby stoi stół duży. Na ścianie, naprzeciw drzwi wchodowych, rozwiesza Hucuł broń myśliwską, która jest częścią jego stroju i główną tegoż ozdobą. Na szerokich, mosiężnych ćwiekami gęsto nabitych rzemieniach zawiesza na krzyż w malowniczym upięciu róg jeleni, służący za schowek na proch, czyli t. z. *porosznice*, i nieodstępną mu w drodze *taszkę*, t. j. torbę, w której trzyma krzesiwo, krzemień i lulkę. Jeśli który posiada od rządu pozwolenie noszenia broni, zawiesza tutaj swój *kris*, t. j. strzelbę i parę pistoletów. Nie posiadający zaś broni palnej uzupełniają tę zbrojownię toporkiem, harapnikiem i strzemionami. Resztę miejsca na ścianach zajmują obrazy świętych, w jaskrawych ramach, częstokroć zieleń przetykanych.

Odmienne wygląda ta część chaty, którą on sam z rodziną zamieszkuje. Tu główne miejsce zajmuje przymocowana u ściany półka, na której ustawione są naczynia kuchenne i inne sprzęty gospodarskie, będące pod wyłącznym zarządem gazdini. Na żerdkach, u powały przymocowanych, rozwieszono są koce, zwane *liznykami*. Parę obrazów uzupełnia przyozdobienie ścian izby. Z niej wchód bywa zazwyczaj do komory, zwanej *klitem*, to jest klatką, która

jest niejako szatnią Hucula. Tam trzyma on swe stroje, bieliznę i to, co ma droższego w domu. Drzwi od klitu zamykają Huculi zasuwą od strony sypialni. Drzwi zaś wchodowe od sieni zasuwiają na noc wielkim czworograniastym drągami z ciesiny.

Chata huculska nie posiada komina; dym z kuchni i pieca, zbierający się ponad powałą, wydobywa się na wierzch służącymi umyślnie ku temu dymnikami, czyli otworami w dachu, zapelniając nieraz duszącym swędem strych, a nawet izbę. W tych dymnikach wędzą mięsiwo, mające służyć na zapas na zimę. Od strony głównej chata miewa poddasze poprzed oknami, chroniące ją od wiatrów i zamieci w zimie. Poddasze to, wprost drzwi wchodowych, łączy się z rodzajem lamusu, zwanym *ambar*, gdzie jest oprócz nabiātu skład narzędzi gospodarskich, zboża i wszelkiego gospodarskiego dobytku.

Opodal nieco od chaty, na osobnem podwórzu, stoją szopy dla bydła, długie a niskie, otoczone parkanem z mocnych kołów drewnianych, aby ustrzedz bydło od napadu dzikiego zwierza górskiego, niedźwiedzi i wilków, od czego szopy te nazywają *kołeszniami*. Całą swą zagrodę nazywa Hucul *szatłasem* lub *obejściem*.

Ma zagroda huculska coś malowniczego w sobie. Otoczona zielonością, stoi ona zawsze na miejscu podniosłem, na wzgórku, skąd rozleglejszy widok się roztacza i słychać szum górskiego strumienia; wszystkie wsi bowiem ciągną się wzdłuż nadbrzeża rzek, biorących tutaj swój początek ze źródeł w okolicach Czarnohory.

26. Cerkiew wiejska.

Była to cerkiew, z modrzewia jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory:
Nad dachem rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły,
Na progu żebrak pacierze powtarza,
Wokoło cmentarz, kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny,
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny;
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola,

Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty,
Zabrzmią młódzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty;
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca...
Ucichła: księdza tylko słyhać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Juliusz Słowacki.

27. Ofiara.

Romanek, syn właściciela niewielkiego folwarku w ziemi krakowskiej, liczył już rok jedenasty; a że tego właśnie lata ukończył szkołę ludową w rodzinnej wiosce, miał się udać na dalsze nauki do Krakowa, gdzie go ojciec zapisać chciał w poczet uczniów gimnazjum św. Anny. Już w przededniu odjazdu, dnia 30. sierpnia, wszystko było przygotowane do podróży, a Romanek wieczorem, idąc na spoczynek, z płaczem pożegnał wszystkich domowych, bo nazajutrz skoro świt wyjechać miał z ojcem. Babunia, która go bardzo kochała, przycisnęła go czule do serca, a błogosławiąc mu na nową drogę życia, wsunęła mu w rękę nowego dukata, ażeby sobie co pięknego kupił w Krakowie. Pierwszy ten w życiu dukat tak ucieszył Romanka, iż długo nie mógł usnąć, snując najrozmaitsze plany; a nawet we śnie zdawało mu się, iż wszędzie, dokąd zwrócił oczy, widział tylko dukaty i dukaty.

Nazajutrz rano, nim słońce zeszło, obudzono Romanka. Wstał prędko, ubrał się i wyszedł z pośpiechem na dziedziniec. Już powóz zajechał, słudzy rzeczy pakowali, ale ojca nie było widać. Kiedy chłopak zapytał o niego, powiedziano mu, że zachorował nagle w nocy i nie pojedzie do Krakowa, lecz zastąpi go wierny i poczciwy stary sługa Walenty. Przełęczniony pobiegł Romanek do pokoju ojca, a widząc, iż w mocnej leży gorączce, prosił go na klęczkach, aby i on mógł nie jechać; ale ojciec, nie chcąc narazić syna na nieprzyjęcie do zakładu, kazał mu jechać natychmiast. Ze łzami w oczach usłuchał Romanek ojca, pożegnał się jeszcze raz ze wszystkimi i wyjechał; płakał przez całą drogę.

Około godziny dziewiątej przed południem wypadło im przejeżdżać przez Kalwaryę. Właśnie kiedy przed karczmą konie odpo-

czywały, zaczęto w kościele dzwonić na mszę świętą. Romanek prosił starego Walentego, ażeby z nim poszedł do kościoła; ten nie odmówił jego żądaniu i poszli obydwaj. W drodze chłopczyzna dziwnie był nieswój; widać było, że chciał coś mówić, a nie śmiał. Nareszcie wzięwszy przewodnika swego za rękę, tak do niego przemówił:

— »Babunia dała mi dukata, ażebym sobie co ładnego kupił w Krakowie; dla mnie w świecie całym nic niema ładnego, kiedy mój ojciec chory!... Może on w tej chwili jeszcze gorzej cierpi?... Chodźmy do kościoła i prośmy księży, ażeby za tego dukata zaraz odprawili mszę św. na intencję wyzdrowienia ojca«.

Stary sługa i na to chętnie zezwolił. Weszli do kościoła. Prosbę Romanka spełniono: msza św. wyszła natychmiast, a on słuchał jej z największem nabożeństwem, łącząc szczere westchnienia z modłami kapłana.

Po skończeniu mszy św. niepojętej doznał ulgi; choć jeszcze smutny, stokroć jednak był spokojniejszy. Na czas przybył do szkoły. Zapisany w poczet uczniów zakładu, nieśmiało wszedł do klasy, gdzie go tłumnie otoczyli szkolni towarzysze. Wesoły gwar rozlegał się dokoła niego, ale jemu nic nie było przyjemnem, bo ciągle myślał o ojcu. Nareszcie trzeciego dnia odebrał list od matki, w którym mu donosiła, że ojciec daleko już zdrowszy; że w kilka godzin po jego odjeździe, około godziny dziewiątej, bardzo ciężko był chory; że jednak od tej chwili przesiliła się choroba i ojciec coraz ma się lepiej.

Z wdzięcznem sercem podziękował Romanek Bogu, iż raczył przyjąć jego ofiarę, a wkrótce potem przekonał się naocznie, iż ojciec już zupełnie powrócił do zdrowia, bo w kilka tygodni przyjechał sam do Krakowa i z najwyższą radością uściskał kochanego syna.

Wedł. Klem. z Tańskich Hofmanowej.

28. Potęga modlitwy.

Święta modlitwo! ty skrzydłami swemi
Wznosisz do nieba człowieka z tej ziemi;
Ty wzmacniasz siłę ufności i wiary
I rodzisz w sercu dobre przedsięwzięcia;
Sprowadzasz z nieba do nas Boskie dary
I koisz smutek wśród twego objęcia.
Gdy świat nas trapi i w nędzy zaniecha,
W tobie jedyne wsparcie i pociecha.

Jakże wyrazić radość nieskończoną,
Gdy człek wylewa myśl na Boskie łono,
Kiedy przemawia jak do przyjaciela
I z Nim swe troski i szczęście podziela?
Ach! biada temu, kto w nędz życia tłumie
Świątą modlitwą wznosić się nie umie.
Niech nam w pamięci tkwi ojców przestroga:
Że tak Bóg do nas, jak i my do Boga.

Ignacy Hołowiński.

29. Leszek Biały i Goworek.

Po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego panować miał w Krakowie syn jego Leszek, którego od jasnych włosów nazwano Białym. Ale że Leszek był jeszcze małym chłopcem i zostawał pod opieką matki swej Heleny, przeto stryj jego Mieczysław, książę wielkopolski, podstępem przywłaszczył sobie koronę i zajął Kraków.

Królowa Helena odjechała do dziedzicznej posiadłości Leszka, do Sandomierza, aby się zająć wychowaniem młodego księcia. Dopomagał jej w tem wojewoda sandomierski, Goworek, który niegdyś służył wiernie królowi Kazimierzowi, a teraz, widząc syna jego w opuszczeniu, otoczył go prawdziwie ojcowską opieką. Pod troskliwym zacnego starca dozorem wzrastał Leszek w siły i w cnoty; nauczył się kochać Boga i ojczyznę, umiał robić broń i jeździć konno, a nadewszystko odznaczał się wielką sprawiedliwością.

Sława cnót młodego księcia doszła i do Krakowa, gdzie lud niezadowolony był z rządów Mieczysława; a że właśnie Mieczysław życie zakończył, więc wojewoda krakowski, Mikołaj, który rej wodził w całej ziemi krakowskiej, wyprawił posłów do Leszka, wzywając go na tron, jednakże pod warunkiem, że oddali od siebie swego doradcę Goworka.

Przykre było położenie młodego księcia. Zalana łzami królowa spjrzała na syna, nie chcąc mu swego zdania narzucać. Ale Leszek stał zamyślony, widocznie śmiały jakiś zamiar ważąc w głębi duszy. Wtedy zbliżył się do księcia stary Goworek i, tłumiąc wzruszenie, tak do niego przemówił:

— Książę! usłuchaj głosu twojego ludu. Niech ojczyzna nie cierpi na tem, że mnie zawiść wrogów prześladowe. Jam stary i władzy wcale nie cheiwy; powrócę pod rodzinną strzechę, zadowolony, że ty odzyskasz wydartą ci koronę. A jeżeli mi Bóg dozwoli z daleka

patrzeć na twe sprawiedliwe rządy i na szczęście skołatanej ojczyzny, cieszyć się będę i wszystkie mnie wyrządzone krzywdy cierpliwie zniosę.

Zaledwie Goworek wyrzekł te słowa, gdy Leszek pobiegł ku niemu, rzucił mu się na piersi i zawołał:

— O nie! nie chcę, by ten, co mnie wspierał, gdym przez wszystkich był opuszczony, przeze mnie krzywdę ponosił, choćby najmniejszą. Nie chcę władzy królewskiej! Nad berło i koronę wyżej cenię takiego, jak ty, przyjaciela!

A potem obracając się do postów, rzekł:

— Wracajcie z Bogiem! Niech sobie Krakowianie szukają innego księcia; nie mogę bowiem ufać tym ludziom, którzy mi chcą wydrzeć najlepszego przyjaciela!

Szlachetna odpowiedź księcia wielkie w Krakowie sprawiła wrażenie. Wprawdzie na razie Krakowianie wezwali na tron Władysława, syna Mieczysławowego, ale gdy ten wkrótce potem sam ustąpił, powołali powtórnie Leszka, nie żądając już od niego tak ciężkiej ofiary.

30. Kulawy i ślepy.

Niósł ślepy kulawego: dobrze im się działo;
Ale że to ślepemu nieznośnem się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi,
Wziął kij w rękę. »Ten — rzecze — z szwanku nas wybawi.«
Idą; a wtem kulawy krzyknie: »Umknij w lewo!«
Ślepy wprost i, choć z kijem, nderzył łbem w drzewo.
Idą dalej. Kulawy przestrzega od wody;
Ślepy wbród, sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody.
Nakoniec przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,
I ślepy i kulawy zginęli pospołu.
I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,
I ten, co bezpieczeństwo głupiemu powierzył!

✕ *Ign. Krasicki.*

31. Szczególna łagodność.

Znakomity uczony angielski, Newton*), który żył 200 lat temu, miał ulubionego pieska, którego trzymał zawsze w swojej pracowni. Wesolość tego zwierzątka, jego zabawy i figle były dla wielkiego myśliciela przyjemną rozrywką w chwilach odpoczynku.

*) Czyt. Niut'n.

Pewnego razu — a był to wieczór zimowy — na stole paliła się świeca, a znakomity uczony wykończył właśnie jakieś obliczenia, nad którymi długi czas pracował, wysilając wszystkie zdolności głębokiego swego umysłu. Chwila to była wielkiego tryumfu. Newton powstał od stolika, odetchnął pełną piersią i zbliżył się do otwartego okna, ażeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Mędrzec nie pyśnił się bynajmniej dziełem dokonanem; wznioslejsze go przejmowały myśli. Z rozjaśnionem czołem, z oczyma wpatrzonemi w niebo, tak myślał w głębi swej duszy:

— Chwała Ci, Boże, który sam jeden mądry jesteś, wielki i potężny! Bez Ciebie wszelka siła jest słabością, wszelkie światło ciemnością!

Gdy tak wpatrywał się w ciała niebieskie, lśniące na błękicie, i śledził myślą praw, które kierują ich biegiem, mały ów piesek swawolnie wskoczył na stół i przypadkiem wywrócił świecę zapaloną. W jednej chwili zajęły się leżące na stole papiery, a pomiędzy nimi i owe ważne obliczenia matematyczne, świeżo ukończone dzieło. Newton po jakimś czasie obejrzał się i spostrzegł, co się stało; ale nie było już żadnego ratunku: z długiej, mozolnej jego pracy pozostała tylko garstka popiołu!

— O piesku mój, piesku — zawołał mędrzec — ty nie wiesz, jaką mi wyrządziłeś krzywdę!

Ugasiwszy resztki płomieni na stole, powrócił do okna i, podnosząc z pokorą oczy ku niebu, rzekł:

— Panie, który kierujesz biegiem gwiazd i drogi im wyznaczasz w przestrzeni, niech wola Twoja spełni się na ziemi tak, jako i na niebie! Błogosław pracy sługi Twojego: on gotów rozpocząć ją na nowo przy pomocy Twojej łaski!

32. Lew i mysz.

Onego czasu lew drzemał.

Umilkła puszcza i wiatr się zatrzymał.

Rozigrały się wśród spokojnej ciszy

Jedna za drugą biegające myszy.

Aż tu pęd jedną uniesie

Na króla zwierząt: ocknie się

I płochą skoczkę porywa.

Myszka moja ledwie żywa

Zguby swej czeka ze drżeniem!

Ale, on rzeczą nie sądząc wspaniałą
Mścić się nad drobnem stworzeniem —
Wypuścił całą.

W kilka dni potem, idąc po nocy,
Sam w zastawione sidła zapadnie.
Z tych się nie mogąc wydobyć snadnie,
Rykiem jął żądać pomocy.
Aż tu mysz owa przyleci.
»Nie bój się, królu! — powiada —
Ja cię wywikłam z tych sieci«.

Usłudze takiej wdzięczność jej rada,
Te, w których stopy króla uwięzły,
Zdradne przegryzła węzły.
Tak lwa całego puszczy oddała
Jedna mysz mała.

Franciszek Dionizy Kniaźnin.

33. Podziemny zamek krakowski.

Nadzwyczajne zjawiska natury, a także miejsca, w dziejach narodowych szczególnie ważne, zwykle lud uroczemi przystraja podaniami. Niejedno takie podanie przywiązane jest do królewskiego zamku na Wawelu. Ciemne pod nim pieczary smocze przypominają nam poetyczne zmyślenia o pierwotnych dziejach naszego narodu; w sterzące ku niebu wieżycie zamkowe były niegdyś pioruny, przepowiadając zbliżającą się śmierć królów; a we wspaniałej jego świątyni niezliczonymi cudami objawiała się wszechmoc i łaska Boga.

Ale jedno z najpiękniejszych o tym zamku podań zachowali nam tatrzańscy Górale. Mniemają oni, że ten stary krakowski zamek, w którym ród Piastów i Jagiellonów królował za życia, a po śmierci zasnął na niezwiędłych wieńcach chwały, nie jest jeszcze zupełnym; bo tam gdzieś głęboko pod najgłębszem sklepieniem, ma być drugi taki zamek, ale nie tak cichy i smętny, nie tak głuchy i grobowy, jak dzisiejszy nasz zamek nad ziemią, co go ludzie widzą, lecz jasny i wesoły, bogaty i strojny, jak i ten był niegdyś, kiedy w nim dzielni nasi mieszkali królowie.

W nim znajduje się świetlica wielka, niby kościół jaki; dużo tam zbroi, tarcz, szabel i chorągwi; w środku świetlicy stoi stół, a dokoła niego siedzą wszyscy dawni królowie w tych samych wspaniałych szatach, w których niegdyś występowali na uroczysty obrzęd koronacyi. Od czasu, jak opustoszała dawna królów naszych siedziba, raz w rok słyszą ludzie głuchy huk i rzenie koni, słyszą trąby

i wrzawę: wtedyto jeden z owych królów, Bolesław, co się zwał Chrobrym, z głębokiego grodu wychodzi o północy i, cały w żelazną odziany zbroję, stąpa krokiem powolnym przez duże dziedzińce zamkowe, z promienistym mieczem w dłoni. Gdy się z nim wtedy spotka kto z ludzi śmiertelnych, a jest dobry, to zobaczy króla, a w sercu zrobi mu się lekko i wdzięczno; a gdy złym jest człowiekiem, nie obaczy wielkiego króla, ale uczuje w sercu taką bojaźń i trwogę, iż straci przytomność i upadnie na ziemię.

I wierzą Górale, iż król Chrobry dopóty czuwać będzie nad dawnym grodem Piastów i Jagiellonów, dopóki w murach jego dawne nie ozwie się życie.

34. O różnych materyałach do pisania.

Dziś, kiedy wszyscy na papierze piszemy i ten papier tak jest tani, mało komu przyjdzie na myśl, jakto wiele lat minęło i wiele doświadczeń czyniono, nim ludzie do tego wynalazku doszli i tak go rozpowszechnili. Pierwsi piszący, zdaje się, że na kościach zwierząt, na ceglach lub na tabliczkach kamiennych pisali; później używać zaczęto blach z różnych kruszców, z ołowiu, miedzi, nareszcie kory z drzew i wielkich liści, które w gorących krajach obficie rosną. W księgozbiorach zamożnych można dotąd widzieć dzieła bardzo dawne tak pisane; w niektórych są biblie przepisane na liściach palmowych, które jako bardzo wielkie i dosyć grube, łatwo na ten użytek przysposobione być mogły. Arabowie znowu wyrzynali opisy znaczniejszych zdarzeń na kościach z łopatek baranich, wiązali je razem i zawieszali w swych domach. Stąd łatwo się przekonać, jak te wszystkie sposoby były trudne, uciążliwe i jak mało dzieł i piszących być musiało.

Te pierwsze wynalazki doprowadziły do wymyślenia cienkich tabliczek drewnianych, oblanych woskiem, na których pisano rylcami, zwanymi style. Jeden koniec ryłca był kończasty i nim wyrzynano litery na wosku; drugi zaś był spłaszczony, tym znowu zacierano czyli gładzono litery. Z tych stylów został nam dotąd wyraz styl, który znaczy »właściwy sposób pisania«. W niektórych krajach było pismo malowaniem. Do tego używano kory z drzewa, płótna, nareszcie skór zwierzęcych.

Pierwszem miastem, gdzie najlepiej umiano wyprawiać skóry do pisania, było Pergamum w Azji Mniejszej. Stąd powstała nazwa

pergamin, dotąd dawana skórze oslej, wyprawianej do pisania. Pergamin i teraz jeszcze jest w używaniu. Egipcyanie pierwsi użyli do pisania kory trzcinowej, zwanej papyrus; okazała się ona lepszą od wszystkiego, co dotąd wynaleziono; i dlatego dotychczas nazywamy papierem tkanę, na której piszemy, chociaż się ją wyrabia z gałganów lnianych i konopnych. Na pergaminie i papyrusie pisano trzcinami, skrojonemi w kształcie piór naszych; maczano je w farbách różnego koloru — i ten sposób już najwięcej był zbliżony do naszego, lubo nierównie kosztowniejszy.

Starożytni nie składali ani kory ani pergaminu, jak my z naszym papierem w książkach czynimy, ale je obwijali na drewnianych wałkach. Ich księgozbiory inaczej więc wyglądały niż dzisiejsze; były to rzędy jakby słupków, opartych na półkach. Tytuły dzieł pisali oni na jednym szczycie wałka czerwonymi literami.

St. Jachowicz.

35. Mogiła Świętosława.

Spustoszywszy całą prawie Ruś wschodnią, wpadli Tatarzy i do krainy podkarpackiej, niszcząc wszystko ogniem i mieczem. Chory naówczas król halicki Daniel oddał naczelne nad wojskami swemi dowództwo wiernemu wojewodzie Świętosławowi. Osiwiał w trudach wojennych bojar zabrał z sobą siedmiu swych synów i cofnął się ku Beskidowi, szukając w górach osłony, córkę zaś jedynaczkę, imieniem Praksedę (czyli Paraszkę) wraz z ogromnymi skarbami umieścił w obronnym zamku nieopodal od wioski Kruszelnicy.

Tam, gdzie Opór wpada do Stryja, stoczyły wojska ruskie bitwę z Tatarami; lecz mimo dzielnej obrony uledez musiały przeważającemu wrogowi. Wielu Rusinów padło, a między nimi polegli także wszyscy synowie Świętosława. Ciężką tą stratą dotknięty wódz sędziwy, straszną zapalał żądzą zemsty; co rychlej zebrał resztki swego wojska i koło Skolego nad Opořem niemałą klęskę zadał pohancom.

Ale kiedy część tłuszczy tatarskiej walczyła z Świętosławem, wiarołomny kniaź kijowski Wasylko, który w zмовie był z wrogami własnej ojczyzny, udał się z drugą częścią wojsk tatarskich do owego zamku górskiego, w którym Świętosław ukrył córkę swą i skarby. Zostawiwszy swe wojska w pobliskich górach, przybył Wasylko pod bramy zamku, udając, że ledwie z życiem uszedł

z krwawego pogromu. Dowódca nielicznej straży zamkowej Damko nie chciał go wpuścić. Wtedy rzekł doń zdrajca przebiegły :

— Słuchaj, jam Wasylko, kniaź kijowski; idę z odsieczą dla twego pana. Idź, donieś mu o tem i powiedz, że czekam tutaj jego rozkazów.

— Ależ nie mogę stąd odejść — rzekł stary sługa; — pan mi strzedz kazał córki swej i skarbów.

— Idź śmiało; — rzekł kniaź — zamek pod moją będzie opieką.

Damko usłuchał, oddał zdrajcy klucze do zamku, a sam pośpieszył do Świętosława.

Lecz zaledwie Damko wyruszył w drogę, nocą przyzwał kniaź z zasadzki swoją drużynę i, pozabijawszy strażę, opanował zamek.

Świętosław właśnie rozgromił był Tatarów i pomściwszy śmierć synów, pośpieszyć chciał do córki, gdy przybył Damko z rozkazami Wasylka. Nieszczęśliwy ojciec od razu zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo grozi jego córce; zebrał drużynę i krótszą drogą przez góry podążył do swego zamku. Ledwie jednak stanął na szczycie jednej z korczanek¹⁾, po łunie pożarnej i słupach dymu poznał, co się dzieje w jego dziedzinie, jaką poniósł stratę. Jak mógł najprędzej przybył na miejsce — ale zastał już tylko zgłiszcza i trupy.

W rozpaczę pogrążony ojciec zebrał szczątki ciała swej ukochanej córki i pochował je na szczycie najwyższej w pobliżu góry, która dotąd według jej imienia nazywa się *Paraszką*; sam zaś, rozstawszy się na zawsze ze swoją wierną drużyną, zamieszkał w ustronnem miejscu wśród lasów świerkowych, skąd widać było szczyt góry z mogiłą córki. Tutaj dokonał starzec dni swego żywota, tutaj też pochowano jego zwłoki, a miejsce wiecznego spoczynku dzielnego bojara dotychczas nosi nazwę mogiły Świętosława.

36. Chata gajowego.

W głębokim lesie, na obszernej polance, stała chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana z krąglaków, mchem utykanych w spojeniach. Obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś był kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana. Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motylów. Między słonecznikami patrzyły się czerwone główki maku, około malw okręcał

¹⁾ Korczanka, góra pokryta lasem do korczowania.

się groch o kwieciu różanem i liliowem, w dole rósł barwinek, żółty krokosz¹⁾, złote nogietki²⁾ i astry blade.

W ogrodzeniu, po obu stronach drogi do chaty, posiane były warzywa: marchew i kapusta; dalej, w osobnych opłotkach za każdym powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; dalej ciemniała zielen kartoflanej naci, a na reszcie obszernej polanki ruń zboża mieniła się to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę. Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnem, błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porosły dach słomiany. W tej brzozie było pełno wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świergotem i radosną wrzawą ptastwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu³⁾.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach; wówczas koło chaty zrywał się szum skrzydeł, powietrze roilo się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptastwa; słyszałeś zamęt i szum i warkotanie sterówek. Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się i oddalał; to się rozplýwał w błękicie, to błysnął pod słońce białemi pióry, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków na szary dach chaty. Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichł zwolna rozhovor pod strzechą i świergot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaświergotał jeszcze który, ale coraz rzadziej, ciszej, sennie; a wreszcie cichło wszystko.

Okolo polanki, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwy leśnej. Mur ten przerywał się w jednym miejscu, tam bełkotały fale jeziora i opłókiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi koniec jego prawie ginął w oddaleniu: chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach i wieżyczkę stojącego po drugiej stronie kościółka i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościółkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze, niby w zwierciadle; więc zdawało się, że drugi las jest w toni;

¹⁾ krokosz. roślina zwana także szafranem. — ²⁾ nogietek, roślina dla kwiatu i zapachu utrzymywana w ogrodach. — ³⁾ rozmowy (gruchania).

a kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się i w jeziorze; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, niepomarszczonej toni każda igielka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko — w nieskończoność. Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie ze słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

W chacie mieszkał gajowy, imieniem Szczepan, i córka jego, lat szesnastu dziewczyna, na imię Kasia. Była ona tem w tej chacie, czem zorza na niebie. Chowała się w niewinności wielkiej i w bojaźni Bożej. Nieboszczyk stryjko, który czasu swego z różnych pieców chleb jadał, a na starość był organistą w sąsiednim kościółku, nauczył ją czytać na książce nabożnej, a czego stryjko nie douczył, douczyła ustron leśna. Więc pszczoły nauczyły ją pracować; gołębie, jak być czystą; szare wróble, jak swiergotać staremu ojcu wesoło; spokojna fala nauczyła ją spokoju, pogoda niebieska ziemskiej pogody; pobożny ranny dzwonek na kościółku pobożności, a dobroć Boża dobroci ludzkiej.

I ojciec więc i Kasia wiedli żywot cichy i byli szczęśliwi, jak tylko można być szczęśliwym na świecie.

H. Sienkiewicz.

37. Gajowy.

Hej! wkoło dąbrowy!
A domek w dolinie!
Bodaj żył gajowy
Przy lubej rodzinie!

Sobie żyjem sami,
Puszcza nas ośłania;
Nam tu las z wiatrami
Jak państwu się kłania.

W białych pańskich dworach
Muzykantów granie:
Milsze w czarnych borach
Kukułek kukanie.

W białych pańskich dworach
Słudzy z pochodniami:
Nam tu w czarnych borach
Wszedł księżyc z gwiazdami.

Księżycu, nie gaśnij!
Rosa połyskuje,
Świecą myśli jaśniej,
Żywiej serce czuje.

Idź kto chcesz do dworów,
Dworskim ciesz się stanem:
Ja sobie wśród borów
Jestem strzelcem, panem!

Hukam, biegam, śpiewam,
Ja wolny — gajowy!
Z echem się odzywam
Na bory, dąbrowy!

Stefan Witwicki.

38. Wieże kościoła Panny Maryi w rynku krakowskim.

Z obu stron głównego wchodu do kościoła Najśw. Panny Maryi stoją dwie wieże, jedna wyższa, druga niższa. Wieża wyższa, zwana zwykle Maryacką, jest najwyższą pomiędzy wieżami kościołów krakowskich, a nawet pomiędzy wieżami w całej Polsce; ma ona wysokości 81 m. Na samym jej szczycie utwierdzona jest chorągiewka w bani połączanej, mającej jeden metr średnicy: pod nią zaś na piramidzie wieży utrzymują sztaby żelazne koronę miedzianą, złożoną, obwodu metrów 12, którą zamieszczono dlatego, aby zdala uprzedzała każdego, iż się zbliża do stolicy królów polskich.

Na czele wspomnień, wywołanych widokiem tej wieży, stawała uroczysta chwila, kiedy z niej brzmiały trąby, witając wschodzącą zorzę, a raczej wielbiąc Stwórcę zorzy i wszech rzeczy.

Graniem tem zbudzeni mieszkańcy miasta nucili we wszystkich domach zwyczajem przyjętym pieśni poranne, jakie rozlegały się po całej Polsce.

Wspomniawszy o tym zwyczaju, mimo woli przypominamy sobie piękne słowa Wincentego Pola:

Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i pobożowiskach
Od pokolenia starej Polski płynął
I aż dopiero w Dnieprowych urwiskach
Na krańcach Polski, w Ukrainie ginął.

Na tej wieży, w dniach odpustu w tym kościele i w dniach procesyi Bożego Ciała po rynku krakowskim, wygrywane bywają na trąbach nabożne pieśni. Dawniej był jeszcze zwyczaj, iż przytrębywano stąd uroczystym wjazdom królewskim i ogłaszano trąbami przybycie senatorów do Krakowa. Niekiedy przy spełnianiu tych zwyczajów wieże te strojono chorągwiami i wieńcami albo światłem lamp i kagańców.

Z tej wieży głoszone także dni trwogi i nieszczęść Krakowa; bo od najdawniejszych czasów osadzona na niej straż ostrzegała o zbliżającym się pod mury miasta nieprzyjacielu, a dziś ostrzega o wszczętych w niem pożarach. Głos dzwonu, co w takich zdarzeniach zwołuje mieszkańców ku wspólnej obronie, poleca ich zarazem orędownictwu Królowej niebieskiej, czyta się bowiem na nim:
»Gdy mój głos rozlegać się będzie, Błogosławiona Maryo! wstaw

się za nami, przybądź w pokoju, Maryo łaski, Matko miłosierdzia, zasłaniaj nas od nieprzyjaciela i przyjmij w godzinę śmierci.

Dzwon ten, odlany w roku 1435., zawieszony jest jak i inne cztery dzwony tego kościoła na drugiej wieży, zwanej zwykle dzwonicą. Dzwonica ta, chociaż obszerniejsza od spodu niż wieża Maryacka, niższa jest o wiele od niej. Jeżeli uwierzemy utrzymującemu się do dzisiaj podaniu o budowie tych wież, znajdziemy w niem wytłómaczenie powodu tej sprzeczności wraz z potrzebną dla wielu nauczką i napomnieniem.

Miało być dwóch braci budowniczych; zamierzili oni sobie, aby każdy jedną z tych wież wystawił, a miały być równe i podobne i miały przedstawiać miłość i zgodę, które ich serca łączyły. Lecz skoro nad planem pracować zaczęli, znikła między nimi zgoda; starszy nie chciał budować podług planu młodszego brata, dowodząc, że na słabych fundamentach wznieść chce tak wysoką wieżę.

Postanowili przeto, że każdy podług własnego planu budować będzie. Lecz kiedy młodszy wystawił swoją, poznał, że ją wieża brata przewyższy. Duma, nie umiejąca znieść tego upokorzenia, zrodziła myśl zbrodni; rozumiał bowiem niegodziwiec, że śmierć brata wstrzyma dalszą budowę i że tym sposobem jego wieża zostanie wyższą. Jak postanowił, tak uczynił: zamordował brata wielkim nożem.

Nie mogli ludzie wykryć zbrodniarza, ale go wydały wyrzuty własnego sumienia. Gdy bowiem lud zgromadził się podziwiać ukończoną jego wieżę, wtedy on, stojąc w jej oknie, wyznał głośno swoją zbrodnię, pokazując nóż, którym brata zamordował, poczem się sam nim przebił i rzucił z wieży na ziemię.

Nóż ten kazano potem przykuć na łańcuchu w Sukiennicach, aby widok jego przypominał nam, do czego przywiodła braci niezgoda i duma.

39. Do Najświętszej Maryi Panny.

Huczą lasy, szumią zdroje,
Jakby wielbiąc imię Twoje;
Bo to imię ukochane
Goi każdą serca ranę;
Bo to imię w całym świecie
Wielbi starzec, kocha dziecię.

O Maryo! przyjm w ofierze,
Co ci dzieci znoszą szczerze:
Serca swoje, myśli swoje
I łez żalu czyste zdroje,
Wszystkie smutki i tęsknoty —
Nie z przymusu, lecz z ochoty.

Choć Cię panią nazywamy,
Lecz jak matkę Cię kochamy,
Jako pani cześć oddając,
Jako matkę Cię wzywając.
Pani świata, rządz sługami!
Matko, lituj się nad nami!

Bo my nędzni, biedni ludzie,
Zastarzali w grzechów brudzie.
Podaj rękę — powstaniemy,
Proś za nami — ożyjemy;
A doznawszy Twojej opieki,
Będziem z Tobą żyć na wieki.

Karol Antoniewicz.

40. Przywiązanie psa.

Młody majtek angielski, powracając do ojczyzny po kilkuletnim pobycie w Ameryce, chciał zabrać z sobą pięknego psa nowofundlandzkiego, który był jedynym przyjacielem jego na ziemi obcej. Lecz kapitan okrętu za nic na to zgodzić się nie chciał. Majtek tedy z wielkim smutkiem musiał się poddać jego woli. Ponieważ do ostatniej chwili spodziewał się, że mu się uda zmiękczyć serce kapitana, więc zabrał pocziwe zwierzę z sobą do portu. Atoli kapitan był nieugięty; przeto majtek, wsiadając do łodzi, pozostawił psa na brzegu, zmuszony rozstać się z nim na zawsze.

Pies zrazu niespokojnie spoglądał za nim, nie ruszając się z miejsca, jakby nie dowierzał, że pan jego ukochany mógł go naprawdę opuścić. Dopiero gdy łódź przybiła już do okrętu, gdy młodzieniec zniknął mu z oczu, a statek rozwiniawszy żagle, szybko oddalać się zaczął: pies wskoczył w wodę i puścił się za nim wpław. Psy nowofundlandzkie doskonale pływają, wkrótce więc spostrzegł odpływający majtek, że ulubione jego zwierzę płynie tuż za statkiem. Wzruszony tem przywiązaniem psa, że łzami w oczach błagał i zaklinał kapitana; nielitościwy człowiek trwał ciągle w swoim uporze. Straszna męczarnia pocziwego zwierzęcia trwała przez dwa dni. Majtkowie podtrzymywali jego życie, podając mu pokryjomu trochę pożywienia; ale wkońcu siły biednego psa wyczerpały się zupełnie. Położył się na falach i bezwładnie dał się unosić prądowi wody.

Wówczas dopiero litość ozwała się w sercu kapitana; pozwolił zabrać nawpół żywe zwierzę na pokład statku. Z największym pośpiechem wydobyto psa z wody i wszelkich dołożono starań, ażeby mu życie ocalić. Nie tylko pan jego, ale wszyscy majtkowie i podróżni pielęgowali go na wyścigi. Przyszedł wreszcie do siebie, chociaż osłabienie trwało bardzo długo.

Okręt zbliżał się już do brzegów Anglii, gdy niespodzianie straszna go zaskoczyła burza. Miotany falami, uderzył gwałtownie o ostre skały podwodne i rozbił się tak, iż dla załogi jego żadnego nie było ratunku. Wszyscy zginęli oprócz owego młodego majtka, którego wierny pies uratował od śmierci. Nieprzytomnego, lecz żyjącego jeszcze doniósł go na brzeg, a złożyłwszy ostrożnie na ziemi, zaczął szczekać i nawoływać, gdyż w okolicy pustej nigdzie nie było widać ludzi. Nadbiegło wreszcie kilku rybaków, którzy, widząc co się stało, zaczęli ratować omdlałego. Pies niespokojnie śledził wszystkie ich poruszenia, jakby nie był pewny, czy im może zaufać; lecz gdy młodzieniec otworzył oczy, pocziwie zwierzę zaczęło skomleć radośnie, liżąc ręce rybaków i widocznie usiłując okazać im swoją wdzięczność. Potem dopiero, znużone i wysilone, położyło się u nóg ukochanego swego pana, nie spuszczać z niego oczu ani na chwilę.

41. Pan i pies.

Pies czekał na złodzieja, całą noc się trudził:
Obili go nazajutrz, że pana obudził.
Spał smaczno drugiej nocy, złodzieja nie czekał;
Ten dom okradł: psa zbili za to, że nie czekał.

Ign. Krasicki.

42. Sen Leszka Czarnego.

Kiedy na tronie polskim zasiadł Leszek, drugi tego imienia książę, którego z powodu ciemnych włosów nazwano Czarnym, zdawało się, iż lepsze już nastaną czasy i że po wielu latach walk i zaburzeń znowu w kraju zapanuje zgoda i pokój. Nadzieja ta nie zawiodła. Dzielną książę umiał powściągnąć swawolę poddanych i mężnie czoło stawiał obcym najeźdźnikom, którzy korzystali z osłabienia Polski i nieraz na jej ziemie napadali. Najstraszniejsi z tych wrogów byli pogańscy jeszcze Jadźwingowie, którzy mieszkali w najbliższem sąsiedztwie, w lasach i błotach poleskich i na Podlasiu, a tak byli waleczni i w boju zażarci, że jak który gdzie stanął, tak bił się do upadłego, przenosząc śmierć nad niewolę.

Właśnie sprawował Leszek sądy w Krakowie, gdy przysła wieść, iż dzicy Jadźwingowie znowu wpadli do Polski leśnymi szlakami i zalali całą ziemię lubelską. Liczono najeźdźców na czterna-

ście tysięcy koni i pieszych. Rozławszy się po kraju trzema zagonomi, niosła dzicz łupieska wszędzie spustoszenie i śmierć lub niewolę. Poniszczono kościoły, wymordowano kapłanów i dzieci, a ludność dorosłą zabrano w niewolę wraz z całym dobytkiem; psy nawet podążyły same za swymi panami.

Na wieść o tak strasznem nieszczęściu odłożył Leszek sądy na później, a zebrawszy pod chorągiew rycerstwo krakowskie, pośpieszył z niem ku Lublinowi. Ale już tam nie było nieprzyjaciół: obciążeni zdobyczą, cofali się zwolna ku własnym siedzibom. Należało więc iść dalej, ażeby ścigać uciekających. Atoli znużone rycerstwo sprzeciwiało się dalszej wyprawie; sam Leszek, zobaczywszy, jak strasznie kraj spustoszone, i dowiedziawszy się o przeważających siłach wrogów, zatrwożył się i nie śmiał iść dalej.

W tej trudnej chwili Bóg sam przyszedł mu w pomoc. Gdy księżę, znużony trudami podróży, pokrzepiał się snem w cieniu rozłożystego dębu, śniło mu się, jakoby mu się ukazał św. Michał Archanioł i tak do niego przemówił:

— Idź śmiało, uderz na nieprzyjaciół, a zwyciężysz!

Wzruszony tem widzeniem, zbudził się Leszek, a przyzwawszy do siebie duchownych i całą starszyznę wojskową, opowiedział im sen swój cudowny, poczem w te odezwał się słowa:

— Bracia! tu w obecności waszej składam ślub uroczysty, że jeżeli Bóg mi dopomoże do odniesienia zwycięstwa nad poganami, wystawię kościół na tem miejscu, gdzie mi się św. Michał objawił.

Zapał, jaki króla ogarnął, udzielił się całemu rycerstwu i zagrzał do walki z nieprzyjaciółmi. Rzucił się na nich Leszek, a niespodziane natarcie Polaków od razu w popłoch wprowadziło dzicz całą.

Na pierzchających rzucili się nawet 'uwolnieni z więzów jeńcy, dopomagając zwycięskiej braci; co więcej, było podanie, że nawet psy owe, które towarzyszyły jeńcom w niewolę, przyczyniły się do zwycięstwa, kąsając wrogów.

Pogrom Jadźwingów był zupełny. Do szczętu wtedy wytępieni, już nigdy nie napadali na Polskę i odtąd niema już mowy o nich w historii.

Skoro Leszek wrócił ze szczęśliwej pogoni, zbudował w Lublinie kościół św. Michała na podziękowanie Panu Bogu za cudowną zachętę do walki, a wspaniała świątynia w dalekie pokolenia podaje pamięć łask Bożych dla dźwigającego się z upadku narodu.

43. Wisła.

Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj pszeniczny, polisty¹⁾, uroczy;
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.
A nad nią ówdzie wioska się uśmiecha,
Chata się bieli, pochyla się strzecha;
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.
A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jej nie słyszać, tak lekko oddycha;
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały
O swej starości, o spróchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze;
Bo one młodość z Wisłą przeigrały
I do niej jeszcze, krzywe, karłowate,
Stroją swe czoło w zieloności szatę.
Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławia w jej nurtach przewrócone głowy
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kołce
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkie konary rozwiała.
Wisto! ty niesiesz na twoim przestworze
Nasze ziarniste, pożłociste zboże
I cynk srebrzysty i sól i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiąły.
Niesiesz, gdy zechcesz; a gdy nie masz woli,
Próżno berlinka²⁾ żaglami swawoli
Lub galar wiosłem twoje fale liżnie;
Ty nie chcesz — muszą stanąć na mieliznie.
Ty zechcesz — płyną, a widnokrąg cały
Zda się ucieka i chowa i znika;
I tylko czasem plusną twoje wały³⁾
Pletwą szczupaka, wód twych rozbójnika,
Lub wir je zmaci, a na dnie łożyska
Igrają chmury i słońce rozbłyska.
Ptaszki świergocą w nadbrzeżnej wiklinie⁴⁾,
U góry bocian wyciągnięty płynie,
A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.

¹⁾ Polisty, obfity w pole, płaski. — ²⁾ berlinka, większy statek handlowy. Nazwisko stąd poszło, że takie statki były po największej części własnością kupców berlińskich. — ³⁾ wały, fale. — ⁴⁾ wiklina, gatunek wierzby.

A gdy cię, Wisło, ścisną zimne lody,
Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
Na której słońce maluje swe lica,
Aż lód przepali; wtedy strasznym grzotem
Łamiesz kry, tworzysz rozłożyste fale,
Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale
I pierś twą wzdymasz za wiosny powrotem...
A kiedy w górach potopnieją śniegi,
Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
Zalewasz pola i unosisz z sobą
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą;
Powalasz domy i na twojej fali
Nieraz niemowlę w kołysce się żali...
A potem znowu wracasz w tve ukrycie
I cicho płyniesz w odwiecznem korycie.
W starem korycie, o rodzima rzeko,
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką;
Niech na twych błoniach, tak pełnych tęsknoty,
Bóg liतोściwy da urodzaj złoty.

Antoni Czajkowski.

44. Dniestr.

Z borów górskich i wysoko bijących źródeł granicznego Beskidu wytryska Dniestr, główna rzeka Czerwonej Rusi. Zrazu jako mały strumyk górski płynie on wązkim korytem w głębokim, kamienistym jarze, łącząc się z licznymi potokami leśnymi. Zwróciwszy się potem ku północnemu wschodowi, płynie dalej przez poprzeczne doliny, zasypane żwirem i poprute łożyskami potoków.

Pomiędzy Starem Miastem a Samborem wypływa Dniestr na rozległą równinę, gdzie rozdziela się na ramiona i tworzy ostrowy, tracąc coraz bardziej charakter rzeki górskiej; przed Samborem oblewa wyspę, przeszło dwie mile długą, a w najszerszem miejscu na milę szeroką. Odtąd zmienia się pozór jego; kamieńce nikną powoli, a żyzny namuł pokrywać zaczyna dolinę.

Od Sambora zaczyna się średni bieg Dniestru; ciągnący się aż po Niżniów. Zasilony potężną górską rzeką Strwiążem i odparty bystrym jego prądem, zwraca się Dniestr ku południowemu wschodowi i płynie już w tym kierunku aż po samo ujście, a płynie bądźto żyznemi, niekiedy na całe mile szerokimi równinami, bądź też przez obszerne moczary i błota. Na wielkiej tej przestrzeni wzmacnia on się wodami wielu rzek i potoków, rozpościerając swą

władzę nad całą przyległą okolicą. Po każdym prawie deszczu w górach, a szczególnie w czasie wiosennej odwilży, występuje z brzegów, niekiedy nawet pięć metrów wysokich, zwyczajnie jednak mało ponad zwykły stan wody wzniesionych. Wylewy te zamulają całe pasmo dolin, obejmując niekiedy 14 do 15 mil kwadratowych.

Obfity stan wody sprawia, iż już od powiatu stryjskiego, a szczególnie od Halicza począwszy, staje się Dniestr splawnym: ma on bowiem tutaj przy najniższym stanie wody 40 *m* szerokości, wezbrawszy zaś, zwiększa się bardzo znacznie.

Od Niżniowa atoli zmienia się Dniestr zupełnie. Wody jego dostają się pomiędzy skaliste brzegi, wznoszące się jakoby ściany na 40 do 60 *m* wysokie, a utworzone z pagórków; które się ciągną aż do granicy. Szerokość Dniestru dochodzi poniżej Niżniowa od 130 do 200, a czasem do 240 *m*, szczególną zaś właściwością jego biegu na tej przestrzeni bywają znaczne zakręty, na 15 do 22 kilometrów długie, które się niekiedy na dwa kilometry wstecz głównego kierunku zwracają.

Koło Jampola zwęża się łożysko rzeki, gdyż znajdują się tutaj tak zwane porohy jampolskie. Jest to granitowy grzbiet, który przerzyna rzekę w poprzek i zostawia jedno tylko miejsce dla przepływu wody. Miejsce to nazywa się »bramą«, a szerokość rzeki wynosi w niem zaledwie 44 *m*. Lecz i ta przestrzeń rozdzielona jest kamieniami podwodnymi jeszcze na dwa przejścia, z których każde ma około 3 *m* głębokości. Otóż bystry prąd wody w tych przejściach zanosí tratwy, zwłaszcza przy niedość zręcznem kierowaniu, na leżące poniżej mielizny i brody. Powyżej zaś »bramy« inne statkom grozi niebezpieczeństwo; sterczy tam wielki kamień podwodny, nazywający się »stróżem«, o który przy nieostrożnym pędzie statki łatwo rozbić się mogą.

Pożegnawszy rodzinną swą ziemię u jampolskich progów, uchodzi Dniestr szybko w stepy besarabskie. Tutaj to przypierała niegdyś do niego kresowa linia dawnej Polski od Multan i od ordy Tatarów oczakowskich, a na jej straży wznosiły się po skalistych i niedostępnych brzegach rzeki liczne zamki i warownie, których smutne zwaliska sterczą do dzisiaj. Odtąd coraz bardziej opadają już brzegi Dniestru, który rozlewa się szeroko po równinach, snując się wolnym i nadzwyczaj krętym biegiem przez niedostępne, trzciną porośłe moczary i żółte zasy pyaskowe. Na prawo ściele się tu bezdrzewny step budziacki, na lewo chersoński, niegdyś bez-

ludne pustynie, pastwiska tabunów tatarskich, dziś licznemi po pagórkach wsiami zasiane.

Nareszcie rozrasta się Dniestr, podobnie jak wszystkie rzeki czarnomorskie, w szeroki liman, który dwoma ujściami łączy się z morzem Czarnem koło Akermanu, głównego portu żeglugi dniewskiej.

Długość rzeki od źródeł do ujścia wynosi w prostym kierunku 92 mil geograficznych czyli 680 kilometrów; rzeczywista zaś długość jej biegu wynosi 1338 kilometrów, z czego na Galicyę przypada 608 kilometrów.

Z dopływów w Dniestru najznacniejsze są po lewej stronie: Seret i Zbrucz, po prawej Stryj z Opozem. Do większych należą także: po prawej stronie połączone Bystrzyce (Sołotwińska i Nadwórniańska), Łomnica i Świca; — po lewej Strypa, Złota i Zgniła Lipa i Strwiąż. Inne dopływy tak po lewym, jak prawym brzegu zajmują już znacznie mniejszy obszar kraju. Nierówny też jest spad tych dopływów. Z lewej strony wpadające mają spad łagodny, bo wstrzymują je stawy i moczarzyska, z prawego brzegu położone mają spadki nadzwyczaj silne, gdyż źródła ich leżą wysoko ponad poziomem morza.

Wprawdzie, jak powyżej była wzmianka, już w powiecie stryjskim staje się Dniestr spławny, jednakże wielorakie są przeszkody, które żeglugę na nim utrudniają. Jedną z najważniejszych są częste mielizny, które wstrzymują bieg statków, osobliwie w górę rzeki. W czasie niskich wód w czerwcu lub w sierpniu zdarza się nieraz, że statki zatrzymują się przed mieliznami i po tygodniu czekają na przybór wody. Niemniejszą żegludze przeszkodę sprawiają progi jampolskie, które pomimo rozszerzenia koryta nie przestały być niebezpiecznymi, i owe zakręty rzeki, które nadzwyczajnie powstrzymują bieg statków. Znacznie wreszcie utrudnieniem żeglugi jest płytkie ujście rzeki przed jej wpadnięciem do limanu, jakoteż brak dobrze urządzonych przystani i magazynów zbożowych, brak dobrych holowników i ludzi obeznanych z tem rzemiosłem. Jednak pomimo tych przeszkód był Dniestr spławny od najdawniejszych czasów. Liczne na to dowody znajdujemy w dziejach Polski. I dzisiaj jest on jednym z najpiękniejszych gościńców wodnych w Europie; a jeżeli się kiedyś usunie wszystkie trudności, można będzie wprowadzić na Dniestrze regularną żeglugę parową. W taki sposób stałaby się ta rzeka, czem być powinna, szlakiem handlowym, pomyślność i bogactwo roznoszącym.

45. Podanie o założeniu Wilna.

20 X Dawnymi czasy pokrywały nasz kraj, jak i resztę Europy, olbrzymie i nieprzebyte lasy, z których do dziś tylko małe stosunkowo pozostały szczątki, znane pod nazwą puszczy, jak Białowieska na Litwie, Niepołomska pod Krakowem itd. W niedostępnych tych lasach żyło mnóstwo dzikiego i drapieżnego zwierza: z tych jedne gatunki wyginęły już doszczętnie, inne zaś są prawie na wygaśnięciu, jak żubry, rysie, które tylko w pewnych okolicach jeszcze napotkać można. Wyginęły zaś one bądźto skutkiem braku dostatecznej żywności, bądź też wytępione od innych mocniejszych zwierząt, lub wreszcie z ręki człowieka, który dla mięsa lub skóry, a czasem dla swej rozrywki na nie polował. W dawnych wiekach bowiem, kiedy tylko panowie bawili się rzemiosłem wojennym, uchodziło polowanie na grubego zwierza za rodzaj wojennych ćwiczeń, w których nierzadko trafiała się sposobność okazania odwagi, zręczności i siły.

Razu pewnego, już przeszło pół tysiąca lat temu, Giedymin, książę litewski, zmordowany polowaniem, przepędzał z dworem i panami najpiękniejszą noc księżycową nad brzegiem Wilii w tej samej kniei, w której mu przed chwilą udało się ubić ogromnej wielkości tura czyli żubra. Nie było to wprawdzie nadzwyczajną rzeczą w owych czasach szczęśliwymi pochlubić się łowy; tym razem jednak było się czem poszczycić, bo tur Giedymina nie był pospolitym. Znany z piękności swych rogów, był on celem czat i pościgów łowieckich przez czas dłuższy; lecz ciąglemi niebezpieczeństwami wprawiony do ostrożności, z dziwną szybkością przenosił się z jednej puszczy do drugiej, a tak oszukiwał czujność najbieglejszych łowców i bezużytecznymi czynił wszystkie ich zasadzki. Widząc nakoniec, że jego piękność nieszczęsna uzbroiła nań całą prawie Litwę, jakby szukał śmierci z ręki najgodniejszej, wpadł na oszczep Giedymina i legł u nóg jego bez życia.

Uradowany książę tak szczęśliwem polowaniem, zaraz kazał wspaniałą ucztę wyprawić. Było to w porze jesiennej. Zawieszone od jednych gałęzi do drugich kosztowne zapony, usłane zwierzęcymi skórami murawy, mnóstwo rozłożonych ognisk, psy, sokoły, łowczowie, kucharze i różnego rodzaju myśliwska drużyna, osobliwszy na dzikiej puszczy wystawiały obraz. Ożywiały go zaś obfitość trusków, wesołość dworzan, a nadewszystko dobra myśl pańska. Rozmowy po większej części miały za cel sprawę dnia tego: kto więcej

ubił zwierzyny, który rodzaj psów lepiej się zasłużył; przytem rozliczne robiono uwagi, śmiano się i żartowano, jak to zwykle między myśliwymi się zdarza. Po całodziennych trudach i wypróżnionych pucharach posnęli wszyscy znużeni i we śnie jeszcze marzyli o łowach i przygodach dnia minionego.

Nazajutrz u śniadania Giedymin marzenia swoje opowiadał przed dworem, obiecując znaczną nagrodę temu, któryby trafnie ich znaczenie wyłożył. Sny bowiem w owym wieku, uważane za przestrogi bogów, wywierały stanowczy wpływ na sprawy ludzkie. Śniło się zaś księciu, że widział wilka, okrytego zbroją żelazną, a z gardzieli jego dawał się słyszeć głos jakby stu wilków, ogromnie wyjących. Tak dziwne marzenia w głębokie zadumanie pogrążyły dwór cały. Sadzili się panowie na różne tego snu wykłady: jedni, przewidując klęski powietrza, radzili wczesne przedsięwzięcie środków, drudzy wróżyli pomyślność następnych łowów, inni głosili wojnę; zgoła, każdy ciesząc się lub przerażając tym snem, zdanie swoje objawiał. Lecz gdy żaden z dworzan nie umiał zaspokoić pana, zabrał głos mądry Lizdejko, wieszcz i arcykapłan litewski, zapewniając księcia, że sen jego odkrywa wolę bogów: ażeby na tem miejscu, gdzie pod grotem jego poległ zwierz srogi, potężne stało się miasto, a jego sława i zamożność rozchodzić się będzie po całym świecie; wilk bowiem w żelazie nie co innego — mówił — znaczy, tylko gród warowny, a głosy w nim wyjące mnogość jego mieszkańców.

Podobał się Giedyminowi takowy snu jego wykład; zaklaskał z radości w ręce, udarował wieszczą i niezwłocznie wydał rozkazy zakładania miasta. Natychmiast tysiące siekier, łoskot roznosząc po puszczy, ruszyły zdziwione zwierzęta z odwiecznych siedlisk; padały z trzaskiem stuletnie dęby i jodły, przestronniej i jaśniej zrobiło się w ciemnej gęstwinie, a knieja, zgonem tura pamiętna, ustąpiła miejsca warownemu grodowi.

46. Szkoła w Smorgoniu.

Dziś jeszcze można nieraz widzieć niedźwiedzia, który, oprowadzany na łańcuchu od wsi do wsi, od dworu do dworu, na odgłos fujarki spinając się na dwie łapy przed zebraną dokoła gawiedzią, najpociesniejsze wyprawia skoki, popisując się tym sposobem swoją edukacją. Niegdyś widowiska takie były bardzo

zwykle, istniała bowiem w Polsce osobna akademja dla panów niedźwiedzi, gdzie ich uczono wszystkich tych sztuk i skoków, aby oprowadzając je potem po kraju i pokazując za pieniądze, ciągnąć zysk z tego. Sławna ta akademja, gdzie uczono tańczyć niedźwiedzie, była w Smorgoniu na Litwie, między Oszmianą a Mińskiem. Trudnili się tam dziełem wychowania młodzieży niedźwiedziej po największej części Cyganie w umyśle na to przyrządzonym budynku na przedmieściu.

Przysposobiwszy sobie młodego niedźwiadka czyli mysia, wdziewali mu nasamprzód grube trzewiki albo chodaki na tylne łapy, pozostawiając przednie bose. Tak prowadzony na łańcuszku przez Cygana, wchodził panicz z Cyganem do głównej sali nauki. Była to duża izba z podłogą blaszaną, pod którą palił się ogień. Dokoła izby ciągnęła się wążka przyzba ceglana, na którą wstępował Cygan, puszczając wychowanka na środek. Zaledwie drzwi się zamknęły, dobywał Cygan fujarki i zaczynał przygrywać. Jednocześnie słyszał niedźwiadek nieznane sobie dźwięki muzyki i czuł w przednie łapy pieczenie rozgrzanej blachy. Pomagał sobie tedy stawaniem na tylnych, obutych łapach, podnosząc bose w górę. Ale i to nie wystarczało na długo, gdyż rozpalona blacha zaczynała niebawem i przez trzewiki dopiekać. W takim razie musiał nieborak przestępować szybko z nogi na nogę; i oto prędzej, niżby się można spodziewać, nauczył się stawać na tylnych łapach, podskakiwać i tańczyć, oprowadzany na łańcuszku dokoła przyzby. Działo się to wszystko przy ciągłym graniu fujarki, która dopiero wtedy umilkła, kiedy się skończyła nauka i uczeń z mistrzem opuścił salę.

Nazajutrz nowa lekcya, nowe trele fujarki i nowe skoki na rozpalonej blasze. Z czasem nuta muzyki i potrzeba podskakiwania dla ochronienia łap od gorąca, tak ściśle jednoczyły się w wyobrażeniu niedźwiedzia, że niezbyt przenikliwym obdarzony umysłem, popadał nakoniec w obłąd, jakoby cały ten przymus do tańca pochodził jedynie od czarodziejskich dźwięków fujarki. Stąd gdy po kilku lub kilkunastu dniach ukończyły się lekcye w sali na blasze, a nastąpiły ćwiczenia na zwyczajnej podłodze, dość było zagrać na fujarce, aby przełęczniony Smorgonczyk spał się natychmiast na dwie łapy i ruszył w taniec. Dla uzupełnienia edukacyi występował uczeń nareszcie pod gołym niebem, na piasku lub murawie, a popisawszy się naleyście, udawał się w podróż taneczną po świecie.

47. Czystość ciała warunkiem zdrowia.

Ażeby być zdrowym i silnym, nie dość jest używać potrzebnych pokarmów i należytego po pracy odpoczynku, ale potrzeba jeszcze troskliwie dbać o zachowanie czystości ciała.

Ciało nasze zewsząd okrywa skóra, która ważne spełnia zadania. Nasamprzód jest skóra organem czucia. Dotykając się różnych przedmiotów, poznajemy za pośrednictwem skóry ich gładkość lub chropowatość, ich ciepłość i kształt. Prócz tego służy skóra do wydzielania potu z ciała i do wyziewania z ciała pary wodnej i kwasu węglowego, które wydobywają się z bardzo licznych otworków, zwanych porami skóry. Z ciała dorosłego człowieka uchodzi dziennie porami skóry prawie $\frac{3}{4}$ kilograma wody w postaci pary wodnej, a czasem, gdy człowiek znużony lub w czasie upałów, znacznie więcej.

Jeśli pył i pot pozatykają otworki skóry, wydzielanie pary wodnej i kwasu węglowego, czyli oddychanie skóry, tudzież wydzielanie potu staje się niemożliwe, co szkodliwie oddziałuje na zdrowie człowieka.

Jak ważną jest sprawą oddychanie skóry, poznać można z tego, że poparzenie ciała w jednej trzeciej powierzchni całej skóry spowoduje śmierć niechybną. Zanieczyszczenie skóry wywołuje także często wyrzuty skórne, jakoto pryszcze, liszaje, strupy i t. p., co czyni człowieka wstrętnym i dla siebie i dla drugih.

Ażeby uchronić skórę od zanieczyszczenia, a tem samem uchronić się od powyżej wymienionych złych następstw, konieczną jest rzeczą skórę czysto utrzymywać. Osięga się to najlepiej zapomocą częstych kąpielei w wodzie letniej lub w parni, a w lecie w rzekach i stawach. Jeśli nie można się kąpać, dobrze jest przynajmniej obmyć całe ciało, a po zmyciu natrzeć aż do czerwoności. Częsta zmiana bielizny również przyczynia się do utrzymania skóry w czystości.

Kąpiele rzeczne, stawowe i morskie są jeszcze dlatego bardzo pożądane, ponieważ można pływać, a pływanie jest ruchem zdrowym i wzmacniającym ciało. Dla chorych zalecają kąpiele morskie lub kąpiele mineralne w zakładach kąpielowych, jak n. p. w Iwoniczu, Rymanowie, Krynicy, Żegiestowie, Szczawnicy, Krościenku i t. d., gdzie tryskają z ziemi źródła mineralne.

48. Dobre rady.

Wstawaj rano! sypiaj twardo!
Hartuj duszę — jadaj miernie,
Z bolem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie.
Ucz się słuchać — abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie;
Ucz się pracy — byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie.
Ucz się milczeć — byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić — byś cierpliwie

Umiał wytrwać na złe losy.
Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu!
I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Kiedy noga się pośliznie.
Nie nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy:
To nie braknie ci odwagi
Ani we dnie ani w nocy.

W. Pol.

40. Gość nieznany.

Było to wkrótce po śmierci króla Władysława Łokietka.

Na Prądniku pod Krakowem mieszkał kmieć, z dawna już tam osiadły, a było mu na imię Aleksy, ludzie zaś zwali go Leksa i dali mu, jak to naówczas było zwyczajem, przezwisko Wiaducha. Oznaczało ono, że Leksa ów wiele znał, wiedział wiele i w kaszy się zjeść nie dał. Kmieć był bardzo zamożny, lecz z rodzajem dumy powtarzał, że z pradziadów jest kmieciem. W chacie było dostatnio, ale Leksa pilnie przestrzegał, aby nad chłopską potrzebę nie tu nie weszło. Sama też chata wyglądała tak biednie, iżby się nikt po niej rzeczywistego dostatku gospodarza nie domyślił.

Jednego wieczora jesienno, gdy właśnie Wiaduch powracał z pługiem do chaty, syna mając przy sobie i parobka, a żona jego, która wieczerzę przygotowała, stała w progu, oczekując męża i syna, ukazał się na drodze mężczyzna, mogący mieć lat nad trzydzieści, który konia kulejącego za sobą prowadził. Ubrany był tak, jak się ziemianie dostatni odziewać zwykli, a z przyborów widać było, że pewnie z łowów powracał.

— Hej! głodny jestem i zmęczony — zawołał, stanąwszy za płotem; — nie dalibyscie mi spocząć i zjeść cokolwiek? Zapłacę dobrze...

Wiaduch przybliżył się, pozdrawiając go, jak należało.

— I bez zapłaty — rzekł; — człek przecie człeka głodnego od progu nie odpycha. Ale, miłościwy mój panie, wy, jak to z sukni widać i z twarzy — ani w chacie dymnej odpoczywać ani z glinianej misy drewnianą łyżką jeść nie zwykliście.

— Ho! — rozśmiał się dobrodusznie stojący za płotem. — Głód nie patrzy misy, a zmęczenie strzechy i posłania nie wybiera.

Tymczasem gospodarz otworzył wrota na podwórko i podróżny wszedł, prowadząc za sobą kulejącego konia. Wziął go zaraz parobek, bo mu żal było tak pięknego rumaka, jakiego w życiu w ręku jeszcze nie miał, i ujawszy za chorą nogę, począł się kopytu przypatrywać uważnie. Po krótkiem badaniu wbity w nogę cierni ostry zręcznie wyjął i zawołał wesoło:

— Nic mu nie będzie, tylko tłustością zalać trzeba.

— Bóg zapłać — rzekł na to podróżny — bo mi koń bardzo miły, a nie radbym go widzieć kaleką.

Potem wszedł do chaty. Obejrzawszy się po izbie, siadł na ławie, a gospodyni zakrzętała się zaraz około przyjęcia.

Podróżny dosyć niezgrabnie wziął się do ukrojenia sobie kawałka chleba, posypał go solą i począł jeść cheiwie.

— Jeżeli łaska — rzekł grzecznie gospodarz — czy pan miłościwy z daleka?

— Od Krakowa — rzekł gość, wskazując w stronę miasta.

— Pewnie tutejszy ziemianin? — pytał Wiaduch.

— Nie! — rzekł przybyły, potrząsając głową.

Widocznie nie chciał powiedzieć, kim był; Wiaduch dał mu pokój.

— A wam jak się tu dzieje? — zapytał z kolei gość. — Gospodarka dobrze idzie?

— A no, idzie i kuleje — mówił poufale kmieć; — różnie bywa. Pracować trzeba, bo człowiek zarobić musi i na siebie i na dzieci, na grad i na burzę, na pana i księdza — na wszystkich.

— Tak ci jest, mój stary — rzekł gość, wysłuchawszy; — ale wy lejecie pot, a drudzy, was broniąc, krew przelewają.

— To prawda — rzekł gospodarz; — ale dzieje się nam nieraz ciężka, bardzo ciężka krzywda.

Tu począł opowiadać Wiaduch, na jakieto krzywdy narażeni są kmiotkowie, jakiego nieraz doznają ucisku od dumnych a niesprawiedliwych panów, a znikąd nie mają pomocy.

Kiedy gospodarz opowiadał, gość pilnie słuchał i o szczegóły wypytywał, jakby to wszystko chciał sobie dobrze spamiętać. Wreszcie zapytał:

— A jakążby na to była rada, aby się sprawiedliwość działa każdemu? boć i kmieć ją mieć powinien. — Przecie macie sędziów? — dodał po chwili.

— Sędziowie są, ale sprawiedliwości niema.

Tymczasem gospodyni z córką zastawiła była stół jadłem, a choć ono było niewytworne, chłopskie: gość zabrał się do niego chętnie i, jakby po raz pierwszy w życiu kosztował tych przysmaków — smakowało mu wyśmienicie.

— Ale kiedy wam się krzywda dzieje — rzekł, kończąc przerwana rozmowę — czemuż nie pojdziecie do króla? On przecie najwyższym jest sędzią.

— Król? — rzekł Wiaduch — ależ ma on o czem innem myśleć, nie o nas.

— I o was powinien — rzekł podróżny.

— Ha, nie znamy go jeszcze. Nieboszczyka starego Łokietka tośmy znali: dobry był, a i z prostym kmieciem jak z człowiekiem się nieraz rozgadał. Myśmy go i ratowali nieraz, gdy się opuszczony od rycerstwa po kraju błakał. Kmiecie za niego broń brali i krew przelewali — pamiętamy to!

— I syn jego wam to pewno będzie pamiętał — odparł gość zadumany, opierając się na rękę.

— W tym starym myśmy czuli jakby ojca i brata — mówił gospodarz dalej. — Żył tak jako my, dla rycerstwa był surowy, dla nas dobry — i Pan Bóg mu to wynagrodził, bo się korony dobił...

Podróżny wstał z ławy, dziwnie poruszony i przejęty. Obejrzał się — wieczór nadchodził.

— Bóg zapłać, gospodarzu! Bóg zapłać, gosposiu, i wam! A nie traćcie, ojcze, nadziei w Bogu i młodym królu. Bóg da, że będzie lepiej, a i król pewno starań dołoży, ażeby się wam — kmiotkom nie działa krzywda.

To mówiąc, powoli do kalety sięgnął i zabrzęczały w niej grosze.

— Nie czynicie mi krzywdy — rzekł Wiaduch spokojnie; — za gościnę nikt nie bierze zapłaty.

— Dlaczego? — zapytał podróżny.

— Po starym zwyczaju nie godzi się to — przerwał Leksa. — Chata nie gospoda. Krzywdy nie czynicie.

Gość stał wielce zakłopotany, myślał. Nakoniec ściągnął z palca pierścien i skinął na córkę, która zamiast się zbliżyć, skryła się w kąt przestraszona.

— Chciałbym choć dziecku waszemu pamiątkę zostawić — odezwał się gość.

To mówiąc i nie chcąc dziewczęcia zmuszać, pierścień z dużym świecącym kamieniem położył na stole, pokłonił się i wyszedł.

Wiaduch wyprowadził go na podwórze. Tutaj podróżny jeszcze raz podziękował za gościnę, siadł rażno na wierzchowca i, za bramę się wydostawszy, dosyć śpieszno pojechał, a zarośla go wprędce zasłoniły.

Gdy Wiaduch do izby powrócił, zastał wszystkich zapatrzonych nad pierścieniem. Był on z czystego złota, a na przedzie przesłiczny miał kamień. Nie mogli mu się nadziwić wszyscy ani nim nacieszyć; tylko Wiaduch stał mocno zadumany, bo napróżno starał się odgadnąć, kto był ten gość, który o sobie nic powiedzieć nie chciał.

Już się dobrze ściemniać zaczynało, gdy na drodze ozwały się krzyki i wołania, a przed wrotami Wiaducha stanęli jacyś ludzie jezdni.

— Hej! jest tam kto? — wołano.

Wiaduch wyszedł z chaty.

— A czego chcecie?

— Jechał kto tą drogą teraz niedawno?

— A kogoż wam potrzeba?

— Czy nie jechał tędy pan jaki?

— Był jeden.

— Na jakim koniu?

Wiaduch opisał maść konia. Na to ozwały się okrzyki: »To on, to on!«

— Był tutaj — rzekł gospodarz — i przed godziną ruszył dalej. Konia miał zranionego w nogę, więc tu spoczywał i posilił się, bośmy mu dali, na co nas stało.

— Zdrowże był?

— Jako wy wszyscy, zdrow jak ryba i dosyć wesoły. Tylko mi nie chciał mówić, kto on. Proszę was, powiedzcie wy mnie, kto to był?

— Jedźmy! — wołano — gońmy!

— Ej, szczęśliwy ty, chłopie — odezwał się jeden z za płota; — nie wiesz, kogoś przyjmował w swej chacie. Wszyscy panowie zażdrościć ci będą!

— Kogoż to? — pytał Wiaduch.

— Królaś Kazimierza miał! król był u ciebie! — krzyknął ów rycerz i popędził za innymi.

Wiaduch osłupiał. Zaciśnął ręce, czoło namarszczył i powtórzył sam do siebie: Król był u mnie?!

Tymczasem parobek; chwyciwszy się za głowę, z krzykiem wpadł do chaty, wołając: To był król! to był król Kazimierz!

A Wiaduch ciągle jeszcze stał na podwórzu zamyślony.

— Czym ja mu tylko nie powiedział za wiele?... A no — rzekł wkońcu, wracając do chaty — wola Boża! Co ma być, to będzie!

J. I. Kraszewski.

50. Wigilia Bożego Narodzenia.

Nadeszły święta. Zajechał mój wuj z bawiacami przy nim siostrami, a tak zwiększyło się kółko nasze familijne. Oprócz rodziny naszej zaprosił ojciec miejscowego plebana, rachmistrza i ekonoma, nieżonatych, a tem samem domu własnego nie utrzymujących.

Gdy już podano wieczerzę, ojciec, wzięwszy talerzyk z opłatkami, podszedł z nim do swej matki. Powstała staruszka, przeżegnawszy się, wzięła opłatek i postąpiła z nim do plebana; następnie błogosławiąc syna, synowę i nas wnuki, łamała z wszystkimi ten chleb uroczysty; potem zwróciła się do moich ciotek i wuja, dla których zawsze macierzyńskie miała uczucia, szła dalej do zaproszonych oficjalistów, a nakoniec nie pominęła i sług domowych. Rodzice moi też samą koleją za matką postępowali. Uroczysty to obrzęd to łamanie się opłatkiem! Wynurzają się najżyźniejsze uczucia, jednają się poróżnieni i równają wszelkie stany; dzieci u nóg rodziców składają serdeczne życzenia. Tak było u nas: oboje rodzice i nas troje dzieci pokłoniliśmy się do nóg sędziwej naszej babuni i z opłatkiem błogosławieństwo jej odbierali. Było nas osób dwanaście: na pierwszym miejscu siedziała nasza babka i ksiądz pleban, my dzieci na szarym końcu. Stół sześciu jarzącami świecami był oświecony. Długo ciągnęła się wesoła wieczerza, bo starodawnym zwyczajem mniej dwunastu potraw na wieczerzę wigilijną być nie mogło; ubodzy nawet na sześć się zdobywali. Już podawano kutję, kiedy pod oknami odezwały się skrzypce i kilka głosów zakoleđowało: »Anioł pasterzom mówił«.

Noc była śliczna zimowa, czysty i jasny księżyc lał swe srebrzyste światło po ubielonych śniegiem polach, sanna była wyborna, mróz niewielki, powietrze ciche. Łaskawi sąsiedzi, uwinąwszy się wcześniej u siebie z wieczerzą, najechali nas po cichu i kolędą pozdrowili.

Wyszedł ojciec na spotkanie miłych gości i z całą naszą narodową uprzejmością do pokoju zaprosił. Goście nasi była to zacna rodzina Lubienieckich, trzech braci i trzy siostry, i dwóch Trzebuchowskich, których siostra była za średnim Lubienieckim. Nastąpiły przy opłatku życzenia i przyjacielskie uściski. Wszedł kielich ze starym maliniakiem, a za nim i butelka niedzisiejszego węgryzna. Matka moja kawą i gruszkami zimowemi przyjmowała panie, a panny Lubienieckie nas dzieci wybornymi pierniczkami i domowemi suchemi konfiturami zasypały. Podochoceni muzykanci chwycili za skrzypce, mile brzmiały dźwięczne struny w rękę Kamińskiego i ociemniałego Lewandowskiego, któremu czternastoletni syn wtórował. Obaj ci muzykanci pochodzili z rodu szlacheckiego, znajomi byli w okolicy i od wszystkich lubiani.

Kolęda szła za kolędą, наконец wesoły ozwał się mazurek. Panien było cztery; młodzi Lubieniecki i Trzebuchowski, mój wuj i rachmistrz Wojakowski ochoczo stanęli do koła. — »Za pozwoleniem! przepraszam wielmożnych państwa!« — ozwie się, powstawszy ze swego krzesła, babka nasza. — »Nie tak bywało za moich czasów na Litwie u ś. p. ciotki mojej, pani pułkownikowej Kościowej, Panie! świeć nad jej duszą. Mości Wojski, proszę ze sobą« — mówiła do starszego Lubienieckiego — »nie dlatego, żebyś nas latami przewyższał, ale żeś najdostojniejsza między nami osoba. Służę Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi! Panie Lewandowski: »W żłobie leży«.

Zabrzmiały struny tą poważną kolędą; wszyscy patrzą, co to będzie... Staruszka, zaczawszy śpiew drżącym głosem, posuwa kilka kroków; wszyscy podziwiają, że kolęda w taniec się zmienia, poglądają po sobie; ale babka posuwa się dalej i, stanąwszy przed obrazem Narodzenia Pańskiego, który pośród innych główną ścianę przyszcinał, zatrzymała się i, z rękoma wzniesionemi do obrazu, prześpiewawszy parę strof, w czym już i cała kompania dopomagała — »Teraz, panie Lewandowski, narodowego!« — rzeknie, a obracając się do mojej matki: »Kasiu kochana, pani synowo, wyręcz mię do tańca! a Wielmożnego Pana Dobrodzieja — mówiła dalej — przepraszam za moją śmiałość; ale przypomnijcie sobie, że żłóbek nowonarodzonego Zbawiciela i króle i pasterze zarówno śpiewem i pokłonem witali. Nie od tegoż i nam zacząć należało?« — Ucałował Wojski ręce staruszki i — »Panie Łukasz!« — zawołał — »szafuj wina, wypijemy zdrowie mamy dobrodziejki, a my tymcza-

sem z namiestnikową dobrodziejką jaki raz i drugi wywiniemy się narodowego. Panie Lewandowski! Kościuszkowskiego!« Musnął wąsa, poprawił wyloty kontusza i posunął w pierwszą parę z moją matką; za nim ruszyli i drudzy.

Po skończonym »Polskim« młodzi stanęli do mazura w cztery pary, starsi pociągali węgrzyna, to za zdrowie dobrej naszej babuni, to za gospodarstwo, to za resztę kompanii, przyczem miła, przyjacielska toczyła się pogadanka. Tymczasem w kościółku odezwały się dzwony i muzyka umilkła. — »Na pasterkę, kto łaskaw!« rzekł mój ojciec; i całe towarzystwo udało się do kościoła. Po mszy, na której wszyscy jednogłośnie śpiewaną kolędą Boga chwalili, goście wymógłszy przyrzeczenie, że babka moja, rodzice i cała rodzina zjadą jutro do pana Wojskiego na przyjacielski obiad, odjechali do domu, a nasi udali się na spoczynek.

Ze słodkiem uczuciem ja to wspominam, bo zdaje mi się, że dziś jeszcze widzę te zacne, polskie, posuwiste pary, słyszę miły dźwięk strun pod bieglými palcami Kamińskiego, że jeszcze patrzę na piękne rysy Piotrusia Lewandowskiego, bolejącego nad kalectwem ojca. Zdaje mi się, jakbym jeszcze był obecny poważnej wesołości szanownej matrony, ukochanej babki mojej. Chwile dzieciństwa są to chwile szczęścia, których trudno zapomnieć.

51. Wigilia.

Na sobotę

Pamiętacie Wigilię w miłych braci kole?
Na samo jej wspomnienie skakało pacholę.
Z jakąż niecierpliwością wyglądały dzieci,
Rychło na modrem niebie gwiazdeczka zaświeci;
Ileżto w owe czasy sprawiały uciechy
Choinka ze świeczkami, z złotymi orzechy,
Pełne rumianych jabłek cynowe półmiski,
Opłatki, z których siostry kleiły kołyski!
Jakośmy się cieszyli, ujrzawszy przed świecą
Na opłatku Jezusa z Przeczystą Dziewicą!
Pamiętacie to wonne na ziemi poślanie,
Gdzie się dzieci swobodnie tarzały po sianie,
A rodzice wróżyli z pszenicznego snopka
O przyszłym urodzaju pocziwego chłopka.
A potem ledwie kogut, co z swego poddasza
Donośnem pianiem północ w chałupach ogłasza,
Uderzył się po bokach żółtymi skrzydłami,
Jak niesłychana radość podrzucała nami!

Biegliśmy na pasterkę, gdzie na wiejskim chórze
Śpiewaliśmy kolędę jak skowronki w górze,
Spoglądając z okienka, rychło anioł Boży
Wiecznej jasności wrota gwiazdziste otworzy
I w blasku, jaki oko wytrzymać nie zdoła,
Ukaże patryarchów i aniołów koła.
Pomnicie, jak wróciwszy z kościoła nad ranem,
Pasliśmy bydło zdjętem z pod obrusa sianem,
Które tej jednej nocy po oborach gwarzy
O losie swych pocziwych starych gospodarzy.
O, jakże nas cieszyła owa z gwiazdką szopka
I wesoła kolęda wiejskiego parobka,
Co przebrany za tura wtaczał się przez progi,
Konopną kiwał brodą i nadstawiał rogi
I póty mruczał niby od wielkiego głodu,
Póki mu nie wynieśli kołacza i miodu.

T. Lenartowicz.

52. Kolęda.

My przed wami dziś stoję
Staroświeckim zwyczajem,
W Nowy Rok niesiem piosnkę w ofierze;
Gdy nadzieją duch rośnie,
Kolęduję radośnie,
Posłuchajcie nas szczerze!

Narodzony Syn Boży
Niech swe serce otworzy,
Kędy skarb nieprzebrany, bogaty;
Niechaj gwiazda Trzech Króli
Promieniami otuli
Wasze głowy i chaty.

Częstochowska Marya
Waszym modłom niech sprzyja,
W dobry czas niech ją prośba poruszy;
Niech się krzewią szczęśliwie
Zboża na waszej niwie,
A cnoty w waszej duszy.

Ponad miasta, nad wioski
Niechaj czuwa Duch Boski,
Dary łask niech rozsypie w narodzie;
Czy biesiada czy praca,
Niech wam serca obraca
Ku miłości i zgodzie.

Władysław Syrokomla.

53. Niedźwiedź w Nieświeżu.

Przeszło sto lat temu żył na Litwie sławny na całą Polskę książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, zwany „panie kochanku” od przysłowia, którego nieustannie używał. Miłował on ojczyznę, ale nie lubił króla Stanisława Augusta, tudzież wszelkich przez niego do kraju wprowadzonych nowości, bo sam z niezachwianą stałością wierny był zwyczajom i obyczajom po przodkach odziedziczonym.

Zdała więc od zgiełku stolicy, otoczony wiernymi przyjaciółmi, trawił książę życie na łowach w niedostępnych puszczech litewskich.

W Warszawie, zwłaszcza na dworze królewskim, nie lubiono nawzajem księcia wojewody wileńskiego, dlatego, bo był zaciętym nieprzyjacielem ówczesnej mody, drwił z upudrowanych głów, długogoniastych fraków i trzewików, które w miejsce stroju polskiego za przykładem króla kraj cały przywdziewał. Uważano księcia za nieokrzesanego barbarzyńcę i nazywano go litewskim niedźwiedziem. Książę wiedział o tem, ale bynajmniej nie myślał o odmianie stroju i staropolskiego obyczaju, a modnisiom warszawskim przy sposobności nieraz dobrą dał nauczkę, aby popamiętali litewskiego niedźwiedzia.

Było to w zimie, w porze do łowów najlepszej. Książę wojewoda z kilku towarzyszami wracał z myśliwskiej wycieczki, a wesoła rozmowa ożywiała całe grono. Wtem nadjeżdża dworzanin z zamku i daje znać, że przybył do księcia poseł od króla jego mości.

— Chyba się Waści przyśniło, panie kochanku — rzecze książę; — po coby tu Pan Poniatowski posła do mnie wyprawiał?

— Sam książdz Kantembryng — odpowie dworzanin — kazał mi dać znać księciu panu.

— A widziałeś Waśc tego pana posła?

— Na własne oczy.

— I jakież? Pudrowany?

— A juścić, książę panie — odpowie dworzanin — upudrowany co się zowie; wysoki, na cienkich nóżkach, a łeb ma pełechaty jak baran.

Towarzystwo książęce parsknęło głośnym śmiechem.

— I do tego Włoch, książdz kapelan Kantembryng po włosku z nim rozmawia.

— Śpieszmy, śpieszmy do zamku — rzecze książę; trzeba się dowiedzieć, coto za bieda tego Włocha przynęła o tej porze?

— Jakiś zuch, kiedy się naszej zimy nie boi — ozwie się jeden z książęcej drużyny.

— Panie kochanku — rzecze książę — może on zuch dlatego, że jeszcze nie widział litewskiego niedźwiedzia.

— Wartoby mu pokazać.

— Spróbujemy, spróbujemy, panie kochanku; nie godzi się być w Rzymie, a papieża nie widzieć; być na Litwie, a nie widzieć niedźwiedzia.

Za przybyciem do zamku książę przyjął posła w wielkiej sali i odebrał listy królewskie. Włoch napomknął, że król jegomość radby księcia wojewodę zobaczyć w Warszawie, ale napróżno oczekuje.

— Moja вина, moja вина, panie kochanku — rzecze książę; — ale co po psie w kościele, a po niedźwiedziu w stolicy?

Włoch, uderzony tonem, jakim książę wymówił te słowa, wypatrzył się nań w milczeniu, książę zaś posłyszawszy, że w drugiej komnacie nakrywają do stołu, szepnął dworzaninowi: Każ Waszmość zastawić co najlepszego, żeby nas Włoch nie obgadywał po Warszawie, że u Radziwiłła kapcański obiad.

Wreszcie dano znać, że już obiad na stole. Książę poprowadził posła do jadalnej komnaty, posadził go przy jednym końcu stołu, a sam usiadł przy drugim i nuż zachęcać Włocha do jadała i napitku.

Po jednym i drugim kieliszku podochocił sobie poseł i książę wpadł w wyśmienity humor. Dworzanie i przyjaciele stali dokoła i wszystkich ożywiała wesoła rozmowa; książę wypytywał Włocha, jak mu się podoba na Litwie, a dworzanie nie szczędzili biedakowi przycinków, żartując z jego fraka i upudrowanej głowy. Włoch bronił się, o ile śmiał i mógł.

— A widział Wasć kiedy, panie kochanku, litewskiego niedźwiedzia? — zapytał go książę.

— Nie — odrzekł Włoch; — ale wiem, że jest to zwierz, jak każdy inny, jak pies, jak kot, jak mysz!

— Ha! ha! ha! — parsknęło całe grono głośnym śmiechem.

— Całkiem jak mysz, zgadł Waszmość wyśmienicie.

— Ale przecie większy od myszy.

— Do kota podobny, tylko znowu trochę mniejszy.

— No! to więc jak królik — powie Włoch zniecierpliwiony szyderstwem Litwinów.

— Ba, panie kochanku, ale na wielu nogach chodzi?

— Jak każdy zwierz, na czterech — rzecze poseł.

— Albo to każdy zwierz na czterech nogach chodzi?

— Waszmość jesz teraz indyka; wszak indyk także zwierz, a ma tylko dwie nogi; u nas są takie zwierzęta, co tylko na jednej nodze chodzą.

— Niedźwiedź także na dwóch nogach chodzi — rzecze jeden z dworzan.

— Nie wierzę, panowie ze mnie żartujecie — powie Włoch.

— Pan poseł nie uwierzy, aż zmierzy.

— A możeby waszmość, panie kochanku, chciał obaczyć niedźwiedzia? Przecież to warto widzieć, na wielu nogach chodzi.

— Ekscellencyo! — odpowie Włoch — niech sobie chodzi, na wielu chce; ja mu nie przeszkadzam — i uśmiechnął się, aby zataić gniew.

Śmiech donośny zabrzmiał w komnacie.

— Ale cóż to ja widzę? — ozwie się książę — mój gość, panie kochanku, nie ma talerza. Oj, kapcańska służba u Radziwiłła.

Jeden z dworzan poskoczył do stołu, ale książę dał mu znak, aby się wstrzymał.

— Gdzie batko? Batku! — zawołał książę, klaskając w dłonie — pokaż, co umiesz; pójdz odmienić talerz gościowi!

Na te słowa ogromne, kudłate niedźwiedzisko wtoczyło się do komnaty na dwóch łapach, w dwóch przednich talerz trzymając, i stanęło za gościem. W komnacie panowało najgłębsze milczenie.

Włoch obejrzał się, krzyknął z przerażenia i wraz z krzesłem, na którym siedział, upadł na ziemię, obaczywszy po raz pierwszy w życiu to tak bardzo do psa, kota, królika, a szczególnie do myszy podobne zwierzątko.

Otrzeźwiono go zaraz, ale już nie zdołano nakłonić, aby dokończył obiadu; wystraszony, nie czekał nawet, aż książę wygotuje odpowiedź na listy królewskie, lecz czempredzej, jeszcze tego samego dnia wyjechał z Nieświeża z powrotem do Warszawy.

Podobnie jak tego Włocha, niejednego cudzoziemca nastraszonego w zamku nieświeskim. Książę Karol Radziwiłł trzymał na swoim dworze wiele obłaskawionych i rozmaite sztuki umiejących niedźwiedzi, które usługiwały do stołu i pełniły obowiązki straży

- honorowej w bramie wjazdnej, gdzie ustawione szeregiem na tylnych łapach, kiwały przedniemi na powitanie gości.

54. Przyjaciele.

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka, Leszek,
Z tych, coto: gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono niewiele;
Rzekłbyś: dwój-duch w jednym ciecie.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zazul i krakań gawronich,
Alie ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb: nuż po pniu skakać jak dzieciolatek.
Mieszek tej sztuki nie umie,

Tylko wyciąga z dołu ręce: »Kumie!
Kum już wylaź na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zblednąć, paść na twarz: a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca — jak trup leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nie świeży.
Więc mruknąwszy, ze wzgardą odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź-Litwin mięs nieswieżych nie je.
Dopiero Mieszek odżył. — »Było z tobą krucho!« —
Woła kum — »szczęście, Mieszku, że cię nie zadrapał;
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?«
»Powiedział mi — rzekł Mieszek — przysłowie niedźwiedzie,
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.

A Mickiewicz.

55. Stopka królowej Jadwigi.

Półtrzecia już prawie dobiegało wieku, a założony przez Władysława Hermana kościół Nawiedzenia N. Panny OO. Karmelitów na przedmieściu Krakowa, zwanem Piasek, stał nieskończony. Dopiero świątobliwa królowa Jadwiga skłoniła męża swego Władysława w roku 1390., aby tę świątynię, którą rozpoczął budować pierwszy z Piastów Władysław, ukończył pierwszy z Jagiellonów

Władysław. Nie poprzestając na tem, dokładała wszelkich starań, ażeby budujący się kościół, wyproszony przez nią, jak najprędzej ukończono. Stąd często przybywała do tej świątyni i, krzątając się między pracującymi, to miłym słówkiem to datkiem zachęcała ich do śpiesznej roboty. Nie jak królowa, ale jak staranna i rządna gospodyni nadzorowała ich robotę, będąc wierną raz powziętej zasadzie, przytoczonej w liście do męża, że odrzuceniem wszelkiej światowej okazałości spodziewa się zasłużyć na miłosierdzie Boga.

Pewnego razu, dozorując w ten sposób budowy, zwałała sobie trzewik wapnem. Sparła tedy nogę na leżącym kamieniu, a gdy jeden z kamieniarzy oczyszczał jej trzewik, ona wdała się z nim w rozmowę. Dowiedziała się od niego, że pomimo najusilniejszej pracy nie zarobi tyle, ile mu potrzeba na utrzymanie niedołęznego ojca, chorej żony i małych dzieci. Jej litościwe serce, co już nieraz kazało zdjąć z siebie szatą okryć bliźniego, kazało jej i teraz zdjętym z palca sygnetem poratować w niedoli biednego wyrobnika.

— Pracuj i módl się — rzekła do niego dobrotliwie — a Bóg ciebie nie opuści.

Gdy odeszła, kamieniarz upadł na kolana, błagając Boga o błogosławieństwo dla królowej; a otarłszy oczy z łez wdzięczności, spostrzegł ślad jej stopy, oznaczony wapnem na kamieniu. Na widok ten powziął szczęśliwą myśl wykucia tej stopy, a obok niej roku tego zdarzenia, to jest 1390.

Wmurowawszy ten kamień przy głównych drzwiach kościoła, codziennie prawie przychodził do niego, ażeby z wdzięcznością ucałować stopkę królowej Jadwigi, z której datkiem zawitało w dom jego błogosławieństwo Boże.

Za jego przykładem czynili toż samo nie tylko jak on obdarenzi, ale i ci, którzy podziwiając poświęcenie Jadwigi dla wiary, ojczyzny i ludzkości, uwielbiali pamięć tej królowej.

56. Wawel.

Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa
Nasza przeszłość w swoim łonie.
Jako stara sława plonie:
To jedź bracie do Krakowa.

W. Pol.

X Na wysokiej, nad miastem wznoszącej się górze Wawelu, o której skalistą podstawę Wisła z szumem swe fale roztrąca, stoi gmach starożytny, niegdyś książąt i królów polskich siedlisko.

Krakus, wódz Chrobatów, jak niesie stare podanie, upodobał sobie ten obszerny i rzeką oblany wzgórek, z którego piękny dookoła roztacza się widok na urodzajną równinę; tutaj też na mieszkanie dla siebie zamek drewniany wystawił. Lecz gdy z postępem wieków na dworze królów naszych miejsce dawnej prostoty wytworniejsze zajęły obyczaje, zaczęto zamek ten coraz bardziej rozprzestrzeniać i zgodnie z każdorazowym stanem sztuki wojennej obwarowywać, aż wreszcie z biegiem czasu dla pomieszczenia coraz liczniejszego dworu całą zabudowali górę.

Wielu władców europejskich mogło w świetniejszych przemieszkować gmachach, a przepychem dworu, wytworem sprzętów, zbytkiem stołu górować nad skromnym życiem królów naszych, lecz pewno żadnego panującego mieszkanie piękniejszym nie odznaczyło się położeniem, jak krakowski zamek monarchów polskich.

Z licznych i wielkich gmachów składał się niegdyś zamek krakowski, a z rozległości swej raczej do miasta, niż do zamku był podobny. Teraz najznakomitszą jego częścią jest kościół katedralny, tudzież dawny pałac królewski i nowo wzniesione gmachy gwoli użytkowi wojskowemu. Mur okalający od strony południa i zachodu już nie istnieje, tylko stoją baszty czyli wieże zadziwiającej wysokości, które służyły jako więzienia. Właściwy pałac królewski, zajmujący blisko trzecią część powierzchni Wawelu, formują gmachy o dwu piętrach, galeryami opasanych, stojących w czworobok około dziedzińca znacznej obszerności, będącego w środku; a gmachy te, chociaż im czas dawną świetność wydarł, świadczą jeszcze wymownie, że były królów siedliskiem.

Z całego dawnego przepychu zamku krakowskiego utrzymał się tylko bez uszkodzenia kościół katedralny, świątynia najwspanialsza z kościołów krajowych, pobożnością monarchów wzniesiona i ozdobiona. Obejmuje ona 18 kaplic, w których się mieszczą wspańnięte grobowce i pomniki królów, niemniej pomniki i napisy uwieczniające pamięć tych sławnych mężów, których imiona dziełami cnoty, nauką lub walecznością na najpiękniejszych kartach dziejów naszych jaśnieją.

Pośrodku kościoła wznosi się, jakby kościół w kościele, kaplica św. Stanisława, patrona Polski, okryta kopułą wyłaczaną, wspartą na brązowych słupach. Na ołtarzu jej w srebrnej trumnie, unoszonej przez aniołów, złożone są kości św. Męczennika.

Bywała ta katedra królom naszym kolebką ich chwały za życia, a teraz jest miejscem spoczynku ich popiołów. Wychodząc z rycerstwem na obronę granic, tu oni uzbrajali się błogosławieństwem niebios, a powracając, tu dawcy zwycięstwa składali dziękczynienia i znaki tryumfów na ścianach jej zawieszali.

Pod posadzką tej świątyni czyli w t. zw. krypcie spoczywają prochy mnogich książąt i królów polskich, oraz ich rodzin; a zaraz u wejścia do niej, obok pogromcy Turków Jana III., leżą w marmurowych grobowcach śmiertelne ostatki Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. Tutaj też, w królewskich grobach na Wawelu, złożono w r. 1890. zwłoki Adama Mickiewicza, największego narodowego poety.

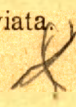
Równie ważnym i oglądania godnym jest skarbiec, w którym znajdują się szacowne pamiątki starożytne, jak ubrania kościelne, krzyże, kielichy i t. p., perłami i drogimi kamieniami sadzone, oraz ubiory pontyfikalne, przypominające dawną zamożność biskupów krakowskich, z których daru pochodzą.

Przy wielkich drzwiach kościelnych wznoszą się dwie wieże, a trzecia obok zakrystyi. Na tej znajduje się dzwon największy w Polsce, zwany Zygmuntem. ~~Ma on jakie 8 m~~ w obwodzie, a do poruszenia go ośmiu silnych ludzi potrzeba. Majestatyczne, donośne jego brzmienie rozlewa wdzięczną i dla słuchu wielce miłą harmonię nad całym miastem i dalszą okolicą.

Przy wielkich drzwiach zewnątrz kościoła wiszą na łańcuchach kopalne reszty potwornych zwierząt dawnego świata, mianowicie szczęka jakiegoś potwora, ~~około 1 m~~ długa, piszczel udowy mamuta czyli wielkosłonia, ~~1 1/2 m~~ długości, i inne, które wszystkie w okolicach Krakowa znaleziono.

Sławna w dziejach bajecznych Polski smoczy jama, w skali-
stem łonie Wawelu ręką przyrody wydrążona, znajduje się od
strony jego zachodniej, t. j. od Wisły. Wejść do niej można po
schodach drewnianych, niedawno postawionych. Jest ona zupełnie
sucha, ma kilkadziesiąt kroków długości i znaczną zajmuje prze-
strzeń.

I tak co krok niemal napotkasz tu na jaką szacowną i sercu
drogą pamiątkę; Kraków bowiem, a w szczególności Wawel jest
tem dla Polaków, czem Rzym dla świata.



57. Dwa miecze.

X Stare przysłowie powiada: »Zły głód, mór, wojna; gorsi zli sąsiedzi«. O prawdziwości tego zdania najlepiej przekonała się Polska, która pozwoliła Krzyżakom osiedlić się w najbliższym sąsiedztwie, a potem nieraz od nich ciężkich krzywd doznawała. Oburzeni wreszcie na niewdzięcznych mnichów, rozpoczęli Polacy długoletnią z nimi wojnę. Zrazu prowadzili ją ze zmiennem szczęściem, ale kiedy połączyli się z Litwą, równie przez Krzyżaków zagrożoną, postanowili wszystkie wyteńczyć siły, ażeby się obronić przeciwko najazdom niegodziwych sąsiadów.

Z obu stron gotowano się do tej wojny z największą starannością. Wreszcie w r. 1410. na polach pod Grunwaldem stanęły oba wojska, liczbą prawie równe. Wojsko polskie i litewskie ukryło się w lesie, oczekując dogodnej chwili do rozpoczęcia walki; tylko mały jego oddział stanął przed lasem. Krzyżacy zajęli stanowisko znacznie dogodniejsze, z lekceważeniem patrząc na garstkę przeciwników.

Dzień po dniu upływał, a żadna strona nie śmiała rozpocząć bitwy. Tymczasem upał lipcowy coraz więcej dokuczał Krzyżakom, zwłaszcza, że na otwartych polach i wzgórzach nigdzie nie mieli cienia. Postanowili tedy wyzwać Polaków do walki.

W dniu 15. lipca Władysław Jagiełło modlił się jeszcze w kaplicy, gdy mu oznajmiono przybycie dwóch posłów krzyżackich. Pobożny król mniemał, iż wysłańcy wielkiego mistrza przynoszą warunki zgody. Dlatego chcąc nadać tej chwili większą uroczystość, zawezwał do swego boku księcia Witolda, najdostojniejszych panów polskich i litewskich, jakoteż znaczną część przybocznej swej straży.

Wprowadzeni posłowie tak przemówili do króla:

— »W imieniu wielkiego mistrza, wielkiego marszałka i całej braci zakonu, przynosimy tobie, królu, i tobie, książę Witoldzie, te oto dwa miecze nagie, jako zachętę i pomoc do boju, który dziś stoczyć macie. Pozwalają wam oraz ci panowie zakonni wybrać sobie miejsce do bitwy, w którejkolwiek stronie zechcecie. Dlatego nie traćcie czasu, nie kryjcie się w mroku leśnym, nie chowajcie się małodusznie, nie stróńcie od walki, której uniknąć nie możecie«.

Łzy zabłysły w oczach króla, gdy usłyszał harde słowa krzyżackich posłańców. Atoli pocieszając się nieomyślną nigdy mądrością

pokory chrześcijańskiej, tak odpowiedział łagodnie za siebie i za Witolda:

— „Pomocy nie szukamy u nikogo innego, jak tylko u Pana Boga. Miecze też mamy dosyć, lecz ponieważ i te nam się przydadzą na karki dumnych, przyjmujemy je w imieniu Pana i chcemy niezwłocznie rozprawić się z wami walką orężną. Lecz miejsca bitwy oznaczyć nie możemy, gdyż Bóg jedynie zna i wytycza plac boju. On go wam i nam już oznaczył».

Potem wziął król oba miecze z rąk posłów i oddał je stojącym za sobą panom.

Bóg nagroził pokorę pobożnego króla.

Natychmiast po odprawieniu posłów nakazano wojskom, ażeby za pierwszym odgłosem trąb gotowe były do bitwy. Wkrótce też potem dano znak, zagrały trąby i całe wojsko zanuciło pieśń „Bogarodzico!».

Niemcy uderzyli z niezmierną gwałtownością, a zarazem zagrzniały po górach rozstawione działa. Na kilka mil wokoło rozległ się odgłos pierwszego szturm. Z początku zachwiały się szeregi naszych, lecz wnet uzyskali nad wrogiem przewagę i odnieśli najświetniejsze zwycięstwo, którem Pan Bóg dumę krzyżacką upokorzył. Poległo nieprzyjaciół czterdzieści tysięcy, a pomiędzy nimi był sam mistrz wielki i najprzedniejszy z zakonnych rycerzy; reszta poszła w rozsypkę lub dostała się do niewoli. Nasi zdobyli 51 chorągwi i cały obóz, a z nim ogromne skarby w złocie i broni.

Od tego dnia nigdy już Krzyżacy do dawnej swej świetności nie powrócili.

Wedł. Karola Szajnochy.

58. Nietoperze.

Do najpożyteczniejszych zwierząt ssących należą nietoperze czyli gacki. Niby zwierzęta ssące, niby ptaki, z dużemi uszami, są one każdemu wstrętne. Podobne są do latających myszy, tylko zamiast lotek mają skrzydła, przezroczystą błoną obciążnięte i połączone nią z ogonem. Mają ostre pazurki i szpiczaste ząbki; latają wieczorem i rano za owadami, które w wielkiej ilości tępią. Dni spędzają po dziuplach, kryjówkach ciemnych, strychach, w murach i rozpadlinach skał; ulubione ich kryjówki bywają w jaskiniach skalnych. Zimą przepędzają w martwocie, w głębokim śnie pogrążone, pazurami związane tak, że niekiedy można w jednej kupce

narachować setki nietoperzów, siedzących jedne przy drugich przez sześć miesięcy. Bardzo wiele jest gatunków nietoperzów; z tych opisanych jest dotychczas jedenaście. Jest to wszakże gromada zwierząt, żyjąca w wielkiej skrytości, i dlatego nader trudna do badania. Być jednak może, że badacze przyrody niezadługo odkryją i opiszą więcej ich gatunków.

Mieszkając przez lat dziesięć wśród skał, napotykałem tam mniejsze i większe jaskinie, tworzące niekiedy wysokie i głębokie izby. Zaciekawiony wielce, zapragnąłem poznać wnętrze tych jaskiń. Ponieważ jednak ciemne miały wchody i połączenie jednej z drugą było zawałone, kazałem wejścia rozszerzyć i gruz uprzątnąć, a powietrze w nich duszne lub odurzające czyściłem dymem z prochu lub pochodni. Zwiedzając jaskinie z pochodniami, gdyż się w nich zupełna ciemnica rozesała, odkryłem niezliczoną ilość nietoperzy, przepędzających tam dni na ścianach nieraz tak wysokich, że ich ręką dostać nie było można. Siatką więc ostrożnie zbierałem skrajne, nie ruszając całej kupy, coby mogło być niebezpiecznem w ciemnej jaskini. Nie mogąc nawet w przybliżeniu obrachować ilości zwierzątek, złączonych w jedną kupę, a kup takich bywało w jednej jaskini kilka i kilkanaście, z każdym dniem byłem ciekawszy poznania liczby razem siedzących i zapewne w jednym gatunku zgromadzonych nietoperzy.

Ciekawość zgubiła już niejednego na tym świecie, poczynawszy od żony Lota, wychodzącego z Sodomy i Gomory, aż do naszych czasów! Tak też i mnie się stało. Dobrawszy sobie kilku żwawych parobczaków, zaopatrzywszy się w zapalki i łuczywo do palenia ognia, wziąłem strzelbę i powędrowałem do największej jaskini, która się składała jakby z obszernej i wysokiej izby i z drugiej mniejszej, nibyto z alkierza. Za czasu napadów tureckich i tatarskich, a może i w czasie wojen szwedzkich, jaskinie te służyły ludności okolicznej za schronienie przed jasyrem czyli niewolą, jak to łatwo było poznać po odymionych i osmolonych ścianach. W tej to jaskini zaciekawiała mnie oddawna szeroka kupa nietoperzy, na jakie pół metra gruba: tyle ich tam siedziało jednych przy drugich; były ich tam setki, a może i tysiące.

Owóż gdym się tam dostał z moimi parobczakami, jakiś zły duch mi poradził strzelić w tę kupę i przekonać się, czy też śród przestrzeli wszystkie i dotrze do ściany? Strzeliłem — i rozpoczął się istny sądny dzień dla nas. Zabite spadły na ziemię, dym

zaciemnił jaskinię do reszty, krocie nietoperzów zerwały się i poczęły się po jaskini uwijać, uderzać nas zimnemi i mokremi skrzydłami to po twarzach, to po głowie, piskiem przeraźliwym oznajmiały swój gniew i popłoch, wkońcu wytwarzając skrzydłami wiatr dość silny, pogasiły nam wszystkie pochodnie. One widziały doskonale w ciemności, my zaś gdyby ciemni, byliśmy w rzeczywistym przestachu. Moi chłopcy, doświadczeni i przytomni, rzucili się na ziemię, choć we wodę i w błoto — w tych jaskiniach bowiem zawsze jest mokro; ale ja stałem odurzony i nieprzytomny, niemiłosiernie tłuczony w głowę przez nietoperze. Jak to nawiedzenie długo trwało, powiedzieć nie umiem, gdyż o popatrzeniu na zegarek nie mogło być mowy. Zaledwie może po kilku godzinach, pomału i stopniowo, rozgniewane i popłoszone nietoperze zaczęły na tych samych miejscach usiadać po ścianach, a latające się przerzedziły. Wtedy ja dopiero na raczkach wypelzałem szczęśliwie do otworu i zobaczyłem światło — zachodzącego słońca. Pokazało się teraz, że bawiłem w jaskini blisko przez ośm godzin. Jakże musiało być silnem otrzymane wrażenie, kiedy przez kilka dni czułem w dzień i w nocy na twarzy i na głowie to ustawiczne a tak mi przykre uderzanie tych wstrętnych zwierzątek.

Ciekawość jest chorobą, ale u badacza przyrody bywa ona nieuleczalną. Otóż po tygodniu namówiłem sobie znowu owych żwawych chłopców do jaskini, przyrzekając, że już nie strzelę; nawet strzelby z sobą nie wziąłem. Chciałem się przekonać, ile też nietoperzów zostało zabitych, a tem samem obrachować mniej więcej ilość w tej kupie siedzących; strzeliłem bowiem na odległość ledwie sześciu metrów, więc strzał mojego strzału nie objął ani dwudziestej części na wszerz siedzących na kupie nietoperzów. Oświeciwszy jaskinię należycie, narachowaliśmy ich ośmdziesiąt, leżących na ziemi, zabitych lub ruszających się jeszcze. Przypuścić więc mogę w przybliżeniu, że w tej jednej kupie było zwierzątek przeszło tysiąc.

Najciekawszym wynikiem mych badań było ocenienie szybkości i zręczności ich lotu; latało ich bowiem po jaskini tysiące, nie trącając się wcale nawzajem. Drugie, co mnie zastanowiło, gdy wieczorem po zachodzie słońca zasiadłem w bliskości tej jaskini, było, że nietoperze wylatywały przez otwór z nadzwyczajną szybkością jeden po drugim, ale nie zauważyłem ani razu, żeby ich kiedy dwa razem przez otwór wyleciało.

Przypuszczam, że nietoperze muszą żyć długo i oczekiwać się sędziwej starości, a wnoszę to na tej podstawie, że choć rodzą się po jednym lub po dwoje i choć je łowią niekiedy i sowy, mimo to w tak zdumiewającej liczbie nam się przedstawiają.

Brzydkie one, to prawda, lecz nader pożyteczne, gdyż przez całe długie swe życie wyłącznie żywią się żukami czyli chrząszczykami, ćmami i owadami w lot łowionymi.

Kazimierz Wodzicki.

59. Kolęda noworoczna.

Żaden dzień nie jest tak powszechnie pożądanym i oczekiwanym, jak dzień Nowego Roku; o żadnym tyle nie mówią, na żaden tyle przygotowań nie robią. Każdy za nim wzdycha, każdy od niego datuje rozpoczęcie różnych zamysłów i projektów; zgoła wszyscy z upragnieniem tego dnia oczekują. Starzy mają nadzieję, że lepiej będzie w tym roku, niż w przeszłym; młodzież się raduje, gdyż z Nowym Rokiem zaczęła się zapusty; a dzieci skaczą z ukontentowania, bo myślą sobie, iż może jaką kolędę dostaną.

Ludwik, syn majątnych rodziców, blisko Kurowa osiadłych, od dawna wyglądał Nowego Roku. Był jedynakiem, dostawał często podarunki od ojca i matki, a kolędę zawsze miewał sutą. Od niejakiego czasu uwijało mu się po głowie, że dostanie konika, a od dawna nie pragnął niczego tak gorąco. Wiedział dobrze, iż jeden mieszczanin z Kurowa miał ślicznego na zbyciu; był gniady, mały, składny, z odmianą na czole. Ile razy widział go Ludwik, tyle razy wzdychał i objawiał życzenie, żeby kiedyś koń ten mógł być jego własnością; nawet nie taił się z tem przed rodzicami. Kiedy dzisiaj szedł do nich, ażeby im powinszować, ciągle myślał o koniku. Wszedłszy, uściskał ojca i matkę i powinszował im serdecznie: nie wierszem, nie na piśmie, ale słowem, jakie mu serce podało. Otrzymał od obojga pochwałę przeszłorocznego postępowania i zachęcenie, ażeby ciągle równie dobrze się sprawował i jednakową im był pociechą. Napełniły się łzami oczy Ludwika i tak mu było miłe rodziców ukontentowanie, że i o koniku zapomniał. Przypomniała mu go matka; odstłoniła chustkę białą, leżącą na stole, i Ludwik zobaczył prześliczne siodełko, uzdeczkę warszawskiej roboty i niebieski czaprak. Krzyknął z zadziwienia, rzucił się na szyję matce, a gdy usłyszał te słowa ojca: »Dziś jeszcze będziesz miał

konika, zaczął skakać z radości i całować rodziców po rękach. Pobiegł do swego nauczyciela i wołał do niego z daleka: »Będę miał konika, będę miał konika!« Kogo tylko spotkał, każdemu z ukontentowaniem powtarzał: »Będę miał konika!«

Zjadł jak najprędzej śniadanie, wrócił do pokoju rodziców, żeby im jeszcze raz podziękować, wypytać się o konika i przypa-
trzyć się darom matki. Wysunął stół na środek pokoju, okrył go czaprakiem, położył na wierzchu siodło, założył uzdeczkę za poręcz, włożył kapelusz na głowę, wziął cugle w rękę, a klaskając ustami, skakał na stołku i wystawiał sobie, że na koniku jedzie.

Przerwano mu wkrótce tę zabawę. We wsi, gdzie mieszkali rodzice Ludwika, nie było kościoła, musieli jeździć na nabożeństwo do Kurowa. Chłopczyna z radością wsiadł do sanek, bo mu matka powiedziała, że zaraz prosto z kościoła pójdzie ojciec do mieszczanina i kupi konika.

Mróz był tęgi, ale niebo pogodne i czyste. Wszystkie domy, drzewa, stawy, okryte były białą powłoką, a śnieg, odbijając promienie słoneczne, lśnił się tysiącnymi kolorami. Chociaż sanki Ludwika sunęły prędko po ujeżdżonej drodze, podróż zdawała mu się tak długą, że kilka razy chciał wysiąść, przekonany, że prędzej piechotą dobieży.

Zajechali nareszcie przed kościół w chwili, kiedy suma wychodziła. Strapił się cokolwiek Ludwik, gdy po ewangelii przerwał kapłan nabożeństwo, a drugi ksiądz ukazał się na ambonie. Byłby chciał jak najrychlej konika mieć w rękę; kazanie spóźniło jego szczęście. Ale Ludwik, skoro tylko chciał szczerze, umiał pokonać samego siebie; wiedział dobrze, z jakim uszanowaniem trzeba się zachować w kościele, słuchał więc pilnie nauki, zajął się nią zupełnie i najmniejsze słówko nie uszło jego uwagi.

Kapłan, nauczający lud zebrany, był to znany kurowski pleban, powszechnie wielbiony Grzegorz Piramowicz. Światły, uczony, cnotliwy, godzien był służyć Bogu, którego w prawem nosił sercu, godzien był tłumaczyć święte Jego przepisy. Zwiedzał pańskie pałace, kreślił gładkiem piórem piękne myśli swoje, uczęszczał do lepiarek kmiotków; lubiany był od wielkich, szanowany od uczonych, ubóstwiany od nieszczęśliwych! Nie piastując nigdy wysokich urzędów, pozyskał wielkie znaczenie: imię jego zostało zapisane w rzędzie cnotliwych i uczonych mężów.

Właśnie w zeszłym roku wśród żniw okropny pożar do największego ubóstwa przywiódł niemal wszystkich mieszkańców Kurowa; przeszło tysiąc ludzi w dwóch godzinach zostało bez dachu, bez pożywienia. Piramowicz, czuły na nieszczęście ludu, którego był pasterzem, ujmował sobie od ust, żeby wesprzeć owieczki swoje; lecz wydatki były ogromne i połowa pogorzalców bez własnego mieszkania srogą zimę przepędzać musiała. Korzystając z liczного zgromadzenia ludu w dzień Nowego Roku, pleban kurowski miał naukę o prawdziwym sposobie czynienia dobrze. Mowa jego, tak czysta, słodka i prosta, jak jego dusza, rozrzewniła przytomnych i niechybnie trafiła do serca. »Wiem, że biedni jesteście« — rzekł obracając się do wieśniaków, przybyłych z okolic; — »ale przecież żaden z was nie jest biedniejszym od wdowy z ewangelii, a ona ostatni szeląg na ubogich oddała. Każdy z was może dać jakąś pomoc nieszczęśliwym pogorzelcom, a wiercie mi, dziateczki moje, jeden grosz ubogiego, na wsparcie brata dany, więcej ma ceny w oczach Boga, niż kupy złota, ręką bogaczy sypane. »Jałmużny nasze, im więcej ofiar kosztują, tem więcej mają wartości. Łatwo udzielać drugim, kiedy sami we wszystko obfitujemy, ale pozbawić się żądanej milej i potrzebnej rzeczy, ażeby łyzy otrzeć nędzy, to prawdziwa zasługa, to prawdziwa jałmużna«.

Ludwikowi serce mocno bić zaczęło na te ostatnie słowa cnotliwego plebana; nie mógł rozpoznać myśli swoich; cisnęły się tłumem do głowy jego; dziwnego doznawał wzruszenia. Skończyło się nabożeństwo, wyszli z kościoła, a on jeszcze przyjść do siebie nie mógł. »Wiesz, Ludwiku«, rzekł mu ojciec, wsiadając do sanek, »żał mi ciebie, nie będziesz miał dzisiaj konika. Posyłałem służącego; powiedział mi, że mieszczanin odjechał w sąsiedztwo i nie wróci aż wieczorem. Ale, jeżeli chcesz, możesz tu jutro rano do niego z nauczycielem przyjechać«. Odetchnął Ludwik na te słowa ojca i z wielkiem zdziwieniem rodziców prawie z radością wsiadł do sanek. Jadąc przez miasteczko, spostrzegł z jednej strony nowo postawione domy, a z drugiej kominy, gruzy, okopcone belki, ślady okropnego pożaru. Patrzył się na nie długo ze smutkiem i przez całą drogę mocno był zamyślony.

Nazajutrz wstał, skoro świtać zaczęło. Wdział ciepły swój płaszcz, czapkę z sobolami i wyjechał z nauczycielem do Kurowa. Kiedy już wjechali do miasta, woźnica chciał na bok zwrócić i udać się, jak miał rozkaz, do domu mieszczanina. Wstrzymał go Ludwik,

a wzięwszy nauczyciela za rękę, prosił, żeby do plebanii jechać kazał. Nauczyciel zapytał, jakaby tej odmiany była przyczyna? Ludwik odpowiedział drżącym i nieśmiałym głosem, że już mu się zupełnie odechciało konika i że pieniądze, przeznaczone od ojca na to kupno, chciał dać, jeśliby to można zrobić, księdzu Piramowiczowi dla biednych pogorzalców. Uściskał chłopczynę rozrzuwiony nauczyciel, zapewnił go, iż ojciec gniewać się o to nie będzie, i zajechali przed plebanie.

Zastali szanownego kapłana, otoczonego starcami, kobietami, dziećmi i słabymi. Ten przyszedł do niego po wsparcie, ta po radę, ci po naukę, tamci po lekarstwo; wszyscy żądali pomocy. Zobaczywszy przybyłych gości, przywitał ich uprzejmie i prosił, żeby poszli na chwilę do drugiego pokoju. Nie mieli czasu zastanowić się nad nieustanną czynnością serca i umysłu cnotliwego i światłego plebana, gdyż wkrótce nadszedł i zapytał, co by ich tak rano do niego sprowadziło? Ludwik spuszczone miał oczy i nie śmiał nic mówić. Nauczyciel jego imieniem ofiarował pieniądze.

Rozrzewniło plebana dobre serce Ludwika. »Synu mój, rzekł mu, szczęśliwy jesteś, że w tak młodym wieku możesz i umiesz być dobroczynnym. Nie zawstydzisz społeczeństwa. Kraj nasz liczy wielu dobroczynnych ludzi; bierz ciągle z nich przykład, wstępuj w ich ślady, wspieraj cierpiącą ludzkość; jej głos nie odbijał się nigdy na próżno o ucho pocziwego! Zaledwie przemówił o potrzebie parafian moich, zaczęły mnie dochodzić nawet znaczne ofiary pieniężne. Na wiosnę, da Bóg doczekać, rozpocznie się robota. Kiedy przejeżdżać będziesz koło świeżo wystawionych domostw, kiedy ujrzysz radość mieszkańców, usłyszysz ich błogosławieństwa, pomyśl sobie: I jam się do tego przyłożył — i mnie oni błogosławiać.

Tu Ludwik nie mógł wytrzymać i zawołał ze łzami: »Już mi nie żal konika!« — »Jakiego konika?« zapytał ks. Piramowicz. Ludwik się zmieszał, zapłonił, nie mógł nic odpowiedzieć. Widząc to nauczyciel, opowiedział, jaką po wczorajszem kazaniu uczeń jego umyślił uczynić ofiarę. Jeszcze czulej uściskał go szanowny pleban. »Zrozumiałeś zupełnie, rzekł, moją naukę. Jałmużna twoja jest prawdziwa, boś się dla niej miłego pozbawił daru. Majętnym jesteś, zatem i twój datek znaczny; ale wierz mi, gdybyś, w uboższym stanie zrodzony, dostał był od rodziców fraszkę, parę złotych war-

tującą, i przyniósł mi ją z takim sercem w ofierze, z równą byłbym ją przyjął rozkoszą, równieby ona miłą była Bogu.

Ucałowawszy ręce plebana, odjechał Ludwik uradowany. Wracając, już z mniejszym spoglądał smutkiem na opalone kominy i okopcone belki, bo już w dziecinnej a żywej wyobraźni swojej widział, jak na ich miejscu nowe powstają budowy. Przybywszy do domu, zaraz pobiegł do matki. Wyglądała go już dawno oknem i szła zdziwiona naprzeciw niego, pytając, dlaczego nie przyprowadził z sobą konika. »Już nie będę miał konika, rzekł jej Ludwik, tuląc się na jej łono, alem wspomógł biednych pogorzelić!« Wzruszenie nie dozwoliło mu więcej mówić i raz jeszcze wyręczyć go musiał nauczyciel. Przycisnęła syna do serca uszczęśliwiona matka; nadszedł w tej chwili ojciec i pochwalił syna za to, co uczynił.

Od tego czasu często Ludwik odwiedzał szanownego księdza Piramowicza, uczył się od niego cnót wszelkich; a kiedy śmierć wydarła tego męża krajowi, przyjaciółom, uczonym, parafianom i nieszczęśliwym, wraz z całym ludem rzewnie płakał nad jego grobem.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

60. Wartość drobnostki.

Kto garstką ziemię znosi, góry się doczeka;
Z kropli za kroplą z czasem uzbiera się rzeka.

Kazimierz Brodziński.

61. Miłość prawdy.

Święty Jan Kanty wracał raz do domu ze wsi odległej, odmawiając po drodze pacierze. Wieczór się zbliżał, kiedy znużony długą drogą kapłan zboczył do lasu, by spocząć trochę i przed skwarem jeszcze schronić się słońcem. Ale zaledwie znikł mu z oczu gościeńiec, gdy kilku zbójców, wypadłszy z gęstwiny, otoczyło świętego męża, domagając się pieniędzy i grożąc mu śmiercią, jeżeli dobrowolnie nie odda im wszystkiego, co ma przy sobie.

— »Śmierci się nie boję« — odrzekł Jan spokojnie — »bo ta jest w ręku Boga; lecz aby was od zbrodni zabójstwa wstrzymać, daję chętnie wszystko, co posiadam«.

— »Przysiąż nam, że nie masz nic więcej przy sobie« — zawołali zbójcy.

— »Bóg mi świadkiem, że to ostatek tego, co miałem« — odparł mąż święty.

Nie nalegając dłużej, złoczyńcy uszli w zarośla, a Jan święty szedł dalej drogą do domu, dziękując Bogu, że go wyrwał z niebezpieczeństwa.

Przypadkiem sięgnąwszy do kieszeni, znalazł jeszcze jedną sztukę monety.

Zmieszany, że mimowolnie popełnił kłamstwo, wraca śpiesznie w stronę, w którą odbiegli zbójcy. Po długiem szukaniu znajduje miejsce ich spoczynku i rzecze do zdziwionych powrotem jego:

— »Darujcie, skłamałem mimo chęci; oto jeszcze jeden pieniądz pozostał mi w kieszeni, weźcie go!«

Zbójcy, do głębi duszy przejęci tak niezwykłą miłością prawdy i cnoty, padli na kolana przed sługą Bożym i, zwracając mu zabraną sumkę, prosili, by się czasem i za nich pomodlił.

62. Święty Jan Kanty.

Błysła na wschodzie jutrenka złota,
Gwiazdy w nieznane mkną światy;
Z rosą poranną łzami sierota
Nadwiślańskie skrapia kwiaty.

Nie dla niej piękny świeci poranek,
Świat w szatę światła ubiera;
Żałośnie trzyma w swej dłoni dzbanek,
A drugą łezkę ociera.

Już Krakowiaków gromadka wesoła
Na targ do miasta się śpieszy;
Lecz na sierotkę nikt nie zawoła,
Sierotki nikt nie pocieszy.

Wtem mąż sędziwy, wolnym idąc krokiem,
Jan Kanty, chluba Krakowa,
Rzewną sierotkę zmierzwiwszy okiem,
W te do niej ozwał się słowa: ✕

»Dlaczego płaczecz, dziecino droga?
Bóg widzi te łezki twoje;
Wyznaj mi szczerze, ja w imię Boga
Może twą żalność ukoję«.

A Krakowianka w błękitnem oku
Fartuszkciem łezkę ociera
I kornie stojąc przy jego boku,
Drżące swe usta otwiera:

»Jestem sierotą, u mieszcзки z Łobzowa
Służę; ach! ostra to pani!
Nigdy dobrego nie da mi słowa,
Lecz zawsze gromi i gani.

»Zaledwie tylko błysnie poranek,
Na Kleparz¹⁾ na targ wysyła,
Abym przedawszy ten mleka dzbanek,
Krupek i soli kupiła.

»A że to jutro święto Boskiej Matki,
Chcąc przybrać obraz Jej w wianek,
Po drodze wonne zbierałam kwiatki;
Wtem z ręki wymknął się dzbanek.

»I wszystko mleko spłynęło drogą.
Ot! ślady widać z daleka.
Któż się nade mną użali niebogą?
Ach, wiem, co w domu mnie czeka!«

»I czemuż dziecię tak rzewnie szlochasz
I główkę kryjesz w twej dłoni?
Ty Matkę Boską tak szczerze kochasz,
Ona cię pewnie obroni.

»A gdy powrócisz do twej zagrody,
Boska cię Matka poćieszy.
Pośpiesz do Wisły, zaczerpnij wody!
Sierota ufa i śpieszy.

Przyniosła dzbanek, rączki złożyła
I klęcząc pacierz odmawia:
Główkę do ziemi kornie schyliła,
Przed Kantym dzban z wodą stawia.

Jan Kanty krzyżem dzban błogostawił,
Modlił się długo i szczerze;
A gdy modlitwę swoją odprawił,
Dzban wody do ust swych bierze.

Lecz woda w mleko się przemieniła.
»Dziecię, Maryi złożź dzięki,

¹⁾ Kleparz, przedmieście Krakowa.

Ona cię w smutku twym pocieszyła;
Dzban mleka masz tu z Jej ręki.

Na twarzy dziecka spłonął rumieniec,
Do nóg się Jana rzuciła;
Boga Rodzicy odtąd już w wieniec
Obraz codziennie stroiła.

K. Antoniewicz.

63. Step ukraiński.

Osobliwym jest widok stepów Ukrainy! Cały świat zdaje się tu leżeć otworem; a choć oko nie zdoła objąć tego, co widzi, myśl jednak człowieka tęskni za rozleglejszym widokiem. Stąd ta rzewna tęsknota krainy, która się w ludzie i w jego pieśniach rozlała. Nigdzie nie ujrzyć drzewa na właściwym stepie i tylko gęstą trawą porasta odłóg wieczysty. Jedyne wynioślejsze miejsca są liczne mogiły.

Odmiany, jakie się tutaj zresztą spostrzegać dają, powstają z wklęsłości i zapadlisk ziemi. Są to albo wądoły, suche kotliny, albo małe jeziora, bałkami zwane, czasem rzędem obok siebie leżące, czasami z osobna, bez własnej wody i widocznego odpływu. Brzegi tych jeziorzek są zwykle trziną i tatarskim zielem porośłe, lub ogromnemi kępami skrzypiu¹⁾ najeżone, a śniegi i deszcze zasilają kotliny wodą. Podobne kotliny i zapadliska, ale suchsze i płytsze czasami, ciągną się nieraz na milę wzdłuż stepów i porastają całe lasem pierzastej trzciny. Są to tak zwane oczerety, po których jak po kniejach całymi dniami polują i bładzą myśliwi. Szelest tych oczeretów, wichrem zamaconych, wydaje gwar osobliwy, ani z szumem borów ani z szumem wód nieporównany, ostry, szorstki, przykry, niekiedy przeciągły i rzewny, dziwnie zgodny z widokiem tej ziemi, z ojczyzną mogił.

W miejscach, gdzie się step widoczniej i naglej stacza lub ku rzekom przybliża, ciągną się tak zwane wyrwy, które są początkiem jarów i w jary częstokroć przechodzą. Tutaj urywa się ziemia i ciągną się głębokie, chłodne doły, a nagle ożywia się kraj. Zbocza tych jarów, miejscami nagie i skaliste, porastają rozkosznymi drzewami różnego rodzaju; zazwyczaj widać tu dęby i brzozy, jawory i brzozy, jesiony, lipy i klony czarne obok siebie rosnące, dereniami

¹⁾ Skrzyp, roślina paprociowa.

i leszczyną gęsto podszyte. U dna na wycięciu lub wklęśłości takich jarów, bije zwykle krynica i sączy się niekiedy ruczaj, a lud nazywa takie porosty mieszanego drzewa czaharami, bajrakami. Drzewa te są bujniejsze i większe, niż gdziekolwiek, a ciemna zieloność liści, która o sile roślinności świadczy, trwa jednostajnie świeża do późnej jesieni.

Piękna jest roślinność stepów na wiosnę. Dziki szparag i tulipan polny wykwłwa się z ziemi. W majowych trąbkach zwita pnie się trzcina do góry. Bujnie rośnie burzan i łoboda, ostro wystrzela oset; a gdy później trawa huknie, to trawy w pas, burzan wyżej głowy, a w bodiakach schowa się chłop na koniu i z dzidą, i jest do czego konia uwiązać.

W tej puszczy bodiaków, w tem morzu traw niezbrodzonych przeżywia się mnóstwo niepłoszonego zwierza i dzikiego ptactwa wszelkiego rodzaju!... Jak nad morzem przeciągają nad stepem łańcuchy żorawi. Tabun dzikich koni buja swobodnie. W trawach leżą woły stadami. Dropie gnieźdzą się w zbożach, a po jeziorkach tłucze się ptactwo. Lis przemyka po gęstwinie, a wilk kryje się w oczeretach. Tam wleciały kuropatwy, tu zerwał się z pod nogi zaspany puhacz stepowy. Na wznak przewrócone, zmrużywszy oczka, grzeją się pardwy do słońca, a na nie bije sokół z góry. Susły i chomiki ryją grunt nieuprawny. Czasami przemknie dzika koza (sumak) lub polna łasiczka i zginie w bodiakach. W stadach zbierają się stepowe kuliki i ciągną w żorawim szyku pustkowiem. Pod tarninką siedzi w miejscu gracz zając, a w wielkich kołach okrąża stepy orzeł zaporoski.

Wschodnie wiatry, panujące na stepie, przeciągłe są i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadymek. Rzadki dzień spokojny, tylko rankami i wieczorami ucisza się wiatr. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu, po wietrznym i burzliwym dniu. W czasie upałów letnich powiewa od wschodu wiatr spiekły, i cała noc nie wystarcza nieraz na wychłodzenie tej spieki. Kiedy po zupełnem uciszeniu się wiatru słychać tylko lekki szum trawy, a potem znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą, zda się, jakby z gorejącego pieca upał powionął. Zwierz szuka jamy, ptactwo sowieje, roztwiera dzioby i opuszcza skrzydła, a człowiek opada z sił i z myśli. Termometr wznosi się naówczas na 30°, a nawet 34° ciepła w cieniu.

Piękna jest noc na stepie! Czasami nad wieczorem uciszą się wiatry i tak spokojnie w powietrzu, iż nawet gwarliwe milkną oczerety. Głęboko roztwiera się niebo i jaśniej niż nad puszciami wyjaśnia się mleczna droga. Koń chociażby znużony, rzeźwi się chłodem i strzyże czujnie uszyma, a głucho na milę tętni ziemia pod kopytami tabunu. Słychać lot dzikich kaczek, wracających stadami z żeru na jeziorka. Szumnie wachlują lotkami wśród ciszy!... Za łupem lecą ziemne sowy i wrzasną czasami. Przepiórki biją w zbożach, bąk wodny huka po trzcinach.

Równo i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy; nisko, po krańcach tego okręgu, gasną ostatki zorzy zachodniej; a na krótkiej świętojańskiej nocy zaledwo zgasła na zachodzie, a już świta od wschodu i zda się, że się tej nocy jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła.

Mgły lekkie ślać się poczynają, gwiazdy blednieją, ognisko popieleje, koń grzebie pod sobą, śpiący step się trzeźwi... a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wichur stepowy od wschodu!

Szczególną ozdobą ukraińskiego stepu są rozsiane po nim tak zwane futory.

Są to małe zagrody, czasami wśród lasków sady, czasami pasieki, a niekiedy i kawałki ornego pola, w zaciszu uroczysk*), padolów lub jarów leżące, które po ustroniach zdala majaczej, przerywając jednostajność stepów... Co za widok, kiedy wiosną zakwitną futory! Jak mlekiem oblane bieleją się całe padoly: krajem rozrasta się krzewiasta czeremcha, najwyżej wystrzela czereśnia, najpotężniej grusza. Białą patokę, miód bodiakowy, składa pszczoła w małych ulach, a nad futorem wznosi się rankami i wieczorami dym błękitny z małego ogniska, nad którym się stary zadumał pasiecznik... Bywa tu zwykle i woda i zacisze i chłód; czasem bywają przy futorach i toki ze zbożem i stogi z sianem i koszary z bydłem pod gołym niebem. Czasem leży kilka, a nawet kilkanaście futorów w jednym lesie pomiędzy jarami. Przy każdym z nich są sady; kiedy sadowina na wiosnę okwitnie, wyglądają mleczne pląty z pomiędzy jałowej zieloności lasów i już z daleka policzysz naówczas futory!

Wincenty Pol.

*) Uroczysko, kopiec, miejsce graniczne, nieosiedlone.

64. Napad dzików.

Było to we wsi podgórskiej w ziemi sanockiej, podczas ostrej zimy. Śnieg spadł tak wielki, że dziki nie mogły się dostać w lesie do żeru, więc zgłodniałe spuściły się wielkiem stadem do wsi.

Słysząc było zrazu straszliwe ujadanie psów, które coraz bardziej cichło w miarę, jak się groźny nieprzyjaciel zbliżał; bo dziki wycięły nie tylko wszystkie psy w drodze, ale i trzodę chlewną; gdzie ją tylko poczuły w obejściu, rozburzyły chlewy w oka mgnieniu i pożarły trzodę. O obronie nie można tu było myśleć. Jeden odgłos dzwonów zdawał się na chwilę zatrzymywać stado. Dzwonica stała naprzeciwko dworu. Rzeczywiście zwróciły się dziki przed obejściem dworskim w bok, przeszły rzekę, a że z plebanii był już ślad do rzeki przetorowany, wpadły na dziedziniec plebanii całym stadem i tutaj się zatrzymały, znalazłszy w kopcach przeszło dwieście korcy ziemniaków. Ludzie w plebanii, przerażeni strasznym najazdem, uciekli na strychy i dachy. Przez cały dzień rozlegały się we wsi głosy, wołające ratunku, a dziki, rozłożywszy się po nawozach, leżały sobie spokojnie w barłogu.

We dworze miałem tylko dwie dubeltówki; ale co tu dwie strzelby pomogą na taki najazd całego stada dzików? Było wprawdzie kilkunastu gajowych i leśnych, ale tych śniegi oddzieliły od wsi; zresztą nie miałem żadnego wyobrażenia o tem, jakby w myśliwski sposób można radzić w takim razie.

Powiedział mi sołtys, że jeżeli kilkaset okłotów poświęcę, to może się uda odpędzić nocą dziki od wsi. Pozwoliłem na to bardzo chętnie.

— Ale, panie, trzeba się mądrze wziąć do tego, bo u księdza było tylko dwieście korcy ziemniaków w kopcach, a u nas jest ich przeszło trzy tysiące; jeżeli więc niemądrze ruszymy dziki, to się do nas spuszczą i zjedzą ziemniaki, skutkiem czego i gorzelnia stanie i woły niewypasione pognamy na targ.

Teraz dopiero ujrzałem całe niebezpieczeństwo położenia mego, bo nie byłbym nawet pomyślał o tem, że to był właściwy najazd dzików na ziemniaki, w których już późno w jesieni wielkie zrobiły szkody.

— Z plebanii — mówił sołtys dalej — nietrudno będzie ruszyć dziki, bo już tam oporządziły wszystko, więc i same tej nocy ruszą; ale cała sztuka, aby nie puścić tego najazdu napowrót do wsi.

Wypada tedy tak zrobić, że ja z gromadą zastąpię im drogę od dworu i rzeki, oparłszy się aż o dzwonicę, a pan z innymi ludźmi ruszysz dziki z miejsca. Przed wieczorem zbiorą się ludzie we dworze... Ale oto już idą, to przygotujemy tyki.

Tuż na ogrodzie dworskim stały tyki chmielne, w piramidy ułożone; rozebraliśmy jedną i wybraliśmy co najtęższe i najgładsze. Potem w kierunku, przez sołtysa oznaczonym, od dworskich ogrodów w poprzek rzeki ku dzwonicy, wyrobiono wołami szlak, na którym co ośm albo dziesięć kroków przygotowano po dwa okłoty, a prócz tego kilka kóp mierzwiastej słomy. Przez resztę dnia robiono gałki żywiczne, a nawet krajano stare wory, moczono je w żywicy i przywiązywano na końcu tyk jak chorągiewki. Na tej robocie upłynął prawie dzień cały.

Pod wieczór zeszła się prawie cała gromada do dworu. Z najtęższymi chłopami stanął sołtys na szlaku od granicy obejścia dworskiego aż do dzwonicy. Chłopcy obsiedli dachy, a gdy się już dobrze ściemniło, wzięliśmy wszystkie dworskie konie pod ludzi, zabraliśmy tyki ze smolnemi wiciami i ruszyliśmy ku rzece. Plebania leżała nad rzeką, na wysokim wzgórku, a droga do niej wiodła krótkim wąwozem pod górę.

Podjechaliśmy tedy, niespostrzeżeni przez dziki. Jeden z górali skrzesał ognia, a myśmy trzymali wszystkie nasze smolne tyki w kupie — i płomień buchnął od razu okazale w górę. Wąwóz był przez dziki dobrze utarty: ruszyliśmy więc cwałem i z wielkim hałasem w górę, trzymając w ręku owe płonące chorągiewki. Bardzo strwożone porwały się dziki z barłogu. Wtem padły cztery strzały celne. Dziki zbiły się w jedną wielką kupę na środku obejścia. Była to chwila groźna, bo duże samury wybijały się na czoło i zdawało się, że pójda na ogień przebojem. Lecz padły nowe cztery strzały i dwa zapalone kagańce rzucono na stado. Wówczas poczęły dziki fukać się i pryskać, samury rzuciły się w bok, wywaliły kilka płotów i ryły się w śniegach, wyszedłszy na pole.

Stado dzików przesuwało się powoli, co chwila stawalo i obracało się napowrót do ognia; rzucaliśmy tedy zapalone okłoty przed siebie. Ale dziki, nałożywszy nieco drogi, polem zwróciły się ku dzwonicy, chcąc się spuścić napowrót do wsi. Wtedy w mgnieniu oka, na znak dany przez sołtysa, rozgorzały owe okłoty i na kupach złożona słoma mierzwiasta i uderzono we wszystkie dzwony!...

Był to prześliczny widok zimowej sobótki, który mi wszelki niepokój i trudy poniesione nagrodził. Dziki, widząc, że się do wsi dostać nie mogą, zwróciły się w górę i poszły w lasy sąsiednie...

Założyliśmy tedy ogromne ognisko na dziedzińcu, a choć blisko była plebania, nie było obawy, aby się jaki budynek zapalił, gdyż dachy były zawalnymi śniegami pokryte. W dziedzińcu tedy plebanii i na szlaku przy dzwonicy czuwali ludzie i palili ognie przez noc całą. Nie żałowano także prochu i, ile go można było wystrzelać z dwóch dubeltówek, tyle go wystrzelano na ślepe strzały. Ja zaś udałem się z dwoma góralami, aby uspokoić proboszcza, bo lubo już od pół godziny gospodarzyliśmy w dziedzińcu, nikt z domowych nie dał znaku życia.

W. Pol.

65. Posąg świętej Barbary.

W okolicy miasta Kiele, na szczycie góry, zwanej Karczówką, wznosi się skromny klasztor OO. Bernardynów. Mały i ubogi kościółek nie odznacza się ani pięknnością budowy ani niezwykłością ozdób, ale blógi pokój ogarnia każdego, kto wstąpi w jego progi. Liczne wota świadczą też wymownie, jak wiele ludzi szukało tutaj pomocy i pociechy. Szczególnie mnogie są wota górników, bo dawniej około Kiele kwitło życie górnicze, a nawet sama Karczówka podminowana jest przez górników, którzy tu ołów i srebro wydobywali. Z tychto skarbów składano i kościółowi dziesięcinę, nie z przymusu, nie z prawa, ale dobrowolnie, z wdzięcznego serca. Pomiędzy wszystkimi wotami szczególnie odznacza się posąg św. Barbary, patronki górników, w bocznym mieszczący się ołtarzu. Cały ten posąg, który wraz z podstawą wynosi przeszło metr, wykuty jest z jednej sztuki rudy ołowiu przed trzystu laty, jak świadczy zachowany na nim napis. Ciekawą legendę opowiada lud okoliczny o początku tego posągu.

Nieopodal od Karczówki leży wioska Niewachłów, rozrzucona wśród gór i wąwozów. Uboga dzisiaj i rolnicza, przed dwustu kilkudziesięciu laty przedstawiała wcale inny obraz zamożności. Zamieszkiwali ją bowiem prawie wyłącznie górnicy, którzy z dziada, pradziada kopali w tych górach ołów. Wśród tylu pięknych i zamożnych domów wpadała w oko jedna uboga chata, już waląca się w gruzy. Nagie izby świadczyły o ubóstwie mieszkańców, a wiatr,

wiejący swobodnie przez szpary w ścianach i popsute okna, zdawał się urągać z ich nędzy. Liche tapczany, garstką słomy pokryte, stół stary i proste dwie ławy były prawie jedynymi tej chaty sprzętami.

W chacie tej mieszkał ubogi górnik Hilary Mała z liczną rodziną. Małe dzieci tuliły się do starej matki gospodarza, która, schorzała i znękana niedostatkiem, zdawała się być już bliską śmierci. Wielki a chudy biały kundel pilnował wrót domostwa, którego najlepszym stróżem była już teraz nędza.

Niezawsze jednak tak było. Rodzina Malów słynęła niegdyś w Niewachlowie z bogactwa i zamożności, której źródłem były bogate działy kopalniane w Karczówce. Nawet stara, waląca się chata obszernością swoją świadczyła o zamożności i dostatkach dawniejszych jej mieszkańców. Co było powodem zubożenia tej rodziny, nikt na pewne nie wiedział. Górnicy zabobonni twierdzili, że to była kara Boża na rodzinę Malów zesłana, bo dawniejsze ich dostatki miały pochodzić od złego ducha, z którym się Malowie znali w podziemnych pieczarach kopalni. Hilary wiedział o tych powieściach, ale mało na nie zważał, sam bowiem był pobożny i pracowity. Jakkolwiek bieda ciężko mu dokuczała, dotąd nie stracił ufności w Boga; a w złego owego ducha, rzekomo rodzinie jego życzliwego, nie wierzył.

Ale wreszcie nędza jego wszelką już przebrała miarę. W domu nie było ani grosza ani kawałka chleba, a mróz grudniowy ścisnął mu zbolące piersi i tamował oddech. Idąc do kopalni, tak rozmyślał:

— Co ja teraz nieszczęśliwy pocznę? Matka mi dogorywa, żona nie ma co do garnka włożyć dla pokarmienia biednych dzieci, nie mam nawet za co chleba kupić! Już siódmy dzień kopię i kopię, a nie mogę wydobyć ani jednej niecki kruszczu. Boże! zlituj się nade mną, bo mi już czarna rozpacz serce ogarnia.

Tak myśląc, przybył Hilary na brzeg górniczego szybu, zapalił lampkę i spuszczać się zaczął do kopalni. W miarę, jak ogarniały go coraz czarniejsze ciemności podziemia, posępniały i myśli Hilarego.

— Mówią ludzie, że niegdyś zły duch pomagał naszej rodzinie... Znam drogę do tego miejsca, które ma być jego siedzibą... Gdybym go wezwał?... Strach mię przejmuję na samą myśl o tem; ale cóż będę jadł nieszczęśliwy? czem pożywię dzieci moje?

Z temi myślami stanął Mała na dnie szybu. Postanowienie jego już było zrobione. Zamiast udać się w stronę kopalni, gdzie

zwykle pracował, szybko postąpił chodnikiem, od wieków już nie uczęszczanym. Przeprawa była niełatwa. Stosy drewnianych belek, które wspierały strop chodnika, podgniłe leżały w nieładzie; miejscami gruz zostawiał tylko tak małe przejście, iż trzeba było pełzać po ziemi lub torować sobie drogę hakiem górniczym. Mała jednak z coraz większym zapędem posuwał się dalej. Nareszcie po długich usiłowaniach, udało mu się przybyć do wielkiego szybu, nawpół już zwalonego. Obmokłe ściany wydawały wyziew wilgotny.

Hilary postawił latarkę na ziemię, a potem gwizdnął mocno, jakoby wzywał przybycia złego ducha. Duch się nie zjawiał. Hilary wziął tedy młot i uderzył nim silnie w ścianę raz i drugi i trzeci; głos przebrzmiał i znów głucho milczenie zalegało pieczarę. Naraz lekki ozwał się trzask. Hilary stanął, czoło mu pobladło. Trzask powtórzył się jeszcze silniejszy: i nagle światło zgasło, a Hilary uczuł, że jest powalonym na ziemię. Stracił przytomność. Jak długo w tym stanie zostawał, nie wiedział; ale gdy mu wróciła przytomność, powstał z pomiędzy gruzów, skrzesał ognia i zapalił lampkę — i ujrzał z wielkiem swoim przerażeniem, że wejście zupełnie zatarasowała olbrzymia masa skał, świeżo zwalonych. Patrzy i oczom swoim nie wierzy: poza ich obrębem błyszczą olbrzymie kawały kruszczu, odkryte upadkiem skały. Radością zabłysnęły mu oczy: skończy się jego niedola, wróci dawna zamożność!... Ale chwilę tylko cieszył się tym widokiem; straszna rzeczywistość stanęła mu przed oczyma: jak się wydobyć z zasypanej pieczary? żadnego znikąd ratunku! śmierć z głodu!

Teraz zrozumiał, jak ciężko zawinił, zwątpiwszy na chwilę w miłosierdzie Boże! Upadł więc na kolana i w gorącej modlitwie błagał Pana o przebaczenie za bluźniercze swe słowa, odkrytą zaś bryłę kruszczu ślubował poświęcić na cześć świętej Barbary, patronki górników.

Przez trzy dni okropne męczarnie cierpiał Mała w podziemiu. Bóg się jednak nad nim ulitował i zesłał mu pomoc w towarzyszach, którzy po największych wysiłkach zdołali go nareszcie odkopać. Z odkrytej bryły wykuto posąg świętej patronki i umieszczono go w kościółku na górze, a Mała, którego dalsze kopanie wzbogaciło i do dawnej zamożności powróciło, nie zapomniał już nigdy danej mu przestrogi i całe życie był pobożnym, wierzącym chrześcijaninem.

66. Modlitwa górników.

Boże! gdzie nigdy słońce Twe nie świeci,
Tam się spuszczaemy w głąb ziemi;
Na niej zostają nasze żony, dzieci —
Jak ojciec czuwać nad niemi.

Przyjmij łzę skruchy, przyjmij łzę pokuty,
Odpuść, ach odpuść nam, Boże!
Idziem, gdzie każda głębia, jar wykuty
Strasznym nam grobem być może.

Otul nas, Panie, skrzydłem Twojej pieczy,
Ukój ziemską bojaźń, troski;
Na pracę skazał cały ród człowieczy:
Spełniamy wyrok Twój Boski.

O! wlej w nas miłość, wlej nam ducha zgody,
Chęć wsparcia w każdej potrzebie,
Idziem na wspólne losy i przygody —
Bądźmyż i braćmi dla siebie.

Daj, by ten kruszec, któryś łask Twych cudem
W wnętrzościach ziemi tej złożył,
Naszym pocziwym wydobyty trudem —
Wdzięczność Ci świata pomnożył.

O! czuwać, Panie, czuwać nad wszystkiemi,
Wlej dobroć w serca zwierzelników,
Błogosław znojom oracza na ziemi,
Pod ziemią pracy górników!

Franciszek Morawski.

67. Jezioro stepowe.

Na rozległych stepach kirgiskich, leżących na pograniczu Europy i Azji, szczególniejszą uwagę zwracają na się liczne jeziora; ze wszystkich jednak najciekawszem jest jezioro Aralskie.

Inne jeziora stepów kirgiskich, zaopatrując nie tylko okolicznych mieszkańców, lecz nawet dalsze okolice w sól, zachwycają wędrowca niezwykłą grą barw; inne wody tych stepów rozweselają oko bodaj spłachciami uprawnej ziemi: jezioro Aral, po Kaspiku jedno z największych na świecie, które Rosyanie Sinem morzem nazwali, przedewszystkiem uderza smutną pustynnością i martwością

wybrzeży. Tylko u ujść Amu i Syr-Daryi więcej tu cokolwiek ruchu i życia; ale poza obrębem wielkich delt obu tych strumieni ścielą się już tylko szare równiny słone, spływające nieznacznie z zieloną powierzchnią wody. Również posępnie wyglądają i rozsiane gdzieś tam wysepki piaszczyste, odarte z wszelkiej roślinności, zasiane połyskującymi czerepkami muszel. Zachodnie wybrzeże faluje rzędami pagórków, usypanych z piasku, na północnym wznosi się widna już z daleka, wysoka, czarna grupa skał, Karatasz.

Gorzkawo-słona woda jeziora, sącząc się popod ziemię, zanieczyszcza nawet sąsiednie studnie i tylko wody z ujściowych ramion Amu i Syr-Daryi można od biedy używać do picia.

O południu najłżejszy oddech nie marszczy powierzchni jeziora, która gładka jak szyba szklana łączy się w mglistem oddaleniu z również martwym, bezchmurnym niebem. Im bliżej do wody, tem gorętszym staje się piasek: zawarta w nim sól błyszczy się i olśniewa oczy, tworząc rażące przeciwieństwo z czarno-brunatnymi smugami słonego namułu, który za każdym krokiem załamuje się i zalewa brudną wodą. Dalej ciągną się zeschłe w skwarze słonecznym zarosła trzcinowe, namuł staje się coraz rzadszy i płynniejszy, aż wkońcu przechodzi w wodę. Dokoła grobowa panuje cisza. Nawet ryby uciekają ze zbyt rozgrzanych wierzchnich warstw wody i kryją się w chłodniejszej głębi.

Ale wieczorem, gdy na wszystkich jeziorach stepowych największa panuje wrzawa, ożywia się i Aral. Gdy słońce skłoni się ku zachodowi, a ukośne jego promienie ozłocą rozpalone w dzień piaski, nawodzi się niebo krwawą barwą i wydaje się jakoby oświecone łuną pożaru. Od jeziora poczyną wiać lekki wiatr i szerzy wilgotny chłód dokoła. Ze wszystkich stron ściąga się wówczas długimi łańcuchami ptactwo na wodę: niżej bezładną kupą lecą kaczki, górą szybują w trójkąt uszykowane żorawie, przerywając żalosnym krzykiem głuchą ciszę, a przodem przed innymi sterują pelikany, odznaczające się mimo ciężkiego ciała lotem ciągłym, wysokim, lekkim. Nadlatuje tak stado za stadem, jedno liczniejsze niż drugie, machając z wysileniem znużonymi skrzydłami, gdyż przebyły setki kilometrów przez bezwodne pustynie, gdzie nie było nic, tylko suchy, gorący piasek. Instynktowo czują one wodę w pobliżu i śledzą bystrem okiem, aby dopatrzeć się kędyś na horyzoncie jej połyskującego zwierciadła.

Coraz niżej zapada słońce, już połowa jego wielkiej tarczy zanurzyła się w ciemno-fioletowym widnokręgu; wszystko płonie w czerwonym świetle wieczornem, a gładka powierzchnia wód żarzy się jak szyba rubinowa. Po rozżarzonej toni pływają, pluskają się, trzepocą i nurzają niezliczone masy ptastwa i już z daleka słychać świst, hukanie, kwakanie, gęgotanie, kłapanie i gruchanie tysięcy gardzieli i dzióbów i pluchtanie skrzydeł po wodzie. Po ławicach piaszczystych przechadzają się długonogie czaple, pelikany gromadnie łowią ryby na płytkich odnogach; jak żołnierze w czerwonych mundurach stoją flamingi rzędami, wszystkie razem jakby na komendę zanurzają w namul grube swe dzioby, a potem wyginają w tył węzowate szyje, aby przełknąć pochwyconą zdobycz. Nagle cała chmura tych pływających i brodzących ptaków zrywa się z ogłuszającym krzykiem i odlatuje na odleglejsze wysepki, spłoszona przybyciem dwugarbnego wielbłąda, który zbiegł kędyś z pastwiska, aby ugasić w jeziorze pragnienie, znoszone cierpliwie już może od dni kilku.

68. Piękny cały świat.

Piękny jest ten gaj,
Piękna jezior toń,
Piękny świeży maj,
Co roznosi woń;
Piękny jasny dzień,
Co blask złoty śle,

Piękny nocy cień
Na błękitów tle;
Piękny cały świat,
Piękny wzdłuż i wszerek,
Piękny każdy kwiat,
Każdy ptak i zwierz;

Piękny słońca wschód
I rumieniec zórz —
Świat jak jeden cud
Piękny wszerek i wzdłuż.

Adam Asnyk.

69. Skarbonka gliniana.

Niema zapewne nikogo, któryby nie znał skarbonek glinianych; pełno ich różnej wielkości na targach naszych i u każdego garn-carza. Ale może nie każdemu wiadomo, jaki to sprzęt nieoceniony, jakie to w niej źródło pomyślności znaleźć można za kilka groszy.

Skarbonka gliniana ma niepospolite zalety. Ona jest godłem wierności i wytrzymałości. W prostocie swojej zawstydza najpiękniejsze sakiewki i woreczki, najobronniejsze kufry i kantorki,

szkatułki i najściślej zawarte trzosi; zawstydziłby mogła może i ludzi. Grosza, raz jej powierzonego, nikt jej nie wydrze, chyba ją samą wprzód zniszczy; wierna do końca, dopóki jej bytu, dopóty nie wyda oddanego sobie skarbu; rozedrzeć trzeba to łono, ażeby wydobyć zawartą w niem tajemnicę. Skarbonka gliniana nie jest harda, ona zarówno grosz i dukat przyjmie; rzetelna, tyle odda, ile wzięła, nie nie uroniwszy; skromna, nigdy ani się nie nadyma ani nie wynosi; zawsze jednakowa, a jakby rozumną była istotą, im pełniejsza, tem mniej głośna. Nie sąż to nieocenione i niestety! mało naśladowane przymioty?

A teraz zważmy, jakie w niej znajduje się źródło pomyślności, jakie ona korzyści niesie tym, których przyjaciółką i towarzyszką domową się stanie; jak się odwdzięcza tym, którzy nabywszy ją, wiernie ją napełniają i dobrze strzegą i dopiero w ostatecznej chwili kończą byt jej bezinteresowny. Napatrzyłem się wielu takich przykładów, dlatego kilka z nich tutaj przytoczę.

Różne są czasy i pory w życiu człowieka; niejednostajnie koło fortuny się toczy; niezawsze słońce jednakowo świeci; komu dziś łatwo acz uczciwie pieniądze przychodzą, ten ręczyć nie może, czy podobnie za lat kilka dźiać mu się będzie; czy zdrowia wystarczy, czy inne jakie przeciwności nie zajdą. Tę uwagę zrobiło wcześniej dwóch moich znajomych, obrońca prawny i lekarz, kiedy w największej byli wziętości; każdy z nich kupił sobie glinianą skarbonkę; ograniczał ile możności wydatki swoje, a zbywające pieniądze powierzał tej wiernej przyjaciółce. Dziś obrońca, czując umysł spracowany, usunął się od mozolnego urzędu; żyje przyzwolcie z procentu od oszczędzonych funduszów; lekarz, widząc, że mu zdrowia ubywa, kupił piękną wioskę, w niej mieszka i leczy tylko włościan i domowych.

Znam matkę, która los i edukację czworga dzieci przypisuje glinianej skarbonce. Mąż jej był na zyskownym urzędzie i sypał pieniędzmi; chciał, żeby dzieci jego w zbytkach rosły, żeby zabawek i strojów miały podostatkiem. Inaczej myślała rozsądna matka. Skoro mąż chciał kupić co niepotrzebne dzieciom, ona pieniądze na to przeznaczone w skarbonkę chowała. Minęło lat kilkanaście, mąż umarł, zmieniła się fortuna. Z dochodów pozostałych wdowa ledwie utrzymać się mogła z dziećmi. Ale pieniądze zebrane posłużyły jej do ukończenia edukacji dzieci i dziś każde z nich ma byt uczciwy.

Znam pana, który rzadkie szczęście posiada: ma zawsze dobrych przyjaciół i już niejeden wyszedł od niego na człowieka; całą wdzięczność za to szczęście skarbonce glinianej winien. Przyjmując służącego, pokazuje mu ją i mówi: »Prócz zasług tobie regularnie płaconych, oznajmiam ci, że tu miesięcznie składać będę pewną kwotę pieniężną nie na imię twoje, ale na tytuł, jaki masz w domu moim: lokaja, woźnicy, kucharza i t. p. Jeżeli mi będziesz służył lat dziesięć, te pieniądze dostaną się tobie i będziesz mógł albo dalej służyć albo też odejść i coś dla siebie innego przedsięwziąć«. Ta nadzieja zbawienne sprawia skutki; służący garną się do niego, służą dobrze i długo.

Znam pewnego rozumnego człowieka, który ze skarbonki glinianej taki użytek czyni. Ma ludzkie i dobre serce, ale żebraków nie cierpi. Kiedy który naprzykrza mu się na ulicy, on z zimną krwią dobywa pieniądź z jednej kieszeni, ale zamiast dać go żebrakowi, do drugiej go kieszeni kładzie; przyszedłszy do domu, oszczędzone tym sposobem pieniądze wrzuca do skarbonki. Kiedy się dowie o jakiej prawdziwie nieszczęśliwej rodzinie, która żebrac się wstydzi, rozbija skarbonkę i daje jej uzbieraną sumę; albo też za pieniądze, próżniactwu odjęte, sposobi do pracowitego życia kilkoro dzieci ubogich, które teraz do szkoły posyła, później do jakiego odda rzemiosła.

Spis tych przykładów, którychby więcej przytoczyć można, przerywa mi następująca uwaga: człowiek sam jest jakby glinianą skarbonką; wartość w nim ukryta, to dusza; rozłucze śmierć naczynie, skarb w niej będący zostanie; a jeśli znaczny i rzetelny, nie zginie na wieki.

Klem. z Tańskich Hofmanowa.

70. Stańczyk.

(Podanie dziejowe).

Raz wyjechał był z Krakowa cały dwór królewski do Niepołomic, gdzie są wielkie bory i zwierza w nich huk. Tam tedy miano dla zabawy króla Zygmunta i królowej Bony polować na wielkiego niedźwiedzia, przywiezionego z Litwy. Wypuszczonego z klatki poszczwano psami. Ale niedźwiedź psy poszarpał i rzucił się na chłopów, co byli z oszczepami, potem na panów dworskich — niejednego przewrócił i podrapał, a nawet skoczył tam, gdzie Bona

stała. Gdy to królowa spostrzegła, dalejże w nogi; ale koń pod nią padł i królowa ciężko się stłukła. Rozżarte niedźwiedzisko rzucało się także i na błazna królewskiego, Stańczyka, ale go chłopci uratowali.

Ten tedy Stańczyk, po polowaniu, kiedy król śmiał się z niego, że uciekł przed niedźwiedziem, nie jak rycerz, ale jak błazen, odpowiedział: »Czyżto nie większe błazenstwo, mając niedźwiedzia w klatce, puszczać go na swoją szkodę?»

Wiele jest o nim dowcipnych powiastek.

Raz n. p. szedł sobie Stańczyk po Krakowie, ubrany po błazeńsku w różne pstre płatki. Co widząc chłopcy uliczni, zaczęli go gonić aż suknie z niego zdarli. Skarżył się Stańczyk przed królem; a kiedy król począł go żałować, odpowiedział: »Nie żałuj mnie, królu, ciebie bardziej obdzierają niż mnie; wszak niedawno wydarto ci znaczną posiadłość, a przecież nie skarżysz się na to wcale«.

Kto inny nie byłby śmiał tak powiedzieć królowi, chociaż to była prawda.

Raz znowu była między panami o tem mowa, jakiego też zawodu najwięcej jest ludzi? Gdy różni różnie utrzymywali, przytomny tej rozmowie Stańczyk rzekł, że doktorów. A gdy temu nikt wierzyć nie chciał, wyszedł Stańczyk nazajutrz na rynek krakowski, podwiązawszy sobie chustką zęby. Jaki taki z panów, spotkawszy znajomego Stańczyka, zaczyna mu doradzać najlepsze, jakie znał, lekarstwo na zęby. Natenczas Stańczyk, dobywszy tabliczki, niby dla napisania owego lekarstwa, zapisywał nazwisko każdego takiego nieproszonego lekarza; a ponieważ znany był w całym Krakowie, w kilku godzinach zebrał bardzo długi spis owych doktorów i wygrał zakład.

Łucyan Siemieński.

71. Lasy pierwotne w Ameryce południowej.

✓ Znając lasy pierwotne tylko z opisów, zupełnie mylnie miałem o nich pojęcie. Przedewszystkiem wielkie drzewa rosną w nich bardzo daleko od siebie, tak, iż nie tylko Indianie po wierzchołkach podróżować nie mogą, ale nawet wiewiórka zbiegać musi na ziemię, chcąc z jednego drzewa dostać się na drugie. Nieprzebyte gęszcz stanowi rzędkie podszycie, złożone w znacznej części z jedno- i dwurocznych traw i krzewów, mocno z sobą splecionych. Grunt cały

pokryty jest grubą warstwą próchna, mehu i liści, w którą się człowiek zapada co chwila. W takich warunkach podróż po lesie bez wydeptanej ścieżki należy do rzeczy najuciążliwszych; wobec niej skakanie po kępach na trzęsawiskach Litwy lub Polesia nazwać można zabawką.

Wilgoć i gorąco przyczyniają się do nadzwyczaj szybkiego wzrostu drzewa, które, dzięki temu, posiada rdzeń bardzo miękki, gąbczasty, niezdolny opierać się długo wpływowi powietrza. Niezmierna znowu obfitość pasożytów, okrywających częstokroć całe drzewo jednolitą powłoką od korzenia do szczytu, zabija je bardzo szybko, a wielkie mrówki dobijają je ostatecznie, tocząc w niem niezliczone galerye; stąd też drzewa grube są tu stosunkowo rzadkie. Codzień niemal słychać w lesie przy najzupełniejszej ciszy w powietrzu łomot walącego się olbrzyma. Natura trzebi te lasy staranniej, niż u nas zachłanni przedsiębiorcy, to też w niejednej puszczy naszej więcej znajduje się starodrzewia, niż tutaj pod równikiem.

Głównem znamieniem lasów amerykańskich jest nadzwyczajna w nich różnaitość drzew. Z wyjątkiem bowiem bambusów, tworzących większe jednolite zarosty, trudno znaleźć miejscowość, w którejby jakaś roślina wyłącznie panowała.

Pomimo całego uroku podzwrotnikowy las pierwotny ma swoje »ale«, zdolne niejednego od włóczęgi po nim odstraszyć. Nie mówiąc już o mgłę, prawdziwie londyńskiej, przez którą się słońca nieraz po tygodniu i więcej nie widuje, wiele innych przyjemności czeka tu podróżnika. Jedną z najdotkliwszych plag są drobniutkie, zaledwie gołym okiem dostrzegalne owady, które wciskają się pod skórę, najchętniej na stopie lub pod paznogciami, i sprawiają, jeśli się ich wczas nie wyjmie, silne zapalenia i owrzodzenia. Inne jeszcze choroby skórne czekają tu przybysza: najrozmaitsze wysypki, wrzodzianki i rany. Dość jest przejść się po lesie, aby być opanowanym przez którego z licznych tu świerzbowców, które jednak na szczęście wcieraniem spirytusu z łatwością się niszczą. Dodajmy do chorób powyższych febry zwykłe i żółte, reumatyzmy i wiele innych słabości, nawet nieznanym europejskiej medycynie, a będziemy mieli przybliżone pojęcie o wszystkich przyjemnościach, czekających podróżnika w lasach pierwotnych. Niepodobna pominąć jeszcze moskitów i mrówek. Pierwsze mają wielkie podobieństwo do komarów, z tą tylko różnicą, że jest ich kilka gatunków, zmieniających

się kolejno tak, iż jedne latają we dnie, drugie o mroku, trzecie zaś w nocy. Spać bez namiotu niepodobna.

Obfitość mrówek jest niezmierna. Dostają się one wszędzie i niszczą zapasy żywności i zbiory przyrodnicze z dziwną szybkością. Szczurów i myszy moc tu ogromna, chociaż dziwiłem się zawsze ich grzecznemu zachowaniu się; z wyjątkiem jednego ananasa, nie nam nigdy nie tknęły, nawet tak ponętnych dla nich rzemieni od siodeł i munsztuków.

Z pomiędzy ptaków główny charakter faunie nadają papugi. W niezliczonych stadach, z piekielną wrzawą unoszą się one nad lasem lub spadają na pola kukurudzy i drzewa, dojrzałym okryte owocem. Wieczorem z nad brzegu rzeki dolatuje przenikliwy wrzask »kubalan!«, »kubalan!« — wydaje go ptaszek z rodziny chróścieli. W sąsiednim lesie gwiżdże przeciągle kuropatwa; drugi ptaszek jakiś udaje świst lokomotywy. Na pobliskiej porębie, gęsto porosłej kwiatami, unoszą się kolibry wraz z rojem barwistych motyli. W gęszczu odzywa się melodyjny śpiew drozda, złożony z kilku dziwnie czystych, srebrzystych nutek. Drobną strzyżkę, ukrytą w nieprzebytym gęszczu, daje znać o sobie głośnym śpiewem. Skoro tylko się ściemni, odzywa się w oddali przeciągły gwizd olbrzymiego leleka lub sówka jakaś miauczy jak kot w pobliskiej baniarni, a na plantacye wychodzą z ukrycia czworonogie szkodniki, n. p. dziki i sarny. Wokoło domu krąży czarny kot, czyhając na kury i indyki, a tak bywa zuchwały, że wobec ludzi, za światła jeszcze drób w domu dusi.

Jaguary, niegdyś bardzo w tej okolicy liczne, dziś rzadko się bardzo pokazują. Podczas naszego pobytu jeden z nich krążył w okolicy, lecz go nam spotkać się nie udało. Opowiadano nam o pewnej okolicy, tak dalece przez jaguary zamieszkanej, że się żaden parobek w pobliskiej osadzie nie dawał nakłonić do pilnowania bydła, w niej hodowanego; ostatniego odważnego myśliwca, murzyna, który się na tę dobrze płatną posadę zgodził i zabił cztery jaguary, znaleziono po kilku tygodniach nieżywego obok trupa olbrzymiego jaguara.

Dziki chodzą stadami po kilkadziesiąt lub kilkaset sztuk razem, wielkie szkody wyrządzając w plantacyach trzciny cukrowej. Nie zaczepione, nie napastują człowieka, lecz mają zwyczaj po strzale krążyć czas jakiś w całym pędzie wokoło miejsca, gdzie do nich strzelano; jeżeli w tej wędrówce spotkają człowieka lub psa, w je-

dney chwili potną go na szmaty; lecz dość jest, ukryć się za drzewem lub stać o parę kroków na uboczu, ażeby być zupełnie bezpiecznym.

Pewien strzelec był świadkiem, gdy jaguar na te dziki polował. Czuł, widać, respekt przed nimi wielki, gdyż podążał za nimi w pewnej odległości, upatrując ofiarę; wreszcie spostrzegłszy małego warchlaka, który się odciął od stada, rzucił się nań i jednym uderzeniem potężnej łapy położył trupem, lecz w tejże chwili wskoczył na drzewo, oczekując na niem dopóty, aż całe stado, zakreśliwszy parę kółek w pobliżu zabitego towarzysza, z głośnym kwikiem znikło w zaroślach.

72. W głębi lasu.

... Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
 Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
 Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
 Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
 Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie;
 A koło mnie srebrzył się — tu mech siwobrody,
 Zlany granatem czarnej zgniecionej jagody,
 A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
 Strojne w brusznice ¹⁾, jakby w koralów paciorki.
 Wokoło była ciemność: gałęzie u góry
 Wisały, jak zielone, gęste, niskie chmury;
 Wieher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym
 Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem.
 Dziwny, odurzający hałas! — mnie się zdało,
 Że tam nad głową morze wiszące szalało.
 Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
 Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu;
 Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
 Tam gałęziste kłody tu wpół zgniłe tramy,
 Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
 Zajrzeć straszno; tam siedzą gospodarze lasu:
 Dzikie, niedźwiedzie, wilki. U wrót leżą kości
 Napół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
 Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
 Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie
 I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
 Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem,
 I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie
 Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie;

¹⁾ Brusznica, gatunek borówki.

Schował się, ale dzióbem nie przestaje pukać,
Jak dziecko, gdy schowane woła, by go szukać.
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera;
Chociaż tak osłoniła, dokoła spoziera;
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznica
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica,
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzime Dryada*).

A. Mickiewicz.

73. Jałmużna.

Szedł sobie ubogi dziadek przez wieś po prośbie i wstąpił do Błażkowej. Ale Błażkowa tak była skąpa i chciwa, że kawałka suchego chleba nie dała dziadkowi, jeszcze go ofuknęła i z izby wypędziła, nie dawszy mu nawet na drogę dobrego słowa, ażeby go Pan Bóg opatrzył. — Dziadek, nic nie powiedziawszy, szedł sobie dalej od chaty do chaty i, wyszedłszy od Błażkowej, zaszedł naprzód do jej sąsiadki Janowej. Janowa była to bardzo dobra i miłosierna kobieta: gdy jeno ujrzała ubogiego dziadka, zaraz ostatnie dwa kawałki chleba, dopieroco dla dzieci masłem posmarowane, od gęby im oderwała i dziadka nimi obdarzyła, dodając:

— Niech was Pan Bóg czem lepszym opatrzy! ja biedna, nie mam nic więcej w chałupie.

— Bóg zapłać, miłosierna kobieto; oby cię Bóg w dziesięcioro obdarzył, obyś twoje nagie ogarnęła dzieci i sama była szczęśliwą, a jak co zaczniesz dzisiaj robić, daj ci Bóg, abyś do zachodu słońca ledwie skończyła! — Tak mówił wychodząc staruszek.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać za błogosławieństwo! — dziękowała za odchodzącym Janowa, ale wszystkiego, co dziadek mówił, dobrze nie uważała ani nie rozumiała. Nie wiedziała też, że tym dziadkiem był święty Piotr apostoł, którego Pan Bóg zesłał na ziemię, aby zaglądał do chat wieśniaczych i zaniósł błogosławieństwo Pańskie tym, którzy są miłosiernego serca.

Było to już popołudniu, a dzieci jej nie jadły jeszcze obiadu ani na wieczrę nic jeszcze nie miała; nasza Janowa bowiem była

*) Dryady, nimfy leśne, bóstwa opiekuńcze drzew.

ubogą wdową i żywiła dwoje swych dziatki z ciężkiego wyrobku. Na wiosnę dostała była od swej bogatej sąsiadki Błażkowej trzy zagony lnu, za które przez wiele dni ciężko pracować musiała. — Len ten zebrała sobie, zmoczyła, wycesała, sprzedała i dała do tkacza, który jej z niego zrobił ze dwadzieścia łokci płótna. To chowała na zimę na koszule dla dzieci i dla siebie.

Kiedy więc po odejściu dziadka dzieciom z głodu aż na płacz się zbierało, przyszło jej na myśl, zanieść na sprzedaż do karczmarza z kilka łokci płótna i kupić chleba i soli. — Wzięła się więc do mierzenia swego płótna. Dzieci się uspokoiły, a ona mierzy i mierzy: co wyciągnie na łokieć, płótno mierzy się bez końca. Mierzy i mierzy — i tak trwało też to mierzenie aż do zachodu słońca. Ze swoich dwudziestu łokci tysiąc łokci namierzyła! Uradowana podziękowała naprzód Bogu, a sprzedawszy kilka łokci, posiliła dzieci i siebie. Na drugi dzień był jarmark w mieście. Janowa poszła ze swoim płótnem, a że było gęste i gładkie, sprzedawała dobrze, nakupiła przeróżnych rzeczy i wróciła jeszcze ze sporym workiem pieniędzy do domu. Niezadługo kupiła sobie dwie krowy, kawałek pola i łączkę, przyjęła czeladkę, chwaliła Boga i pracowała.

To szczęście Janowej kłuło w oczy Błażkową, a choć z sobą teraz często jadły i piły, a nawet się pokumały, Błażkowa nie była Janowej szczerą. Jednego razu przy kieliszku wódki dopytywała się Błażkowa Janowej, jakim też ona sposobem przyszła do swej chudoby i czeladki? A Janowa, nie ukrywając nic, wszystko jej wiernie opowiedziała: jak do niej po prośbie dziadek przyszedł, jak mu oderwane dzieciom od gęby dwa kawałki chleba dała, jak on jej błogosławił, jak dzieci z głodu płakać poczęły, jak ona płótno na sprzedaż odmierzyć chciała i jak z 20 łokci do zachodu słońca 1000 namierzyła.

Wysłuchawszy to Błażkowa, rzekła: »O moja kochana kumo, żebyście wiedzieli, jaka też to i u mnie czasem bieda; bo to i ja mam dzieci, a choć oboje z mężem pracujemy, to wszystko jeno się zje. O moja kumo, jeśli ten dziadek kiedy do was zajdzie, powiedzcie mu też, niech i do mnie wstąpi!« Janowa, wszystkim życzliwa, obiecała to uczynić; wycalaowały się obie, wyściskały i rozeszły.

W niespełna tydzień potem znów ten sam dziadek przez wieś przechodził i do Janowej wstąpił. Ona nie wiedziała, gdzie go posadzić; dziękowała mu, raczyła go i obdarzała, a gdy wychodził, prosiła

go, aby i jej kumy Błażkowej nie minął. Dziadek obiecał, wracając z drugiego końca wioski do niej wstąpić.

Gdy go Błażkowa z daleka przez okno ujrzała, nasmarowała swoim dzieciom po kawałku chleba, a kiedy dziadek we drzwi wstąpił, ona czempředzej poodrywała im chleb od gęby i dziadkowi go dała.

— Bóg zapłać — rzekł dziadek — abyś, zaczawszy co robić, do zachodu słońca ledwie skończyła! To rzekłszy, wyszedł. — Błażkowa, mając naszykowane płótno do mierzenia, już wyciągnęła z kąta łokieć i już mierzyć miała, kiedy dzieci pić zachciały i jej samej wielkie pragnienie dokuczać poczęło. Aby nie tracić wiele czasu, na jednej nodze pobiegła do źródła z konewką po wodę; ale gdy przyniosła jedną konewkę, coś ją ciągnęło pobiegnąć po drugą, dalej przyniosła trzecią, czwartą, dziesiątą; i tak do zachodu słońca bez potrzeby wodę nosiła.

74. Żebrak.

Noc była ciemna, zamieć, ślizgawica.

Szedł jakiś młodzian porządnie ubrany.

Wtem, jakby na złość, gdzie wązka ulica,

Stoi staruszek, okryty łachmany,

I żebrze. — »Wstydz się, czyż to żebrać pora?

Któżto jałmużny prosi wśród wieczora?»

— »Panie! po licu mojem spojrz wybladłem,

Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem«.

— »Ej! daj mi pokój, nic nie mam, nie mogę«,

Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.

Idzie i myśli: »Oj! znam was, filuci,

Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci:

Wziął lichą odzież, aby litość wzbudzić,

I lezie gwałtem, aby co wyłudzić«.

Idzie, znów myśli: »Można w gniewie zbłądzić,

Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.

A może biedny, może ma i dzieci?

Zajdę, gdzie w bramie tej ogień się świeci,

Dam mu co...« Zaszedł, lecz coś szukał długo;

»Nie mam nic drobnych... dam mu razą drugą...

Słabość jest zbytnią unieść się szczodrocią,

Nie takto łatwo nabywa się złoto«.

Idzie, znów myśli: »Choćbym dał dukata,

Niewielka dla mnie byłaby to strata;

Wszak mam ich kilka, a bez mej pomocy

Może staruszek ten i umrze w nocy.

Lecz gdzież już wracać? — spóźnię się na wiska...
Ale biednego tego głód przyciska...
Wrócę się! — Wrócił. Ledwie dał trzy kroki,
Umilkło, księżyc błysnął przez obłoki:
Bieży młodzieniec, dziwiąc się tej zmianie;
Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie.
Dał mu dukata. — »Ten, co rządzi w niebie,
Oby dla ciebie był też litościwy.
Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie...«
Westchnął i zniknął staruszek sędziwy.

Zdziwiony młodzian patrzy dookoła,
Lecz nic nie widać wśród nocnej ciszy:
»Któż jesteś, starcze?« — przełękły zawoła.
Wtem jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:
»Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie;
Oddam ci w sądu straszliwej godzinie.
Uważać każdy twój krok dobroczynny
Do mnie należy; lecz jest anioł inny:
Zbiera, co trwonisz, rozrzucasz daremnie;
Pomnij! by więcej nie zebrał ode mnie.«

A. Górecki.

75. Z życia lwa.

Zdawałoby się rzeczą niepodobną ułaskawić takie drapieżne zwierzę, jakim jest lew, a przecież naturaliści podają wiele tego rodzaju przykładów.

Już w starożytności Kartagińczyk Hanno oswoił lwa do tego stopnia, iż tenże towarzyszył mu wszędzie. Hanno skończył życie na wygnaniu; dla usprawiedliwienia wyroku sędziowie utrzymywali, że rzeczpospolita musi się lękać człowieka, który zdołał nawet srogiego lwa ujarzmić. Rzymianin zaś Antonius do swego wozu kazał lwy zaprzęgać. Fakta te okazują możność ułaskawienia dzikich zwierząt i dowodzą zarazem potęgi i siły moralnej człowieka.

Lew oswaja się istotnie jak pies i do tego stopnia przywiązuje się do swego pana, iż po długich nawet latach rozłączenia poznaje go z rysów twarzy i z dźwięków głosu.

Sławny uczoney niemiecki Brehm chował lwicę, zwaną Baszyda, która należała przedtem do pewnego afrykańskiego władcy. Został on jej zupełną swobodę; okazywała też względem niego żywe przywiązanie, przychodziła do łóżka budzić go pieszczotami, łąsiła się u nóg, posłuszna na każde skinienie pana. Baszyda igrała chę-

tnie ze zwierzętami domowemi, nie czyniąc im nigdy najmniejszej przykrości. Często, udając zasadzkę, rzucała się na wskazaną jej osobę, jednak nie uczyniła jej nigdy nic złego; raz tylko przypadkiem, i to podczas zabawy, zadusiła małpę. Brehm odbywał z nią dalekie podróże; w Kairze, ku wielkiemu zdziwieniu mieszkańców miasta, przechadzał się z lwicą po rynku. Wróciwszy z Aleksandryi do Europy, pozostawił ją w Berlinie, udając się w dalsze podróże. Gdy po upływie dwóch lat przybył ją zobaczyć, poznała go od razu i żywą z tego powodu okazywała radość.

Niemniej godnym uwagi był lew, trzymany w menażeryi muzeum paryskiego razem z psem, z którym się nawet zaprzyjaźnił. Lew ten, pochodzenia afrykańskiego, posiadał wszystkie szlachetne cechy swego rodu. Względem psa okazywał jak najczulsze przywiązanie. Zresztą poważny charakter króla pustyni przystawał wybornie do wesołego zawsze humoru i szczerości współtowarzysza niewoli. Często pies przyczepiał się do jego grzywy, chwycił go za uszy, wyprawiał harce po grzbiecie kolegi, który cierpliwie schylał głowę, niewiele obruszając się na te, niekiedy bolesne żarty. Przyjaciele na jednym sypiali łożu i dzielili wszystkie przyjemności życia, zapominając o niewoli. Gdy w zwykłej godzinie podawano im pożywienie, każdy, wzięwszy swą porcję, oddalał się w kąt przeciwległy dla jej spożycia; żaden nie rzucał łakomym wzrokiem na ucztę sąsiada. Kto pierwszy jadło spożył, w milczeniu oczekiwał, aż drugi jeść skończy. Jednego wszakże dnia nieroztropny dozorca porcję mięsa, dla lwa przeznaczoną, psu rzucił. Pokrzywdzony zwraca się naturalnie po odbiór do towarzysza, ale spotyka ostre zęby, gotowe siłą bronić zdobyczy. Lew ustąpił; widocznie miał pies nad nim jakąś przewagę. Podobne sceny powtarzały się, gdy kto ze zwiedzających menażeryę rzucił chleb lub mięso do klatki. Pies porywał zwykle te przysmaki, a pokrzywdzony lew zamiast przyjacielskiego podziału zdobyczy odbierał niekiedy razy tak ciężkie, że krew mu z ran płynęła. Wtedy jednak poprzestawał na odtrąceniu łapą samoluba. Zajścia te w niczem nie osłabiały ich przyjaźni.

Atoli znikome jest szczęście ziemskie: pies ciężko zachorował i życie zakończył. Po stracie przyjaciela lew popadł w smutek, graniczący z rozpaczą; ryczał, rwał się, nie przyjmował pokarmu i opadł widocznie na siłach. Właściciel menażeryi obawiał się, ażeby lew nie padł ofiarą smutku; wyszukał więc innego psa, tego samego

co poprzedni gatunku i takiej samej maści. Przyprowadzono go przed klatkę. Lew powstał, oczy mu dziwnym błysnęły żarem, wydał straszliwy i przeciągły ryk i rzucił się na kraty, jakby chciał klatkę zdruzgotać. Rozumiano, iż te wybuchy gniewu lwa pochodzą stąd, iż ujrzał swego ulubieńca w rękach osób obcych; coprędzej puszczaono psa do klatki. Złudzenie nie trwało długo; rozjuszony zwierz w jednej chwili skoczył i zdusił w pazurach nowego towarzysza. Odtąd nie próbowano już tego rodzaju pokuszeń; widocznie lew nie żałował psa, ale przyjaciela. Czas, leczący wszystkie smutki, powrócił mu siły i spokój, lecz nie zatarł całkiem wspomnień bolesnych. Odtąd nie mógł nigdy znosić widoku psa; wspinał się na dwóch łapach i ryczał, dopóki drażniącego go zwierzęcia nie usunięto.

76. Lew i zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
Był dyskurs, jaki przymiot w zwierzu doskonały.
Słoń roztropność zachwalał, żubr mienił powagę,
Wielbłądy wstrzemięźliwość, lamparty odwagę,
Niedźwiedz moc znamienitą, koń ozdobną postać,
Wilk staranie przemyślnie, jak zdobyczy dostać,
Sarna kształtną subtelność, jelen piękne rogi,
Rys odzienie wytworne, zając ręce nogi,
Pies wierność, liszka umysł w fortele obfity,
Baran łagodność, osieł żywot pracowity.
Rzekł lew, gdy go się wszyscy o zdanie pytali:
•Według mnie ten najlepszy, co się najmniej chwali•.

Ign. Krasicki.

77. Karol Chodkiewicz.

Uroczystym był dzień dla uczniów wileńskich, w którym król Stefan Batory, znakomity wojownik, w towarzystwie hetmana Jana Zamojskiego i innych znakomitych panów, przybywał w mury szkolne, ażeby zwiedzić je i obecnością swoją do nauk i pilności młodzież zachęcić.

Z dobrocią odzywając się do powstałych na jego przybycie młodzieńców, spoglądał Batory na te niedorośle szczepy, na których przyszłe państwa spoczywały nadzieje. Przypatrując się tym twarzom świeżym i wesołością tętnącym, król z rysów ich i blasku

spojrzenia starał się odgadnąć przyszłość niejednego z tych na wpół jeszcze dzieci.

W ten sposób przechodząc, zatrzymał się Stefan przed młodzieńcem, którego otwarte oblicze i wysokie czoło wskazywały wielki i przedsiębiorczy umysł, a żywe i przenikliwe spojrzenie zdawało się tchnąć geniuszem. Chwilę z zajęciem spoglądał nań król, potem z ojcowską poufałością, opierając rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Jak się nazywasz, chłopcze?

— Karol Chodkiewicz — odpowiedział niezmieszany młodzian.

— Podobałeś się nam — rzekł dalej Batory — ucz się, bądź pilnym, a zrobimy cię człowiekiem.

Uradowany łaskawością monarchy Chodkiewicz, nie umiał słowa odpowiedzieć i podaną mu przez króla rękę przycisnąwszy do ust, z żywym uczuciem po kilkakroć ucałował.

— Bądź zdrow — dodał oddalając się król — a pamiętaj o dobrej radzie naszej.

Kiedy zaś o tyle odsunął się od Chodkiewicza, iż ten go usłyszeć nie mógł, raz jeszcze zwracając się ku niemu, rzekł do Zamojskiego:

— Zobaczysz, hetmanie, że ten chłopiec kiedyś znakomitym mężem i wielkim rycerzem będzie.

Spełniły się wieszczę słowa Stefana Batorego. Karol Chodkiewicz po opuszczeniu collegium, odznaczając się bystrością umysłu i odważnem sercem, przebiegł w ciągu lat kilkunastu niższe wojskowe stopnie, otrzymał nakoniec senatorski urząd żmudzkiego starosty, a w roku 1604. mianowany został hetmanem litewskim. Niejedno też świetne odniósł zwycięstwo w obronie ojczyzny, a najgłośniejszą zjednał sobie sławę pokonaniem króla szwedzkiego pod Kirchholmem.

78. Dwór szlachecki.

Nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się z daleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi

Uzątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów,
Orzących wcześniej łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek —
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama, nawcięż otwarta, przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek
I, obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu; konie porzucone same,
Szczypiąc trawę, ciągnęły powoli przed bramę.
We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto.
Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział: bo w dalekiem mieście
Kończył nauki — końca doczekał nareszcie.

Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się zabawiać lubił od powicia;
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały,
I też same portrety na ścianach wisiły.
Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał, u wejścia alkowy;
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.
A na oknie donice z pachnącemi ziołki:
Geranium, lewkonია, astry i fijołki.

Podróżny stanął w jednym z okien; nowe dziwo:
W sadzie, na brzegu, niegdyś zarostym pokrzywą,
Był małeńki ogródek, ścieżkami porznięty,
Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty.
Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płotek
Połykał się wstążkami jaskrawych stokrotek;
Grządki, widać, że były świeżo polewane —
Tuż stało wody pełne naczynie blaszane.

A. Mickiewicz.

79. Łowy na wilki.

Sandomierskie — sławne pszenicą, co nieraz i zamorskie ludy żywiła — ma góry i lasy, które dawniej były większe i gęściejsze, nim chciwa zysku ręka, uzbrojona toporem, zaczęła wycinać stare olbrzymy. W tych puszczach rozległych i ciemnych, chłodnych i wilgotnych, gnieździły się stada jeleni, sarn, dzików, niedźwiedzi i wilków.

Owóz o małą milkę od takiego boru wznosił się dwór z modrzewia, z wysokim gankiem. Ogród ocieniały odwieczne lipy, a parkan wysoki ogradzał go wokoło.

Nadeszła zima śnieżna i mroźna. Chwymano wiele wilków w doły, ale mimo to ukazywały się stadami pod ogrodem dworskim i wiejskimi opłotkami. Zuchwale wpadły raz nawet na dziedziniec i porwały Januszowi, staremu myśliwemu, który ten dworek zamieszkiwał, dwa duńskie brytany. Stary polecił więc zbudować ogromne sanie, a synowi swemu Czesławowi kazał sprosić sąsiadów na *łowy z prosiakiem*. Na drugi dzień po Matce Boskiej Gromnicznej zjechało się ośmnastu myśliwych z sąsiedztwa. Sanie były urządzone z ławami, na których siedzieć wygodnie mogli; z tyłu siedzenie wygodne dla strzelca, który gniótł prosię, ażeby kwikiem swoim przywabiało wilki; tymczasem na długim sznurze przywiązana wiązka grochowin i wleczona po ziemi, zwodziła łakome zwierzę, jakoby sama była smacznym kąskiem, za którym biegał. Do sani zaprzężono cztery chyże konie ze stajni Janusza. Każdy z myśliwych opatrzony był w dubeltówkę i w parę pistoletów; za poradą starego strzelca wzięto też na sanie kilka sztuk broni nabitej na zapas.

Z wesołym okrzykiem i szczęśliwą wróżbą ruszyła ochocza drużyna myśliwych, wypiwszy niemało wina na pożegnanie i za zdrowie gospodarstwa. Janusz przyklepił do sani obrazek św. Sebastjana, patrona myśliwych, przeżegnał ich kordelasem¹⁾, a sam dla podszłego wieku zostając w domu, dał synowi swój celny sztuciec. Kierował wyprawą stary strzelec dworski.

Żwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu, gniecionego ciężkimi i kutymi saniami, i przerywany kwik prosięcia ogłaszały przejazd tej zbrojnej, radosnej czeredy. Janusz z żoną, wyszedłszy za bramę, ścigali ich oczyma i kazali bardzo sutą przygotować wieczerzę.

¹⁾ kordelas, nóż myśliwski.

Im bliżej dojeżdżali myśliwi do lasu, ustawała gwarna z początku rozmowa, a jej miejsce zajmowała ciekawość ujrzenia dzikiego zwierza; mieszało się nieco i obawy, bo stary a doświadczony strzelec opowiadał smutne powieści, które wszystkich czoła zachmurzyły. Treścią ich właśnie była śmierć odważnych myśliwych, którzy z podobnym jak oni wybrali się wabikiem na wilki.

— Jakże to było? — zapytało wielu razem. Ale strzelec nie odrzekł słowa; w tejże chwili szybko podniósł się z ławy i spojrzał w około. Śnieg drobny a gęsty nie dozwalał daleko dojrzeć; nagle odwrócił się i, jakby odpowiadając na pytanie, rzekł ponuro: »Jak było, tak będzie« i wskazał palcem. Wśród śnieżnej zamieci z początku nie myśliwi dojrzeć nie mogli.

— »Co ci się przywidziało, stary! Ot, śnieg na polu roztajał, to czerni się ziemia« — zawołał Czesław, wpatrując się pilnie.

— »Widzicie to pole?« — mówił z cicha strzelec — »to nie pole, jeno taka ćma wilków, stado, jak pole długie i szerokie. Już nas zwietrzyły. W konie! w konie! bo inaczej zginiemy wszyscy!«

— »Strzelać« — odezwali się niektórzy; — »przecież tyle ludzi i broni«.

— »Cicho« — zawołał z gniewem strzelec; — »usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać. Strzelać! strzelać! wołacie, a cóż będzie z tego? zabijesz pięć albo dwadzieścia, a sto rzuci się i pożre«.

Wszyscy na groźne starego strzelca słowa posiadali na ławach; konie, jakby poczuły niebezpieczeństwo, w chyżym biegu zaledwie dotykały ziemi.

— »Jeżeli dostaniemy się prędzej na otwarty gościniec, ocaleńsiemy! Rachujcie teraz panowie wilki, co to się wam ich strzelać zachciało«.

Czesław spojrzał. Co zdawało się z daleka wśród zamieci śnieżnej kawałkiem pola, była to gromada burych wilków: szły w gęstej masie, kilka tylko wybiegło naprzód. Oczy zgłodniałych i zjadłych wilków przy zmroku coraz większym błyskały ogniem.

Czesław usiadł na jednej z strzelcem ławie, a ten z cicha rzekł do niego:

— »Tego wilka, co go najbliżej widzicie, zabić nie trudno, ale ten chyba strzeli, który chce, by kości jego święta ziemia nie przykryła, lecz żeby je zeszczerciły zęby wilcze«.

— »Czemu?« — zapytał Czesław.

— »To wilczyca, którą gdybyśmy zastrzelili, wilki wpadłyby w tem większą wściekłość«. Tu przestał i nagle odwrócił głowę ku woźnicy; widać było na twarzy jego przestach, usta zsiniały. »W konie! na rany Chrystusowe, w konie!« zawołał. Dobył korde-lasa, ścisnął mocno ryj prosięcia i przebił od razu; nie było słyhać najmniejszego kwiku. Uniósł się z ławy, a widząc, że już blisko szeroka droga do wsi prowadząca, wysadzana lipami, których jeno suche, nagie konary sterczały, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosię i z zamachem daleko wyrzucił z sanek.

Wilczyca najbliżej pędząca zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać; przyskoczyło więcej wilków, ale śnieżycą nie dozwalała rozpoznać, jak się dzieliły tak drobnym dla nich łupem.

Wszyscy, przeziębli od mrozu i wiatru, nadto strachem zdjęci na widok grożącej im śmierci, wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niej wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica z cicha rzekł: »Już widać we wsi dzwonicę«.

Strzelec wtedy wstał na nogi, obejrzał dubeltówkę: »No, panowie! jeszcze dla nas nie wybiła ostatnia godzina, lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilkom, choćby to był mój brat rodzony! A teraz, Macieju, — zawołał na woźnicę — co koń wyskoczy!«

I woźnica trzasnął silnie biczem, a dzielne bieguny wyciągnęły się, prawie brzuchem dotykając ziemi; leciały jak na sokolich skrzydłach. Wiatr donosił szczekanie psów ze wsi, świeciły ognie przez małe okienka chatek: wystraszeni łowcy wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki od dubeltówki i zawołał: »Panowie, który może, do mnie niechaj się obróci i ognia razem!«

Zadrżała ziemia od huku strzałów, po nich usłyszano głucho wycie wilków.

»Ognia znowu!« — krzyknął strzelec; i tak raz po raz rozlegały się strzały.

Już blisko byli opłotków, a goniące stado wilków ani się na chwilę nie zatrzymało. Psy ze wsi całej, jedne na dachach chlewów i obór, drugie skryte po izbach, żałośnie wyły; zuchwalsze, które się przed domem pokazały, w oczach myśliwych rozszarpane zostały bez znaku. Leciały sanie przez wieś, grzmiąc wystrzałami.

Janusz ze swą małżonką siedzieli przed ciepłym kominem. Co przed chwilą brali za poświst burzy, teraz rozpoznali, że to strzały. Sędziwa niewiasta zaczęła płakać, Janusz porwał za strzelbę i z domownikami wybiegł na ganek. Patrzy: sanie z myśliwymi już są na dziedzińcu, skąd tak radośnie i wesoło wyjeżdżali. Wszyscy wyskakują z nich co żywo, wpadają na ganek, biegną do domu. Cofa się z nimi przerażony Janusz. Zatarasowano podwoje, stado wściekłych wilków napełniło podwórze. Maciej, woźnica, tyle był przytomny, iż odciął koniom postronki, ażeby w stajni znaleźć mogły ochronę, sam zaś po drabinie wdrapał się na dach dworski. Ogromne brytany i kondle, wyżły, gończe, charty, przeszło dwadzieścia psów, wszystkie w jednej chwili zostały rozszarpane. Strzelcy i domownicy rozstawili się w oknach i ciągłym ogniem razili wściekłych napastników.

Blizko dwie godziny grzmiały wystrzały. Wreszcie księżyc zmrok rozjaśnił, zaiskrzyło się niebo gwiazdami i znowu wrócił spokój do tego domostwa. Naniecono duży ogień na kominach, Janusz kazał zastawić wieczerzę i sam pierwszy wypił za zdrowie strzelca, któremu wszyscy winni byli ocalenie. Uderzyła godzina spoczynku. Na sianie spali strudzeni myśliwcy jak po łaźni. Równie ze świtem już zerwał się Janusz. Mało nie płakał po stracie tylu psów ulubionych, ale wkrótce pocieszył się widokiem zabitych wilków, których zębami kazał ozdobić rząd na konia i podarował go Czesławowi w dzień imienin na pamiątkę, że szczęśliwie uszedł z tak groźnych łowów.

33. Wilczki.

Pstry jeden, czarny drugi, a bury najmniejszy.

Trzy wilczki wadziły się, który z nich piękniejszy.

Mówił pierwszy: »Ja rzadki!«

Mówił drugi: »Ja gładki!«

Mówił trzeci: »Ja taki, jak i pani matka!«

Trwała zwadka.

Wtem wilczyca nadbiegła.

Gdy w niezgodzie postrzegła,

»Cóżto — rzecze — same w lesie

Wadzicie się?«

Więc one w powieść, jak się rzecz działa.

Gdy wysłuchała:

»Idzie wam tu o skórę — rzekła — miłe dzieci,

Która zdoła, która szpeci;

Nasłuchałam się tego już to razy kilka;
Nie przystoi to na wilka
Wcale;
Ale
Jak będziecie tak w kupie
Dysputować się głupie,
Wicie, kto nie zbłądzi?
Oto strzelec was pozwie, a kuśnierz osądzi.

Ign. Krasicki.

81. Dobroczynność Skargi.

Do najślawniejszych ludzi w XVI. wieku w Polsce należał Piotr Skarga, znakomity kaznodzieja, mąż uczony i światły pisarz, który prócz wielkich przymiotów umysłu, posiadał jeszcze duszę szlachetną i serce anielskie. Lubo był kaznodzieją nadwornym króla Zygmunta III., jednakże prowadził życie bardzo skromne. Izdebka, którą zamieszkiwał, nie tylko ubogą, lecz nędzną nawet była.

Pewnego razu jadąc do Lwowa, zatrzymał się w małym jakimś miasteczku i ujrzał koło jednego z domów zbiegowisko. Zapytawszy o przyczynę, dowiedział się, że egzekutorowie zajmują właśnie rzeczy jakiegoś ubogiego rzemieślnika, ojca rodziny, który wskutek choroby zadłużył się i swemu wierzycielowi długu uiścić nie mógł.

— Ileż wynosi dług? — zapytał Skarga.

— Sto dukatów — odpowiedziano mu.

Skarga nic nie rzekł, kazał jechać dalej, a gdy oddalili się nieco od domu tego nieszczęśliwego, zawołał wówczas na woźnicę, aby się zatrzymał. Potem dobył z woreczka sto dukatów i rzekł, podając je woźnicy:

— Wróć tam, gdzieśmy się przed chwilą zatrzymali, i kup za tych sto dukatów pierwszy lepszy przedmiot, jaki sprzedawać będą.

Woźnica śpiesznie wykonał rozkaz. Właśnie gdy przybył na miejsce, sprzedawano jakiś stary stolik o trzech nogach.

— Daję za niego sto dukatów — zawołał woźnica.

Wszyscy spojrzeli z niedowierzaniem, niektórzy nawet głośno się roześmiali, inni szeptali: To pewno obłąkany!

Lecz jakież było ogólne zdumienie, kiedy nieznany nikomu przybysz w chłopskim ubraniu posunął się naprzód i powtórzył znowu: Daję sto dukatów!

Mówiąc te słowa, położył na stół potrzebną sumę na zaspokojenie wierzyciela. Dług w jednej chwili był zapłacony, a nieszcześliwy ojciec, który już myślał nad tem z rozpaczą, gdzie dzisiejszą noc z dziećmi przepędzi, co im do ust poda, ujrzał się niespodzianie wybawionym od nędzy.

82. Święty Jacek.

Koło Krakowa, w rozkosznej dolinie,
Gdzie Wisła nasza srebrną wstęgą płynie,
Leży Kościelec, wieś piękna, wesoła.
Sady i niwy wieńczą ją dokoła,
Na których Mazur, kmiotek pracowity,
Owoc swej pracy zbiera, snop obfity,
Tam ludek żyje wesoły, zamożny,
Bo pracowity, trzeźwy i pobożny.

Było to właśnie pod wieczór soboty;
Dojrzewał w polu kłos pszeniczki złoty,
A jęczmień, ostrym wąsem najeżony,
Na sierp czekając, pokrywał zagony.
Już gospodarze sprzątają stodoły,
Parobcy jarzma gotują na woły,
Dziewczęta hoże przy głośnej gawędzie
Pachnącą rutę zbierają po grzędzie;
A w chatce, stojąc przy dymnym kominie,
Prostą wieczerzę warzą gospodynie.
I cała wioska krząta się tak żywo,
By w poniedziałek już rozpocząć żniwo.

Lecz o jak płonne są ludzkie nadzieje!
Jutro zapłacze ten, kto dziś się śmieje.
Boskich wyroków nikt zgłębić nie zdoła:
O wiosko! dzisiaj szczęśliwa, wesoła,
Ty doznasz wkrótce, na jakie odmiany
Człowiek w tej życia pielgrzymce skazany.

Wicher się nagle od północy zrywa
I błękit nieba chmurami pokrywa.
Runął grom; niebo i ziemia zadrżała,
A grad rozdartą chmura wysypała.
I leci z szumem, trzaskiem i hałasem
I ścina kłosa, ach! ścina przed czasem.
Zabłyśnął dzionek i niebo się śmieje,
Ale na ziemi już znikły nadzieje.

Łzom gorzkim radość ustąpić musiała,
Kiedy na pole wyszła wioska cała.
Sąsiad sąsiada żałośnie się pyta:
»Gdzież ma pszeniczka?« — »Ach! tutaj... wybita,
Bo ją moc Boska przed czasem złamała
I sierpów naszych już czekać nie chciała«.

A gdy tak wszyscy już wkoło dumają
I łzami kłosa złamane zlewają,
Pan wójt gromady z posiwiąłym włosem
Takim do wszystkich odzywa się głosem:
»Słuchajcie tylko, słuchajcie, gromada!
Tutaj już żadna nie pomoże rada;
Lecz Bóg w tej ciężkiej pocieszy nas biedzie —
Oto ksiądz Jacek wprost tu do nas idzie!«
— »Ksiądz Jacek!« wszyscy radośnie krzyknęli,
Z uszanowaniem czapki z głowy zdjęli.

»»Czegóż tak smutni pobożni wieśniacy?«
— »Ach, księżu, patrzaj, owoc naszej pracy
Oto tu leży — potłuczone zboże.
Już nikt nam więcej dopomódz nie może.
Ach, cóżto teraz dźiać się będzie z nami
I co z biednemi poczniemy dziatkami!«
— »»Ach, ludku Boży! kto się Boga boi,
Takiemu rozpacz nigdy nie przystoi;
A gdy was ciężka dziś trapi niedola,
Rzeknijmy razem: Stań się Twoja wola!«
I rzekł i westchnął, na kolana pada,
A z nim przykleka i cała gromada:

»»Wszchemocny Boże, wiekuisty Panie!
Daj, niech to zboże stłuczone powstanie;
Jakoś zasmucił, pociesz lud twój wierny,
Pokaż, o Boże, żeś jest miłosierny!««

Rzekł i ku ziemi korne chyli czoło.
Wtem wójt z przestrachem: »Cud!« krzyknął; wokoło:
»Cudo! — powtarza gromada zdumiała —
Jakiego jeszcze ziemia nie widziała!
Wszakże w radości nie myli nas oko?
Ach, nie, nie! Kłosa wznoszą się wysoko
I każdy kłosek, ze zdźbłem swem spojony,
Piękniej niż pierwej pozłocił zagony.
Ach, księżu Jacku, wszakto prośby wasze
Gradem złamane wzniosły kłosa nasze!«

— »Nie mnie, lecz Bogu niechaj będzie chwała!
To, co widzicie, moc Jego zdziałała«.
I to wyrzekłszy, lud pobłogosławił
I do Krakowa Wisłą się przepawił.

K. Antoniewicz.

83. Morze.

Temu, co nigdy nie widział morza, przedstawia ono widok uderzający. I nie dziw; bo ilużto ludzi, udawszy się po raz pierwszy ze swojej rodzinnej wioski do miasta, podziwia rzeczy nieznane, niewidziane w swojej okolicy. Dla nich i niezwyklej wielkości staw i rzeka większa już są uderzającym zjawiskiem. Cóż dopiero, kiedy ujrzą bezmiar morza z jego ogromnymi bałwanami!

Stoimy tedy nad przestrzenią nieobjętych okiem toni wodnych, których ogrom uderza szczególniej patrzącego na nie z wysoka. Szare, modre, zielone lub jasno lśniące się ich przezrocza, obok których każda woda słodka wydaje się mętną, ciągną się aż do końca widnokręgu tak, iż niebo zdaje się na nich opierać. Gładkie jak zwierciadło lub też zwijające się w pienne fale, wody ciągną się w odległość bez końca i żadna góra, żaden pagórek, żadna wyniosłość nie przerywa jednostajnej ich powierzchni. Choć w zupełnym spokoju, podnoszą one z głuchym szumem, jakby z przytłumionym rykiem, swoje ogromne fale, z którymi nie dadzą się porównać fale żadnej, choćby nawet wielkiej rzeki, żadnego jeziora. Falami temi rozbijają brzegi wysokie, a zalewają na daleką przestrzeń nizkie.

Lecz oto zawał silny wiatr i ożywiły się te niezmierne przestrzenie. Coraz wyżej podnoszą się wzbijane od wiatru bałwany, coraz głębiej rozwierają się pomiędzy nimi rozdoły. Góry wodne wznoszą się tak wielkie, jak miejskie kamienice, i dopadłszy lądu, rozbijają się z wściekłością o jego brzegi. Gwałtowny szum wydają rozruszane aż do głębi wody, aż nareszcie uciszają się wiatry, morze uspokaja się powoli i powraca dawna cisza.

Teraz wstępujemy na pokład okrętu, kruchym deskom powierzając życie. Pragniemy dojść tam, gdzie się kończy ta niezmierna przestrzeń wód. Już rozpięto żagle i podniesiono kotwicę. Sterujemy tam, gdzie nasze oczy widzą tylko nieskończoność. Coraz dalej unosi on nas od brzegów. Już widać tylko szczyty wielkich gmachów i wież; już zaledwo krzyże kościołów słabo zarysowują się

na widnokręgu. I one rozplynęły się w powietrzu. Jeszcze szarzeje ciemna masa lądu i już tylko sinawy pasek mgły pozostał. Wytężamy wzrok. Tam gdzieś daleko tkwi jakiś punkcik, coraz bardziej maleje, aż wreszcie wszystko znikło. Gdzie spojrzeć, nie widać nic, tylko wody i wody.

Więc patrzymy, czy może w jakiej innej stronie nie zarysuje się przed nami ląd nowy. Nie widać nic: wszędzie woda i woda! Gdzie się obejrzyysz, wszędzie szklista powierzchnia styka się ze sklepieniem niebios. Okręt, woda i niebo — oto wszystko, co się przedstawia naszym oczom.

Nieznane uczucie trwogi przenika nas do głębi.

Rankiem opuściliśmy ląd stały; teraz już dzień ma się ku końcowi, a nigdzie nie widać żadnego punktu oparcia. Już i noc. Gwiazdy zasiały niebo, odbijając się w zwierciadlanej powierzchni morza. Zdaje się nam, że płyniemy w pośród dwojga niebios, mając jedno nad sobą, a drugie pod sobą. To znowu nowe niespodziane przedstawia się nam widowisko. Cała powierzchnia wód pokryła się błyszczącymi punkcikami. Przed okrętem i poza okrętem widać jaskrawe smugi ognia: to znane żeglarzom zjawisko świecenia morza. Wtem ogromny potwór morski okrąża pod wodą nasz okręt. Uciekają przed nim drobne rybki, wyskakując ponad wodę na swoich pletwach, do skrzydeł podobnych.

Nadchodzi czas spoczynku. Kładziemy się; ale myśl o niebezpieczeństwie spania nad taką niezgłębioną otchłanią nie pozwala nam zmrużyć oka. Nareszcie usypiamy. Budzi nas ciągle kołysanie się okrętu. Jeszcze mrok panuje na całej wód przestrzeni; wybiegamy jednak szybko na pokład, aby powitać ów ląd, do którego musiał wreszcie zanieść nas okręt, idąc szybko całą noc. Lecz niestety! I dziś widzimy tylko niebo i wodę. Zdaje się, że mgła ranna zakrywa przed nami szare zarysy ziemi. Lecz oto się rozjaśnia, a nie widać nic! Na wschodzie, zwolna i majestatycznie z łona wód powstaje słońce, a kiedy wychyliło całą swoją tarczę, promienie jego, wytknąwszy sobie na przejrzystej powierzchni ognistą drogę, biegną aż ku naszemu okrętowi. Mgły podnoszą się z wody i zakrywają widok. Zdaje się wtedy, że wypłynęliśmy na jakiś strumień i że wkrótce przybijemy do brzegu. Mgła coraz ustępuje, widnokrąg się rozjaśnia;... ani śladu wymarzonego lądu; woda i tylko woda!

Tak przechodzi dzień jeden, drugi i trzeci. Oswajamy się powoli. Po nocach marzymy, że jesteśmy na lądzie, tam — w ojczyźnie. Rano z przebudzeniem się kołysanie okrętu przypomina nam zawsze jednostajną rzeczywistość. Płyniemy jeden tydzień, potem drugi i dowiadujemy się wreszcie, że jesteśmy w połowie drogi do Ameryki przez ocean Atlantycki.

Wyobraźciez sobie, co to jest za ogrom ów ocean powszechny, który oblewa całą ziemię!

84. Czerwona latarnia.

W małej budce kolejowej, w bezludnej okolicy, wśród lasu, mieszkał ubogi budnik, imieniem Jakób. Nie miał on ani żony ani dzieci; ale gdy jeden z jego przyjaciół, wdowiec, równie jak on ubogi, umarł, pozostawiwszy sześciolatniego syna bez żadnej opieki, pocziwy Jakób, nie namysławiac się wcale, zabrał sierotkę do siebie i postanowił zastąpić mu ojca. Nadaremnie wszyscy znajomi tłómaczyli mu, że niepotrzebnie taki ciężar bierze na siebie i że lepiejby było oddać dziecko do jakiego dobroczynnego zakładu; on trwał w szlachetnem swem postanowieniu.

— Sam jesteś ubogi — mówił mu najbliższy jego sąsiad; — to, co zarabiasz, ledwo ci na własne utrzymanie wystarcza, a teraz będziesz musiał jeszcze dzieciaka karmić i odziewać.

— Jakoś to Pan Bóg da — odpowiedział Jakób; — chłopiec nie wiele potrzebuje, a ja chętnie sobie od ust odejmę i z nim się podzielę. Za to nie będę już sam jeden w tej pustelni i przynajmniej będę miał do kogo zagadać. A zresztą kto wie, może Julek, gdy podrośnie, odwdzięczy mi się za moje starania.

— Odwdzięczy? A gdzież to jest wdzięczność na tym świecie? — rzekł sąsiad, wzruszając ramionami.

Julek pozostał tedy u swojego opiekuna. Minęło lat kilka. Biedny sierota przywiązał się do szlachetnego człowieka, który się tak szczerze zajął jego losem, i nazywał go ojczulkiem; a ten również pokochał sierotę jakby swe własne dziecko i wcale nie żałował swej ofiary, chociaż nieraz dla niego rzeczywiście od ust sobie musiał odejmować.

Pewnego dnia naczelnik pobliskiej stacyi, który znał nieposzlakowaną rzetelność Jakóba, wręczył mu znaczną sumę pieniędzy

z poleceniem, ażeby ją oddał właścicielowi sąsiedniej wioski, gdy ten nazajutrz osobiście zgłosi się po nią do jego chatki.

— Tylko proszę cię, Jakóbie — mówił naczelnik — nie wygadaj się z tem przed nikim, że tyle pieniędzy masz u siebie w tym pustym domku, wśród lasu... bo gdyby się złodzieje o tem dowiedzieli...

— Niech pan będzie spokojny — rzekł z uśmiechem budnik; — ktoby tam biednego Jakóba posądził o pieniądze?

Ale stało się inaczej. Jakimś sposobem wyspiegowali złodzieje to zlecenie naczelnika i o północy dwóch silnych drabów zasiadło koło budki, czatując na stosowną do napadu porę. Właśnie miał przechodzić pociąg kuryerski i Jakób wystawił latarnię zieloną na znak, że można dalej jechać bezpiecznie. (Latarnia czerwona ostrzega przeciwnie, że jest jakieś niebezpieczeństwo na drodze; w takim razie pociąg zatrzymuje się, a konduktor wywiaduje się u budnika, co się stało). Kiedy więc Jakób, zapaliwszy zieloną latarnię bezpieczeństwa, spokojnie powrócił do swojej izdebki, złoczyńcy, pewni już, że pociąg kuryerski dalej popędzi, nie zatrzymując się wcale, pochwycili biedaka, a jeden z nich wyjął ostry nóż z zanadru, grożąc mu śmiercią, jeżeli natychmiast nie odda powierzonych mu pieniędzy. Ale poczciwy Jakób wolał umrzeć, niż zdradzić zaufanie naczelnika; nie chciał więc wydać powierzonej mu sumy. Niegodziwcy związali mu tedy ręce i nogi, a usta zatkali, ażeby wołać nie mógł ratunku, i zaczęli przetrząsać ubogą izdebkę.

Biedny budnik patrzył na to, co się dokoła niego działo, słyszał ciągle pogroźki złoczyńców: a nie na to poradzić nie mógł. Wtem usłyszał daleki huk zbliżającego się pociągu; żywiej zabiło mu serce, myśl o możliwym ratunku przebiegła mu przez głowę: ale niestety! radość krótko trwała, bo przypomniał sobie, iż wystawił latarnię zieloną, a więc pociąg przeleci dalej, nie zatrzymując się koło jego budki.

Nagle wśród nocnej ciszy odezwał się przeraźliwy gwizd lokomotywy; serce Jakóba uderzyło dziwną jakąś nadzieją, a złoczyńcy przerażeni tem gwałtowniej zaczęli przerzucać rupiecie biednego budnika, klnąc najokropniej. Ale gwizd powtórzył się znowu i wyraźnie było słychać, że pociąg zwalniał biegu, jakby się miał zatrzymać... Stał wreszcie. Rabusie przestraszeni rzucili się ku drzwiom chatki. Ale w tej samej chwili wszedł konduktor pociągu i pomocnik maszynisty do izby, a ujrzawszy Jakóba związanego

na ziemi, od razu zrozumieli, co zaszło, schwycili uciekających i nie uszło dwóch minut, a już obaj złoczyńcy leżeli skrępowani na ziemi.

Jakób, tak niespodzianie od śmierci ocalony, odchodząc prawie od siebie z wielkiej radości, ze łzami w oczach dziękował swoim wybawcom.

— Ale jakim ty sposobem — rzekł konduktor — miałeś czas zapalić latarnię czerwoną?

— Jako? — zawołał Jakób, mocno zdziwiony — alboż się paliła latarnia czerwona?

— Nie byłbym przecież zatrzymał pociągu, gdyby nie to — rzekł konduktor.

— Ale pamiętam doskonale, że właśnie zieloną latarnię wystawiłem, zanim mię pochwycili ci hultaje.

— Któż ją więc zapalił?

Wtem ozwał się Julek, który blady i jeszcze drżący ze strachu tulił się w kącie sieni:

— Ojczy, nie gniewaj się na mnie: to ja zapaliłem tę latarnię. Tyś mi tak surowo nakazał, abym jej nigdy nie ruszał; ale dzisiaj, kiedy ci straszni ludzie związali cię i zabić chcieli, naraz — nie wiem skąd — przypomniałem sobie, coś mi mówił o tej latarni, że ona nawet najszybszy pociąg zatrzyma; wybiegłem więc drugimi drzwiami i zapaliłem ją. Nie gniewajże się na mnie, kochany ojczy; nie mogłem uczynić inaczej. Ty mię tak kochasz, ty dla mnie taki dobry: czyż mogłem nie ratować ciebie? Ale odtąd będę ci posłuszny!

Rozczulony do łez budnik uściskał dobrego chłopca, a konduktor, zostawiwszy jednego ze sług kolejowych dla dopilnowania więźniów, powrócił do pociągu, ażeby w dalszą puścić się drogę. Podróżni zaniepokojeni wystawieniem latarni czerwonej, niecierpliwie oczekiwali powrotu konduktora; ale dowiedziawszy się o szczęśliwym ocaleniu budnika, nie żalowali tych kilku minut, które stracili, przerywając swą podróż.

85. Powrót taty.

•Pójdźcie, o dziatki! pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękniście obrazem,
Pobożnie zmówcie paciorek.

»Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze«.

Słyszac to dziatki, biegną wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciorek.

Całują ziemię, potem: »W imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenaświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego«.

Potem: Ojcze nasz i Zdrowaś i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki;
A kiedy całe zmówiły pacierze,
Wyjmą książeczki z kieszonki.

I litanię do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem:
»Najświętsza Matko! — przyśpiewują dziatki —
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!«

Wtem słysząc turkot. Wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
»Tato! ach tato nasz jedzie!«

Obaczył kupiec, łzy radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
»Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

»Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rodzynki w koszyku!«
Ten sobie mówi i ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

»Ruszajcie! — kupiec na sługi zawoła —
Ja z dziećmi pójde ku miastu«.
Idzie — aż zbójcy obkoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie:

»Ach! bierzcie wozy, ach! bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek
I młodej małżonki wdową!«

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi:

»Pieniędzy!« krzyczy i buławą sięga;
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: »Stójcie! stójcie!« krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi;
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
»Idźcie — rzekł — dalej bez trwogi«.

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:

»Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze«.

»Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem«.

»Z dawna już słysząc o przejeździe kupca
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem przy wzgórku, u słupca
Zasiadaliśmy na czaty«.

»Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty:
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham — z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga«.

»Słucham — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki —
Ach! ja mam żonę i u mojej żony
Jest synek taki malenki«.

»Kupcze! jedź w miasto, ja do lasu muszę;
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciorek«.

86. Żelazna buława.

Dwieście lat temu z górą, w piękny dzień wiosenny, obok szerokiego gościńca, wiodącego do Lwowa, młode chłopię żwawo poganiało woły, ciągnące pług po roli.

— A nuż, śpieszcie się! Miły Boże, słońce chyli się już ku zachodowi, a tu jeszcze tyle do roboty.

Gdy tak poganiało pacholę, woły jeszcze leniwiej ciągnąć poczęły, jak gdyby znalazły jakiś opór w ziemi; wreszcie jak zaczęły szarpać, wyrwały z roli pług wraz z zawadą, która go przytrzymała.

Była to hetmańska buława, cała ulana z żelaza.

Wtem zatętniło coś na drodze i wśród tumanów kurzawy miął w dali hufiec zbrojny; przewodniczył mu na siwym, tureckim koniu mąż wspaniałej, wojennej postawy.

Chłopiec spojrzał na niego ciekawie, a w miarę, jak się zbliżał, zdumienie i nieokreślone jakieś wrażenie odbiło się na jego obliczu. Stał jak skamieniały, nie spuszczać oczu z rycerza. Rycerz tymczasem był już coraz bliżej, aż wreszcie, jakby pociągnięty siłą przykutego do siebie wzroku, zatrzymał konia.

— Czy masz mi co powiedzieć, dziecię moje? — rzekł po chwili z łagodnym uśmiechem.

Chłopiec, jakby nagle zbudzony ze snu na te słowa, spojrzał błędni oczyma, lecz wnet oprzytomniał i twarz mu rozpromieniła się dziwną jakąś jasnością. Przykląkł, a podnosząc zwolna żelazną buławę, ruchem, pełnym uroczystej powagi, podał ją wojownikowi, mówiąc:

— Weźcie to, miłościwy panie, co sam Bóg śnać dla was przeznacza.

A mąż ów, zdziwiony i rozweselony zarazem, odparł mu z lekkim odcieniem żartu w głosie:

— *Re vera*¹⁾, mój miły! niezasłużenie dajesz mi hetmańską buławę; są godniejsi ode mnie w Rzeczypospolitej piastować ją po sławnym zgonie pana Kalinowskiego. Któż ci podał myśl podobną?

— Bóg i święci aniołowie; bo gdy was ujrzałem, wnet głos jakiś szepnął mi do ucha: To dla niego! A potem w miarę, jak zbliżaliście się, tenże sam głos powtarzał: Idź, oddaj mu to, oddaj!

¹⁾ Prawdziwie, zaprawdę.

Nie wiedziałem, co począć, aż oto zastanowiliście się i przemówili do mnie łaskawie.

— A skądże to wzięłeś? — mówił rycerz, przypatrując się buławie.

— Wyorałem z ziemi, właśnie gdyście nadjeżdżali.

— No, kiedy tak, to dar twój przyjmujemy mile, ale weźże nawzajem gościnka — rzekł mąż, podając chłopcu woreczek pełen złota; spał potem konia i oddał się śpiesznie, nie czekając podziękii.

— O, to dopiero matka się ucieszy — rzekł chłopiec, ochłonawszy ze wzruszenia, przyglądając się błyszczącym przez jedwabną siatkę pieniądzom.

*

*

*

W najwspanialszej lwowskiej gospodzie żyd arendarz, wystrojony w odświętną jedwabną szatę, uwijał się po wszystkich zakątkach, patrząc jak służba pańska wyprzątała gościnne izby. Zawieszono po ścianach tureckie makaty¹⁾, podłogi wysypano wonnem zielem tatarskiem, a w miejsce drewnianych zydlów, rozstawiono dębowe krzesła, skórą obite. Widocznie lada chwila miał nadjechać gość jakiś znakomity z resztą orszaku, którego część wysłał naprzód, jak to bywało zwyczajem w owych czasach, dla urządzenia mieszkania, które miał zajmować.

— Panie arendarzu — ozwał się marszałek dworu, Przygodzki — izby twoje wyglądają już nieźle i możesz się poszczycić, że w nich przyjmiesz jednego z największych dygnitarzy Rzeczypospolitej.

— Ach, panie Przygodzki — odparł arendarz — wielki to zapewne honor dla mnie; ale nie po raz pierwszy już w tych ubogich ścianach witać będę dostojnika korony; a toż panowie okoliczni nigdy nie nawykli mnie omijać, a i pan wojewoda krakowski nie po raz pierwszy pono moim gościem. Ale otóż i on — dodał, wskazując kilku jeźdźców, ukazujących się w wąskiej ulicy. Śpieszmy co prędzej do bramy.

Na te słowa wielki ruch powstał w gospodzie, a dworscy uszykowali się z obu stron rozwartych podwoi. Ale pan Przygodzki, wyrzawszy oknem na ulicę, rzekł:

— Ależ to nie pan wojewoda, jeno pan Stanisław Lanckoroński!

Pan Lanckoroński zsiadł z konia, a spostrzegłszy dworzan wojewody, wnet zapytał, czy pan Potocki jest już we Lwowie.

¹⁾ Makata, kosztowne obicie ścian, jedwabiem i złotem szyte.

— Nie, lecz spodziewamy się go lada chwila — odrzekł pan Przygodzki.

— Cieszę się, żem go uprzedził — mówił pan Lanckoroński do marszałka; — rad mię obaczy, bo mu dobrą przynoszę nowinę.

— Trudno dziś coś podobnego usłyszeć, w uszach brzmią tylko opowiadania o poniesionej klęsce i o śmierci hetmana Kalinowskiego.

— Kalinowski zginął chwalebnie, skoro za ojczyznę gardło dał, a gdy król jegomość wyznaczył godnego mu następcę, to jest nadzieja lepszej przyszłości.

— A komuż to oddana buława? — jeżeli zapytać wolno.

Pan Lanckoroński chciał odpowiedzieć, lecz mu przerwał arendarz, wpadając zadyszany z okrzykiem:

— Pan wojewoda nadjeżdża!

Nie omylił się tym razem, bo wkrótce stanął przed gospodą orszak zbrojny, który miał na czele męża wspaniałej wojennej postawy, na siwym, tureckim koniu.

— Pozwólcie sobie złożyć moje powolne służby — rzekł pan Lanckoroński, gdy po pierwszym powitaniu weszli pospołu do gościnnej izby — a zarazem spełnić poselstwo króla jegomości.

— Rad was witam i słucham pilnie, czegoby żądał ode mnie Pan nasz miłościwy?

— Wiadome wam sieroctwo wojska po stracie dzielnego wodza; otóż najjaśniejszy Jan Kazimierz, pragnąc powetować tak ciężką stratę, w ręce wasze składa hetmańską buławę.

Pan Potocki cofnął się zdumiony, milczał, a dziwne jakieś wrażenia malowały się na jego obliczu.

— Czyżbyście się wahać mieli w przyjęciu daru jego? — rzekł po chwili pan Lanckoroński.

— Jakkolwiek mniemam, że wielu znalazłoby się godniejszych ode mnie, aby dar ten otrzymać, sądzę jednak, że przy Boskiej pomocy zdołam odpowiedzieć zaufaniu narodu i króla. Wieść ta wszakże przyszła w takiej chwili, że snem mi się raczej, aniżeli prawdą wydaje. Na dojeźdźnym do Lwowa wieśniacze pacholę przepowiedziało ją niejako, ofiarując mi znalezioną w ziemi żelazną buławę: stąd więc podziw mój, gdyż nie mogę wnioskować inaczej, jak, że proroczym duchem było natchnione.

— Tem ci lepiej, gdy głos Boga łączy się z głosem narodu; nie powątpiewam teraz i chwili, że klęski i rany obecne ojczyzny wkrótce potraficie zabiścić — odparł radośnie Lanckoroński.

I nie myliło go przecucie. Stanisław Potocki, zwany *Rewera* od przysłowia, którego często używał, był mężem doświadczonej dzielności w boju: wojna była jego żywiołem. Zgromadził wojska rozbite pod Batochem, i wkrótce pod Zbarażem i pod Zborowem powetował doznaną klęskę. A i później niejednokrotnie odnosił zwycięstwa nad nieprzyjacielem. W ciągu żywota, pełnego cnót i zasługi, uczestniczył w 48 bitwach; to też gdy w Podhajcach legł, złożony ostatnią chorobą, wyrzekł do otaczających: »Śmierci się nie lękam, wszak dla Boga i ojczyzny nieraz jej szukałem«.

Niedługo przedtem buławę szczerozłotą, drogimi wysadzaną kamieniami, zawiesił w Częstochowie, aby świadczyła tamże o wdzięczności jego za niejednokrotnie doznaną opiekę Najświętszej Panny, jako też, aby była pamiątką buławy żelaznej, która mu się stała przepowiednią piastowanego później dostojenstwa.

87. Burza na morzu.

Już od rana morze było dość niespokojne. Ku wieczorowi wiatr wzmógł się znacznie. Żagle zwinięto, marynarze w swych gumowych kurtkach biegają po pokładzie, oficerowie markotni, kapitan milczący; źle to wszystko wróży. Spać w kajutach niepodobna, bo wszystko szczelnie zamknięte, a nadto gorąco maszyny wszystkich podróżnych na górę wypędza. W saloniku nad schodami mieścimy się jako tako, lecz spać niepodobna; statek rzuca nami jak piłką na wszystkie strony.

Około 11. w nocy zaczęła się burza i to nie na żarty. Nie zapomnę nigdy tej nocy; żałosny świst wichru, ryk bydła na pokładzie, łoskot fal, zalewających pokład co chwila i wpadających do wnętrza statku, brzęk szkła i porcelany, tłukącej się w bufecie, nieustanne błyskawice, wreszcie zagłuszający wszystko ryk huraganu — składały się na całość więcej niż poetyczną — straszną. O północy wyszedłem na pokład zobaczyć, co się dzieje. Chwycając się oburącz jakiejs liny, napotkanej omackiem — patrzę wokoło. Na tle błyskawic rysują się czarne kontury masztów i komin; morza nie widać. Czuję gwałtowne, konwulsyjne wstrząśnienia statku.

Trzymając się liny, posuwam się z wielkim trudem parę kroków do okna saloniku, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Ujrzałem obraz najczarniejszej rozpacz. Kobiety, dzieci we łzach; jedne leżą,

uchwyciwszy się oburącz poręczy schodów, drugie na klęczkach polecają duszę Bogu, inne w ropaczy rwą sobie włosy, inne wreszcie, bezsilne, osłabione morską chorobą, wodzą dokoła przerażonym błędnym wzrokiem, jakby szukały pomocy i opieki, której im nikt z żyjących dać nie zdoła. Dwie tylko twarze spokojne widzę wśród tego zrozpaczonego tłumu: jedna matka dwojga jasnowłosych dzieciaków tuli je do łona, usiłując uspokoić przerażone małeństwo; druga Siostra Miłosierdzia, z wyrazem spokojnej rezygnacji odmawia różaniec... A okręt się kołysze, jak nigdy jeszcze; pioruny biją i ryczy rozszalały ocean. Powróciłem do reszty towarzyszy, których zastałem zaalarmowanych: woda, wybiwszy jedno z okien zalała podłogę — mamy jej na pół decymetra, lampa zgasła, a nikt nie ma zapalek. Zostajemy w ciemności. Około drugiej po północy uciszyła się burza, choć kołysanie wciąż jeszcze silne było.

Po przebytem niebezpieczeństwie, o którego doniosłości słabe bardzo mieliśmy pojęcie, przyszła wesołość; żartowaliśmy sobie z morza, że nam kąpiel bezpłatną sprawiło w kajucie. Na gawędzie zeszedł nam czas do rana. Słońce weszło, horyzont był jasny, morze spokojne, majtkowie myli i czyścili pokład, zmęczony kapitan spać poszedł. Statek wyszedł bez szwanku: jedno wybite okno, dwie złamane ławy żelazne, trochę potłuczonego szkła i jeden wół zmieciony z pokładu — to i wszystko. Odtąd mieliśmy już morze spokojne przez cały ciąg dalszej podróży.

88. Jan Sobieski na łowach.

W okolicy miasteczka Pomorzan, wśród pięknego lasu wznosi się klasztor OO. Bazylianów, którego początek podanie miejscowe odnosi do króla Jana Sobieskiego.

Było to w r. 1665. Jan Sobieski, wówczas już hetman polny, przybył zimową porą do Pomorzan, ażeby wziąć udział w wielkiej obławie, którą dla niego w lasach tamtejszych przygotowano.

Polowanie rozpoczęło się około południa. Sobieski stanął na stanowisku, zwanem dziś »Bracką pasieką«; przy nim był kozaczek, mający mu broń podawać. Od miejsca tego w jedną stronę ciągnął się długi, szeroki wąż, z drugiej strony gubiła się ścieżka w dziko

zarosłym jarze; przed hetmanem była mała polanka, na którą nieomylnie wypaść musiał zwierz nagnany.

Na dany znak ruszyła obława. Za chwilę dał się słyszeć łomot i trzask, oznaka grubego zwierz. Istotnie wyszedł ogromny odyniec, pędząc prosto na Sobieskiego. Hetman strzelił tak celnie, iż zwierz aż przykląkł za strzałem.

Już kozaczek miał zagrać na rogu, aby innych myśliwych uwiadomić o celnym strzale pana, gdy dzik, jakkolwiek ranny, za zbliżeniem się strzelca porwał się nagle i ruszył w gąszcz. Sobieski dobył myśliwskiego noża i puścił się za nim. Kozaczek zrazu szedł za panem, ale niebawem, pozostawszy w tyle, zupełnie stracił go z oczu.

Gdy na liczne nawoływania nie było żadnej odpowiedzi, zwołał kozaczek wszystkich strzelców i obławników i oznajmił im, co się stało. Rozbiegli się wszyscy po lesie, ażeby odszukać hetmana; ale ponieważ czas był mglisty i zmrok już zapadał, napróżno błądzili: hetmana nie znaleziono.

Tymczasem Sobieski zapamiętale ścigał zwierz, nie myśląc wcale o tem, co się poza nim działo. Słyszał wprawdzie zrazu nawoływanie i strzały, ale nie odpowiadał na nie, bo broń palną i róg myśliwski u kozaczka zostawił. Już dobrze zaczęło być szarzyć, gdy hetman, widząc, że daremnie się trzodzi, postanowił wyrzec się dzika, a powrócić do swoich.

Tymczasem już i noc ciemna zapadła, śnieg zaczął prószyć i o trzy kroki nie było nic widać; głuche tylko echo trąb i odgłos licznych strzałów przekonywały go, że zapędził się daleko. Zgłodniały i przeziębły, próbował koniecznie dostać się do swoich, dlatego wolnym krokiem, co chwila zapadając w śnieg, szedł jarem w górę, ażeby się wydostać na miejsce równiejsze.

Wyszedłszy na jakąś dolinkę, spostrzegł słabo z gęstwiny leśnej przebijające się światło. Z radością zwrócił się w tę stronę. Wtem prawie z pod nóg idącego porwał się rogacz i pobiegł prosto ku miejscu, skąd błyszczało światło. Sobieski podążył za nim. Rogacz stanął przed niziuchną jakąś chatą i uderzył o drzwi rogiem. Z izdebki, łuczywem oświetlonej, wyszedł poważny, w habit zakonny odziany starzec, a rogacz, widocznie przez niego ułaskawiony, położył się u nóg jego.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł hetman, witając gospodarza.

— Na wieki wieków — odpowiedział pustelnik po rusku; sława Bogu, sława i wam na wieki.

— Nie mów tego — zawołał hetman; — tylko Boska sława trwa wieki, ludzie są znikom i sława ich znikoma.

Ale pustelnik patrząc z zachwytem w twarz Sobieskiego, upadł przed nim na kolana i rzekł:

— Wejdz, Panie, do mej chaty! Jam biedny sługa Boży, a na twojej głowie widzę koronę królewską, na twem sercu czytam słowa: sława na wieki!

Wszedł Sobieski do pustelniczej izdebki ojca Gedeona i zasiadł przy jego ognisku. Starzec dołożył drewno do ognia i zrobiło się jaśniej i weselej. Hetman posilił się skromną wieczerzą, słuchając przytem opowiadania pustelnika.

Wreszcie, kończąc dzieje swego żywota, rzekł ojciec Gedeon:

— Miałem raz sen przedziwny. Na pięknym koniu widziałem przed sobą męża dzielnego w koronie, z mieczem w ręku. U stóp jego padały muzułmańskie głowy i liczne buńczuki, a kędy się ruszył, rosły krzyże za nim. Ten mąż, panie — to ty, a mnie Bóg wszechmocny pozwoli nie umrzeć pierwej, aż cię królem zobaczę!

I padł starzec na kolana i modlił się długo, gorąco...

Było już późno w nocy, Sobieski patrzył jakiś czas w starca z zachwyceniem, wreszcie sen skleił mu powieki. Spał tak miło, jak nigdy. I zdawało mu się, iż na ulubionym swym koniu cisawym dalekie przebiegał strony, a z nim wierna drużyna zbrojna; u stóp jego padały muzułmańskie głowy, a kędy się ruszył, wyrastały krzyże. I na swej piersi widział krzyż wielki, złoty, a na głowie poczuł ciężką koronę królewską. Tłumy ludu cisnęły się do stóp jego i wołały: Sława, sława na wieki! Gwar ludu rósł, coraz stawał się bliższym; coraz głośniej brzmiały mu w uszach głosy wołających: Sława, sława na wieki!

Obudził się wreszcie: przed chatą zebrana była wierna drużyna hetmana, we drzwiach stał stary marszałek jego dworu, a ojciec Gedeon czuwał u jego łoża. Wstał Sobieski i dziwnie wzruszony ukląkł, aby się pomodlić w cichej chacie pustelnika. Kiedy już kończył modlitwę, ojciec Gedeon położył ręce na jego głowę i błogosławił mu na dalszą drogę żywota. Powstawszy, rzekł hetman do pobożnego pustelnika:

— Święty starcze! Chcę, aby na miejscu, gdzie dziś byłem u ciebie w gościnie, stanął klasztor twojego zakonu. Rozkażę moim

ludziom, ażeby zarosłe dziś i odludne to miejsce oczyszczono, a ile na dzień człek drogi dokoła tego miejsca ubieży, tyle ziemi dam ci na własność!

Stało się, jak sobie życzył pobożny hetman. Wkrótce potem powstał w Krasnopuszczy klasztor, a Sobieski nie tylko hojnie go uposażył obszarem tysiąca morgów, ale nadto obdarzył go dzwonami, odlanymi z dział, które zdobyto na Turkach.

Dotąd jeszcze te dzwony, głosząc chwałę Bożą, zdają się sławić i imię pobożnego króla, powtarzając prorocze słowa ojca Gedeona: Sława — sława na wieki!

89. Niesłuszne podejrzenie.

Opowiadanie mojego dziadka.

Ile razy słyszę ludzi, wydających lekkomyślny sąd o bliźnich, zawsze sobie przypominam zdarzenie, które mię samego na zawsze oduczyło tego złego zwyczaju. Byłem wówczas jeszcze młodym chłopcem, uczniem gimnazjalnym.

Pamiętam, pewnego zimowego wieczoru szedłem z jednym z kolegów do mieszkania jego rodziców, gdzie miałem wieczór spędzić. Mróz był tęgi, więc pomimo ciepłych futerek zmarzliśmy porządnie i przyspieszaliśmy kroku. Byliśmy już przy bramie domu, do któregośmy wejść mieli, gdy nagle mój towarzysz przypomniał sobie, że ojciec kazał mu kupić numer Gazety Lwowskiej, a on o tem zupełnie zapomniął. Postanowiliśmy więc wrócić się do miasta, ażeby spełnić polecenie, a wtem niespodzianie przemknął tuż koło nas mały chłopak, roznoszący dzienniki, i zawołał donośnie:

— »Świeże dzienniki! bardzo ciekawe!«

— »Stój, stój, mój chłopcze! — krzyknął mój kolega uradowany — dajno mi numer Gazety.«

Chłopak podbiegł, a towarzysz mój wyjął sakiewkę, aby mu zapłacić. Ale pokazało się, że nie miał drobnych, tylko całego złotego. Ja nawet sakiewki nie wziąłem z sobą, wychodząc z domu; nie mogłem mu więc przyjść w pomoc.

— »Co ja tu zrobię?« — mówił mój towarzysz.

— »Może on ci zda ze złotego?« — odezwałem się.

Ale chłopak nie mógł zdać reszty, bo tylko dwadzieścia centów miał przy sobie.

— »Wiesz co? — rzekł mój kolega do chłopaka — ja ci dam złoty, a ty pobiegnij, zmień go i odnieś mi resztę do domu, ot tam, widzisz na rogu ulicy: zapytasz stróża, on ci wskaże nasze mieszkanie«.

Tu wymienił nazwisko swojego ojca. A ja, słysząc to, parsknąłem śmiechem i rzekłem nielitościwie:

— »A toż dopiero z ciebie łatwowierny człowiek! myślisz, że taki chłopak dobrowolnie ci resztę odniesie do domu? Byle raz ze złotym się ulotnił, już go nie będziesz widział«.

— »Jeżeli panicz mi nie wierzy — rzekł chłopak, zwracając się do mnie i podając mi złoty — to proszę tak wziąć Gazetę, a ja do domu przyjdę po pieniądze; nie chcę, żeby mnie panicze niewinnie posądzali o nierzetelność«; — a te ostatnie słowa wymówił biedny chłopiec tak żałośnie, że dziś jeszcze, po tylu latach, zdaje mi się, że słyszę głos jego drżący.

— »Nie, nie — zawołał kolega mój, spojrzawszy na mnie z wyrazem wyrzutu; — ja cię nie podejrzewam i na dowód chcę koniecznie, abyś wziął ten złoty, bo jestem pewny, że mi resztę odniesiesz, jeżeli nie dziś, to jutro«.

— »O, dziś jeszcze odniosę, niech panicz będzie spokojny, trafię z pewnością do tej kamienicy, za pół godzinki przybiegnę«.

Po tych słowach pobiegł szybko ulicą.

— »Jakiś ty niepocziwy! — rzekł do mnie towarzysz — obraziłeś i zmartwiłeś tego biednego chłopca najniewinniej«.

— »Oho! — odrzekłem buńczucznie, chociaż w duszy żałowałem nierozważnych słów swoich — kto to jeszcze wie; poczekajmy, aż ci pieniądze odniesie; tym ulicznikom nie można tak bardzo dowierzać«.

— »Jestem przekonany, że odniesie« — powiedział mój kolega; — i na tem urwała się rozmowa, bo weszliśmy do mieszkania jego rodziców, gdzie było tego wieczora liczniejsze zebranie. Po chwili zapomnieliśmy zupełnie wśród wesołej zabawy o chłopcu z gazetami. Dopiero około dziesiątej, żegnając się z kolegą, przypomniałem sobie całe zdarzenie i znowu rozśmiałem się złośliwie, mówiąc do niego:

— »A co? czy nie miałem słuszności? widzisz, widzisz, nie przyniósł ci reszty twój cnotliwy roznosiciel i nigdy nie przyniesie, możesz być pewny«.

— »Mogło mu coś przeszkodzić — rzekł mój kolega; — ręczę, że przyniesie jutro. Ten chłopiec tak pocziwie wyglądał, iż nie mogę uwierzyć, żeby mię oszukał«.

Ale chłopiec ani nazajutrz ani dni następnych nie pokazał się wcale. Możecie sobie wyobrazić, jak się nieraz wyśmiewałem z ławowierności kolegi, powtarzając z miną tryumfującą:

— »A co? nie mówiłem? nie na moje wyszło?«

Wreszcie po tygodniu obaj przestaliśmy mówić o całym zdarzeniu. Minął i drugi tydzień, aż znowu raz siedzieliśmy obaj wieczorem w mieszkaniu mego kolegi, przygotowując się razem do lekcji. Wtem usłyszeliśmy jakiś niezwykły szmer w przedpokoju, a po chwili służący odchylił drzwi do pokoiku i rzekł do mego towarzysza:

— »Niechno panicz wyjdzie na chwilkę; jakiś chłopiec przyszedł i pozbyć się go nie mogę; mówi, że ma bardzo ważny interes do panicza, a nie chce powiedzieć, jaki«.

Towarzysz mój zerwał się od stolika, ja pobiegłem za nim: obu nam przyszedł na myśl ów chłopiec, roznoszący dzienniki. Ale w przedpokoju ujrzeliśmy innego chłopaka, znacznie słusniejszego, którego żaden z nas nigdy nie widział.

— »Czy to panowie dwa tygodnie temu dali złoty zmienić chłopcu, roznoszącemu dzienniki?« — zapytał przybyły, patrząc nam w oczy.

— »To ja, ja! — zawołał mój kolega; — ale cóż się z nim stało? czy go znasz?«

— »To mój młodszy brat — mówił chłopiec smutnie; — straszne nieszczęście go spotkało. Biegł wtenczas wieczorem zmienić tego złotego, aż tu jakiś ciężki wóz nadjechał znienacka i koń go tak uderzył, że padł jak nieżywy na ulicy. Odniesiono go do szpitala: leżał dziesięć dni w gorączce, bez przytomności, a Siostra Miłosierdzia, co go doglądała, opowiada, jak ciągle o tym złotym majaczył i wzdychał, a skarżył się, że go wezmą za złodzieja, bo miał odnieść resztę wieczorem. Gdy odzyskał przytomność, nie przestał jednak mówić o złotym, o dobrym paniczu, co mu zaufał, i o drugim, co go posadzał; a tak się ciągle martwił, taki był niepokojny, że Siostra zaczęła się go wypytywać i, dowiedziawszy się o całym zdarzeniu, powtórzyła to lekarzowi. Ach, jaki to dobry i miłosierny ten lekarz! Wyjął zaraz pieniądze z woreczka i prosił Siostry, aby ten dług odesłała do paniczów: bratu zaś powiedział: »Uspokój się, chłopcze, bo dłużej chorować będziesz z tego zmar-

twienia. Nikt nie ma prawa posądzać cię o nierzetelność, a w potrzebie ja za ciebie zaświadczę«. Otóż, gdy ja przyszedł odwiedzić brata, Siostra Miłosierdzia oddała mi te pieniądze. Oto są. Na szczęście brat nie zapomniał adresu panicza«.

Możecie sobie wyobrazić, co się działo ze mną, gdym słuchał tego opowiadania. Musiałem uciec, bo nie śmiałem w oczy popatrzyć bratu owego nieszczęśliwego chłopca. Przy wieczerzy opowiedzieliśmy wszystko rodzicom. Matka mojego towarzysza, widząc szczerzy mój żal i zawstydzenie, szepnęła tylko z cicha: »Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni«. A ojciec dodał:

— »Żle to jest bardzo podejrzawać i sądzić bez dowodów; ale ja ci powiem, mój synu, że i ty nierozważnie sobie postąpiłeś, dając złoty temu biednemu chłopcu. Mogłeś natrafić na człowieka mniej rzetelnego i niepotrzebnie wprowadziłbyś go na pokuszenie. Gdybyś był się nie lenił i sam zmienił pieniądź, chłopiec ów nieby na tem był nie stracił, a możeby się był tak nie śpieszył i uniknął nieszczęśliwego wypadku«.

W kilka dni potem wraz z moją matką odwiedziłem chorego w szpitalu i tak szczerze go przeprosiłem, że widoczną było rzeczą, iż nie miał do mnie żadnego żalu.

90. Talar i czerwony złoty.

Talar, zwierchnią postacią swoją okazały,
Gardził czerwonym złotym dlatego, że mały;
Gdy przyszło do zmienienia, nie patrzano miary:
Złoty pieniądź, choć mały, wart był dwa talary.

Ign. Krasicki.

91. Spełniona przepowiednia.

Było to w sierpniu r. 1683.

Król Jan III. bawił w Krakowie, dokąd ściągał wojsko, potrzebne do wyprawy pod Wiedeń. Kiedy już wszystko było do drogi gotowe, wybrał się król pobożny z licznym orszakiem pieszo w pielgrzymkę po wszystkich krakowskich kościołach, ażeby prosić Boga i świętych patronów narodu o błogosławieństwo i pomoc w przedsięwziętem dziele. Kończąc pobożną procesję w kościele akademickim u św. Anny, postanowił król odwiedzić mieszkającego

obok kościoła księdza Dąbrowskiego, swego niegdyś profesora. Zastał starca na łożu boleści, ciężką złożonego chorobą.

Ucieszył się pobożny kapłan, widząc u siebie tak dostojnego gościa, któremu niegdyś jeszcze jako uczniowi swemu królewską przepowiedział koronę. Król Jan, wzruszony do głębi, uściśnął rękę schorzałego starca, prosił go o błogosławieństwo na drogę i zapytał, czy też szczęśliwą będzie zamierzona wyprawa.

Dąbrowski pomyślał chwilę, poczem westchnąwszy do Boga, tak odpowiedział królowi:

— Idź, królu, z ufnością w Boga i z dobrem sercem. Upewniam cię imieniem Bożem, iż szczęśliwiej nad innych monarchów będziesz tryumfował; ale ja ze zwycięstwa twego cieszyć się nie będę, bo w sam dzień twojej chwały życia mego w Bogu dokonczę.

Tak pokrzepiony na duchu, pożegnał król sędziwego kapłana, poczem wkrótce ruszył z Krakowa, śpiesząc na odsiecz oblężonej stolicy cesarstwa.

Ziściła się przepowiednia księdza Dąbrowskiego: Wiedeń zawdzięczał ocalenie swoje królowi polskiemu, a cała Europa brzmiała sławą zwycięstwa krzyża nad niewiernymi. Okryty sławą, powrócił król Jan III. do Krakowa na uroczystość Bożego Narodzenia, a lud cały witał go głośnymi okrzykami: Niech żyje król! niech żyje król!

Złożywszy wota w kościele św. Trójcy, gdzie go uroczystie witano, zapytał król jednego z kapłanów:

— Powiedźcie mi, proszę, azali żyje profesor akademii krakowskiej, nazwiskiem Dąbrowski, mąż pełen świątobliwości?

Gdy odpowiedziano, że umarł w sam dzień przesławnego zwycięstwa wiedeńskiego, zasmucił się król bardzo i szczerze żałował tak zacnego męża. Nazajutrz po wszystkich kościołach obfitą za duszę jego rozdać kazał jałmużnę.

92. Święcone.

Obyczaj to naszego narodu. W tym dniu i kmiotek i najuboższy człowiek zdobędzie się na kawał szynicy, kiełbasę, placek i jaja; majątniejszy na okazalsze święcone. Po nabożeństwie dzielą się uprzejmie z rodziną i domownikami, z gośćmi i z każdym w dom przybyłym, święconem jajkiem, wśród życzeń jak najlepszego zdrowia i pomyślności; potem innymi zapasami częstują się i raczą. Kto rezurekcyę zaspał, utrzymywano, że nie ma prawa jeść święconego.

Baranek z masła, szynki, kielbasy, prosię, jajeczniki, a na Rusi paschy, placki rozmaitego rodzaju, to główna zasada święconego.

Mikołaj Pszonka, dworzanin hetmana Tarnowskiego w XVI. w., tak opisał żonie swojej święcone u mieszczanina krakowskiego:

Na stole okrągłym, u którego i sto osób pomieścić się mogło, przykrytym w krzyż zszywanym obrusem, na sześciu misach srebrnych leżały mięsiwa wędzone wieprzowe, na drugich sześciu po dwoje prosiąt, kielbasy dziwnie pachnące, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnej barwie, ale najwięcej na rakowo. Stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki: Piłat wyjmował kielbasę z kieszeni Mahometowi, a wiadomo, że Turcy i Izraelici nie jedzą mięsa wieprzowego. Na środku stołu dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki; ale ja za cały stół radbym wziął jemu oczy; były to bowiem dwa brylanty jak laskowe orzechy, w czarnej oprawie, alias (czyli) pierścienie ukryte w masle, których tylko tyle widać było, ile potrzeba na okazanie oczu.

Pan hetman, zaproszony przez pana Chroberskiego na to święcone, przybywszy wraz z dworem, długo mu się przypatrywał. Ale co tam u pana hetmana znaczą dyamenty, kiedy sam ich ma pełną ręką u karabeli. Stary kilka razy poprawił karabelę, co znaczyło, że kontent.

Dalej stały bańki srebrne pozłociste z octem i oliwą i cztery kruże wielkie starego miodu na tacach srebrnych wyłaczanych, obstawione czarami także wyłaczanymi. Dalej srebrne lódyczki z konfektami wszelkich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał. Stało też wino w gąsiorach, prawda szklanych, ale te gąsiorki stały w koszykach srebrnych wyłaczanych, a główki miały śrubowane w zawoje srebrne, a szkło białe jak śnieg i gładkiej bardzo roboty.

Czas przystąpić do najważniejszych rzeczy, do kołaczów, placzków, jajeczników, maczników, i Bóg spamięta ich miana, które okrążyły jeden najpoważniejszy kołacz. Kołacz ten miał w obwodzie z ośm łokci, jeśli nie więcej, gruby na dwie piędzi, a jakeśmy tylko weszli do izby, to nam już zapachniał swojemi przyprawami. Po brzegach wkoło niego stały różne figurki: święci apostołowie udani jako żywo, a to wszystko z ciasta. Po zmówieniu zwyczajnych modlitw zaczęło się pożywanie daru Bożego. Pan hetman ochoczy prosił, aby mu wolno było gospodarzyć sobie podług woli. Jadł wszystkiego po trosze, napił się miodu, wina nie chciał, mówiąc:

»Bodaj my go nie znali! dużo nam szkodzi ten trunek«. Podał jmc. pan hetman święconego jajka każdemu. My czekaliśmy z wielkiem uszanowaniem, aż pan hetman pozwoli nam przysunąć się bliżej do stołu. Po niedługim czasie rzekł: »Używajcie waszmość panowie hojności gospodarza, a skromnie i honeste«¹⁾. Sam pokłoniwszy się, pożegnał wszystkich łaskawie i odjechał na zamek. Tu my dopiero zaczęliśmy repetować, co dał Boże; miód i kołacz najgorzej trzeszczał, bo był dziwnie smaczny. W otwartości i ochocie staropolskiej odbyliśmy tę biesiadę. Każdy pożył, co chciał, nikt nie przebrał miary; przy wesołem Alleluja rozeszli się wszyscy i dosiadłszy koni, w imię Boże ruszyliśmy na zamek, gdzie była radość ze zmartwychwstania Pańskiego. Wszyscy dworzanie JK. Mości i panów pospołu w dolnych izbach pili i jedli, a pamiętając na uroczystość święta Bożego, zbytku się strzegli.

W jednym ze starych kalendarzy poznańskich (z czasów, jak się zdaje, Władysława IV.) znajdujemy następujący opis: »Wojeвода Sapieha w Dereczynie wspaniałe wyprawił święcone, na które zjechało się co niemiara panów z Litwy i Korony. Na samym środku był baranek, wyobrażający Agnus Dei z chorągiewką; ten przyśmak dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stały cztery przeogromne dziki, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, alias szynki, kielbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało tandem²⁾ dwanaście jeleni także całkowicie pieczonych z złocistymi rogami, podziwienią godne; nadziane były rozmaitą zwierzyną. Te jelenie wyrażały dwanaście miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, to jest pięćdziesiąt dwa: cudne placki, mazury, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakalią³⁾. Za nimi było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każda była przyozdobiona napisami, floresami, że niejednen tylko czytał, a nie jadł. Co zaś do bibendy: były cztery puhary, exemplum⁴⁾ czterech pór roku, napełnione winem jeszcze od króla Stefana; tandem 12 konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie; te konewki exemplum dwunastu miesięcy; tandem 52 baryłek także srebrnych, in gratiam⁵⁾ 52 tygodni, było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie: dalej 365 gąsiorów z winem

¹⁾ Przystojnie. — ²⁾ Tedy. — ³⁾ Owoce w cukrze smażone. — ⁴⁾ Jako przykład. — ⁵⁾ Z powodu.

węgierskiem, alias tyle gąsiorków, ile dni w roku; a dla czeladzi dworskiej 8700 kwart miodu, robionego w Berezie, to jest tyle, ile godzin w roku.

Kiedy za Napoleona Polacy bawili w Hiszpanii, rodzinny pielęgnując zwyczaj, zastawiali święcone. Nie bez trudności obcy ksiądz je poświęcał, nie znajdując przepisanego na to obrządku. Zaproszeni wszakże Hiszpanie dziwili się i pobożności i gościnności Polaków.

Uginają się i teraz stoły pod ciężarem szynek, mięsiw, jaj, kielbas, placków, mazurków. Rzadko już gdzie atoli dają się widzieć starożytnie ciast gatunki: kołacz, jajeczniki. Jaka w owych wiekach, taka i teraz radość, kiedy się udały ciasta; w przeciwnym razie smutek. Są ciasta parzone, baby »petynetowe«, dla równości w dziurkowaniu tak nazwane. Słyną pod tym względem dobre gospodynie, w pieczeniu ciast wybornych biegle; do nich udają się o przepisy. Gdzie większą chcą mieć okazałość, pomiałach nadewszystko, cukiernicze zastawiają ciasta, lukrowaniem ozdobne: baby migdałowe, z razowego chleba, trójkolorowej masy: białej, różowej i ciemnej; torty królewskie i t. p.

93. Pamiętaj, abys dzień święty święcił.

Dzieci, rady mej słuchajcie:
Ojców zwyczaj zachowajcie!
Święto niechaj świętem będzie:
Tak bywało przedtem wszędzie.

Święta przedtem ludzie czcili,
A przecież wszystko zrobili,
A ziemia hojnie rodziła,
Bo pobożność Bogu miła.

Dziś bez przestanku pracuję
I dniom świętym nie folguję;
Więc też tylko zarabiamy,
Ale przecie nic nie mamy.

Albo nas grady porażą,
Albo zbyt ciepła każą;
Co rok słabsze urodzaje,
A zła drogość za tem wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy:
Próżno bez Pańskiej pomocy;
Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Kochanowski.

94. Wydra króla Jana Sobieskiego.

Jan Chryzostom Pasek, który żył za czasów Jana III. Sobieskiego, tak pisze w swoich pamiętnikach:

Chowałem sobie wydrę tak łaskawą, że wolałbym być częścią majątku mojego dać, niżeli oną, bom ją tak lubił. Król Jmć dowiedział

się tam od kogoś o tej wydrze i chciał ją dostać koniecznie; ale nie wiadano, jak mnie zowią, i nie wiadano, do kogo owe prośby odesłać. Najpierwej tedy koniuszy koronny pisał do p. Bełchackiego, żeby się dowiedział, u kogo się ta wydra znajduje. A że to była wydra sławna na całe województwo krakowskie, więc Bełchacki dał wiadomość, że u mnie jest. Dopiero tedy król uciechył się nadzieją, mówiąc: »Mnie pan Pasek dawno znajomy; wiem, że mi jej nie odmówi«. Przysła więc Straszewskiego z listem; pisze oraz koniuszy koronny, pisze Pisarski Adryan, krewny mój, dworzannin królewski, prosząc, żebym tego podarunku królowi nie odmawiał, gdyż mi to król Jmć nagrodzi wszelką łaską i względami. Przeczytawszy listy, zadziwiłem się, ktoto tam o tem zwiastował, i pytam: »Dla Boga! cóżto królowi Jmci po tej wydrze?« — Powiedział poseł, że bardzo król Jmć żąda i prosi. — Ja dopiero: że niema tej rzeczy u mnie, coby miała być odmówiona królowi Jmci. Ale mi było tak miło, jakoby mnie ostrym zgrzeblem po gołej skórze drapał.

Posłałem więc do browarnego arendarza, żeby rękawa wydrzanego mi przysłał; który gdy przyniesiono, kładę posłowi królewskiemu na stół, mówiąc: »Otóż waść masz wydrę«. Ów patrzy i mówi: »Ale żywa ma być i pieszczona ta wydra, o którą król Jmć uprasza«. Ja tedy pożartowawszy, jużem ją musiał pokazać, a że jej nie było w domu, lecz gdzieś się tam włóczyła po stawach, wyszliśmy na łąki. Począłem ją wołać jej przezwiskiem, bo się Robakiem nazywała; wyszła mokra z trzciny, poczęła się koło mnie łaścić, a potem poszła za nami do izby. Zdumiał się Straszewski i mówi: »A dla Boga! jakżeto król tego nie ma kochać, kiedy to tak łaskawe?« Odpowiem ja: »To waść tylko co widzisz, chwalisz; ale dopiero bardziej chwalić będziesz, gdy obaczysz jej cnoty!« — Poszliśmy nad staw. Stanąwszy na grobli, mówię: »Robak! trzeba mi ryb dla gości; hul w wodę!« Wydra poszła, wyniosła najpierw płocicę; drugi raz kazałem, wyniosła szczupaka małego; trzeci raz wyniosła półmiskowego szczupaka, trochę go tylko na karku obraziwszy. Straszewski za głowę się porwał: »Dla Boga! co ja widzę!« — Mówię tedy: »Każesz waść więcej nosić? bo ona póty będzie nosiła, póki nie będzie zadosyć; trzeba ryb cebra, nanosi ona, bo jej sieć nic nie kosztuje«. — Straszewski rzecze: »Już wierzę, kiedy widzę; gdyby mi zaś kto powiadał, nie wierzyłbym«.

Póki Straszewski nie odjechał, pokazałem mu wszystkie jej umiejętności, które były takie: najpierwej, że mną sypiała w pościeli; druga, stróż taki z niej w nocy, że Panie zachowaj do łóżka przystąpić; chłopcu ledwie pozwoliła mi z butów zzuć, a po tem już się nie ukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, że m się musiał obudzić, choćbym najlepiej spał; w dzień zaś, rozłożywszy się gdziekolwiek, spała tak, że choć ją na ręce wziął, oczu nie rozdziawiła. Surowej ryby, surowego mięsa nie chciała jeść; nawet kiedy w piątek albo w post uwarzono jej kurczę albo gołębia, a nie włożono pietruszki i nie dano tak, jak należy, to nie chciała jeść. Rozumiała też jak i pies: »nie daj ruszać!«. Kiedy mnie kto poszarpał za suknie, a rzekłem: »rusza!«, to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknię, za nogi, równo z moim psem, do którego bardzo była przywiązana; inszych zaś psów nie lubiła i, jak który do izby przyszedł, zaraz go łapką wycięła, choćby to był najroślejszy chart.

Przyjechał był raz do mnie Ożarowski Stanisław; byłem mu rad. Wydra też, że mnie trzy dni nie widziała, przysłała do mnie i nie mogła się nacieszyć i naigrać. Miał gość z sobą charcicę piękną i rzecze do syna: »Samuelu! trzymaj charcicę, żeby tej wydry nie zjadła«. — Ja mówię: »Nie turbuj się waść! nie da sobie to zwierzątko krzywdy uczynić, choć małe«. — Aż on rzecze: »Co waść żartujesz? ta charcica wilka się chwyta, lizska jej tylko raz ziewnie«. — Poradowawszy się ze mną wydra, obaczyła psa niedomowego; przyjdzie do owej charcicy i patrzy jej w oczy, a charcica też na nią; obeszła ją dokoła i odeszła. Ja myślę: toćto już nie będzie czyniła. Jeno cośmy o czemś poczęli mówić, aż wydra znowu wstała (bo mi się układała była pod nogami) i idzie cicho popod ławami. Zasła charcicy znowu z tyłu, a kiedy ją wytnie w łydkę, charcica skoczy do drzwi, wydra za nią; charcica za piec, wydra za nią; kiedy widzi, że nie ma gdzie uciec, skoczyła na stół; chce w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi. Dwa jednak kieliszki szlifowane z winem stłukła, a potem jak ją wypuszczono, nie pokazała się do pana, choć nie pojechał, aż na-
zajutrz po obiedzie. To się jej tak wszędzie psy bały.

W drodze wielka z nią była wygoda, zwłaszcza w post. Jadąc bowiem gdziekolwiek mimo rzekę, staw, a wydra była, sieci nie trzeba. Zsiadłszy trochę z woza: »Robak, hul, hul!« to Robak poszedł, wyniósł ryby, jakie ta woda miała, jedną po drugiej, aż

było dosyć. Jużem tam nie przebierał, jakto w domowym stawie, ale co przyniosła, bierz, oprócz jednej żaby, bo i te często wynosiła; gdyż ona tam nie brakowała, ale co napadła, to wzięła. I ja i czeladź mieliśmy się dobrze, a czasem i gość pożywił się, jak się to trafia w jednej stanać gospodzie i kilku gościom. Dziwowali się: »A jam kazał ryb szukać w tem mieście, a nie można dostać; gdzie waćpan dostał ryb tak doskonałych?« — Jam powiedział, że w wodzie. Nawet i w mięsny dzień czasem czeladź rzekła: »Ej do-brodzieju! rzucają się tu ryby w tym stawie, niech wydra idzie«. Poszedłem z nią, bo ona z nikim oprócz mnie nie chciała iść. Jeżeli wyniosła dobrą rybę, jakoto: szczupaka, okonia rosnącego, tom ją sam jadł, nie tylko czeladź, bom ja najlepszej mięsnej potrawy gotów odstąpić dla dobrej ryby. W tem z nią w drodze było uprzykrzenie, że gdzieś jechał, dziwowano się; ludzie kupami schodzili się, właśnie jakby to co z Indyi przywieziono; osobliwie w Krakowie, kiedy jechałem przez ulicę, kupa różnych ludzi wyprowadzała mię.

Kiedy już Straszewski widział owej wydry przymioty, obaczył też i inne myśliwstwo moje, jako to: zwierzyniec ptaszy.

Pojechał do króla i wszystko, co widział, opowiedział. Ledwieco Straszewski przyjechał i uczynił doniesienie, wzięła króla taka chęć: »Nie może być, tylko jedź znowu, a przywieź już wydrę jakimkolwiek sposobem, byłem ją miał«. Listy znowu do mnie popisano, pytając, co sobie za nią każe dać. Koniuszy koronny i Piekarski pisali do mnie: »Dla Boga! jużże się nie wymawiaj; wolisz dać i zbyć kłopotu, bo pokoju nie będziesz miał, gdyż król i jedząc i chodząc i śpiąc, tylko o tej wydrze myśli«. Przyjechał więc znowu na odwrót Straszewski, listy oddał i powiada: »Kto prędko daje, jakby dwa razy dał«. Posłał mi też król dwa konie tureckie, bardzo piękne, z siedzeniem bogatem. Ale jam powiedział, że nie tylko pieniędzy, ale i koni nie wezmę, bobym się tego wstydził za tak błahy podarek takie odbierać nagrody.

Wyprawiłem tedy wydrę na nową służbę. Niewdzięcznie bardzo przyjęła tę wyprawę, piszcząc, wrzeszcząc w klatce, kiedy przez wieś jechali; ażem poszedł do izby, nie chcąc słuchać tego, bo mi jej żal było. Napisałem tedy na całym arkuszu, jako z nią mają postępować, i to też napisałem, żeby jej nigdy nie wiązać za obrączkę, ale podle obrączki za szyję; dlatego, że u wydry

grubsza jest szyja niżeli głowa, więc choćby najciaśniejsza obrączka, to się zaraz przez głowę zdejmuje. Napisałem także, jak ją żywić.

W drodze jadąc, gdzie upatrzyli wodę na czystem, chociaż bali się, żeby się nie skryła, wpuszczali ją przecie kilka razy do wody dla ochłodzenia. I to nie pomogło; było pisku, wrzasku podostatku. Stęskniło się to, znikczemniało; przywiezli królowi tak jako sowę odętą. Niezmiernie rad król, widząc mówi: »Stęskniło się to, ale się to obaczy«. Komu ją każą pogłaskać, to wydra za rękę. Król rzecze: »Marysienku, odważę się pogłaskać ją«. Królowa perswaduje, żeby niechać, aby nie ukąsiła; on przecie usiadłszy podle niej, jak ją znowu na łóżku posadzono, do niej z ręką powoli. »To sobie będę miał za dobry znak, jeżeli mnie nie ukąsi; jeżeli też ukąsi, o to mniejsza, pisać tego nie będą po gazetach«. Pogłaskał ją tedy, pochyliła mu się; jeszcze bardziej się król ucieszył, że i więcej począł ją głaskać; potem jej jeść kazał przynieść, łakoci dawał jej po kawałku, a ona jadła, siedząc na złotogłowi. Już tam chodziła po pokojach, gdzie chciała, coraz swobodniej. Byłać tedy dwa dni; postawiono jej wody w naczyniach wielkich, napuszczono tam rybek, raków; to się cieszyła, wynosiła. Król rzecze do królowej: »Marysienku, nie będę jutro jadł ryby, tylko co mi ta wydra ułowi; pojedziemy da Pan Bóg do Wilanowa i tam będziemy próbować, azali się tam pozna z rybami«.

Robak powoli przyzwyczaił się do nowego pomieszkania. Lecz pewnego dnia, gdy biegał po łąkach i gajach wilanowskiego lasu, postrzegł go pewien żołnierz, który zabił go kijem i za złotówkę sprzedał jego skórę. Skoro postrzeżono, że niema wydry, okropny hałas zrobił się w zamku. Zaczęto szukać i wkrótce wysledzono prawdę. Gdy skórę pokazano królowi, uniósł się wielkim gniewem, i kto wie, coby się stało było z owym żołnierzem, gdyby ks. biskup, spowiednik królewski, nie był wstawił się za nim i nie pohamował króla.

95. Rybka mała i szczupak.

Widząc w wodzie robaka, rybka jedna mała,
Że go połknąć nie mogła, wielce żałowała.
Nadszedł szczupak: robak się przed nim nie osiedział,
Połknął go, a z nim haczyk, o którym nie wiedział.
Gdy rybak na brzeg ciągnął korzyść okazała,
Rzekła rybka: Dobrze to czasem być i małą.

Ign. Krasicki.

96. Wielka pustynia afrykańska.

Od Atlantyku po morze Czerwone rozciąga się przez całą Afrykę północną olbrzymia pustynia bezwodna. W jednym tylko miejscu przerzyna ją w całej jej szerokości zielona wstęga uprawnej ziemi. Ta ziemia uprawna, to Egipt, dar Nilu. Jak daleko ożywcze wylewy wody Nilowej sięgają, tak daleko wydaje urodzajna kraina obfite plony. Wszelkie zaś życie roślinne ustaje, skoro tylko oddalimy się o parę mil na wschód lub na zachód od przedziwnej rzeki.

Pustynia na zachód od Egiptu nosi nazwę wielkiej pustyni afrykańskiej czyli Sahary. Aby dać wyobrażenie o jej wielkości, dość powiedzieć, że obszar jej przewyższa dziesięć razy powierzchnię monarchii austro-węgierskiej. Europejczycy do niedawna wyobrażali sobie Saharę jako jednostajną płaszczyznę, pokrytą piaskiem, jako niezmierzone suche morze bez wody, po którym tu i ówdzie rozsiane są, jakby wyspy, urodzajne miejsca, zwane oazami.

Otóż nie da się zaprzeczyć, że są w Saharze rozległe obszary, pokryte żwirem kamienistym albo sfalowane jednostajnie wydhami piaszczystymi i podobne tym sposobem do bezwodnego morza. Obszary takie są szczególnie gęste i znaczne w zachodniej połowie pustyni. Myliłby się jednak, ktoby mniemał, że cała przestrzeń od Egiptu po Atlantyk jest krajem płaskim i równym; przeciwnie, cała Sahara składa się z mniej i więcej wyniosłych wyżyn; gdzieniegdzie są one poprzerywane głębszemi zakłębłościami, a miejscami piętrzą się na nich wzgórza, a nawet całe łańcuchy górskie.

Szczególnie środkowa część Sahary, między zatoką morza Śródziemnego, noszącą nazwę Syrt, a wielkiem jeziorem Tsad, odznacza się szeregiem łańcuchów, a nawet krain górskich. Niektóre pasma górskie i szczyty dochodzą do tej wysokości, jaką ma Beskid. Na południu zaś są wyżyny tak urozmaicone widokami góorskimi, że podróżnym europejskim przypominają Szwajcaryę. Brak tylko tych zielonych lasów i hal pasznych, brak tych lodowców, jezior, rzek i wodospadów, jakie ma Szwajcarya.

Zakłębłości, znajdujące się w Saharze, rozmaite mają wejrzenie. Gdzieniegdzie są to kotliny, niekiedy bardzo nawet obszerne, o stromych, skalistych ścianach. Zazwyczaj na dnie takich zagłębień pokazują się źródła, około których zaraz rozwija się bujna roślinność. To są oazy, przytuliska nielicznych plemion, zaludniających z rzadka te obszary. Nazwę *oasis* utworzyli Grecy ze staroegipskiego

wyrazu *uahe*, oznaczającego mieszkanie. Królową oazy jest zielona palma daktylowa, co podróżnego »z cieniem i owocem czeka«. O przedziwnem tem drzewie mówią mieszkańcy Sahary, że musi trzymać nogi w wodzie, a głowę w ogniu, to znaczy: że wymaga wilgotnego gruntu i gorącego powietrza.

Palma daktylowa jest główną żywicielką mieszkańców oazy. Ilość pni w gaju daktylowym stanowi o bogactwie właściciela. Są niektóre większe oazy, pełne daktylowych lasów; są osady, których majątek liczy się na tysiące palm daktylowych. Urodzajniejsze miejsca oazy zasadzają także jarzynami lub obsiewają rozmaitymi gatunkami prosa. Uprawa roli jest jednakże bardzo żmudna; deszcz w Saharze bardzo rzadko, a miejscami prawie nigdy nie pada; muszą przeto mieszkańcy ciężko pracować nad nawodnieniem pól swoich. Ze źródeł i z głębokich studzien czerpią tedy wodę do korytek i rozprowadzają lub roznoszą ją po polach i ogrodach. Osobni sędziowie czuwają nad tem, aby przy tem czerpaniu nie krzywdził jeden drugiego. Takimto cennym skarbem jest w Saharze woda! Gdziekolwiek ciągną się całemi milami głębokie jary, niby łożyska wyschłych rzek i potoków. Czasami są one zupełnie bezwodne i zasute kamieniami, czasami zaś poznać po skąpej roślinności, że pod wierzchnią warstwą żwiru i piasku sączą się nieznaczne strumienie podziemne. Takichto jarów szukają karawany podróżnych, co są zmuszeni przebywać pustynię. Jary te czynią nadzieję dojścia do źródła lub dokopania się wody, jeżeli zapas, wzięty w poprzedniej oazie, nie wystarczy.

Są wśród Sahary i jeziora, ale jakie? Są to mniejsze i większe bagna namuliste i słone. Wskutek skwaru, panującego w pustyni, paruje woda bardzo prędko, a powierzchnia jeziora okrywa się grubą solną skorupą, popękaną i pokruszoną.

Pustynia robi dziwne wrażenie wiecznego spokoju i ciszy. Brak roślinności sprawia, że i zwierząt bardzo mało się widzi. Tylko niektóre trwożliwe stworzenia chronią się tu przed swoimi prześladowcami, inne znowu walczą z sobą o swe życie w śmiertelnych zapasach. Panujące suche wiatry utrzymują prawie nieprzerwaną pogodę. W południowej części Sahary bywają jednakże w letnich miesiącach ulewne deszcze; wtedy wzbierają źródła, a roślinność ożywia się miejscami.

Gdy żar słoneczny rozpali powierzchnię ziemi, a od niej rozgrzeją się dolne warstwy powietrza, wtedy odbijają się w nich nie-

kiedy, jak w zwierciadle, widoki okolic o kilkanaście lub kilkadziesiąt mil oddalonych. Podróżny spostrzega niespodziewanie piękne gaje, o których mówi poeta:

Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko?
Te cudne, błędne pustyni obrazy,
Których cien miły podróżnego nęci,
A gdy się zbliży, we mgłach się rozplywa.
Spragnione oko widzi, jak w oddali
Wśród kwiatów źródła z sennym szmerem płyną,
Jaśmin srebrnymi kwiatami powiewa;
Czarne cyprysy i drzewa palmowe;
Wiatr — zda się — liśmi wonnych kwiatów wieje.

Są to jednakże zjawiska bardzo rzadkie. Nazywamy je włoską nazwą *Fata Morgana*.

Kiedyindziej zawieruszają pustynię straszne wichry. Słońce świeci krwawym blaskiem; po chwili czarna chmura zbliża się, zakrywa niebo i pograża świat cały w ciemności. Wiatr obala namioty podróżnych, ciska dużymi kamieniami i sypie drobnym żwirem i piaskiem. Ludzie i zwierzęta z przestachem odwracają się, tuląc się ku ziemi, i czekają w trwodze, póki burza nie minie.

Podróże przez Saharę są — jak z tego widać — dość niebezpieczne. Mimo tego przebywają ją liczne karawany kupców, dążących z północy, od wybrzeży morza Śródziemnego, do krajów murzyńskich w środku Afryki i napowrót. Niezbędnym towarzyszem podróży jest wielbłąd, zwany »okrętem pustyni«.

Karawany dla własnego bezpieczeństwa muszą opłacać się plemionom, osiadłym po drodze. Na całym obszarze Sahary jest zaledwie tyle ludzi, co w Galicji. Podzieleni na szczepy, są z sobą zazwyczaj w nieustannych zatargach. Wyznają wiarę muzułmańską, są zabobonni, podejrzliwi, częstokroć okrutni. Ich ziemia skąpo może ich wyżywić. Trudnią się tedy rozbojem lub wymuszają haracz od podróżnych, przebywających puste obszary, które uważają za swą własność. Szczególnie drogo każą sobie opłacać przystęp do źródeł i studzien. Często porywają jeńców i zamieniają ich w niewolników. Smutno więc człowiekowi w pustyni!

97. O sposobie życia tatrzańskich kozic.

Jak większa część innych przeżuwaczów, tak i kozice żyją gromadkami czyli, jak mówią Górale, kierdelami, które rozrzucone

po pustych turniach, t. j. szczytach, niemniej je zdobią, jak różno-barwne kwiaty. Liczba kozic w kierdelu zmienia się, gdyż jedne przyłączają się do niego, inne się odłączają; niekiedy składa się on nawet z trzydziestu kozic. Kozice, tworzące kierdel, żyją z sobą w zgodzie i chyba czasem walczą ze sobą — dla rozrywki. Składa się taka gromada zwyczajnie z matek, kozłat i capów, które tylko do czterech lat trzymają się matek. Starsze capy, które często lat trzydzieści żyją i wtedy siwieją, tylko na wiosnę chodzą w towarzystwie kóz i młodych; przez lato żyją zwykle osobno już to samopas już też po kilka razem.

Kierdel ma się zawsze na ostrożności, a dla tem pewniejszego bezpieczeństwa jedna z jego grona kozica stoi na straży. Zagrożony pierzcha. W miejscach przestronniejszych i wygodniejszych uciekają zwykle wszystkie razem, matki z kozłętami naprzód, capy za niemi; na miejscach wązkich sady jedna kozica za drugą, najczęściej gęsiego i tym samym szlakiem. Opowiadają strzelcy, że gdy przodująca w ucieczce skryje się poza górę, następna wietrzy jej trop, aby wiedziała, którądy za nią ma biedz. Ubiegłszy spory kawał drogi, przewodniczka czasem stanie i gwizdnie; za nią stają inne i wszystkie oglądają się ku miejscu, skąd uciekły. Na odgłos strzału rozpierzcha się kierdel w różne strony, toż po uderzeniu piorunu, ale tylko z wiosny, bo do jesieni przywykają kozice do jego huku podczas burz.

Pochód kierdela w niebezpieczne turnie odbywa się nader ostrożnie i zwolna. Wówczas jedne kozice zwracają całą uwagę na złe miejsca przesmyku, gdy tymczasem inne śledzą najbaczniej możliwego niebezpieczeństwa. Przez drogi udeptane lub w zimie saniami ujeżdżone przechodzą bez namysłu, ale nadybawszy niespodzianie na miejscach niezwykłych ślad człowieka w śniegu, przestraszają się i albo wracają albo też potężnymi przeskakują go susy, podważając baczność swoją na czas dłuższy.

Zazwyczaj kozice pasą się, stoją lub leżą. Czasem atoli widząc się bezpiecznemi, figlują, wyprawiając gzy bardzo pocieszne. I tak, pochylając w bok głowę, postraszy jedna drugą rożkami, lecz jej nie ubodzie, gdyż ta w porę zręcznie na bok odskoczy; to znów niby się strącają rożkami w przepaść; czasem znów wychodzą wszystkie na górny koniec śniegu, poczem jedna z kozic zjeżdża po śniegu w dół z rozpiętymi racicami, jużto stojąc, już też, przycupnąwszy do śniegu tak, że tylne nogi bierze pod spód,

a przednie wyciąga przed siebie. Podczas tego zjeżdżania towarzyszą jej inne ochotnice i albo pędzą za nią aż na dół albo też po jednej w tyle zostają. Skoro wreszcie zjeżdżająca zatrzyma się na dole, zrywa się w tejże chwili na nogi i nawraca do góry, a za nią sadzą na prześcigi towarzyszki, skacząc potężnymi susy na wszystkie strony. Pozornym tym bójkom i swawolnym igraszkom możnaby się bez znudzenia przypatrywać całemi godzinami; z tak przedziwną odbywają się lekkością, nagłością i zręcznością, iż wprawiają widza, zwłaszcza lubownika przyrody, w rozkoszne zdumienie i cieszą go zawsze, choćby je już kilkakrotnie widział.

Atoli igranie i ochota do niego ustaje u kozic natychmiast, skoro zwietrzą lub spostrzegą człowieka, choćby w największej odległości. Cały kierdel, nie wyjąwszy najmłodszego kozłatka, staje wtedy gotowy do ucieczki, dawna wesołość nie wraca mu już, ciągnie więc powoli ku wierchom lub ku innej stronie, rozpatrując się z każdej turni, nad każdą przepaścią i nie spuszczać z oka ani na chwilę możliwego niebezpieczeństwa. Na krawędzi najwyższego szczytu stają kozice obok siebie i bez przestanku spoglądają w dół, z niedowierzaniem zwracając głowę z białą połyskującymi policzkami to w tę to w ową stronę. W lecie trudno zobaczyć kozice tego samego dnia na tem samym miejscu; w jesieni, kiedy w górach mniej ludzi, częstokroć już po godzinie pędzą znowu na dół i zajmują napowrót miejsce przerwanej zabawki.

Latem szukają kozice północnych lub zachodnich zboczy gór, w innych porach roku przenoszą cieplejszą stronę południową lub wschodnią. Upału letniego unikają, trzymając się miejsc cienistych i chłodnych; w cieniu też zwykle na spoczynek legają. Szczególnie lubią bliskość śniegu i całemi godzinami po nim chodzą, choćby nań słońce świeciło. W nocy zostają tam, gdzie się pasły za dnia. Ich zwykła postawa okazuje nieustanną gotowość do natychmiastowej ucieczki. Gdy się układają na spoczynek lub nocleg, obierają do tego zawsze miejsce bezpieczne, z widokiem przed siebie i na boki; takie miejsce zowią Górale tatrzańscy przeźrocznem. Iżby się kryły przed nawalnym deszczem i gradem, tego nie uważano; gdzie je burza zaskoczy, tam zostają. Leżąc trzymają głowę do góry, a spozierają ostrożnie ku szczytom i dolinom, wyęzają pilnie wzrok ku tej stronie, skąd posłyszają jakikolwiek głos, czy to odzywanie się ptaka halnego czy łoskot spadającego kamienia. Takto, nawet spoczywając, mają się kozice zawsze na ostrożności,

a zarazem i na pogotowiu do ucieczki, zwłaszcza gdy przebywają w okolicach, gdzie są płoszone, albo takie, na których zgubę człowiek już się zasadzał.

Skoro tylko ku zimie śnieg w turniach zacznie padać (kurzyć) i całkiem je okryje, zasypując coraz niżej pasznicze hale z kosodrzewiną, kozice nie mogą dłużej tam bawić, schodzą coraz niżej, wreszcie szukają sobie schronienia, gdzieby zostać mogły na zimowisko. Najchętniej układają się pod rozłożystymi świerkami, których konary, sięgając prawie aż do ziemi, ochraniają suchy porost trawny od przyprószenia go śniegiem. Atoli jak na zimno i mróz wytrwałe są kozice, tak i na post długi dziwnie są wytrzymałe.

Ale zato, kiedy ciepło wiosenne stopi nieco całun śniegowy, pokrywający góry, a szczyty już tu i ówdzie staną się przystępnymi, znowu kozice w całej pełni używać zaczynają powabów swego życia. Przebiedowawszy zimę, opuszczają co rychlej swe zimowiska i wracają pełne otuchy do swych rodzinnych wysokości, racząc się trawką, świeżo odrastającą.

Maksymilian Nowicki.

98. Przytomność umysłu.

Przy samym schyłku wieku XVII., w roku 1699., Polska zakończyła była wojnę z Turkami. Traktatem zobowiązali się Turcy zwrócić jej twierdzę Kamieniec z Podolem. Marcin Kątski, wówczas generał artylerji, miał obowiązek odebrać urzędownie tę twierdzę i zbrojownię. Oddawał mu ją w imieniu Turków jeden z ich dowódców. Ten, wprowadziwszy Kątskiego w podziemia, prochami napełnione, wściekłością miotany z powodu utraty takiej zdobyczy, rzucił między prochy zarzewie ognia, aby siebie, Kątskiego i cały Kamieniec pogrzebać w gruzach. Ale Kątski niezmiyszany porwał ten zarodek śmierci i zniszczenia i dał mu spokojnie dogorzeć na swej dłoni. Ośłupiał barbarzyńiec na widok takiej przytomności umysłu i dzielności Polaka, który z narażeniem własnego życia ocalił miasto i tysiące ludzi.

Jan Paweł Woronicz.

99. Gorąca chęć nauki.

I.

Szerokim chodnikiem, wśród wysokich i rozłożystych lip ogrodu żytniewskiego biegały sobie dzieci państwa Siewnickich. Dziewięcio-

letni Staś podrzucał raz po raz balon kolorowy w górę, a obok niego siedmioletnia Marynia przeskakiwała zwinnie jak wiewiórka przez obręcz i szczebiotała do braciszka. Gdy doszli do końca ogrodu, Marynia wskoczyła na wał, który dzielił ogród od rozległej łąki. Stąd widać było wioskę z wystrzeloną w górę szarawą wieżycą kościoła, a na krańcu widnokrzęgu las ciemny. Wtem wzrok spuściła na łąkę: hasały po niej żrebce gniade, bułane i jeden mlecznej białości, a tuż przy wale, pod krzewem siedział pastuszek w dreliszku; trzymał papier jakiś w ręku i zapatrzył się weń, jak gdyby czytał. Panienka pochyliła się nieco, a zobaczywszy, że tym papierem była Gazeta Polska, zaśmiała się i w dłonie klasnęła. Chłopak się obejrzał, na równe skoczył nogi, jedną ręką zerwał z głowy słomkowy kapelusz, a drugą z gazetą ukrył za plecami.

— Wojtuś! — zawołała panienka — cóżes ty tam czytał?

— Oj... wielmożna panienko, jam nie czytał — odrzekł jękając się — bo... bo ja czytać nie umiem...

— To i cóż robisz z tą gazetą?

Chłopak miał kapelusz w ręku i wzrok utkwiał w ziemię, wyjąkując słówko po słówku:

— Znalazłem ją pod płotem jeszcze w tamtę niedzielę, ale... bo... żywnie rad... chciałbym się nauczyć czytać.

— Biedny! — poszeptała panienka i w tej chwili znikł uśmiech z jej różowej twarzyczki. Zeskoczyła z wału, wzięła gazetę do ręki, zaczęła pokazywać Wojtusowi litery, nazywając mu jedną po drugiej, a Wojtuś po kilka razy każdą powtarzał.

Usłyszał Staś tę rozmowę, w lot do nich przyskoczył i śmiejąc się, zawołał:

— Co ty, Maryniu! czytasz Wojtusowi gazetę?

Dobra panienka objaśniła braciszкови, jak się rzecz miała, a ten bez namysłu zagadał:

— Wiesz co, Maryniu? jest gdzieś na strychu stary elementarz, będziemy z niego Wojtusia uczyli czytać.

Dziewczynka, uradowana tym pomysłem, objęła braciszka za szyję, a Wojtuś aż zadrżał i miał pełne łez oczy, a potem zaczął wyskakiwać z radości, że będzie umiał czytać.

Nazajutrz tedy rozpoczęła się wielka nauka poznawania liter, i już w tej pierwszej godzinie Wojtuś niemal wszystkich się ich nauczył. Dalsza jednak nauka szła więcej oporem: Wojtuś był wprawdzie pojętny, ale młodzi nauczyciele niedość wprawni.

Dziwiła się pani Siewnicka, co też dzieci po całych godzinach robią na łące, na którą zaraz po lekcyi codzień wybiegają. Kiedy raz chodząc po ogrodzie, państwo Siewniccy doszli do wału i na nim stanęli, jakież ich oczom przedstawił się widok: oto Staś i Marynia siedzieli na darniowej ławce, a przed nimi przykucnął Wojtuś. Staś trzymał rozłożoną książkę i pospołu z nim sylabizował.

— Bawią się w szkołę! — zaśmiał się pan Siewnicki — to i nie szkodzi!

Na głos ojca dzieci zadrgnęły i porwały się, a Wojtuś odskoczył na bok, błądy jak winowajca.

— Bawicie się w szkołę, jak widzę — powtórzył ojciec.

— Tatu, my uczymy Wojtusia — odrzekł Staś śmiało, w przekonaniu własnem, że dobry spełnia uczynek. — Marynia pierwszych nauczyła go liter. On biedny, tak z całej duszy pragnie nauki: pojętym jest bardzo. Już sylabizuje. A dzisiaj nauczyłem go kilku wyrazów łacińskich.

— O! o! — zaśmiał się ojciec z niedowierzaniem.

Ale Staś nie dał się zbić z tropu, wziął pastuszka za ręką i rzekł:

— Wojtuś, powtórz-no, czegom cię nauczył.

— Chłopak podniósł czoło i wygłosił dobitnie: Bóg *Deus*, mój *meus*, ojciec *pater*, matka *mater*, niebo *caelum*, zasłona *velum*...

— Otóż tego wszystkiego — dodał Staś — nauczył się dzisiaj.

— Dobrze, mój synku, dobrze. A co, chłopcze — rzekł pan Siewnicki i ujął Wojtusia pod brodę — czy pragniesz nauki?

— Oj, wielmożny panie! — pokłonił się chłopak — gdyby słońca! gdyby mszy św. w kościółku w świętą niedzielę!

— I uczyłbyś się pilnie?

— O Jezusieńku, istnie, że już o niczem nie myślałbym innem!

Dzieci z żywością tuliły się do rodziców, całowały ich po rękach i prosiły za pastuszkiem.

— No, Wojtusi — zagadał pan Siewnicki — już więcej nie będziesz pasał żrebaków. Pomówię z panem Wielickim, nauczycielem dzieci moich, będzie on i ciebie uczył.

Wojtuś rzucił się do kolan dobrodzieja swojego.

— Oporządzi my ciebie — dodała pani Siewnicka — ale musisz być posłusznym, porządnym i pilnym.

— O, wielmożni państwo, jak przy pacierzu świętym! — zawołał chłopak i złożył ręce.

— Chodźmyż teraz! — zagadał ojciec. — A ty, Wojtusi, przyjdź jutro rano do dworu. Ekonom dziś jeszcze innego w miejsce twoje pastuszką wyznaczy.

III.

Na końcu wsi mieszkała w małym domku matka Wojtusia, wdowa po słudze kościelnym. Była to uboga kobiecina, lecz pocziwa bardzo i pracowita. Dziedzic dał jej darmo pomieszkanie i parę zagonów na ziemniaki i kapustę, a zresztą pracowała na utrzymanie, jak mogła: pomagała ogrodnikowi w ogrodzie, prała i przędła we dworze i po wsi.

Właśnie na Anioł Pański zadzwoniono, więc uklękła przed obrazem Najśw. Panny i wieczorną zmówiła modlitwę. Potem roznieciła ogień na kominku i przystawiła garnek z ziemniakami na wieczkę. W tej chwili wbiegł Wojtuś, szybko i hałaśliwie, wesół i szczęśliwy.

— Matulu — zawołał — matulenko jedyna!... O Jezusie! Matko przенajświętsza! Bóg Deus, mój meus... Matulu mater, Deus Bóg... — wołał wyskakując.

— Najśłodszy Jezu! Odszedł od rozumu czy co? — przeraziła się matka.

— Ej nie, matulu mater, bo ja będę nauczonym, będę księdzem. Bóg Deus, mój meus...

— Ależ co ci się stało? gadajże po ludzku.

— Ot, matulu, już nie będę pastuszkciem.

— Chryste Jezu! Dziedzic ciebie odpędził? — załamała ręce.

— Nie, nie, matulu! tylko już nie będę przy żrebackach, bo dziedzic każe mnie uczyć, pani da mi ładne suknie po paniczu, będę się uczył, będę księdzem, matulu mater! Matula będzie przy mnie, nie będzie już mater matula pracowała, będzie miała schludne szaty, matula będzie panią... O matulenko, jakżeż ja będę się uczył!...

I Wojtuś skakał po izbie jak opętany.

Biedna kobieta zalewała się łzami wdzięczności, wznosiła złożone ręce ku niebu i błogosławiła dobrym państwu i ich dzieciom.

Tymczasem dogotowały się ziemniaki, ale ani Wojtuś ani też matka jego z wielkiej radości jeść ich nie mogli. Jakże gorące były

ich pacierze, gdy udawali się na spoczynek, bo dzień ubiegły należał do najszcześniejszych w ich życiu.

Wojtuś marzył przez noc całą o szczęściu swoim i przez sen powtarzał ciągle wyrazy: Bóg Deus, mój meus, matka mater, ojciec pater.

IV.

Już nazajutrz począł pan Wielicki uczyć Wojtusia. Uczył go przez całą jesień i zimę. Chłopak każde słowo nauczyciela chciwie chwycił, to też gdy pierwsze zaświergotały skowronki, umiał już czytać, pisać, cztery działania, nieco geografii i historii, a nadto wyuczył go Staś pocziwy mnóstwa wyrazów łacińskich.

Rzeczywista zdolność chłopca i to nieograniczone pragnienie wiedzy zjednały mu wielkie współczucie pana Siewnickiego. Przyzwał proboszcza do narady — a ponieważ Wojtuś ciągle o tem marzył, ażeby zostać księdzem, postanowił zacny dziedzic oddać go do szkoły powiatowej, a następnie do seminarium duchownego.

Ulubienca całej rodziny oddano tedy do szkoły. A w dniu, w którym to nastąpiło, pojechali państwo Siewniccy ze Stasiem i Marynią do miasta i zabrali z sobą matkę Wojtusia. Drugim zaś powozem jechał ksiądz proboszcz, pan Wielicki i Wojtuś. Wysłuchali pospołu mszy św. i byli obecnymi przyjęciu do szkoły nowego Gregoryanka, jak go nazywał dziedzic i proboszcz.

Gregoryankami bowiem nazywauo w czasach dawniejszych chłopców, świeżo do szkoły oddanych, a to przez cześć dla pamięci św. Grzegorza, który jako mąż cnót wielkich i prawdziwie święty, wykupywał dzieci z niewoli iłożył na ich naukę. Św. Grzegorz zatem obrany został patronem dzieci rozpoczynających nauki w szkołach, a dawni Polacy wyznaczili dzień święta jego, dwunasty marca, na wprowadzenie dzieci pomiędzy dawniejszych uczniów.

Państwo Siewniccy pobłogosławili swojemu Gregoryankowi. Otrzymał nowe suknie od dziedzica, bieliznę od pani, książki potrzebne i torbę szkolną od Stasia, a zeszyty, pióra stalowe, ołówki, linie i kałamarzyk od panienki. Ksiądz proboszcz darował mu książkę do nabożeństwa i medalik srebrny z wizerunkiem Chrystusa, a pan Wielicki »Wieczory pod lipą«. Chłopak nie posiadał się z radości. Wszystkim tylko ręce całował, bo słowa wdzięczności nie potrafił wymówić.

Pocziwa matka jego z rozrzewnienia płakała ciągle i modliła się w duszy.

Na święta przywożono zawsze Wojtusia do Żytniewa. Ale jakkolwiek we dworze zostawał, to jednak wiele przebywał i z matką. Działo się tak samo i następnie, gdy już był w seminarium.

W szkole Wojtuś do najzdolniejszych i najpilniejszych należał uczniów. Nauczyciele nie mieli dość pochwał dla niego. Wykształcił się zatem ku wielkiemu zadowoleniu dobrodziejów swoich, a przytem potrzebnej nabrał ogłady; kolegom mniej uzdolnionym wielce był pomocnym zawsze, a z biedniejszymi to i kęsem dzielił się chleba. To wszystko nieskończenie cieszyło państwo Siewnickich, to też błogosławili Stasiowi i Maryni, którzy, jakby z natchnienia Bożego, pierwsi Wojtusia uczyć zaczęli. Bóg takim dobrym, szlachetnym chęciom błogosławi zawsze, a zdrowe i czyste ziarno, na grunt dobry rzucone, plon błogi przynosi.

Wojtuś ukończywszy chlubnie nauki, został księdzem, a wkrótce i proboszczem w sąsiedniej wiosce. Choć jeszcze młody, słynął już z nauki i pobożności, którą wszystkich budował, a zwłaszcza z pięknych kazań. Znał dokładnie potrzeby ludu, bo z pośród niego sam wyszedł, a że się z całym zapalem poświęcał jego dobru, stał się wkrótce wzorowym pasterzem powierzonej sobie od Boga trzódki, dbając przedewszystkiem o jej oświatę i moralność. Sprowadził też zaraz do siebie pocziwą swoją matulę, której szczęśliwą zapewnił starość. W pracy około dobra bliźnich znalazł szczęście prawdziwe, to też całem sercem dziękował za nie Bogu i swoim dobrodziejom, z którymi go dozogonna łączyła przyjaźń i wzajemny szacunek.

100. Praca.

Praca to twierdza, która nie dopuszcza,
By niecne sprawy i złych myśli tłuszcza
Mogły się wedrzeć do naszego łona;
Praca to ziemia jest błogosławiona:
Łaska ją Boża oświeca i zrasza
I tylko na niej kwitnie cnota nasza.

Ign. Hołowiński.

101. Z życia świstaka.

O sposobie życia świstaka, należącego do rzędu gryzoniów, dosyć już znanych jest szczegółów, lecz nie udało się jeszcze wyjaśnić wszystkich wątpliwości. Przyczyną tego jest, że badacz nie-

miejscowy nie może go ciągle śledzić, a na krótki tylko czas przedsiębrane wycieczki nie wystarczają do tego; co więcej, nawet na miejscu zamieszkałe osoby, gdyby chciały badać świstaka na wolności, natrafiłyby na wielkie przeszkody, ponieważ zwierzę to jest rzadkie i przebywa w wysokości mało dostępnej.

Ojczyzną świstaka jest tylko Europa, i to tylko jej góry najwyższe, jak n. p. Pireneje, Alpy i Tatry. Jakoż i tutaj niema tego lubego zwierzątka w niższych krainach. Osiedla on się dopiero ponad kosodrzewiną, na wysokości 2.500 *m* ponad morzem, a więc wysoko w krainie halskiej czyli alpejskiej, mianowicie na zielistych upłazach, położonych wśród dolin i w pobliżności jezior halskich. W Alpach przebywa on nawet wśród rozległych lodowców, gdzie małe trawniki ledwie na kilka tygodni zrzucają z siebie szatę śnieżną. Na takiej tedy wysokości żyje nie samotnie, ale towarzysko, w gromadkach złożonych z 2—11, a nawet 15 świstaków.

Do pobytu obiera sobie świstak miejsca odsłonione i pozwalające swobodnie rozglądać się po okolicy — miejsca, zewsząd gruzami zasłane, stromemi ścianami skał i bezdennymi przepaściami otoczone; zamieszkuje także szczyrbiny pomiędzy wspinającemi się do zawrotnej wysokości turniami, najchętniej zakątki ciche i od swego nieprześląganego prześladowcy, człowieka, ile możności oddalone. Im samotniejszym i nieprzystępniejszym jest ustronie halskie, tem chętniej osiedla się w niem świstak.

Ponieważ przyroda przeznaczyła go do życia przeważnie podziemnego, kopie on sobie, zawsze na miejscach suchych, pazurami norę, stosownie do pory roku płytszą lub głębszą; tutaj to przepędza żywot swój na czuwaniu przez lato, a w twardem uśpieniu przez zimę.

Z nielicznymi towarzyszami, stworzonymi jak on do pobytu na wysokich górach, żyje w zupełnym pokoju; nie szkodzi, nie zawadza nikomu i w niczem, sam jednak doznaje ciągłego prześladowania od góralów, którzy w jego sadle zabobonnie upatrują środek lekarski, na wszelkie choroby pomocny.

Do wyśledzenia niebezpieczeństwa służą świstakowi: ostry węch, bystry słuch i o wiele jeszcze bystrzejsze oko. Gdy się widzi zagrożonym, usiłuje umknąć do nory, lecz że matka przyroda nie obdarzyła go ani szybkością zająca ani też zwinnością wiewiórki, przeto stacza się na dół, gdy nie może biedz dość prędko; w osta-

tecznym razie broni się przeciw napastnikowi pazurami i zębami, którymi dotkliwie kaleczy.

Do wykonywania dalekich skoków jest on ociężały, ale na niskie przedmioty podskoczyć może. Dziwnie wygląda w postawie stojaczka, t. j. gdy siedzi wyprostowany jak świeca i jak kij sztywny, z przednimi łapkami wiotko po ciele opuszczonemi i oczyma w świat Boży wyteżonemi. W tej też postawie gwizdże świstak, nigdy zaś w biegu. Spoczywając, leży jużto na boku, z wyciągniętymi nogami — już też tak, że ma głowę spartą na nogach przednich, tylne zaś nogi podłożone pod siebie. Norę kopie tym sposobem, że ziemię grzebie przednimi łapkami pod siebie, a nadrapaną kupkę rzutkami ruchami tylnych nóg dalej za siebie odrzuca i nareszcie z nory wypycha. Podczas tej pracy często z nory wychodzi, otrząśnie z siebie ziemię, potem znów włązi i pilnie dalej grzebie.

Pożywieniem świstaków w lecie są wonne korzenie i liście ziół halskich. Ale bojaźliwa ich przezorność podczas żerowania nie pozwala im ani kaska spożyć w spokoju, co chwila bowiem podnoszą się, śledzą w okolicy niebezpieczeństwa okiem, uchem i węchem, nie ośmielając się pierwej spocząć, dopóki się nie zapewniły, że nikąd nie są zagrożone. Żerują jedynie za dnia, przez noc zaś bawią w norach, z których w czasie niepogody nawet w dzień nie wyłazą.

Życie letnie tych niewinnych zwierząt bardzo jest zabawne. Ze świtem nasamprzód stare świstaki przezornie z nory wyglądają, nadsluchują, rozglądają się i badają okolicę, azali gdzie nie ujrzą czego nadzwyczajnego; poczem pomalutku wyłazą, podchodzą kilka kroków pod górę, stawają kilkakrotnie na tylnych nogach, a nareszcie zabierają się do śniadania. Wnet po starszyźnie jawią się świstaczęta i zaraz się pasą. Nasyciwszy się, rozkładają się świstaki na upatrzonem miejscu dogodnem, najmilej na kamieniu, do słońca wystawionym i blizkim nory. Czas przemija im teraz na spoczynku i igrzyskach; co chwila jednak przybierają postawę stojaczka i śledzą dokoła okiem; potem znów bawią się wesoło i stroją figle rozmaite.

Kiedy się ukaże cokolwiek podejrzanego, czy to orzeł, czy lis, czy też człowiek, chociażby jeszcze w dalekiej odległości, wtedy natychmiast pierwszy świstak, który spostrzegł niebezpieczeństwo, wydaje nosem świst przerywany, przenikliwy i tak głośny, że daleko rozlega się po halach. Hasłu temu ostrzegającemu wtórują jeden po drugim wszystkie te świstaki, które także zoczyły przyczynę niebezpieczeństwa; gdy zaś pierwszy ostrzegacz sam ją spostrzegł

i śpieszy ku norze, w takim razie podążają za nim milczkiem wszyscy towarzysze. Świstak, który najpierw gwizdnął, umyka jednak dopiero wtedy, gdy niebezpieczeństwo już jest bliskie. Dopóki nieprzyjaciół jest oddalony, dopóty hasła nieustannie się powtarzają, gdyż świstaki okoliczne, bacznie wroga upatrujące, zewsząd się odzywają, a to na znak, że i one go zoczyły. Gdy się zaś nieprzyjaciół skryje za skałę i zachowuje spokojnie, milkną wnet sygnały, lubo zwierzątka nie przestają się mieć na baczności i natychmiast znowu gwizdzą, skoro ten się pokaże. Za zbliżeniem się nieprzyjaciela lub gdy tenże czyni jakieś gwałtowne i w oczy bijące poruszenia, nikną świstaki co tchu w norach i nie zaraz wyłażą napowrót.

Pod jesień schodzą świstaki ze szczytów nieco niżej i tutaj, zawsze atoli nad kosodrzewem i w obrębie najwyższych pasz halskich, sporządzają sobie leżę zimową w miejscu z powałą skalną, ażeby miękka ziemia nie zaważyła się i mieszkańców nie pobiła. Zimą przebywają wewnątrz nor w uśpieniu: a tak chroni je troskliwa Opatrzność od zagłodzenia i od nieprzyjaciół, którymby uległy, szukając pożywienia. Zasnąwszy raz, prawie przez pół roku nic świstak nie je, skąd też ze wszystkich ssaków najmniej potrzebuje pożywienia. Strętwałe zwierzątka mają ciała zimne, leżą głowami do siebie zwrócone i jedno koło drugiego w kłębek zwinięte; pysk schowawszy pod ogon, a podeszwy nóg tylnych trzymając przy bokach głowy, nie zmieniają tego położenia raz zajętego i żadnego nie dają znaku życia. Tak strętwałego świstaka, dobrze sianem opakowanego, można daleko przysyłać w skrzynce zamkniętej.

Ale gdy ciepło wiosenne ożywi przyrodę, przebudzają się także świstaki i wychodzą przed norę, oglądając się lękliwie za pożywieniem, za które im służy teraz przeszłoroczna trawa po krawędziach gór, kędy wichry śnieg zmiotły. A gdy już góry kwieciem się przystroją, wówczas opuszczają świstaki legowisko zimowe i przenoszą się ku szczytom, gdzie się rozdzielają po zielistych upłazach i raczą aż do jesieni posilnemi i soczystemi ziołami halskimi.

M. Nowicki.

102. Burza na pustyni.

Na widnokręgu wzbily się wielkie słupy żółtawo-brunatne, podstawą wiercą piasek, a głowy nurzają w kłębach chmur. Jak na oceanie kręcą się wirujące w szalonym pędzie trąby wodne, stra-

szne statkom, do których się zbliżą: tak w walce przeciwnych wiatrów powstają w pustyni trąby piaszczyste, grożące zaduszeniem i zasypaniem wszystkiemu, co żyje. Mniejsze trąby, na 7 do 16 *m* wysokie, są zjawiskiem codziennem i wirują jak furkadetka, to w tę to ową stronę po pustyni; większe, dochodzące do wysokości 100 *m*, rzadziej się spotyka. Unoszone na skrzydłach wichrów, zmieniają one co chwila miejsce i kształt; to posuwają się powoli, jakby się namyślały, w którą uderzyć stronę; to znowu pędzą z szybkością strzały, jak gdyby chciały wynagrodzić stracony czas; to zbliżają się do siebie, to znowu rozchodzą się, aż dopokąd ze zmniejszeniem się siły kręcącego je wichru, nie przerwą się i nie spadną deszczem piasku z nieba, sypiąc wały całe na ziemi.

Karawana uszła szczęśliwie ich pogoni i odetchnęła. Ale radość przedwczesna, gdyż trąby piaszczyste są zazwyczaj poprzednikami straszniejszych jeszcze niszczycieli, spiekłych orkanów południowo-wschodnich, zwanych rozmaicie w rozmaitych okolicach: samum, gebli albo chamsin. Nie czuć jeszcze ani najlżejszego tchnienia wiatru w duszącej ciszy, ale jasny i czysty zwyczajnie w pustyni widnokrąg zasępia się, gdyż nadciągający chamsin unosi już tam tumany piasku, które z daleka wydają się jak mglista zasłona, rozpięta na niebie. Wielbłądy przeczuwają zbliżającą się burzę, stają się niespokojne i lękliwe i cała karawana się miesza. Nareszcie wionął od południa gorący wiatr, piekący, jak żar z czeluści rozpalonego pieca. Urywane zrazu podmuchy jego powtarzają się w przestankach coraz krótszych, stają się coraz częstsze, coraz przeciąglejsze i wkońcu dmą już nieustannie z wzrastającą co chwila gwałtownością, pędząc chmury czerwonego pyłu, w którym tonie cały świat dokoła i wygląda jakoby rozżarzona otchłań. Przez te chmury pyłu przegląda zaledwie słońce, odarte z promiennej korony jak księżyc i wszystkie przedmioty rzucają tylko blade, niewyraźne cienie; ale pomimo przygaszonego światła wydaje się, jakoby promienie słoneczne padały prostopadłe na głowę, taki okropny panuje upał. Po jakimś czasie zmniejsza się barwa atmosfery, z płomiennej purpury przechodzi w czarną i wszystko tonie w ciemności. Powietrze tak jest przepełnione elektrycznością, że z sukien wełnianych i jedwabnych można wytrząsać trzaskające iskry. W nocy nie widać ani gwiazdki na niebie ani ogniska w obozie karawany, gdyż wiatr szalony, pędzący najmniej 30 metrów na sekundę i to-

czący kamienie wielkości pięści, nie pozwala ani rozniecić ognia ani rozpiąć namiotu.

Wielbłądy leżą jeden obok drugiego, zwrócone grzbietem do wiatru i wyciągają szyje na ziemi; konie tulą się do Arabów, którzy złożywszy w jeden stos wory z wodą i przykrywszy je jak można najlepiej, aby uchronić ich wodę od wyparowania, siedzą okutani w burnusy i oczekują z zupełną rezygnacją przejścia orkanu.

Nie prędko on jednak przemija i zdarza się czasem, że dmie nieustannie przez dni kilka. W rozpalonem powietrzu pękają wówczas podróżnym wargi, język przylepia się do podniebienia, dręczy ich pragnienie, a w dodatku do tego wszystkiego śwędzi i piecze całe ciało, gdyż skóra otwiera się w różnych miejscach, a mialki piasek wciska się w każdą ranę. Skutkiem tych udręczeń zdarzają się śmiertelne zapalenia i uderzenia krwi na mózg tak gwałtowne, że dotknięci niemi padają od razu na ziemię bez przytomności, aby się już więcej nie podnieść nigdy. Stokroć nieszczęśliwszy, kto tracąc siły, zatrzymuje przytomność i, skazany na tortury powolnego konania, pojmuje okropność swego położenia. Wielbłąd jego upada wysilony, kubłak jego próżny. Próbuje iść, ale wnet okrywają się jego nogi pęcherzami w rozpalonym piasku i każdy krok sprawia mu ból straszny. Towarzysze jego są zanadto sobą zajęci, aby zwracali na niego uwagę — jedna tylko myśl wszystkich zaprzęta: uratować siebie i dobieć się jak najprędzej do studni. Bez wody, bez pomocy zostaje podróżny w okropnej samotności. W rozpacz rwie sobie włosy i przeklina swój los. Wszelka nadzieja stracona, zgasa ostatnia jej isierka.

Wtem jakby na piekielne szyderstwo jawią się przed zaczerwienionem okiem jego złudne obrazy, fata morgana wyprawia sobie igraszkę. Widzi wszystko, czego tylko serce zapragnąć może: gaje palmowe, zwierciadła jezior, czarodziejskie ogrody, opasane wstęgami strumyków. O, gdyby mógł się tylko dowlec do brzegu tej oazy, piekielne męki zmieniłyby się w rajskie rozkosze. Ale widziało usuwa się coraz dalej i dalej; ścigając je, traci resztę sił i upada konający. Sępy i kruki, te korsarze napowietrzne, ciągnące za karawaną z oazy na oazę, jak rekiny za statkiem, spadają na omdlałego i, nim mu jeszcze anioł śmierci zawarł na zawsze powieki, wydzióbują mu oczy. Suche powietrze zamienia w krótkim czasie trupa w naturalną mumię, która patrząc dziurami, gdzie były oczy,

i szczerząc odarte z warg zęby, zdaje się wyzywać do walki pustynię, nie straszną jej już teraz. Nic to nie pomoże, że jakaś miłosierna dusza, przerażona okropnym widokiem, przysypie piaskiem czerniałe zwłoki; wiatry odgrzebią je wnet napowrót, bo pustynia odmawia swoim ofiarom nawet grobu!

Ale komu Opatrzność Boska pozwoliła przetrwać katusze chamsinu i przebyć szczęśliwie pustynię, jakiegoż błokiego doznaje uczucia, gdy spostrzeże nagle wierzchołki palm, wyzierające jak małe krzaczki z zasp piaszczystych. Niepewny, czy fata morgana nie wyprawia z nim igraszki, zbliża się z drżącym sercem do upragnionego celu, licząc krok każdy i każdą sekundę. Drobne krzaczki coraz się powiększają, już widać wyraźnie zielonowłose czuby i smukłe pnie palm, wyrastające z piasku, dalej jawi się biała kopuła meczetu wśród liści palmowych, a wkońcu wynurzają się i białe domki, kryte liśćmi palmowymi, a murowane, jak wszystko w tej części Sahary, z kryształów gipsowych. Przekonywa się, że to nie złudzenie, lecz rzeczywistość, i z głębi piersi wyrывa mu się okrzyk radosny — oaza!

103. Dobroczynna królowa.

Marya Leszczyńska, córka króla polskiego Stanisława, a żona króla francuskiego Ludwika XV., była prawdziwym wzorem dobroczynności, bo prawie wszystkie dochody swoje obracała na jałmużny i na wspieranie nieszczęśliwych. Nie dziw przeto, iż lud francuski ubóstwiał swoją królowę i nigdy się jej dosyć nie mógł napatrzeć, skoro się tylko ukazała kiedy na miejscu publicznem.

Razu jednego, gdy się przechadzała po ogrodzie Tuileryjskim w Paryżu, takie się wkoło niej zebrało mnóstwo ludzi, że w tym tłoku ani naprzód ani wstecz posunąć się nie mogła. Napróżno straż koło niej będąca starała się rozpędzić pospólstwo; cisnęło się coraz więcej, pragnąc z bliska widzieć monarchinię. Nareszcie królowa dała znak, że chce mówić. Stanęli wszyscy, a ona powiedziała z uśmiechem: »Wiem, dzieci moje, że się do mnie ciśniecie, bo mnie kochacie tak, jak i ja was kocham; dla tej więc miłości, zamiast mnie dusić, pozwólcie mi przejść!« W jednej chwili lud zgromadzony wydał okrzyk radości i otworzył wygodne dla królowej przejście.

104. Garnek popiołu.

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku, w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłym skonaniu
Ani przed żoną ni dzieckiem;
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypieckiem.

Jednego razu wszedł do tej chały
Biedny, zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni wpośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.

Żebak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjawszy datek z ochotą;
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto.

I. Hołowiński.

105. K o Ń.

Pomiędzy stworzeniami, jakie Opatrzność dała na użytek człowieka, koń zajmuje niezaprzeczenie jedno z najważniejszych miejsc. Bo cóżby znaczył rolnik bez konia: czemuby pole uprawił i zboże odstawił do miasta? cóżby zaprzągnął do wozu lub bryki? na coby siadł w potrzebie? Coby bez niego robiły wojska? jakieżby było ich znaczenie bez konnicy? coby do armat zaprządz można?

Zaprawdę obejść się bez konia lub czem innem go zastąpić u nas nie można. Ze wszystkich tych zwycięstw, jakie odniósł człowiek nad przyrodą, najszlachetniejsze jest zwycięstwo nad tym dumnym i ognistym zwierzem, który z nim dzieli trudy wojny i chwałę w boju. Równie jak jego pan nieustraszony, koń widzi niebezpieczeństwo i na nie się rzuca; przywyka do szczęku broni, lubi go, szuka i tymże samym co rycerz wre zapalem. Dzieli także jego rozrywki na łowach, na turniejach, na wyścigach. Lecz z odwagą łącząc uległość i pojętność, swemu zapalowi unieść się nie pozwala, umie go

umiarkować; nie tylko się poddaje ręce kierującego nim człowieka, ale stara się niejako wybadywać jego życzenia i jedynie ich pełnieniem zajęty, na jego skinienie porusza się, hamuje lub ślawia. Jest to stworzenie, które swego jestestwa się zrzekło, chcąc tylko żyć wolą cudzą; które ją umie zgadywać i uprzedzać; które przez szybkość i dokładność swoich poruszeń, każe się domyslać, że tę wolę rozumie i wykonywa; które czuje, czego sobie życzymy, a działa, ile chcemy; które nakoniec oddaje się nam bez granic, od niczego się nie wymawia i łoży na usługę naszą wszystkie siły, a nawet dla nas umiera. Nic tedy dziwnego, że od najdawniejszych czasów rycerskie i rolnicze ludy szczególną pieczołowitością otaczali tych towarzyszy bojów, trudów i pracy.

Nigdzie jednak życie konia nie zespółiło się więcej z życiem człowieka, jak u wschodnich ludów, i nigdzie też lepszych, piękniejszych i doskonalszych niema koni, jak na Wschodzie. Ojczyzną najpiękniejszych na świecie i najdzielniejszych biegunów jest Arabia.

Koń arabski w ogólności bywa niewielki, ale za to odznacza się pomiędzy wszystkimi końmi na świecie tak przymiotami swymi jak i budową. Bardzo łagodny i wierny swemu panu, posiada wielką odwagę, wyborną pamięć miejsc, gdzie bywał, i obejścia, jakiego doznał. Nieprzystępny dla nikogo prócz swego pana, nigdy nie spuszcza z oka nawet w najzaciętszym boju kierunku miejsca, skąd przybył, a nawet śmiertelnie raniony, jeżeli mu tylko siły pozwoła, wyrzuca swego pana z niebezpieczeństwa i unos go napowrót do swoich. Wzrok koni arabskich nadzwyczaj bystry, nawet w nocy, i nie zmyla, nigdy drogi, chociażby ślad jej był nikły. Słuch ich również czujny; najmniejszy szelest, nawet w wielkiej bardzo odległości, uderza ich i dają o nim znać jeźdźcowi niespokojnym ruchem. Stądto pochodzi, że Araba, gdy siedzi na swym koniu, nigdy podejść nie można. Koń arabski w szybkim biegu niełatwo się zmęczy; nieraz zdarzało się, że w 24 godzinach trzydzieści mil ubiegł. Sprężystość nóg jego nieoceniona; z lekkością jelenia przeskakuje rowy, do 16 stóp szerokie, plywa też wybornie. Rzy nadzwyczajnie rzadko; w gniewie jest straszny; w chorobie łagodny i bardzo wdzięczny temu, kto go leczy. Je i pije nadzwyczaj mało, a głód i pragnienie długo znosić może. Jest szybszym od wszystkich koni ras wschodnich.

Znany jest opis wypadku, który się zdarzył w Krymie. Tata-
rzy, wpadłszy w granice Polski, z ogromnym jasyrem i łupem wrócili

do domów. Między innymi dostał się na Krym pewien znakomity rycerz polski. Sam chan sobie go wziął na własność. Pewnego razu w pochodzie rycerz nasz stał przed namiotem chana, a nieopodal osiodłany cudnej piękności koń arabski, wierzchowiec chana, żuł wędzidło swobodnie; wokoło rozsypana spoczywała horda. Jednym skokiem był więzien na arabie, a dawszy mu bodźca, śmiało puścił się w step. Cała horda rzuciła się za nim w pogoń, ale Tatar Araba nie dogoni. Rycerz wrócił do domu na arabie i na nim broił kresów swej ziemi od Tatarów.

Kupić dobrego konia od Araba nie tak łatwo, jakby to nam się zdawało. Arab zawsze z trudnością rozstaje się z koniem, a sprzedaż klaczy do bardzo rzadkich liczy się wypadków. Konieczna tylko potrzeba może go przywieść do takiego kroku, prawdziwie rozpaczliwego w wyobrażeniach Wschodu, a ceny dochodzą wtedy do bajecznej wysokości. Bywało, że Arab przy pożegnaniu z ulubionym koniem kopyta mu całował.

Głośny jest w Syrii niedawno zaszły wypadek. Arab zmuszony był sprzedać ulubioną klacz dla wykupienia ujętej w niewolę rodziny. Po długim namyśle, naznaczywszy bardzo wygórowaną cenę, jakby umyślnie na odstręczenie kupca, oczekiwał z przestachem ostatniego słowa, które o losie jego rozstrzygnąć miało. Działo się to na pustyni, blisko ruin Palmiry, w beduińskim namiocie. Klacz, u wnijscia gryząc wędzidło, ciekawym śledziła wzrokiem każdy ruch swego pana. Beduin stał jak posąg — kilku innych siedziało na kobiercu. Europejczyk naradzał się z przewodnikiem. Biedny Beduin natrafił na wielkiego znawcę i miłośnika koni, który też nie cofnął się przed ceną, lecz usiadłszy na kobiercu, zaczął liczyć pieniądze. Sypało się złoto z worków, a za każdym rządkiem czerwienców w oczach Beduina przebiegał dziwny jakiś ogień. Nakoniec ostatni potoczył się dukat, a z nim zamarła ostatnia Beduina nadzieja! Zawezwany do przeliczenia złożonych dukatów, ukląkł Beduin po mału, rachował i rachował, po każdej sztuce złota przesuwając palcem. Jaka walka wówczas w sercu jego się odbywała, jakich cierpień doznawał, tego wyobraźnia Europejczyka nie odgadnie, nie pojmie. Gdy wziął w rękę ostatni pieniądz, zadrżał, jakby śmierć stanęła mu przed oczyma; obejrzał się: klacz, odpowiadając jego spojrzeniu, wyciągnęła ku niemu długą, żylastą szyję... Jednym zamachem ręki rzucił złoto, odepchnął je od siebie, pobiegł do

klaczy, chwycił ją za grzywę, wskoczył na siodło i w mgnieniu oka znikł w tumanie kurzawy.

Z ludów europejskich, żaden nie zajmował się końmi z taką pieczołowitością, żaden na tak obszerną skalę nie miał u siebie rozwiniętej hodowli tych zwierząt, jak słowiański, mianowicie zaś Polacy. Żaden też w Europie nie pochwaliby się tak znakomitymi, tak użytecznymi i tak wytrwałymi w potrzebie końmi, jak Polska, gdyby tylko te stworzenia doznawały u nas odpowiednich i rozsądnych starań.

106. Bieda.

W pewnej wiosce mieszkało dwóch braci rodzonych: Janek i Antek. Starszy Janek objął po rodzicach gospodarstwo i pierwszy się ożenił. Antek z początku mu pomagał, potem chodził na zarobek, czas jakiś służył we dworze, a zapobiegliwy i chciwy, zebrał niemało grosiwa, wreszcie ożenił się z córką bogatej wdowy.

Przez ten czas Jankowi Pan Bóg jakoś nie darzył, chociaż był człowiekiem pobożnym, pracowitym i miłosiernym. Naprzód zachorowała mu żona, a ledwie się podniosła z ciężkiej choroby, czworo dziatwy zapadło na zimnicę. Janek, który ostatni grosz na ratunek swej żony wyłożył, teraz musiał pożyczać na wysoki procent od brata. Niedosyć jednej niedoli; padły mu dwie krowy, wół okulał, koń zginął na nosaciznę. Na dobitkę nieszczęścia grad wybił mu oziminę.

Tyle klęsk złamało biednego Janka, pożyczał a pożyczał od brata; Antek dawał, bo zapragnął chaty i gospodarstwa bratowego. Jakoż niedługo po obrachunku musiał Janek z żoną i siedmiorgiem dzieci wynieść się z ojcowizny i osiadł w pustej chacie, na samym końcu wioski. Płakał rzewnymi łzami, gdy ostatni raz ucałował próg chaty, w której się urodził.

Na plecach przenieśli swoje graty, bo nieludzki Antek odmówił fury. Karczmarz kupił pozostałego wołu za pół darmo. Z Janka, zamożnego gospodarza, stał się wyrobnik. Przy pustej chacie miał tylko mały warzywny ogródek i kilka zagonów pod kartofle i kapustę, które skrzętnie uprawiała żona z dziećmi. Tak w biedzie prze-trwali długie lata. Gdy Antek był nie tylko we wsi, ale w całej okolicy najbogatszym gospodarzem, Janek był najuboższym zagrodnikiem.

Bogaty Antek wyprawiał sute wesele najstarszej córce, gdy głód zaglądał do chaty Janka. Kiedy Janek poszedł do kościoła, zobaczył brata, bratową i ich dzieci, postrojonych, siedzących w pierwszych ławkach. Organista hucznie przygrywał, a Janek w kąciку płakał, drżąc z zimna i głodu.

Z dała za weselnym orszakiem szedł Janek, ocierając łzy gorzkie, i mimowoli do dawnego gniazda przyszedł, co przypominało mu jego lata dziecięce. Kapela w izbie grzmiała; Janek stanął w sieni na uboczu i wnet ujrzał brata, jak dumnie przechodził. — »Panie bracie« — rzekł dżącym głosem — »Boże błogosław! jam głodny, żona i dziatwa głodne: wspomóżcie mię w tym dniu, dla was tak uroczystym«.

Właśnie w tej chwili niesiono misę pieczonego mięsiwa. Antek spojrział groźnie na brata i mruknął: »Próżniaków nie wspomagam«. Wziął jednak kość, prawie bez mięsa, i podał Jankowi.

Ten, na pół struchlały z oburzenia, wziął kość w rękę, sam nie wiedząc, co robić, i wybiegł za wieś. Naraz stanął nad głębokim strumieniem. Usiadł na łączce, a poczuwszy głód większy, zaczął darowaną kość ogryzać z odrobin mięsa.

Gdy tak chciwie zajada, poczuł na ramionach jakby lekkie dotknięcie, a potem cichą prośbę:

— Daj i mnie trochę mięsa, daj i mnie!

Janek obejrzał się poza siebie i ujrzał wysokie, kościste widmo, które tak cienka skóra powlekała, że je na wskroś można było przejrzeć. Oblicze miało chude, wybladłe, oczy zapadłe i podsiniałe. Przy tej trupiej bledości dziwnie odbijały różane usta i białe zęby. Nagość swoją okrywało płachtą z pajęczyny, brudną, jak ścierka, zszarzaną, ale przeźroczystą. Na głowie miało wianek z uschłej paproci. Janek był chłop dobrego wzrostu, ale widmo przenosiło go o całą głowę. Chociaż to była straszna postać, Janek jakoś się nie przestraszył, ale patrząc na nią, rzekł z uśmiechem:

— Cóż ty chcesz, żebym ci dał, kiedy widzisz, że to kość prawie naga?

— Musisz mi dać resztki — wyszeptało widmo z cicha; — muszę choć polizać, bo ja jestem twoją biedą, co ci od lat tylu towarzyszę po bratersku.

Na te słowa zerwał się Janek na równe nogi.

— A! ty pogańskie plemię! — krzyknął w uniesieniu — to ja z twojej przyczyny mrę głodem z rodziną? to ty przyniosłaś mi niedolę? Dobrze, żem cię spotkał; teraz nie ujdiesz mi cało!

Ale bieda, nie ruszając się z miejsca, spokojnie odrzekła:

— A cóż mi zrobisz, biedny człowieku, kiedy mnie nikt ani zabić ani zranić nie może? Ciało moje z mgły nie zachowa nawet śladu uderzenia. Słuchaj mię: oddaj mi swoją kość, a na kilka godzin opuszczę ciebie, żonę i dzieci i zostawię was w spokoju.

Na to wspomnienie ochłonął od razu Janek i ze łzami w oczach podał biedzie kość, trzymaną w rękę. Bieda łakomie ją chwyciła, ogryzła żyły, a dojrawszy trochę szpiku w głębi kości, włożyła w środek rękę jedną i drugą, potem głowę, wreszcie cała się tam wsunęła tak, iż tylko długie a chude nożyska zwisły.

Wtem przyszła Jankowi szczęśliwa myśl do głowy. Co prędzej kawałek gałęzi kozikiem zastrugał, porwał kość, wepchnął w rurę nogi biedy i doskonale zabił przygotowanym kołkiem, poczem rzucił kość w głębinę.

Zaraz uczuł Janek w duszy szczególny spokój: serce napęłniła mu dziwna radość i po wielu latach pierwszy raz odetchnął z całą swobodą.

Rad i rzeźwy wraca do swej chaty. Koło gospody zastępuje mu drogę kilku sąsiadów, każdy go ściska, całuje i zaprasza na kieliszek. Trudno było odmówić. Za stołem zaczęli pocziwi sąsiedzi przypominać sobie dawne czasy, zamożność Janka, jego pracowitość i miłosierdzie i czyste, zawsze sumienne z każdym postępowanie, aż wkońcu jeden z sąsiadów podał myśl, czyby Janek nie wziął udziału z nimi w wyrąbaniu sągów w pobliskim lesie i zwiezieniu ich do miasta. Napróżno się Janek tłómaczył swoją biedą: najstarszy wiekiem zaliczył mu zaraz kilkadziesiąt złotych, żeby sobie dobrego konia kupił.

Płakał z radości Janek, wkońcu przyjął ofiarę i spółkę. Wraca do chaty; w progu wita go uradowana żona i wesoła dziatwa. Ktoś uwiadmił dwór o strasznej nędzy całej tej rodziny: przysłano im całą furę maki, zboża, słoniny, grochu, a nadto sto złotych. Janek słuchał o wszystkim, jak o cudzie Boskim; ukląkł z żoną i dziećmi przed obrazem Matki Boskiej, a po gorącej modlitwie opowiedział wiernie swoje przygody.

Odtąd wszystko szło mu jak z płatka. Wybudował sobie nową chatę, zakupił całe przyległe gospodarstwo. Parę dobrych koni rżało

u żłobu, cztery krowy dojne i dwie pary wołów stały w oborze. Teraz, sam zajęty robotą w lesie, przyjął dwóch parobków, a żonie dziewczynę do pomocy. I nie brakło mu nic, chyba, jak to mówią, ptasiego mleka.

Zazdrosny Antek zdumiał się nad nagłym szczęściem brata; powoli więc zbliżył się do niego i, przyjacielskiem wabiąc słowkiem, zaprosił do siebie.

Janek, który miał zawsze dobre serce, przyjął zaprosiny, a wśród rozmowy, gdy brat rzucił podejrzenie o nieuczciwym sposobie poprawienia swej doli, opowiedział mu wiernie całe swoje zdarzenie z biedą.

Chytry Antek tylko na to czekał. Uściskawszy brata nibyto czule i serdecznie, pobiegł czempredzej do strumienia. Długą tyką dobył kość, a gdy wyrwał drewniany kołek, zabity ręką Janka, bieda, wyskoczywszy ze swego więzienia, porwała go w swe objęcia i zawołała uszczęśliwiona:

— O, mój wspaniałomyślny wybawco! teraz ciebie trzymać się będę wiernie i do śmierci ciebie nie opuszczę.

Struchlał zły Antek na te słowa, bo biedę chciał wypuścić na brata, a ona jego się uczepiła; zaraz też doznał smutnych skutków.

Gdy dochodził do domu, ujrzał gumna swoje w płomieniach; krowy na pastwisku pies wściekły pokąsał, konie jedne z jakiejś zarazy padły, drugie następnej nocy podusiły wilki.

W kilka dni Antek był takim nędzarzem, jak brat jego niedawno. Ale poczciwy Janek nie odmówił mu swej pomocy: wspierał go wedle sił, choć wszystko szło na marne. Niedługo Antek umarł ze zgryzoty, a bieda dopiero wtedy opuściła osieroconą wdowę i dzieci, przenosząc się gdzieindziej.

107. Kmieć i Merkury.

Ufając sobie w boskiej opiece,
Kmiotek drwa łupał przy rzece,
Uskoczy w wodę siekiera.
Podniósłszy ręce ze łzami:

„Jakże — zawoła — los mną poniewiera!

Nie dość ciężkimi znoić mię trudami,

Ostatni jeszcze sposób mi odbiera.

Cóż teraz pocznę? o nieba!

Czem zarobię na kęs chleba?

Alić (o cudo!) z ponadbrzeżnej góry

Spuści się razem Merkury,

Bożek ludzi utrapionych

I patron rzeczy zgubionych.

Z ulitowaniem: »Cóż ci to? — rzeczce. —

Czego tak płaczesz, miły człowiecze?«

»Nie wiem — odpowie — z jakiej przygody

Wpadła mi do tej siekiera wody,

Ostatni sposób życia straciłem:

Z niej tylko żyłem!«

Tu Merkury nurkiem sięgnie,

Siekierę złotą wyciągnie.

»A co? — spyta się — czy twoja?«

»Nie — mówi — nie, to nie moja«.

Srebrną potem wydobędzie:

»Może ta będzie?«

»Nie ta«. — Tu za trzecim razem

Dobywa drewno z wsadzonem żelazem.

»To jest ta!« skoczy i, czyniąc podziękę,

Boską całuje mu rękę.

Bożek cnotliwą tknięty prostotą,

Wziąwszy zarazem srebrną i złotą,

Rzekł mu: »Człowiecze szczerzy!

I te miej sobie siekiery«.

Oddawszy, zniknął, a kmieć w radości

Uniesie za nim ręce z wdzięczności.

Gdy takim darem bogaty

Począł się chlubić przed swoimi braty;

Gdy opowiedział, aż do ich zazdrości,

Boskiej nad sobą cud opatrności:

Jeden z nich także postanowił sobie

Użyć fortelu w podobnym sposobie.

Nie mówiąc o tem nikomu,

W toż samo miejsce zaszedł pokryjomu;

A co piewшему trafi się z przygody,

Umyslnie wrzucił siekierę do wody.

Zaczął płakać, ręce łamać

I przed całym niebem kłamać.

Przybył Merkury z równą ochotą;

Siekierę naprzód wyciąga złotą:

»Mój przyjacielu! czy to ma być twoja?«

A on, z radości wyskakując, krzyknie:

»Ach! moja właśnie, moja to jest, moja!«

Taka bezczelność bożka przeniknie.

I rzekł Merkury ku wszystkich nauce:

»Brzydę się sercem podłego przechery!*)
Nie tylko ci tej nie oddam siekiery,
Ale i tamtej nie wrócę».
A tak, co zdradą radby się zbogacił,
I złotej nie wziął i żelazną stracił.

F. D. Książnin.

108. Z życia osła.

Niema może drugiego zwierzęcia, któreby w równej u nas było pogardzie, jak osieł, uważany zwyczajnie za symbol uporu i głupoty. A przecież takie o nim zdanie jest niesłuszne i wielką krzywdę wyrządza temu biednemu zwierzęciu. Nie mówimy już o osłach, które we wschodnich krajach, w Arabii lub Egipcie, żyją i tam wielce są użyteczne, służąc człowiekowi wiernie; ale weźmy na uwagę tylko tę rasę osłów, która się u nas, t. j. na północy, znajduje. Skutkiem złego obchodzenia się z niem, skutkiem braku należnego o nie starania podupadło i znędzniało u nas to zwierzę do tego stopnia, iż trudnoby było dopatrzeć się w niem podobieństwa z jego braćmi południowymi. Nawet wzrost naszego osła mniejszy, niż osłów południowych, barwa jego sierści ciemniejsza i uszy dłuższe. U nas jego pierwotna śmiałość zamieniła się w upór, jego chyżość w ociężałość, jego roztropność w głupotę, jego dzielność w obojętność na bicze i razy.

A przecież pomimo tych wad posiada on jeszcze tyle przymiotów i zalet, iż pewien uczony badacz natury słusznie staje w jego obronie.

W młodości żwawy jest i hoży; wyprawia pocieszne figle i skoki jak dzieci, jak one swobodny jest i zadowolony z siebie, nie przeczuwając swego smutnego losu.

Kiedy nad innemi zwierzętami domowemi w tym wieku ludzie szczególnie muszą czuwać i troskliwą nad niemi roztaczać opiekę, on tego nie wymaga ani potrzebuje; jak rodzice jego, tak i on na małym poprzestaje, zadowala się najskromniejszym pożywieniem. Czuwa nad nim jego matka, w razie niebezpieczeństwa broni go odważnie, nawet w ogień i wodę się rzuca, kiedy trzeba bronić nieporadnego oslęcia. Ono też do matki wielce jest przywiązane;

*) *Przechera*, chytry, szalbierz.

kiedy je od niej chcą zabrać, oboje opierają się temu z całej siły i rwą się ku sobie, a kiedy je już rozdziela, przez kilka dni okropnym krzykiem objawiają wzajemny swój żal i tęsknotę.

Skoro już osiołek trochę podrośnie, można go zacząć uczyć; a pojętniejszy on jest do nauki, niż cielę lub nawet źrebię, w tym samym wieku będące. Krok jego powolny jest, ale pewny. Swego dozorcę poznaje łatwo, nie umie tylko okazywać mu tak swego przywiązania, jak to czyni koń; przecież ujrzawszy go, biegnie ku niemu i widocznie się cieszy.

Najważniejszą rzeczą, którą w obronie jego powiedzieć można, jest to, iż nie jest tak głupi, za jakiego pospolicie uchodzi; owszem, można go, jak konia, wielu rzeczy nauczyć. Wprawdzie przychodzi to z większym nieco trudem i mozolem, ale skutek nigdy nie zawodzi i osioł długo pamięta, czego się nauczył; wszakże bywają i dzieci, które się z trudnością uczą, ale tem gruntowniej i trwalej naukę sobie przyswajają. Pilnie uważa na skinienia i rozkazy swego pana i rozumie je dobrze. Dlatego można go nauczyć nawet tańczyć, w takt biegać, drzwi otwierać, po schodach wychodzić i schodzić, poznawać i nogą wybijać godzinę, na zegarku pokazaną, lub ilość znaków na karcie, na pytanie pana odpowiadać skinieniem głowy na dół lub na bok; można go nawet do wyścigów używać lub nauczyć przez obręcz skakać — a wszystko to spełnia śmiało i dokładnie.

Wyborną obdarzony pamięcią, z łatwością poznaje drogę, którą raz chodził. Wobec grożącego mu niebezpieczeństwa nadzwyczaj jest ostrożny. W tym względzie wielką pomoc znajduje w zmysłach, dostatecznie rozwiniętych. Pierwsze między nimi miejsce zajmuje u niego słuch, bardzo czujny, chociaż niemuzykalny; drugie miejsce zajmuje wzrok, a trzecie powonienie. Zmysły dotykania i smaku bardzo mało u niego są wydoskonalone; najlepszym tego dowodem jest to, że obojętny i nieczuły jest na bicie, a w wyborze pożywienia nie jest tak wybredny jak koń.

Mając nadzwyczaj czułe zmysły słuchu, wzroku i powonienia, w ciekawy sposób zachowuje się osioł w okolicach, gdzie mu jakieś niebezpieczeństwo grozić może, w których się n. p. znajdują zwierzęta drapieżne, dla niego samego groźne. Doświadczają tego niejednokrotnie ci, którzy podróżując po Abisynii, posługują się tem wybornem do drogi zwierzęciem.

Długimi uszyna ostrożnie osieł nadśłuchuje, podnosi głowę i uważnie na wszystkie rozgląda się strony. Jeżeli słuchowi przyjdzie w pomoc jeszcze i powonienie, w takim razie biedne zwierzę zupełnie już traci spokój: nie chce ruszyć z miejsca. Przez to właśnie miejsce prawdopodobnie ubiegłej nocy przeszedł lew, lampart, hyena lub jakieś inne zwierzę drapieżne. Biedny osieł wietrzy, patrzy, słucha; uszy mu się prawie obracają na głowie. Nie ruszy się więc z miejsca, aż ktoś z ludzi pójdzie naprzód. Idzie za nim, prawdopodobnie pocieszając się tą myślą, że w razie napadu owego dzikiego zwierza, idący naprzód człowiek padłby pierwszy ofiarą jego drapieżności.

Wielką wreszcie zaletą osła jest to, iż w wyborze pokarmów wcale nie jest wybredny. Trawa i siano, których ani krowa ani koń jeść nie chcą, dla niego są prawie przysmakiem; jada nawet osty i chwasty kolące. Wybredniejszy jest tylko w użyciu napoju: mętnej wody nie pija; może być woda słona albo gorzka, to mu obojętne, ale czystą być musi.

Wobec tylu przymiotów i zalet, czyż godzi się pogardzać tem biednem zwierzęciem tak pracowitem i wytrwałem, które do 40., a niekiedy do 50. roku życia tak skutecznie i chętnie służy człowiekowi? Czyż nie lepiej czynili starożytni Rzymianie, którzy ogromne sumy wydawali na poprawienie chowu osłów? Czyż nie rozumniej postępują dziś Arabowie i Persowie, którzy zawsze wielką troskliwością otaczają to pracowite i tak pożyteczne zwierzę? U nas tylko osiołek skutkiem zaniedbania i niehumanitarnego z nim obchodzenia się tak się wyrodził i znędzniał.

109. Osieł i Jacek.

Biedził się Jacek od dobrej godziny,
Nie mógł osłowi poradzić;
Nie wiedzieć, z jakiej przyczyny
Nie dał się przez most prowadzić.

»Nie pójdę! — rzecze, dość tych dziwactw znoszę,
Męczę się, niszczę i już ledwie łażę;
Ja mam biedz naprzód? i dlaczego, proszę?
Wielka przyczyna, że Jacek tak każe!« —

Jacek tymczasem na nowo go zmusza,
Ciągnie za uszy, drągiem, kijem ćwicz;

Osieł nie tylko, że naprzód nie rusza,
Jeszcze się cofa i ryczy.

»Niechże cię wreszcie jasny piorun trzaśnie!«
Gniewny Jacek wrzaśnie;
»Nic ja tu z tobą nie zrobię«.

Gdy mu wtem nagle błysnie myśl szczęśliwa;
Biegnie w tył, osła za ogon porywa
I silnie ciągnie ku sobie.
»Ho! ho! rozumiem! Jacek plan swój zmienia« —
Domyślny osieł zawoła;
»Widząc, że naprzód znaglic mnie nie zdoła,
Chce mnie zmusić do cofnienia.
Otóż nie zmusi; w tej chwili zobaczy,
Coto osieł znaczy«.
Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem,
Myśląc, że cudów dokona,
Zrywa się, rusza i przez most galopem
Leci z Jackiem u ogona.

Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,
Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbrne dzieci;
Lecz udaj zdanie twojemu przeciwne,
A osieł przez most polecie.

F. Morawski.

110. Mieszkańcy lodów podbiegunowych.

W rozprószonych koczowiskach po rozległych pustkowiach od atlantyckich wybrzeży Norwegii aż do Grenlandyi — żyje liczna rzesza różnoimiennych ludów: Lapończyków, Samojedów, Jakutów, Czukezów, Eskimosów i t. p. Wszystkie te ludy, zaliczane przez etnografów do rasy mongolskiej, zamieszkiwały pierwotnie okolice, niżej ku południowi położone, lecz później, wyparte przez inne ludy, wywędrowały na północ.

Wszystkie te ludy posiadają wspólne znamiona, dowodzące ich pokrewieństwa rasowego; mają oczy osadzone ukośnie, w wązko rozciętej oprawie, wystające kości policzkowe, usta szerokie, nos spłaszczony, czaszkę szeroką a niską, włos prosty i czarny, twarz bez zarostu albo tylko z bardzo rzadkim zarostem i żółtawą barwę skóry.

Ale bardziej jeszcze, niż wspólne znamiona rasowe i szczepowe, równa te ludy pomiędzy sobą surowy klimat ich ziemi, skazując wszystkie na równie twarde życie. Wszystkie są koczownikami i były nimi, jak ich współplemięnczy mongolscy w stepach środkowej Azji, od najdawniejszych czasów. Te, które zamieszkują stary świat, oswoiły od wieków rena i zostały pasterzami; wędrują na zimę w lasy, gdzie ren łatwiejsze znajduje pożywienie, na lato zaś wracają na wybrzeża morza. Trzody renów są miarą ich bogactwa, ren bowiem zastępuje im wszystkie inne zwierzęta domowe: daje mleko, mięso, odzież; służy do zaprzęgu i pod wierzch; resztę potrzeb zaspokaja ptastwo morskie, foki i ryby. Trudnią się więc obok pasterstwa także łowiectwem i rybołówstwem. W arktycznych krajach nowego świata ren żyje dziko, mieszkańcy tamtejsi są tylko rybakami i łowcami, a jedynem ich zwierzęciem domowem jest pies.

(Gdzie osadnicy i misjonarze chrześcijańscy, jak w Laponii, nie przyczynili się do polepszenia pierwotnego ich bytu, żyją w lecie pod namiotami skórzanymi, a w zimie w jurtach¹⁾ napół podziemnych albo w jaskiniach, wygrzebanych w śniegu, murowanych z lodu, wobec których chaty Lapończyków, zbudowane z bierwion lub kamieni, a kryte darnią, są ideałem przestronności i wygody, odziewają się w skóry renów, fok i ptaków, palą i świecą tranem, który jest zarazem najulubieńszym ich przysmakiem; sporządzają sobie broń i narzędzia gospodarskie z kości zwierzęcych, składają nawet sanie i czółna z kości wielkich ssaków morskich, wiążąc je żyłami zwierzęcymi i powlekając skórą fok.

Nieznane są te ludy w historii świata — walka ze srogą naturą zużywa wszystkie ich siły; ostatecznym celem życia jest u nich uratować się od śmierci z głodu i zimna, ideałem napełnić żołądek i ogrzać ciało.

Południowi sąsiedzi tych zmarzniętych biedaków spoglądają na nich z pogardą. Dumny Skandynawczyk, wypierając Lapończyków w coraz dziksze pustkowia arktyczne, uważał ich do niedawna jeszcze za wyrzutki rodu ludzkiego, a Indianie północnej Ameryki mają Eskimosów za nierównie niższe od siebie stworzenia i, paląc ku nim zapamiętałą nienawiść, krwawe z nimi staczają walki. Nie zasługują oni jednakże ani na pogardę ani na nienawiść.

¹⁾ Jurt, namiot.

Nieuprzedzeni podróżnicy nie tylko nie stawiają tych ludów niżej od innych tak zwanych dzikich ludów, które wśród nierównie szczęśliwszych znajdują się warunków bytu, lecz owszem przyznają im nawet w wielu względach wyższość. Przyroda nie pozwoliła wprawdzie tym biedakom, wygnanym na krańce ziemi, upamiętnić się ani żadnym głośnym czynem w dziejach ani żadnem ważnem odkryciem, ale pomimo tego zasługują oni na podziwienie. Utrzymują się własną siłą i przemysłem w tych pustkowiach, gdzie wszystko martwieje w dziewięciomiesięcznej zimie; udowodnili tem, że człowiek może żyć tam, gdzie już drzewa nie rosną, że może w ciemnościach kilkomiesięcznej nocy krzepić się wiarą w istnienie opiekuńczego bóstwa i nadzieją szczęśliwości zagrobowej; co więcej, że może nawet zrósć się z tą ziemią tak, że wywiezieni w piękniejsze i szczęśliwsze kraje, przecież zawsze tęsknią za swoją ojczyzną i powracają z radością w swe rodzinne lody.

Doszli też oni do zdumiewającej nieczułości na wpływy klimatu, doprowadzili odwagę, zręczność i wytrwałość do najwyższej doskonałości. Widywano ich zabawiających się wesołą pogadanką na mrozie — 40° lub śpiących pod gołym niebem dokoła dawno wygasłego ogniska, pomimo że mróz dochodził — 25°, a wierzchnia suknia osunęła się z ramion i szron okrywał całe ciało. Nie boją się sam na sam z oszczepem w ręku potykać z białym niedźwiedziem, a pewni siebie na morzu, jak ziemno-wodne zwierzęta, wzbudzają mistrzostwem żeglarskiem zazdrość nawet najbieglejszych w tej sztuce angielskich i amerykańskich marynarzy; wspinają się po skałach za gniazdami ptasimi ze zręcznością kotów, szukają po lodach szczelin i czatują na fokę z przebiegłością, wytrwałością i cierpliwością białych niedźwiedzi. Jeżeli nadto uwzględnimy, że wznoszą swoje chaty równie zręcznie ze śniegu i kamieni, jak Polinezyjczycy z gałęzi i liści; że Eskimosi umieli od niepamiętnych czasów budować kamienne sklepienia, którejto sztuki nie znali pierwotni, cywilizowani mieszkańcy Meksyku; że Jakuci już na wiele lat przed zawojowaniem ich przez Rosyan umieli wytapiać żelazo i przerabiać je na noże; że wreszcie u wszystkich tych ludów węzły rodzinne o wiele są ściślejsze, niż u innych barbarzyńców: — musimy przyznać, że zrobili wszystko, co własnymi siłami w tak trudnych warunkach bytu zrobić mogli, i że stoją niezaprzeczenie wyżej od niepoprawnych włóczęgów Indyan, tępiących się wzajemnie ze zwierzęcą zaciekłością.

Ale co im szczególniejsze u nas jedna współczucie, to rzadka łagodność charakteru, poczciwość serca, uczynność i gościnność, posuwająca się często aż do poświęcenia; znajdowano ich bowiem zawsze gotowych do wszelkiej usługi, do podzielenia się z białymi gośćmi nawet zapasami żywności, choćby z narażeniem samych siebie na głód. Możemy więc wzdłuż i wszerz wędrować po tych pustkowiach, nierównie bezpieczniejsi od zwierząt i ludzi, niż w bujnych zaroślach środkowej Afryki lub Nowej Gwinei, gdzie dotąd jeszcze utrzymuje się ludożerstwo; możemy nawet zupełnie bez trwogi wstąpić do każdej, którą spotkamy po drodze, osady tych koczowników północnych.

III. Zima.

Bielą się pola, oj bielą;
Zasnęły krzewy i zioła
Pod miękką śniegu pościelą —
Biała pustynia dokoła.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary;
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.

Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny, brzozowy:
Drzew obnażone ramiona
Stereją z pod zaspy śniegowej.

Tylko świerk, zawsze ponury,
W tym samym żałobnym stroju
Wśród obumarłej natury
Modli się, pełen spokoju.

A. Asnyk.

II2. Łaskawość Maryi Teresy.

Cesarzowa Marya Teresa, troskliwa zawsze o dobro i pomyślność swojego ludu, szczególną okazywała się opiekunką młodzieży. Żaden dobroczynny lub naukowy zakład nie uszedł jej macierzyńskiej, a zawsze skutecznej opieki.

Pewnego razu przy zwiedzaniu akademii wojskowej w Wiedniu, w której odbierali wychowanie i naukę szczególnie synowie zasłużonych a ubogich oficerów, zapytała przełożonego zakładu:

— Któryż z tych uczniów najlepiej się pod każdym względem zachowuje?

— Najjaśniejsza Pani! — odpowiedział tenże — wszyscy zasługują na pochwałę i opiekę Waszej Cesarskiej Mości: młody jednak Wukasowicz najbardziej się pomiędzy wszystkimi odznacza.

— Już nieraz słyszałam pochwały tego zacnego młodzieńca — rzekła Monarchini do przełożonego i uprzejmie spojrzała na młodego z Dalmacyi Wukasowicza, który zarumieniony stał w niej-

kiej odległości z uszanowaniem. — Przyjmij to ode mnie, zacny młodzieniec, rzekła do niego Cesarzowa, dając mu dwanaście dukatów, a użyj tego według twego upodobania.

W tydzień później, przejeżdżając znowu koło tejże samej akademii, kazała sobie Cesarzowa przedstawić młodego Wukasowicza i zapytała się go, co zrobił z otrzymanymi pieniędzmi. Ten, zmieszany i zakłopotany, nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— Powiedz śmiało — rzekła cesarzowa — może je przegrałeś? wszakże miałeś wolność użycia ich według upodobania.

— Posłałem je ojcu.

— A któż jest twój ojciec?

— Był porucznikiem w służbie Waszej Cesarskiej Mości, ale obecnie, nie mając wysłużonej pensji, w niedostatku prawie przebywa w Dalmacyi.

— Zacny z ciebie młodzieniec! Proszę o pióro i papier. Siadaj i pisz.

Z bijącym sercem zajął Wukasowicz miejsce i pisał, co łaskawa Monarchini dyktować raczyła.

»Kochany Ojcze!

List, który w tej chwili piszę, dyktuje mi sama Cesarzowa. Moja pilność, dobre sprawowanie się, a szczególnie moja synowska miłość i wdzięczność dla Ciebie, kochany Ojcze, tak się Jej podobały i tak Ją ujęły, że od tej chwili przeznacza Ci 500 zł. dożywotniej pensji, a ja znowu otrzymuję 24 dukatów w podarunku itd. <.

Wukasowicz upadł do nóg Cesarzowej, z rozrzewnieniem dziękując za ten dowód Najwyższej łaski.

Kiedy później wyszedł z akademii wojskowej, został oficerem w armii; przechodził następnie przez wszystkie stopnie aż do feldmarszałka porucznika i w wielu wyprawach wojennych wielkie dla kraju położył zasługi.

113. Kominiarczyk królewski.

Król Stanisław August Poniatowski zwykł był po obiedzie godzinę sypiać. Miał po temu za szklanym parawanem sofkę wygodną, gdzie niewidziany od nikogo spoczywał. Kiedy się zabierał do tej drzemki, zdejmował pierścienie z palców, zegarki, których dwa nosił wedle ówczesnego zwyczaju, tabakierkę i inne drobiazgi i składał to wszystko na małym stolyczku, przy marmurowym kominie.

Pewnego dnia pochmurnego, jesienią, już się król po obiedzie położył i zaczął drzemać, kiedy usłyszał ponad sufitem jakiś łoskot, który się coraz więcej zbliżał i stawał się coraz wyraźniejszym i głośniejszym. Król podniósł głowę. Słyszając łoskot ten w samym pokoju, zerwał się i usiadł na sofce, patrząc z za szklanego parawanu, coby to być mogło.

Nagle w marmurowym kominie coś zaszeleściało i z czeluści jego wyskoczył mały, osmolony kominiarczyk, mający może siedm lub ośm lat najwięcej. Chłopczyk przetarł oczy z sadzy, ujrawszy tak pięknie przystrojony pokój, i przeżegnał się, myśląc, że to kaplica jaka. Króla sen odbiegł i z uśmiechem spoglądał, co będzie dalej robił kominiarczyk. Ten, oswoiwszy się nieco z miejscem, obejrzał się śmieiej, a nie widząc nikogo, bo króla dobrze parawan zasłaniał, dojrzał nagle pierścienie, zegarki i łańcuch złoty na stole. Powkładał pierścienie na palce, zawiesił łańcuch na szyi, a włożywszy zegarki za koszulę — zwiesił bogate i duże breloki¹⁾.

I tak wystrojony stanął sobie przed wielkiem zwierciadłem. Gdy się w niem przejrzał, tak był rad, że się sam sobie uklonił, poczem zaczął z lekka świstać i tańczyć. Król tłumił śmiech w sobie, a patrzył z zajęciem na koniec tego widowiska. Niedługo chłopak zmęczony, po chwili spoczynku, zdjął pierścienie, łańcuch i zegarki, wszystko na dawnem miejscu ułożył, a gdy się opatrzył, że nic przy nim nie zostało, przeżegnał się i znikł w kominie.

Króla wielce ubawiła ta scena; kazał, żeby zaraz dowiedziano się o chłopcu i żeby go przyprowadzono. Wyszukano kominiarczyka, umyto i ubrano czysto. Z pod czarnej sadzy wyjrzała twarzyczka czerstwa, wesoła, z rozumnem spojrzeniem. Król go się spytał, czy to on przybierał się w pierścienie i złote łańcuchy, a gdy chłopczyna z trwogą przyznał się dobrowolnie do tej winy, Stanisław August pogłaskał go po zbladłej ze strachu twarzy, dał mu piękny upominek i kazał go uczyć w szkołach, bo ośmielony łaską monarszą, oświadczył chęć do nauki.

Nazwano go odtąd kominiarczykiem królewskim; w szkołach również nosił ten tytuł, z którego się nawet w wieku młodzieńczym chlubił. W kilkanaście lat wstąpił do wojska, służył w artyleryi i w 1792. roku, w oczach księcia Józefa Poniatowskiego, celując działem, od kuli armatniej poległ.

¹⁾ breloki, kluczyk, mała pieczętka lub inne ozdoby noszone u zegarka kieszonkowego.

Król dowiedziawszy się o śmierci kominiarczyka królewskiego, wielce go żałował, bo z tego młodego chłopczyny wyrósł żołnierz równie zdatny jak waleczny.

114. Wolność Tomku w swoim domku.

✕ Paweł i Gaweł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gaweł na dole.
Paweł spokojny nie wadził nikomu,
Gaweł najdziwsze wymyślał swawole:
Ciągłe polował po swoim pokoju,
To pies, to zajęc — między stoły, stołki,
Gonił, uciekał, wywraçał koziołki,
Strzelał i trąbił i krzyczał — do znoju.
Znosił to Paweł, nareszcie nie może;
Schodzi do Gawła i prosi w pokorze:
»Zmiłuj się Wać Pan, poluj ciszej nieco,
Bo mi na górze szyby z okien lecą«.
A na to Gaweł: »Wolność, Tomku,

W swoim domku«.

Cóż było mówić? — Paweł ani pisał,
Wrócił do siebie i czapkę nacisnął,
Nazajutrz Gaweł jeszcze smacznie chrapie,
A tu z powały coś mu na nos kapie!
Zerwał się z łóżka i pędzi na górę;
Stuk! puk! — zamknięto! — Spogląda przez dziurę
I widzi — cóż tam? — cały pokój w wodzie,
A Paweł z wędką siedzi na komodzie.
— »Cóż Wać Pan robisz?»

— »Ryby sobie łowię«.

— »Ależ, Mospanie, mnie kapie po głowie!»

A Paweł na to: »Wolność Tomku,

W swoim domku«.

Z tej powiastki morał w tym sposobie:

»Jak ty komu, tak on tobie«.

Aleksander Fredro.

115. Leniwce.

Z pomiędzy ssawców, właściwych lądowi amerykańskiemu, leniwce należą bez zaprzeczenia do najciekawszych, a co ważniejsza, do najdawniejszych mieszkańców tego lądu. Widząc te osobliwe stworzenia o ruchach ociężałych i kształtach dziwacznych, te istoty drobne, słabe i bezbronne, trudno jest pogodzić się

z myślą, że są to ostatni potomkowie wymierającego już rodu olbrzymów, które niegdyś wielkością dorównywały słoniom i nosorożcom, a uzbrojone były w potężne pazury i olbrzymiej siły mięśnie, jak wnosić można z potwornie grubych ich kości, znajdujących obficie w Ameryce południowej.

Dwa ich są rodzaje: jeden odznacza się szyją krótką, brakiem ogona i dwoma tylko na każdej nodze palcami i potężnymi pazurami, drugi posiada po trzy palce na nogach, długą szyję i wyraźny ogon; pierwszy jest barwy jednostajnie żółtawo-szarej, drugi z wierzchu rudawo-popielaty, pod spodem srebrzysto-siny.

Obyczaje obu rodzajów leniwców są do siebie podobne.

Odwieczne lasy Ameryki południowej są wyłączną ich ojczyzną, a nieprzebyte gąszcze i cieniste sklepienia podzwrotnikowej roślinności ulubionem siedliskiem tych uposledzonych przez naturę istot. Leniwce żyją na drzewach; lecz dostać się tam, gdzie zwinna wiewiórka lub małpa znajdzie się w kilku sekundach, dla leniwca trudnem i mozolnem jest zadaniem: jednakże w porównaniu z niedołężnem ich poruszaniem się po ziemi łażą jeszcze dość szybko.

Żywią się wyłącznie pączkami, młodymi pędami i owocami, wodę zastępuje im w zupełności obfita rosa. Pewien uczony przyrodnik, który umyślnie chował leniwca, chcąc się przypatrzeć jego obyczajom i życiu, powiada, iż zwierzę to niezmiernie wytrzymałe było na głód i pragnienie; wystarczało mu wyssanie paru pomarańcz dziennie, wody zaś nie pijało wcale. Dopóki drzewo, na którem się leniwiec znajduje, może go wyżywić, nie opuszcza go, dopiero po wyczerpaniu żywności przenosi się powoli z gałęzi na gałąź, szukając miejsca, gdzieby się sąsiedniego drzewa mógł uchwycić. A że w gąszczach nad brzegami rzek, gdzie leniwiec najchętniej przebywa, korony drzew są z sobą splecione w jedno zielone sklepienie, przychodzi mu to bez trudów.

Nie jest on wybrednym: każde drzewo, mające liście i owoce, może go zadowolić. Jedząc, posługuje się długimi kończynami przednimi, których używa do przyciągania ku sobie cieńszych gałązek i do obrywania z nich liści i owoców, które sobie do gęby łapami podaje.

Ruchy leniwca po ziemi bardzo są niedołężne i przypominają chód żółwi. Rozstawiwszy szeroko nogi, wsparty na łokciach, poruszając każdą nogą z osobna szerokim łukiem naprzód, posuwa

się zwierzę nadzwyczaj powoli, kiwając głową i szyją na prawo i lewo, jakby dla utrzymania niezbędnej równowagi. W chodzie tym pazury są zagięte na wewnątrz, stopa dotyka ziemi tylko stroną zewnętrzną. Jakkolwiek jednak niezgrabne są ruchy leniwca na ziemi, poruszenia jego na drzewie są pomimo zwykłej powolności zadziwiająco pewne. Leniwiec może przez dłuższy czas wisieć na gałęzi, trzymając się pazurami jednej tylko nogi, a co większa, jest dość silny, żeby podnieść całe swe ciało do wysokości pochwyconej pazurem gałęzi.

O ile wytrzymały jest leniwiec na głód i pragnienie, o tyle zdaje się być nieczułym na wszelki ból i niewygody. Uderzony prętem we śnie, budzi się, otwiera oczy i podnosi zwolna długie ramię, aby się podrapać; lecz zwykle, nie dokończywszy ruchu, znowu zasypia. Równie słabo, jak zmysł czucia, rozwinięte są u leniwca zmysły wzroku i słuchu; jedynie zmysł smaku zdaje się bardziej być wykształconym.

Z tem wszystkiem jednak nie są leniwce zupełnie pozbawione zdolności umysłowych. Przekonywują nas o tem choćby tylko te ich okazy, które się znajdują w większych zwierzęncach europejskich. Przesypiając zwykle dzień cały (bo nocną porą na żer wychodzą), wyglądają jak wiązki siana lub niekształtne kłębki, gdy skrzyżowawszy nogi na piersiach i schowawszy pomiędzy nie głowę, leżą bez znaku życia, nieczułe na krzyki i potrącania publiczności, zwiedzającej ogród; ale na głos dozorecy budzą się natychmiast, poznają go, idą na jego spotkanie, gramolą mu się na piersi, przytulając się i prosząc o łakocie.

Do najciekawszych właściwości leniwca należy to, iż z łatwością obracać może swe członki na wszystkie strony. Może np. drapać się pazurami tylnej łapy po krzyżach, co dla każdego innego czworonożnego zwierzęcia jest niepodobieństwem, a tak dziwacznie nieraz wykręca swoje kończyny, jak gdyby ścięgnię i mięśnie w jego stawach nie istniały. Ciekawy jest sposób, w jaki śpią leniwce. Zmuszone do sypiania na podłodze lub ziemi, zwijają się w kłębek. Na gałęzi śpiąc, jedne siedzą prosto, objąwszy gałąź pazurami krótkich kończyn tylnych, przyczem głowę albo trzymają prosto do góry albo ukrywają na piersi — inne, pazurami wszystkich czterech kończyn pochwyciwszy gałąź poziomą, wiszą na dół, z głową spuszczoną.

Pożytek z leniwca nie bywa wielki, chyba że czasami z mo-
cnej i trwałej jego skóry robią torby i futerały. Pomimo to człowiek,
posuwając się coraz dalej w głąb puszczy odwiecznych, coraz bar-
dziej tępi te nieszkodliwe zwierzęta. Dziś one tak już są rzadkie,
że prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości zupełnie zginą.

116. Uczciwy chłopiec.

Na jednej z dalszych ulic Warszawy, w ubogim domku, u szewca
Macieja, mieszkał stary Szymon z małym synkiem Antosiem. Nie-
gdyś żołnierz, dziś kaleka bez ręki, nie mógł Szymon zapracować
na swoje i syna utrzymanie; musieli żyć z tych kilku groszy, które
Antoś zarabiał codziennie, roznosząc piasek po domach.

Razu pewnego, dzwigając na ramieniu dwa spore woreczki
piasku, szedł Antoś ulicą i wołał co chwila: »Piasek biały! —
Piasku białego, wiślanego dać?!« Wtem spostrzegł leżącą na bruku
dużą sakiewkę. Otworzył ją i aż się przestraszył, tyle tam było
papierów bankowych. Ani chwili nie myślał, co ma uczynić ze zna-
lezionej skarbem. Odniósł go na ratusz i opowiedział całą rzecz.

— To moja sakiewka — zawołał na widok jej jakiś siwy i po-
ważny jegomość; — właśnie przyszedłem donieść o mej zgubie.

— A jakąż sumą w niej się znajduje? — zapytał urzędnik.

Poszkodowany wyliczył ją szybko, wyszczególniając numera
niektórych asygnat bankowych. Antosiowi aż się w głowie męciło,
jak ów pan zaczął wyliczać setki i tysiące.

— A to tobie za znaleźne — rzekł ów jegomość, odbierając sa-
kiewkę i kładąc w rękę Antosiowi sturubiówkę.

— Bóg zapłać, nic mi się nie należy; oddałem to, co nie było
moją własnością, a do nagrody nie mam żadnego prawa.

Jegomość ów długo mierzył wzrokiem Antosia, zrozumiał, że
namawiać go dłużej do przyjęcia nagrody byłoby bezowocnem. Za-
pytał przeto:

— Kto ty jesteś?

— Antoś Żołnierzuk, piaskarz.

— Sierota?

— Nie, panie, mam ojca starego, bez ręki, na którego utrzy-
manie zarabiam.

— Gdzie twój ojciec stracił rękę?

— Na wojnie.

— A więc dawny żołnierz... I zadumał się ów jegomość, a potem otrząsając się z zamyślenia, wyrzekł rozkazująco:

— Prowadź mię do ojca.

Antoś nie biegł, ale skakał po bruku jak wróbel, tak było mu radośnie i błogo na sercu: wyobrażał sobie, jak ojciec ucieszy się z jego postępu, jak szewc Maciej zacierać ręce będzie, że Antoś nie należy do lampartów, aż ów pan, idący za nim, co chwila wołać musiał:

— Powoli, mój chłopcze, powoli!

Weszli nareszcie na ulicę Bednarską. Antoś zatrzymał się przed bramą i, puszczając naprzód owego pana, rzekł:

— Tu, proszę pana.

Siwy jegomość wszedł do izby. Szymon i Maciej podnieśli się ze stołków, a przybyły zapytał:

— Który z was jest ojcem tego chłopca?

— Ja, wielmożny panie — odrzekł, prostując się dumnie Szymon.

Przybyły utkwiał w dawnym żołnierzu wzrok pogodny, patrzył długo w twarz jego, jakby przypominał sobie, że ją gdzieś już widział. Szymon z równem zajęciem wpatrywał się w twarz przybyłego.

— Jeżeli się nie mylę — przerwał jegomość, nie spuszczając oka z byłego wojaka — Szymon Żołnierczuk, podoficer...

— Z czwartego pułku strzelców konnych — dokończył Szymon. — Tak, tak, Majorze — poznając przybyłego, zawołał — to ja!

I dwaj starcy rucili się sobie w ramiona.

— Dzielnego macie syna, mój Szymonie — rzekł major i opowiedział całe zajście z Antosiem; — odtąd ja go biorę na wychowanie, zajmę się jego losem, a i wam Szymonie na niczem zbywać nie będzie.

Antoś leżał u nóg majora, a Szymon całował dłoń jego.

— No, dosyć tego, dosyć! Antoś jest poczciwym synem i szlachetnym chłopcem; da Bóg, że się wykieruje na człowieka.

Ziściły się słowa majora. Antoś, ukończywszy chlubnie nauki, zajmuje dziś piękne stanowisko jako urzędnik wyższy w jednym z biur gubernialnych.

117. Cesarz Józef II. lekarzem.

Pewnego poranku przechadzał się po przedmieściu wiedeńskim nieznany mężczyzna, w którego atoli postawie uderzała wyższość

i powaga. Chłopczyk, około dwunastu lat liczący, zbliżył się ku niemu z nieśmiałością i prosił o wsparcie drżącym, stłumionym głosem. Przyjemne rysy twarzy, zakłopotanie się i perłowe łzy, z oczu jego spadające, uczyniły na nieznanym silne wrażenie. — »Któż są twoi rodzice i co cię zmusza wzywać przechodzących o pomoc? — rzecze do wyrostka. — »Ach! Panie!« — odpowie zmieszany — »stan okropny mej matki, biednej, opuszczonej wdowy, którą w największej nędzy śmiertelna dotknęła choroba«. — »Gdzież jej mieszkanie? — przerwie nieznanomy. — »Na rogu tej ulicy, po lewej stronie na trzeciem piętrze«. — »Czy zasięga porady lekarzy?« — »Dotychczas nie, bo i za cóż kupić lekarstwa?« — Rozczulony widokiem smutku pacholęcia, dobył nieznanomy kilka reńskich, a wręczając mu je, rzekł: »Ratuj matkę, dziecię moje, pośpieszaj po lekarza«. — Chłopczyk poskoczył rączo, najczulszymi wyrazy dziękując dobroczyńcy swemu.

Ten przedsięwziął tymczasem chorą sam odwiedzić. Dopytawszy się do niej, wszedł do izby mieszkalnej i ujrzał obraz najokropniejszej nędzy: młoda, lecz schorzała i wychudła niewiasta leżała na twardym barłogu i pocieszała dziecię siedmioletnie, które u nóg matki rzewnie płakało. Nieznanomy, niby lekarz, przybliżył się do tego łoża boleści i począł badać o początku cierpienia i stanie choroby. — »Ach Panie! — rzecze kobieta — »straciłam męża i cały majątek skutkiem bankructwa; nastąpiła choroba moja, która śmiercią skończyć się może. Truchleję na tę myśl, bo cóż wtedy stanie się z memi sierotami bez pomocy, bez żadnego mienia i w wieku dziecinnym!«

— Nie rozpaczaj, pani! — rzecze mniemany lekarz — »i miej nadzieję, że niebo przyjdzie ci w pomoc. Daj tylko papieru na receptę«. — Chora oddała pierwszą kartkę z elementarza, z którego uczyły się dzieci. Nieznanomy napisał kilka słów, a kładąc papier na stole, rzekł: »Oto jest lekarstwo! — bądź pewną, że cię uleczy i że wkrótce do siebie przyjdiesz«. I odszedł.

W kilka chwil nadbiegł starszy synek z pocieszeniem. »Uspokój się, mamó« — rzecze on — »oto dwadzieścia złotych reńskich, które dał mi jakiś liściowy nieznanomy. Otrzymawszy je na lekarstwa, pobiegłem po lekarza, który niebawem przyjąć obiecał«. — »Chodź, dziecię, niech cię uściskam« — odpowiedziała matka. — »Bóg zlitował się nad twą niewinnością: niech ciebie i brata twego

zawsze w Swej świętej chowa opiece! — Lecz tu już był jakiś lekarz; idź do apteki z receptą.

Syn bierze w rękę papier, czyta, odczytuje raz jeszcze i zawoła z zadziwieniem: »Ach, mamó! to cesarz! mamó! to był cesarz!«

W istocie, było to pismo cesarza Józefa II., który wzruszony nędzą i rozpaczą tkliwej, kochającej matki, przejęty przywiązaniem dobrego syna, wspomógł ją znacznym datkiem.

Niespodziewana i hojna pomoc przywróciła życie i zdrowie nieszczęśliwej, bo dała jej sposób utrzymania i zabezpieczyła środki przyzwoitego wychowania dzieci.

Monarcha uzyskał u tej rodziny wdzięczność nieśmiertelną.

118. O języku ojczystym.

List brata do siostry.

W Krzemieńcu, dnia...

Pierwszy raz w życiu odbieram list od Ciebie, kochana siostro, i przyznaję, że mi wielką radość sprawił. Piszesz, że tułając się długo po obcych domach, osiadłaś nareszcie na zawsze u naszej ciotki, która już za córkę Cię uważa. Zaczęła swoją opiekę od przedstawienia Ci Twoich obecnych powinności i onato pierwsza Cię nauczyła, że nie mając rodziców, w starszym bracie powinnaś widzieć opiekuna i ojca. Rozrzewnił mnie Twój list i słodką ku ciotce przejął wdzięcznością. W samej rzeczy rodzeństwo osierocone więcej kochać się powinno, a wzajemnem przywiązaniem łagodzić wspólną i niepowetowaną stratę rodziców!...

Ale dlaczegóż, kochana siostro, te uczucia po francusku wyrażasz? Wszakżeśmy oboje Polacy? Wszak w krajach polskich mieszkamy? Język polski drogą jest po przodkach naszych spuścizną; za jego jedynie pomocą możemy podnieść literaturę krajową. Jakżeby więc gardzić tym skarbem?... Przekonany jestem, że serce Twoje ma polskie uczucie; wiem, że wszystko, co się tyczy wielkości i sławy kraju, unosi Twą duszę, a każda niedola jego przejmuje ją i rani; wiem także, że szczęściem byłoby dla Ciebie przyczynić się do wzrostu chwały imienia polskiego: po polsku więc pisuj do brata! Mowa ojczysta najmielsza i najprzyzwoitsza jest każdemu Polakowi: wyrazy przywiązania, w niej określone, jeszcze snadniej do serca jego trafiają, bo sam dźwięk narodowego języka

słodko serce jego porusza... Pamiętam, żeś od dzieciństwa wielką wróżyła do wszystkiego zdatność; wiem, że gdziekolwiek byłaś, wszędzie Twoją pilność chwalono; z odebranego świeżo listu widzę, że te nadzieje i pochwały mylnymi nie były. W dwunastu leciech trudno tłómaczyć się głódziej i jaśniej, a jeszcze w obcej mowie. Wyglądam zatem z prawdziwą niecierpliwością listu od Ciebie po polsku napisanego. Wierżaj mi, podwoi się tym sposobem wdzięk listów naszych, bo gdzież szukać miłszej mowy nad mowę naddziadów? I w jakiejżeby uczucia i myśli łatwiej wydać można, jak w tej, którą najpierwej usta nasze przemówiły?

Żegnam Cię, kochana siostró. Z niecierpliwością oczekuję od Ciebie listu po polsku, językiem przodków naszych pisanego.

Kl. z Tańskich Hofmanowa.

119. Nasz język.

Masz w języku obraz własny:
Bogaty — jak twoje ziemie,
Jak cne serce — szczerzy, jasny
I czysty — jak twoje plemię;
Wolny, pełen prawdy, siły,
Gdy młodzież męstwem zagrzewa;
W śpiewie tkliwy i tak miły,
Jak dziecię, które nim śpiewa.

K. Brodziński.

120. Koty morskie.

W życiu mieszkańców wysp Komandorskich (Berynga i Miedzianej) szczególnie ważne są koty morskie, zwane tak dlatego, że większą część roku spędzają na morzu. Należą one wraz z nerpą (psem morskim) i morsem (koniem morskim) do rzędu »czteropletwowców«. Niedgdy i na półkuli południowej żyły koty morskie w olbrzymich stadach, lecz ponieważ chciwość ludzi lekkomyślnie zniszczyła tamże ogromne legowiska tego zwierzęcia, przeto pozostały one w większych gromadach już tylko na półkuli północnej, mianowicie na wyspach Prybyłowa, na wyspach Komandorskich i na wyspie Fok w bliskości Sachalinu.

Ilość tych zwierząt w krajach wspomnianych niezmiernie jest wielka; najlepszym tego dowodem jest, iż na wyspach Komandorskich zabijają ich corocznie 50 tysięcy, a na wyspach Prybyłowa nawet po 100 tysięcy.

Kto pragnie dokładnie poznać niezwykle tryb życia kotów morskich, powinien je uważać na zachodnim brzegu wyspy Miedzianej, bo tam ono objawia się w całej swej pełni, przyczem brzeg skalisty i dziki krajobraz jeszcze bardziej podnoszą wrażenie, wywołane widokiem zwierząt. Spuściwszy się tutaj z wysokich i stromych urwisk na wybrzeże, pokryte ogromnymi głazami, o które się rozbijają fale morskie, znajdzie się podróżnik naraz pośród ogłuszającego szumu morza i niemniej głośniejszego beczenia setek tysięcy zwierząt o dziwnych kształtach, które poruszają się jakby jakie cienie w mgle panującej tu nieustannie.

Ten niespodziewany widok silnie wstrząśnie każdego, co po raz pierwszy znajdzie się tutaj. Z razu staje każdy nieruchomo i rozgląda się na wszystkie strony; ledwie po jakimś czasie odważy się na ostrożny krok naprzód, machinalnie naśladowując przykład swego przewodnika. Niepodobna wobec tego otoczenia pozbyć się myśli, że zewsząd grozi tu niebezpieczeństwo: zewsząd bowiem otoczony jest człowiek ziejącemi paszczami dzikich potworów, a sam stoi pośród nich bezbronny! Ale przewodnik śmiało kroczy naprzód, nie zważając na groźne ruchy ustępujących z drogi zwierząt. Idzie się więc za nim. Koty morskie rozstępują się, by natychmiast poza idącymi zamknąć z tyłu drogę. Ten ruch zwierząt zdaje się być tylko podstępem, użytym w celu zagłady nieproszonej gości, trwoży więc z razu i niepokoi. Lecz powoli przywyka się do tego i kroczy się śmiało naprzód, aż się наконец znudzi przechadzką.

Jak szło się naprzód, tak samo bezpiecznie się powraca; jedynie zadziwia łagodność tych zwierząt, na pozór tak groźnych i strasznych. Setki tysięcy ich wylegują się na brzegu i skałach sąsiednich, inne pływają koło brzegów, zanurzając się w morzu, wyłazą na rafy lub wybrzeże. Nieustający ruch kotów morskich, ich beczenie i cały krajobraz nadbrzeżny na tle wzburzonego morza tak wielkie wywołuje wrażenie, iż go niepodobna oddać słowami.

Przybywają koty morskie na brzeg wysp wymienionych w pierwszych dniach maja i pozostają tamże do końca października, przez całą zaś zimę nie wyłazą wcale na ląd, spędzając czas ten na otwartym morzu.

W ciekawy sposób odbywa się polowanie na koty morskie.

W pierwszych dniach czerwca wyprowadzają się mieszkańcy na brzeg morza i przebywają tam przez cały czas łowów w ciasnych

i brudnych ziemiankach¹⁾). Wybrawszy czas i pogodę sprzyjającą, uzbrojeni w pałki, pod wodzą starego i doświadczonego myśliwca wyruszają wszyscy mieszkańcy łańcuchem wzdłuż urwistego i kamienistego wybrzeża, zwanego »łajdą«, gdzie na kamieniach lub wysokich skałach spokojnie leżą tysiące kotów morskich. Starają się odciąć stadom tych zwierząt odwrót do morza, a potem pędzą je na brzeg, głównie bacząc na to, ażeby okrążyć stada dwu i czteroletnich samców, które jedynie zabijać wolno. Skoro w ten sposób na jaką taką odległość od łajdy stado odpędzą, zatrzymują się i odganiają samice i młode; następnie dzielą stado na mniejsze gromadki i pędzą je na miejsce rzezi, które się znajduje zawsze w pewnej odległości od łajdy. Tam pozwalają zwierzętom jakiś czas odpocząć, a zaraz potem zabijają je, uderzając pałką po głowie i po nosie. Skóry zdziera się natychmiast i oddaje się do przechowywania w magazynach.

Polowanie to nadzwyczaj jest uciążliwe dla robotników, a przecież na wyspie Berynga jeden robotnik przez cały czas łowów zdobywa przeszło sto skór, na wyspie zaś Miedzianej nawet około trzysta. Na wyspie Berynga ogólny zarobek rozdzielany bywa pomiędzy tamtejszych mieszkańców, na wyspie zaś Miedzianej każdy pracuje dla siebie i wszelkich dokłada starań, często nawet z uszczerbkiem zdrowia i sił, aby jeno nagromadzić jak największą ilość skór, a tem samem zarobić jak najwięcej pieniędzy.

Ale tak uciążliwa praca, a nadto i powietrze niezdrowe, przepełnione wyziewami z powodu mnóstwa gnijących ciał zwierząt odartych, nader szkodliwie oddziałują na stan zdrowia tamtejszych mieszkańców.

121. Rękawka.

Jest za Krakowem wzgórze, składające część Krzemionek, nazwane górą Lasoty. Na wydatniejszym wzniesieniu spoczywa wyniosła mogiła, którą mogiłą Krakusa nazywają. Twierdzą powszechnie, że po zgonie założyciela dawnej Chrobotów stolicy, lud pogrążony w żałobie zebrał się w licznych tłumach dla oddania ostatniej posługi zmarłemu panu. Żal powszechny i tkliwość natężyły myśl piękną, ażeby w miejscu, gdzie spoczywać będą reszty

¹⁾ Ziemianka, piwnica w ziemi wykopana.

dzielnego książęcia, wzniesć wyniosłą mogiłę, któraby się i zawistnemu czasowi i siłom ludzkim oparła. Z takim zapalem wzięto się natychmiast do dzieła, że po spaleniu, zwyczajem pogan, zwłok ulubionego książęcia, lud wdzięczny, znosząc ziemię własnymi rękami (podług innych — w rękawach) w dniu jednym wystawił ten pomnik tak tkliwy.

Następnie jeden z wodzów wezwał lud cały, ażeby corocznie zgromadzając się przy mogile Krakusa, przez ofiary bogom krajowym, równie jak wielkie i rycerskie igrzyska dzień ten smutny, lecz pamiętny uwiecznić. Okrzyk powszechny powszechną zgodę oznaczał. Tłumy różnego ludu zgromadzały się corocznie; za czasów dawnych palono ognie na szczycie mogiły i składano bogom ofiary. Następowaly gry, strzelania do celu i rozmaite gonitwy; rodacy i obcy szli na wyścigi w okazywaniu dowodów zręczności i siły. Panujący na Krakowie księżęta i królowie dzielili z ludem doroczne uciechy.

Gdy Polska poobalała ciosane z drewna i kamienia bałwany, a światło łagodnej Chrystusa nauki rozlacać poczęło ponad krajem swe dobroczynne promienie, wzniesiono szczupły kościółek, w którym co roku w trzeci dzień świąt wielkanocnych uroczyste odprawia się nabożeństwo. Już od rana lud wiejski licznie się zewsząd gromadzi i dzień cały tam obozuje. Koło godziny trzeciej z południa wszystko prawie, co żyje w tej stolicy dawnej, śpieszy na oddanie popiołom założyciela wieczystej czei i hołdu. Jeżeli dzień jest pogodny, mnóstwo powozów i tysiące pieszo idących śpieszą na Krzemionki, aż most ugina się na Wiśle; wszyscy okrywają potem całe wzgórze i mogiłę Krakusa. Nic bardziej zachwycającego, nie mocniej przemawiającego do serca znaleźć nie można. Wesołość prosta i niewinna jaśnieje na twarzy wszystkich. Przy mogile Krakusa niema różnicy stanów; wszystko bez ładu zmieszane zdaje się przypominać, że za błogich jego czasów panowała równość i szczerść. Tłumy chłopców miejskich i wiejskich trzymają od rana w oblężeniu tę część góry, na której się wznosi kaplica; stąd im zamożniejsi rzucają orzechy, jabłka, bułki, pierniki i t. p. rzeczy za którymi na złamanie szyi spycha jeden drugiego na dół; chwytają, co kto może, czasem jeden orzech dziesięciu i piętnastu na ziemię zbije, a ten, który go zdobywa, kilkanaście pocisków od współzapaśników odnosi w przydatku. Smutek wielki, jeżeli deszcz lub zimno przyjemność tej zabawy odejmuje. Mogiła Krakusa w ca-

tym ciągu lata przez mieszkańców Krakowa odwiedzaną bywa, ale w uroczystość Rękawki niejako z obowiązku.

122. Lodowce i lawiny w Alpach.

Na wysokich Alpach nie pada śnieg prawie nigdy w płatkach, lecz zawsze w cieniutkich, zaledwie widzialnych igielkach, a w czasie odwilży prószy pył śniegowy, podobny do mgły na dołach. Śnieg ten nie roztopia się już tutaj nigdy zupełnie, ale pod wpływem odmiennej temperatury w dzień i w nocy, szczególnie w miesiącach letnich, przeistacza się w drobne ziarenka, które nie dają się zbierać w bryłę, i, ujęte w rękę, rozsypują się jak gruby piasek. Takito suchy, ziarnisty, sypki śnieg tworzy pola śniegowe najwyższych szczytów Alp. Ziarenka te śnieżne usuwają się własną ciężkością z wyższych stoków na niższe, gdzie promienie słońca silniej działają. Tu obtapiają się wprawdzie więcej w dni ciepłe, ale mrozy nocne ścinają je znowu, otaczają grubszą powłoką lodu i spajają w większe bryłki, wielkości śrótu, orzecha, jaja. Spadając coraz niżej i ulegając coraz większym zmianom temperatury, rosną one ciągle, twardnieją, lodowacieją, stają się coraz trudniejsze do zupełnego stopnienia, tracą białość śniegu, a przybierają niebieskawą barwę lodu, aż wkońcu urastają w ogromne bryły, złożone z warstw czystego lodu i na pół zlodowaciałego śniegu. Bryły te zawałają swem brzemieniem przepaściste doliny pomiędzy szczytami i zbijają się w lodowce, zesuwanące się wydłużonymi smugami przez wąwozy i parowy aż w dzielnicę hal i lasów.

Taki jest sposób tworzenia się lodowców.

Z właściwym sobie przygłuszonym hukiem w gorące dni letnie pęka skorupa lodowców i tworzą się w niej szczeliny, które z czasem rozszerzają się do 20 *m* i 40 *m* głębokości, a do 30 *m* szerokości. W te przepaści, których ściany mieniają się w różne odcienie najczystszej lazuru, spadają zwyczajnie w kaskadach wody stopionych śniegów, a czasem łączą przeciwne ich brzegi łuki lodowe, ułatwiające niebezpieczną przez nie przeprawę.

U końca każdego lodowca otwierają się szerokie, czasem 15 *m* do 30 *m* czeluści, zwane wrotami lub bramami lodowcowemi, a pozwalające nie tylko zajrzeć, lecz owszem nawet zapuszczać się głęboko w ich tajemnicze wnętrze. Jeden z badaczy przyrody tego alpejskiego świata śniegów i lodów dotarł ćwierć mili we wnętrze

lodowca, idąc chodnikami, których zwierciadlane, lazururowe sklepienia wspierały się na takichże kolumnach. Pewien berneński góral, wpadłszy przypadkiem w głęboką szczelinę lodowca, wędrował trzy mile podlodnymi kanałami, nim się na koniec wydobył na światło dzienne, z życiem wprowadzie, ale z połamanymi rękami. Mniej szczęśliwie powiodło się pewnemu Tyrolczykowi, który wpadł w lejek lodowca, a dopiero po 14 latach wyrzuciła jego szkielet paszcza lodowca.

Z daleka widziane lodowce mają barwę niebieską lub zielonawą, nigdy białą. Jaśniejsze, lazururowe, połyskujące szczeliny i lejki i ciemniejsze iglice i bloki wywołują grę kolorów, odbijającą cudnie od czarnych skał i martwych, białych pól śniegowych. Gdy promienie słońca nad zachodem, przebijając się przez napełnione wilgocią powietrze, padają na szczyty Alp, nawodzą się ich pola śniegowe i lodowce światłem promienistym, złocistoróżowym, któreto zjawisko, jedno z najwspanialszych w przyrodzie alpejskiej, nazywają płonieniem Alp.

Gdy się jest na lodowcu, doznaje się wrażenia grobowego spokoju. A jednakże liczne doświadczenia przekonują, że lodowce alpejskie nie stoją, nie są bez ruchu, lecz przeciwnie płyną nieustannie jak rzeki, posuwają się naprzód i naprzemian to rosną to maleją.

Zdarza się często, że lodowiec, przekraczając zwyczajne granice swoje, ryjąc przed sobą ziemię, usypując wysokie wały gruzu i niszcząc wszystko, co mu staje w drodze, podsuwa się aż pod progi mieszkań górali alpejskich, głęboko w doliny, i sprowadza wśród lata na kwitnące łąki i pola zawieje zimowe. Górale powiadają wtedy, że lodowiec rośnie. Zesunąwszy się tak nisko w strefę ciepłą, nie może on się oczywiście oprzeć działaniu promieni słonecznych, topi się i spływa strumieniami białawej, jakby z mlekiem zmieszanej wody. Ale ile go tu w dole ubywa, tyle dorabiają ciągle w górze śniegi i mrozy, i nieproszony ten i niepożądany gość wędruje powoli, nieznacznie coraz niżej. Bywają nieraz wypadki, że zagrożony rosnącym lodowcem góral musi opuścić swoją zagrodę i oddać mu ją na pastwę; że obrywając owoce z drzew swego sadu, staje na lodowcu, aby wyżej dosięgnąć. Ale też zdarza się często, że kiedy stroskany właściciel oczekuje już tylko chwili, w której ten straszny przybysz zmiecie jego zagrodę, lodowiec nagle wstrzymuje się w swoim niszczącym pochodzie, staje, owszem nawet

cofa się wstecz. Pamiątką po jego pochodzie pozostaje przez długi czas w miejscu pól i ogrodów straszna pustynia, zryta ziemia i zniesione na jego grzbiecie aż kędyś ze skalnych szczytów smugi gruzów i głazy.

Ale więcej nierównie szkody zrzadzają mieszkańcom dolin alpejskich lawiny, których ojczyzną jest także kraina wysokich Alp.

Lawiny są dwojakie: śniegowe i lodowe. Pierwsze powstają, gdy po świeżo spadłym śniegu nastąpi nagle odwilż, a więc najczęściej na wiosnę. Drugie strącają nagle pęknięcia i zsuwania się lodowców. Górale alpejscy, żłyci z przyrodą gór, znają miejsca, z których najczęściej zrywają się lawiny, i przewidują naprzód grożące niebezpieczeństwo. Z miejsc takich wynoszą się ludzie, jak mogą, najdalej; wiodące w pobliżu nich drogi i ścieżki prowadzą popod zwisającymi skałami albo nawet kutymi umyślnie galeryami; zmuszeni przechodzić przez nie, strzegą się, żeby najmniejszej bryłki lodu lub śniegu nie strącić, żeby nawet powietrza niczem nie wstrząsnąć silniej, gdyż czasem jeden wystrzał wystarcza, aby się zerwały ze szczytu przygotowane już do spadnięcia lawiny.

Ale pomimo tych wszystkich środków ostrożności, zrzadzają lawiny w dolinach alpejskich ogromne spustoszenia. Spadająca lawina, tocząc się przez pola śniegowe, rośnie, porywa z sobą wszystko, co spotka po drodze, przyspiesza ciągle swój pęd, aż wkońcu z ogłuszającym grzmotem spada jak piorun w dolinę, gdzie zasypuje czasem całe wsi. Poprzedza ją wściekły, jej szalonym pędem wywołany, wichur, który toruje jej drogę, unosi jak zdźbła trawy całe szałas i chaty, ścieli pomostem pod jej stopy całe szmaty borów.

A jednakże groźna ta ojczyzna lodowców i lawin, zsyłająca takie straszne spustoszenia w doliny alpejskie, nie jest bynajmniej bezużytecznym, a tem mniej wyłącznie szkodliwym czynnikiem w wielkiem gospodarstwie przyrody. Każdy lodowiec jest źródłem jakiejś rzeki; owe wrota lodowców i odpływające z nich mleczne potoki, to rodziciele Renu i Rodanu i górnych źródłowych dopływów Padu i Dunaju. Gdyby nie było lodowców alpejskich, nie byłoby ani Renu ani Rodanu ani Dunaju ani Padu, a kwitnące doliny alpejskie i pod Alpami byłyby bezwodną pustynią. Tak, choć sama martwa, rozlewa kraina lodowców wysokich Alp życie dokoła.

Ale nawet i ona sama nie jest zupełnie pozbawioną życia. Gdzie tylko na stromym stoku śnieg utrzymać się nie może i od-

kryje splacheć wilgotnej ziemi, zaruniają ją zieleńce i mchy, z pomiędzy których podnoszą gdzieś tam skromne główki nawet rośliny jawnokwiatowe. Małe te oazy zielone, rozrzucone po pustyni lodów i skał, nazywają górale alpejscy ogródkami lodowcowymi. Życie zwierzęce także tu nie zaumiera jeszcze ze szczętem. Pardwy¹⁾ halne i wrony śnieżne zalatują aż na najwyższe szczyty tej krainy. Nad onymi ogródkami polatują tu i ówdzie motyle, z górnych hal zachodzi na nie często zuchwała kozica. Po omszonych kamieniach biega długonogi pająk kosarz, polując na drobne muszki i chrząszczyki.

Człowiek rzadko dociera do krainy wysokich Alp, gdyż leży ona już zupełnie poza obrębem jego zwyczajnych potrzeb. Zapędza się tam chyba zapalony myśliwy, ścigając kozicę, albo chciwy niezwykłych wrażeń turysta, albo nakoniec gnany żądzą nauki badacz przyrody. Bo też to rzecz niełatwa zmierzyć się oko w oko z tą przyrodą, pełną grozy! Do szaleńców na halach może się jeszcze podróżnik dostać na koniu góralskim lub na mule, wprawionym do drapania się po górach, którego ostrożności i pewności kroku powierzyć się może bezpiecznie. Ale dalej musi już iść pieszo z długim kijem, okutym ostrem żelazem, w ciżmach²⁾, podkutych ostrymi gwoździemi, aby mu się gdzie noga nie pośliznęła; musi sobie nieraz siekierą torować drogę przez zawały lodów, wdrapywać się po drabinach na prostopadłe ściany skał, spuszczać się na linach w parowy, przechodzić brzegami bezdennych przepaści, gdzie jeden krok chybiony może przypłacić życiem; musi prócz tego walczyć z zimnem, ze znużeniem, które podwaja rzadsze o wiele na tych niebotycznych wyżynach powietrze, z zawrotem głowy, czasem nawet z zapaleniem ocz, które sprowadzają ostre wiatry i odbijanie się promieni słonecznych od śniegu, a nakoniec jeszcze często z lawinami, z kurzawą śnieżną i mgłami, tymi najstraszniejszymi i niezwykłymi wrogami podróżników alpejskich. Zdarza się nieraz, że strzelec lub turysta, zaskoczony mgłami, przesiedzi całą dobę i więcej na jakiejś skale, nie ważąc się ani wracać ani iść dalej, szczęśliwy, jeżeli mgła opadnie, nim mu wyjdzie żywność. Czasem znów lawiny zagrzebią całą karawanę, jak to się raz stało z wyprawą angielską na Mont Blanc, z której dziesięciu członków jeden tylko ocalał.

¹⁾ Gatunek gołębia. — ²⁾ Ciżmy, trzewiki.

123. Praca.

»Za pracą wszelka szczęśliwość przychodzi.
Ta rodzicielka piękną sławę rodzi;
Praca na wszystkiek czas i wiek późniejszy
Skarb najpewniejszy«.

Jan Gawiński.

Praca jest to warunek życia, cena szczęścia, podatek, który człowiek każdy złożyć Stwórcy i społeczności obowiązany, jeśli chce być godnym obywatelem tej ziemi i wieczności.

Wszystko, co nas otacza, zwłaszcza w mieszkaniach ludzkich, te mury i sklepienia, te sprzęty, książki, odzież, pożywienie, wszystko to jej dzieło, na wszystkim wycisnęła piętno swoje; we wszystkim widzimy naprzód twórczą prawicę Boga, a potem pracującą rękę człowieka.

Dosyć spojrzeć na ludzi. Czy ich za domem uważać będziemy i wystawimy ich sobie spełniających różne obowiązki powołania, czy w mieszkania wyższych i niższych badawcze rzucimy spojrzenie: wszędzie, pod odmiennymi tylko postaciami, ukaże nam się praca; wszędzie zobaczymy, jeżeli nie ciężką, trudną, ważną, przykrą i konieczną pracę, to przynajmniej lekką, łatwą, drobną, miłą, dobrowolną. Będzie praca na ziemi podobną do krzątania się pszczoł koło ula swego; chociaż nie wszystkie plon niosą, wszystkie przynajmniej krzątają się koło niego i za pracujące uchodzić pragną. Bo pracą każda istota rozumna się chlubi, praca jest berłem, którem człowiek nad przyrodzeniem panuje. Przez nią przywłaszcza sobie ziemię, przemienia ją i rodzić jej każe to, co mu się podoba; przez nią podbija żywioły i ukryte ich władze i własności; przez nią używa rzeczy, którychby nigdy nie miał bez jej pomocy, któreby martwe leżały, gdyby ona im życia nie dała; z niej powstają nauki, sztuki i rzemiosła, tyle miłe i użyteczne. Onato wszystkich ludzi karmi i odziewa. I w układzie powinności wszystko na niej opiera się i toczy; ona składa ogniwa łańcucha wiążącego ludzi między sobą.

Może nie było jeszcze wieku, w którymby praca tak powszechną, tak pospolitą i tyle cenioną była jak dzisiejszy. Tak, praca jest wielkiem i wspólnem powołaniem człowieka; ją każdy przywłaszczyć sobie może i powinien; a jaka ona jest, bądź drobna, bądź ważna, bądź umysłowa, bądź ręczna, bądź konieczna, bądź dobrowolna, byle tylko użyteczna i godziwa, już staje się

dopełnieniem jednej z najważniejszych względem siebie, względem drugich powinności, już nabywa godności cnoty; praca jest cnotą.

To jest cnota, która każdego z łatwością udziałem stać się może, choćby najmniej uposażony był od losu i przyrodzenia: to jest cnota, która uświęci wszystkie trudy, choćby od świata znane i wynagrodzone nie były; to jest cnota, która na sprawach i zabiegach, często mało znaczących na pozór, piętno zasługi wycisnie; to jest cnota, którą nam pełnić najłatwiej, a przez nią do wszystkich innych dojść można, skłonność do złego najdzielniej pokonać, udoskonalić się, prawdziwe szczęście pozyskać, Stwórcy się podobać; gdyż jak mówi nasz Karpiński:

»Bogu najmiłszą się stała,
Pracującej ręki chwala«.

Praca największym wdziękiem jest życia, istotną miarą wartości, użyteczności człowieka. Ona nie tylko jest cnotą, ale i szczęściem. Bogaci wielu uciech z pracy wypływających nie znają. Znaż który z nich tę rozkosz nieocenioną utrzymania siebie, wystarczenia potrzebom życia swego, własną, godziwą pracą? pojmujeż który, jakie miłe, jakie chlubne uczucie serce człowieka napęnia, kiedy spojrzawszy na siebie, około siebie, pomyślawszy o bycie, o szczęściu swoim, powiedzieć sobie może: »Panie! łaska to Twoja, ale praca moja«. Praca jest źródłem wszystkich uciech. Patrz tylko na uczciwego rękodzielnika, który wstawszy rano idzie do pracy: twarz jego wesoła, wejrzenie śmiałe; szanuje się sam, bo czuje swą wartość. Odejmij pracę, a spoczynek będzie męczarnią duszy i zniszczeniem ciała. A kiedy jeszcze z tej własnej pracy wypłynie sposób podania ręki rodzicom, krewnym, bliźniemu w potrzebie, wtedy ta rozkosz z niczem porównać się nie da. Zapewnić sobie własną pracą byt uczciwy i przyjemny, jest to dowód najoczywistszej wartości osobistej; i wyznaję, że jeśli komu z dóbr ziemskich chęć się dozwolonem było, to nie tym, którzy majątek w spadku po rodzicach dostali i opływają w dostatkach bez żadnego naprzódłożonego mozółu, ale tym, którzy własną mozolną a godziwą pracą do obfitości doszli.

Praca jest skarbem najdroższym, źródłem pociechy, najsilniejszą moralności podporą. Tak, nie inaczej; dla dobra duszy naszej potrzebujemy koniecznie pracy ciągłej, codziennej; praca na prawej utrzymuje nas drodze, zajmuje i ujarzamia zmysły, które wtedy

tylko, kiedy są w nieczynności, ducha przemódz są zdolne; utrzymuje je w zdrowiu i w sile. Praca jest szkołą umiarkowania i wstrzemięźliwości.

Lecz chcąc z pracy prawdziwego szczęścia narzędzie uczynić, trzeba jej się oddawać chętnie, bez przymusu i sarkania; trzeba ją pokochać, dopełniać jej z radością serca, ze swobodą myśli i mieć przekonanie, że jest duszy naszej tak użyteczną, jak ciału to powietrze, którem oddycha.

Rzemieślnikowi, który przy swej robocie miłą piosnkę nuci, lepiej i prędzej idzie robota. Polubienie pracy, wypełnienie jej swobodnie pracę najtrudniejszą ułatwia i słodzi: bo kto tylko czuje, że dobrze czyni, ten ma największą do działania i łatwość i siłę.

Trzeba i o tem pamiętać, że nie dosyć wziąć się do pracy, ale należy się nad nią przed rozpoczęciem najwięcej zastanawiać. Najmniejsza pomyłka na początku przynosi w dalszym ciągu znaczną szkodę, której czasem już zaradzić niepodobna.

Ale prócz tych wymienionych korzyści ma praca i inne. Najchlubniejsza jest ta, że ona od dumy nas chroni, gdyż sama jej konieczna i nieodzowna potrzeba przypomina nam podległość naszą, przedstawia i tę prawdę, że nic sami uczynić nie możemy; bo ileż do spełnienia najmniejszej rzeczy pomocy nam trzeba? Na najluchszą robotę naszą czasem kilka narodów się składa. Te jedwabie, tkanki, igły, z których my użytek czynimy, ileż pierwiej kosztowały zachodów!... Tak więc praca obudza w nas wdzięczność ku innym ludziom, uznanie własnej niemożności i tysiączne inne uczucia zbawienne; wzmacnia nasz umysł, napełnia, ozdabia życie, prawdziwego szczęścia nam udziela; a oprócz tych wszystkich korzyści jeszcze jedną i bardzo ważną w sobie zamyka: ręczy o drugiem życiu, zapewnia o nagrodzie, cnotcie zgotowanej. Każda praca gorliwa, stała, użyteczna musi koniecznie przynieść owoc, a jakże często się zdarza, że najgorliwsza, najużyteczniejsza nie otrzymuje pożądanego skutku: zamiast wdzięczności nienawiść obudza, zamiast korzyści stratę przynosi; a przecież człowiek cnotliwy nie ustaje w zachodach swoich, rąk nie opuszcza, pracuje do ostatniej godziny; dlaczego? bo wiara dzielną prawicą pot z jego czoła ociera, bo nadzieja obiecuje mu obfite żniwo gdzieś wyżej, bo miłość ludzi mu szepce, że, choć późno, praca jego dla braci skuteczną będzie. Ktokolwiek ma serce czułe i duszę wyniosłą, wystawić sobie łatwo może, jaką rozkosz taka szlachetna praca przynosić człowiekowi musi; z jaką

słuszną dumą i z jakim zaufaniem podnosi oczy w niebo, jak serce jego nigdy nie więdnije, męstwo nigdy nie upada.

Klem. z Tuńskich Hofmanowa.

124. Praca.

Szczęśliwy ten, kto w pracy dni swoje przepędza,
Bo czas rączy nić życia snuje mu ze złota;
Nie trafi do drzwi jego występki ni nędza,
Pokój jest jego skarbem, a dziedzictwem enota!

Franciszek Wężyk.

125. Skutek próżnowania.

Przez wiek cały już nigdy bez zgryzot nie uśnie,
Kto młode lata swoje przemarnował gnuśnie.

Bohdan Zaleski.

126. Z życia cesarza Franciszka I.

Cesarz Franciszek I. był bardzo dobrym i dla poddanych swoich łaskawym panem. Latem mieszkał zazwyczaj w letnim pałacu w Schönbrunnie, niedaleko Wiednia. Tam też bawiąc, wybrał się raz jednego z dostojną małżonką i całym dworem pieszo do sąsiedniej wioski na przechadzkę.

W drodze spotkał cesarz ubogo odzianego wyrobnika wiozącego na taczkach trumnę, obok której ze spuszczoną głową postępował pies. Na zapytanie otrzymał ces. Franciszek od wyrobnika odpowiedź, że w trumnie znajdują się zwłoki nędzarza. Cesarz spytał dalej, czy zmarły nie miał żony, dzieci, krewnych lub przyjaciół, którzyby mu ostatnią usługę oddali i ciało jego do grobu odprowadzili.

— Ach! — odpowiedział ubogi wyrobnik — o niego nikt się nie troszczył; żył on w największej nędzy, od której go dopiero śmierć uwolniła! Tylko pies pozostał mu wiernym, miłował go zawsze, nigdy nie opuścił i teraz jeszcze, po śmierci pana swego, rozłączyć się z nim nie chce.

— Kiedy tak — rzecze cesarz — to ja go odprowadzę do grobu.

I monarcha dostojny udał się wraz z małżonką i z całą swą dworską za trumną na cmentarz. Poważnie i w milczeniu stał też

długo nad grobem i opuścił go dopiero po ukończonym pogrzebie, zmówiwszy poprzednio w milczeniu i z odkrytą głową: »Ojcze nasz!«

127. Polowanie na lodach podbiegunowych.

Sławny pewien podróżnik, kresząc obraz życia na lodach podbiegunowych, tak opisuje polowanie, w którym sam brał udział:

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, przyłączyliśmy się do wyprawy łowieckiej, wsiedliśmy na saneczki i popędzili szybko po twardym śniegu. Jeden z Eskimosów spostrzegł ślad białego niedźwiedzia, a obejrawszy go uważnie, wskazał, w którą zwierz poszedł stronę, a nawet odgadł jego wiek. W lot tedy odpinamy od każdych san po jednej parze psów, które, wietrząc za śladem, gonią we wskazanym kierunku. Pędzimy za nimi i wkrótce, okrążywszy stromą skałę, spostrzegamy zwierz, który śnać zwietrzył już niebezpieczeństwo i zmyka ukryć się pomiędzy zniesionemi u wybrzeża bryłami lodu. Eskimosi odpinają resztę psów i cała zgraja rzuca się na niedźwiedzia z piekielnem wyciem (psy rasy amerykańskiej nie umieją bowiem szczekać), zamykając mu odwrót. Niedźwiedź obsaczony wspina się na tylne łapy i oczekuje nieprzyjaciela. Dwóch łowców zbliża się do niego z oszczepami, nacierając jeden z prawej, drugi z lewej strony. Pierwszy robi taki ruch, jakby mu chciał wbić oszczep w prawy bok; niedźwiedź zwraca się z wyciągniętymi łapami ku napastnikowi i w tej chwili otrzymuje w lewy bok śmiertelny cios od drugiego łowcy. Polowania na niedźwiedzia we dwójkę nie uważają Eskimosi za rzecz niebezpieczną i w takim razie są pewni zdobyczy. Wprawny łowiec, chcąc złożyć dowód odwagi, nie szuka towarzysza, lecz występuje sam tylko z psami swemi do walki z tem drapieżnem zwierzęciem i prawie zawsze wychodzi z niej zwycięsko.

Zostawiając zdobycz na miejscu aż do powrotu, wpręgamy psy napowrót do san i ruszamy dalej. Wyminąwszy zręcznie zatory lądowe, spiętrzone u wybrzeży, wyjeżdżamy na lody morskie, które ścielą się dokoła bezbrzeżną płaszczyzną, zjeżoną rzędami gór lodowych, wstrzymanych mrozem w pochodzie ku południowi, i pogarbioną wałami podruzgotanych płyt lodu, które burze zerwały i potrzaskały, a mróz pozbijał napowrót.

Daleko od wybrzeża, na ciemnem tle nieba unosi się smuga mgły zlodowaciałej i srebrzy się w świetle księżyca. Jest to znak

niewątpliwy, że tam prąd morski zniósł krę i powyrywał otwarte kanały na pełnem morzu. Znajdują się tam pewnie nerpy lub morsy, które gromadzą się zawsze u takich szczelin w lodzie lub w braku tychże wygryzają sobie same od spodu w nim otwory, gdyż muszą dla oddychania wynurzać się na powietrze, nie mogąc jak ryba oddychać w wodzie. Bystre ucho naszych towarzyszy pochwyciło już jakieś głosy, których my nie jesteśmy w stanie dosłyszeć, i nie mają już żadnej wątpliwości, że stado morsów pluska się kędyś w pobliżu. Zostawiamy więc sanie z psami i idziemy dalej pieszo, cicho i ostrożnie, nadsluchując uważnie co kilkanaście kroków.

Po kilku minutach słyszymy nareszcie już i my rozlegający się w głuchej ciszy trzask lodu i ryk morsów. Przeszedłszy z nie-małym trudem wał spiętrzonej kry, spostrzegamy kilka tych potworów, jak nurkują, to znowu wynurzają nad wodę straszne łby, uzbrojone dwoma wielkimi kłami, przebijając z trzaskiem młody lód, ścinający kanał. Dwa potężne samce przewodniczą całej trzodzie. Jednego z nich wziął na oko naczelnik wyprawy, najdoświadczeńszy w całej hordzie tępicieł morsów, i chyłkiem z harpuną w rękę podsuwa się ku niemu. Skrada się cichaczem, zatrzymując oddech w piersiach, jak lis do cyranki, skacze, zwinny jak kot, z kry na krę, wymijając instynktowo płonki, cienkim zasklepione lodem, któryby się załamał pod jego stopą. Zaledwie mors wynurzy się, już Eskimos leży jak długi na lodzie i czołga się na brzuchu jak wąż; zaledwie mors hulknie pod wodę, zrywa się znowu na nogi i jednym skokiem zbliża się o kilka kroków do niego. W tej trudnej i niebezpiecznej sztuce był mu mistrzem i wzorem biały niedźwiedź, który w ten sam sposób podchodzi swoją zdobycz.

Dotarł nareszcie już tak blisko, że musi być pewnym siły i celności rzutu. Wypręża się, pochyla w tył, podnosi prawą rękę z harpuną do góry, a lewą trzyma silnie koniec długiej liny ze skóry foki i z iskrzącem okiem oczekuje pojawienia się morsa. Po kilku sekunkach wynurza się mors do połowy ciężkiego tułowiu i parszając, otrząsa ze siebie strumienie ściekającej wody; spostrzega wroga, ale nim zdołał skryć się pod wodę, świsnęła harpuna i utkwiała mu głęboko pod lewą pletwą. Zraniony zwierz ciska się konwulsyjnie po lodzie, który z trzaskiem łamie się pod jego cielskiem, i wydając przeraźliwy ryk, toczy czerwoną pianę z pyska, a wkońcu, wysiłony upływem krwi, pada bez życia.

Z dzikim okrzykiem »awuk, awuk!« tłumionym od godziny w natężonem oczekiwaniu, rzucają się Eskimosi na zdobycz, aby ją rozewiartować i, złożywszy ją razem z ubitym po drodze niedźwiedziem na sanie, zawlec do osady.

128. Tadeusz Kościuszko.

Czyż może być co bardziej zajmującego i pożyteczniejszego, jak poznawać szczegóły z życia bohaterów narodowych lub odświeżać sobie w pamięci obraz ich cnót i zasług? Rozpamiętując ich żywot, doznajemy nieraz miłego złudzenia, jakoby znikąca dzieląca nas od nich przestrzeń czasu, a my jakobyśmy mieli to szczęście twarzą w twarz ich spoglądać i z nimi rozmawiać.

W rzędzie tych mężów, co za kraj swój znosili rany i niewolę, byle go tylko dźwignąć i uratować od upadku, pierwsze miejsce zajmuje Tadeusz Kościuszko. Urodził się on dnia 12. lutego 1746. r. na Litwie we wsi Mereczowszczyźnie, którą ojciec jego trzymał w dzierżawie. Choć w miernym zrodzony stanie, zacnością duszy i wielkością zasług wzniósł się tak wysoko, iż naród nasz widzi w nim jednego z pierwszych swoich synów, a imię jego jaśnieć będzie zawsze niezatartym blaskiem na kartach dziejów Polski.

Pierwsze nauki wojskowe pobierał młody Tadeusz w szkole kadetów, założonej w Warszawie przez króla Stanisława Augusta, do której samych tylko najzdolniejszych i najpilniejszych młodzieńców po ukończeniu ówczesnych gimnazyów przyjmowano. Tutaj tak się odznaczył w naukach, że go książę Adam Czartoryski, brat cioteczny króla, a tej szkoły opiekun, własnym kosztem wyprawił do Paryża na dalszą naukę. Skończywszy i tam chlubnie przepisane nauki, wrócił Kościuszko do Polski, gdzie zaciągnął się do wojska i otrzymał odrazu stopień kapitana.

Rozpoczął się był wtedy właśnie w Ameryce północnej bój o wolność tamtejszych mieszkańców, uciskanych przez Anglików. Ponieważ w Polsce panował wówczas pokój, mógł przeto Kościuszko poświęcić tymczasem swój oręż sprawie, wprawdzie obcej, lecz równie świętej. Pośpieszył więc do Ameryki i tam, walcząc przy boku naczelnego wodza Jerzego Waszyngtona jako jego adjutant, męstwem swem i zasługami wojskowemi zjednał sobie cześć powszechną i miłość. Posuwał się też szybko ze stopnia na stopień, a po szczęśliwem ukończeniu wojny otrzymał w nagrodę zasług

wysoki order, stopień generała, dobra w ziemi i wynagrodzenie ze skarbu publicznego. Kościuszko jednak poprzestał na odznakach honorowych, t. j. na stopniu i orderze, dobra zaś i pieniądze przeznaczył na założenie szkoły wojskowej i na wykupienie z niewoli pewnej liczby niewolników murzyńskich; człowiek bowiem szlachetny nie szuka wynagrodzenia za czyny swoje, dość mu na tem, że się przyczynił do uszczęśliwienia swoich bliźnich; najmilszą dla niego nagrodą własne przeświadczenie, że wykonał, co należało, i tak, jak był powinien.

Po skończonej wojnie stęskniony za ojczyzną Kościuszko wrócił do Polski, gdzie wkrótce otwarło mu się pole działania. Sejm wielki, pracujący około odrodzenia Polski, ogłosił właśnie wiekopomną konstytucję 3. maja 1791. roku, która wprowadzona w życie, byłaby zapewniła krajowi pomyślny rozwój i poważanie u państw postronnych. Aby tego nie dopuścić, Rosyane wypowiedzieli Polsce wojnę i z wielkiem wojskiem wkroczyli w jej granice. Naczelnym wojsk polskich wodzem w tej wojnie był, później tyle wsławiony, książę Józef Poniatowski, synowiec króla Stanisława Augusta. Był to wówczas młody jeszcze człowiek, pełen wprawdzie odwagi i zapału, lecz nie mający doświadczenia w prowadzeniu wojny. Pod jego naczelnictwem dowodził Kościuszko lewem skrzydłem armii i nieraz przytomnością umysłu i zręcznością obrotów przyczynił się znacznie do odniesienia nad nieprzyjacielem korzyści, a zwłaszcza wsławił się w bitwie pod Dubienką. Kiedy jednak król uległ obietnicom Rosyi i zgodził się na drugi rozbiór kraju, Kościuszko wraz z innymi towarzyszami broni wyjechał za granicę.

Zwycięzcy Rosyane postępowali sobie teraz w Warszawie samowolnie i gospodarowali jakby we własnym kraju. Uciskani Polacy oburzyli się na te bezprawia, przygotowywali się więc do powstania i wezwali Kościuszkę na naczelnika. W marcu 1794. przybył Kościuszko do Krakowa, gdzie publicznie na rynku złożył narodowi przysięgę i wezwał lud wiejski do obrony kraju, przyrzekając mu wolność po oswobodzeniu ojczyzny. Tłumnie śpieszyli chłopci z kosami na sztorc wbitemi w szeregi naczelnika, który krakowską przywdział sukmanę i tem sobie lud wszystek ujął za serce; w tej powierzchownej oznace bowiem upatrywał lud poszanowanie naczelnika dla włościańskiego stanu, to też ufał jego przyrzeczeniu. Już dnia 4. kwietnia w bitwie pod Racławicami odniósł Kościuszko na czele szczupłego wojska i kosynierów sławne zwycięstwo. Na

jego odgłos zapal narodu szerzyć się począł w całym kraju. Rozpaczliwa to jednak była wojna. Ze wszech stron bowiem ciągnęły wielkie siły nieprzyjacielskie, by ostateczny cios zadać walce narodowej. Chcąc nie dopuścić połączenia się z sobą dwóch wojsk rosyjskich, wdał się Kościuszko w bitwę pod Maciejowicami, niedaleko Warszawy. Nie pomogło rozpaczliwe męstwo garstki Polaków; większa ich część zginęła śmiercią walecznych na polu bitwy, a Kościuszko, ciężko ranny, znaleziony bez przytomności na pobojowisku, wzięty został w niewolę i wraz z wielu znakomitymi Polakami wywieziony do Petersburga.

Cesarz rosyjski Paweł, następca Katarzyny, ceniąc w Kościuszcze szlachetne poświęcenie się dla ratowania ojczyzny, zaraz po swoim na tron wstąpieniu obdarzył go wolnością. Kościuszko po dwuletniej niewoli, znękany cierpieniami i żalem po stracie ojczyzny, udał się do Ameryki, aby wspomnieniami z lat młodszych a pełnych sławy pokrzepić skołatany umysł. Wkrótce jednak wrócił do Europy, gdzie zamieszkał naprzód we Francyi, później w Solurze w Szwajcaryi przy zacnej rodzinie Zeltnerów, do której się przywiązał nierozzerwanym węzłem przyjaźni. W tem zacisznem ustroju przepędził ostatnich kilkanaście lat życia. Cały sposób życia Kościuszki był zawsze umiarkowany, pokarm niewykwinny, a ubiór prosty. Jedyną ozdobą jego codziennego ubioru był ulubiony goździk, wetknięty w dziurkę od guzika prostej granatowej kapoty. Mieszkańcy Solury, wiedząc o tem upodobaniu jego do goździków, ubiegali się w pielęgnowaniu tych kwiatów, tak, że nawet w zimie otrzymywał codziennie świeży pączek goździkowy.

Oprócz kwiatów, które pielęgnował na grządkach, własnymi uprawianych rękami, kochał staruszek dzieci i lubiał otaczać się ich gronem.

Znany był Kościuszko ze swej dobroczynności. Codziennie popołudniu wyjeżdżał konno i odwiedzał w okolicy miasta jakiego ubożego lub chorego, co potrzebował wsparcia lub pomocy. Nigdy też nie pominął ubożego bez ofiarowania mu jałmużny. Koń nawet jego tak był już do tego przyzwyczajony, że spotkawszy żebraka, sam stawał i póty się nie ruszył z miejsca, póki ubogi nie otrzymał datku.

W październiku 1817. r. zachorował Kościuszko i nie powstał już więcej z łoża. Czując się blizkim śmierci, kazał sobie podać pałasz, którym dowodził pod Racławicami; wzniosł go po raz

ostatni w górę ze łzami w oczach i prosił, by go z nim razem włożono do trumny.

Umarł dnia 15. października 1817. Zwłoki jego sprowadzono do Krakowa i pochowano w kamiennym, skromnej roboty grobowcu, ale w grobach królewskich, obok Jana Sobieskiego i ks. Józefa Poniatowskiego.

Lecz naród wzniosł mu pomnik wspanialszy i trwalszy nad wszystkie inne, usypał bowiem ku czci jego pod Krakowem mogiłę. Obok mogił Krakusa i Wandy przekaze ona w późne wieki pamięć czci i miłości narodu dla bohatera, który walczył za niepodległość ojczyzny.

129. Sypanie mogiły

Tadeuszowi Kościuszce pod Krakowem

roku 1820. dnia 16. października.

(Z listu, pisanego dnia 27. grudnia 1827. roku).

X
»Czy byłeś na obchodzie sypania mogiły?»

»Czy wywiozłeś tam choć jedne taczki? Dorzuciłeś choć bryłkę ziemi?»

Tak się pytali wzajemnie mieszkańcy Krakowa, a zapewne i całej Polski w kilka tygodni, a może i w kilka lat po założeniu mogiły dla Tadeusza Kościuszki. I ja także wywiozłem tam kilka taczek ziemi, a gdy mi je wydarto, naśladując innych, nosiłem ziemię połamami od sukni; naostatek, wycieńczony trudem, nosiłem ją w czapce lub w garści.

Nic piękniejszego nad ten widok. Wielki lud dla wielkiego męża wznosił godny obydwóch pomnik; nie pracowało tam dłoto płatnego artysty, nie błyszczą nad nim złocenia ni brzozy,.... lud go usypał własnymi rękami w zapale i w uniesieniu wdzięczności dla swego obrońcy i wodza; upadał wycieńczony trudem, a jednak wesoło śpiewał przy pracy i słabszych jeszcze zachęcał.

Kiedym się wpatrywał w ryciny wielkich piramid lub marmurowych grobów dumnych Rzymian, nigdy nie wzięła mnie ciekawość zbadania, czyje to są grobowce: sztuka, piękność rzeźby, olbrzymia ich wielkość zachwycała mnie jedynie i chciałem tylko wiedzieć, czyja to ręka wykonała dzieło tak piękne pod względem rzeźbiarstwa, rysunku lub architektury. Lecz ktokolwiek przechodzi około mogiły, usypanej na wzgórzu, pierwszym jest jego zapytaniem: Czyja to mogiła? a odpowiedzą mu ludzie: Krakusa

lub Kościuszki!... A kto ją usypał? — Lud wdzięczny dla swego wodza! Imię więc bohatera i wdzięczność ludu stanowią jedyną wartość prostego grobowca z ziemi, bo nie masz tam ani sztuk ani bogactwa; myśl każdego wędrowca zastanawia się jedynie nad tem, że wykonawcą tego dzieła jest lud i że wielkim musi być człowiek, który sobie zasłużył na pomnik tak wielkiego rzemieślnika i artysty. Na prostej mogile wielkiego męża nie potrzeba napisu; lud będzie wiernie opowiadał, kto tam wiecznie spoczywa lub na czyją pamięć ją wzniesiono, bo on był tej mogiły twórcą.

Różne podawano plany, jakimby pomnikiem uczcić Kościuszkę, atoli niedługo się namyślano: widok mogił Krakusa i Wandy szybko natchnął myśl, ażeby podobną wzniesć mogiłę dla wodza wielkiego ludu. Miejsce dla usypiania tejże mogiły obrano na blizkiem wzgórzu, zwanem górą Bronisławy. Znaczenie imienia tego wzgórza usprawiedliwia także umieszczenie tam pomnika najślawniejszego od tyłu wieków Polaka, który nigdy nie przestał bronić swobód i sławy swej ojczyzny. Senat krakowski wyznaczył komitet, trudniący się i czuwający nad pomnażaniem funduszków, na pomnik ten zebranych, oraz nad postępek i dokładnością roboty.

Dzień zgonu Tadeusza Kościuszki (15. października) obrano na uroczysty obchód założenia mogiły. Dla święta odłożono uroczystość na dzień następny, a cała ludność Krakowa i jego okolic zaległa wszystkie wzgórza Bronisławy. Jeden wielki okrzyk radości dał się słyszeć, któremu odpowiedziało tysiąc głosów z drugiego brzegu Wisły. Zdawało się, że Tatry, patrząc na ten zapał ludu, zagrzmiały echem podziwu — echem zazdrości, iż na poziomem wzgórzu wznosić się będzie dumna mogiła, której szczyt uwieńczy sława, kiedy ich wyniosłe szczyty pysznić się tylko będą błyszczącą koroną z lodu i śniegu.

Niebo było czyste i bez chmur, jak serca cieszącego się ludu. Wóz czworozaprzężny, strojny w piki i kosy, spojone wieńcem dębowym, ukazał się w pośrodku. Na nim była skrzynia z ziemią z pod Racławic, ze szczątkami rycerzy tam poległych. Wzniesiono sosnę na 34 m wysoką, około której miano sypać mogiłę. Senat krakowski, otoczony władzami sądowniczymi, wójtami gmin i urzędnikami krajowymi, kapituła katedralna krakowska z całym prawie duchowieństwem, członkowie uniwersytetu Jagiellońskiego, młodzież szkolna, zgromadzenia wszelkich rzemieślników pod właściwymi cechami (chorągwiemi), naostatek wieśniacy

z okolic oczekiwali w milczeniu, dopóki duchowieństwo, mając na czele pierwszego prałata, Karola Skórkowskiego (w niebytności biskupa Woronicza), nie poświęci oznaczonego miejsca. Później Franciszek Paszkowski, były generał wojsk polskich, przyjaciel i krewny Tadeusza Kościuszki, przypomniał obecnym w krótkiej przemowie czyny zmarłego bohatera. Zaledwie skończył, gdy działa i ręczna broń krakowskiej milicyi zagrzmiały. Złożono ziemię racławicką z kośćmi poległych tam wojowników, aby były pierwszym fundamentem dla wielkiego pomnika sławy; uczyniono wywód słowny czynności tego dnia, złożono go razem z wizerunkiem Tadeusza Kościuszki i z historią jego życia w marmurowej skrzyni, którą umieszczono w środku.

Prezes na czele senatu pierwsze zawieźli taczki, a potem wszyscy rzucili się i dobijali o pierwszeństwo zawiezienia tam choćby garstki ziemi. Cudowny widok! Trudno opisać tę chwilę uniesienia i zapału cisnącego się ludu. Tam starzec schylony wiekiem pracuje razem z młodzieżą, ówdzie matka niesie na wznoszącą się mogiłę małe dziecko, trzymające w drobnej ręczce troszkę ziemi, ażeby i ono dorzuciło choć małą bryłkę. Tyle pokoleń w rozmaitych odcieniach wieku, płci i stanu, zmieszanych w jedno ognisko, żyjących jednym uczuciem i wspomnieniem, myślących jedną myślą, pracujących wspólnymi rękami: jedno olbrzymie ciało, a nad niem niebieski wieniec dymu z dział i ręcznej broni wzbijał się jak obłok sławy, na którym unosił się zapewne wielki duch bohatera, błogosławiąc swemu ludowi. A z za Wisły stara mogiła Krakusa wychyliła z ciekawością zielone czoło i śnieżne Tatry spoglądały w tym dniu czyste i jasne, jakby w świąteczne szaty ubrane, jak odwieczne świadki cudownej budowy wielkiej mogiły.

Tak się skończył dzień pamiętny dla wszystkich, którzy umieją czuć, których serca niezaparte nie obróciły jeszcze świętych pamiątek i uniesień ludu w pośmiewisko.

Później to dzieło potrzebowało koniecznie porządniejszej roboty. Komitet powoływał gminy do tej pracy, które się co kilka dni odmieniały. Szczególniej odznaczali się stawiarze, albowiem bez dozoru, pod kierunkiem tylko własnego majstra, zupełnie wolni, pracowali z głodnym podziwieniem zapałem i porządkiem. Często też do trzechset jednego dnia zebranych było.

Dnia 18. sierpnia 1821. roku przybyła do Krakowa galarem Wisłą z Puław przez Izabelę z hr. Flemingów księżnę Czarторыską

przysłana ziemia z pod Maciejowic, tak z placu bitwy w r. 1794. stoczonej, jako i z miejsca, w którym Tadeusz Kościuszko raniony dostał się w niewolę. Wysokość mogiły wynosiła już wtenczas 20 m. Złożono ziemię w urnę z czarnego marmuru, która podzielona była na dwie części. Urnę tę ułożono tak na mogile, że część jedna była ku wschodowi obrócona, a druga ku zachodowi; w zachodniej połowie urny jest ziemia z placu bitwy, w drugiej zaś połowie ziemia z punktu, gdzie Tadeusz Kościuszko, okryty ranami, dostał się do niewoli. Ziemię tę, po krótkiej przemowie jednego z członków delegowanych, strumienie łez zebranego ludu oblały. Pokryto nakoniec urnę wiekami z marmuru, z napisami wyrażającymi znaczenie tej ziemi, a dla zabezpieczenia od zepsucia wspomnianych napisów, obydwie wieka pokryte zostały ogólnem wiekiem także z napisem, głęboko rżniętym.

O! gdybyś doświadczył, jak miło i jak słodko spoglądać na tę mogiłę, gdy przy zachodzie słońca odcina się w zielonej masie na tle purpurowego nieba; jak tu cudownie marzyć na wonnej i miękkiej macierzance! Dzwonek małej kaplicy u stóp mogiły zaledwie ścichnie, gdy poważny i tajemniczy jęk Zygmunta kona w blizkim lasku, a stare lipy szumią z cicha jak gdyby modlitwę za umarłych. Nie zazdroszczę ci widoku olbrzymich Alp, ja patrzę stąd na równie wyniosłe Karpaty: już pokryły się śniegiem i najbliższa Wisły Babia góra w śnieżnem odzieniu patrzy posępnie na zielone jeszcze nasze pola, łąki i lasy. Nie zazdroszczę ci olbrzymich wodosпадów; milej mi stokroć szumi spokojna fala Wisły, gdy płynie zasypiać na białych piaskach wybrzeża lub rozbić się na skałach wawelskich.

130. Z życia mrówki.

Świat jest dla nas otwartą księgą, w której zrozumiałą dla każdego mową wypisane są nauki i przepisy dla rozumu i serca; jest on niby zwierciadłem, w którym się odbija wprawdzie przyémiony, lecz do słabości oczu naszych stosowny obraz doskonałości Tego, który istotom na podobieństwo swoje stworzonym nakazał, aby się starały być tak doskonałemi, jako doskonałym jest ich Ojciec niebieski.

Do najciekawszych dla człowieka stworzeń należy niewątpliwie mrówka, znana i podziwiana już w najodleglejszej starożytności.

•Idź do mrówki, leniwcze! obacz drogi jej, a nabądź mądrości«, dawno już i bardzo dawno powiedział mędrzec Pański.

W istocie, w obyczajach tego stworzenia wiele zdumiewających znajdziemy rzeczy, co nieskąpą naukę podać mogą nawet człowiekowi rozumem obdarzonemu. Szczególnie jednak dwie okoliczności zasługują u mrówek na uwagę: ich talent budowniczy i duch społeczński.

Jakkolwiek wszystkie mrówki sztukę budowniczą w wysokim posiadają stopniu, wszelako wykonywane budowle odmienne są w każdym prawie gatunku. Do najznakomitszych należy ów skromny z powierzchowności kopiec, nierzadko po borach napotykanym. Niepozorne to mrowisko jest wszakże arcydziełem swojego rodzaju. Powierzchnię jego stoczystą (dla ułatwienia spadku wód deszczowych) pokrywają stosownie ułożone drobne gałązki i listki suche; pomiędzy nimi po bokach dają się postrzegać tu i ówdzie nieforemne otwory; są to bramy do grodu wiodące, które przy pogodnym niebie i ciepłym powietrzu stoją otworem, na zimno zaś i w czas wilgotny bywają starannie zamknięte. Przez którąkolwiek z nich zajrzawszy do wnętrza, znaleźlibyśmy ślimakowato idące ulice, niby jakie galerye słupami przyozdobione. Gmach cały składa się z wielu, niekiedy dwudziestu pięter, a wszystkie misternie z sobą są połączone zapomocą ozdobnych galeryi, wygodnych kurylarzów, długich mostów, olbrzymich sklepień, stanowiących prawdziwy labirynt. Którąkolwiek z ulic możemy dostać się do środka, który jest obszernem wydrążeniem, jakby plac publiczny stanowiącem. Przestronne to miejsce przyczynia się do ułatwienia stosunków i ruchu mieszkańców tego miasta; w niem albowiem niby promienie koła zbiegają się wszystkie ulice. Wzdłuż tych ulic leżą małe, schludne izdebki, na pobyt robotnic przeznaczone, a przy szykownych galeryach znajdujemy celki, gdzie przebywają liszki i poczwarki, niewłaściwie w mowie zwyczajnej jajami mrówczemi zwane. Stanowią one przedmiot osobliwszej pieczołowitości towarzystwa. Każda z mrówek, wzięwszy ostrożnie swoją wychowankę, stosownie do pogody wynosi ją na zewnątrz, wystawiając na działanie dobroczynnych promieni słońca lub też zamykając w izbach mrowiska, gdzie także podług potrzeby i wewnętrznej miejsc tych temperatury raz na wyższe, drugi raz na niższe przenosi piętra.

Gdy nadejdzie chwila przeobrażenia się gąsienicy w poczwarkę, pierwsza przedzie sobie powłokę jajowatą i w niej się zamyka. Pod

ta skóreczką jedwabistą rozwijają się członki przyszłego owadu. I tej epoki cudownych działań natury nie przepędzają mrówki pracowite w bezczynności; jak zawsze, tak i teraz są one posłusznymi narzędziami w jej rękę; jak przedtem tak i w tej epoce obmyślają dla nich stosowny stopień ciepła, wynoszą je na rozmaite według potrzeby miejsca, czekając na nadejście czasu ostatniej przemiany. A gdy to nastąpi, posłuszne wlanemu od Opatrzności popędowi, robocze mrówki rozdzierają pokrywającą poczwarki oponę, w której uwięzione dotąd były, i wychodzącą z kolebki młodą mrówkę biorą w swoją opiekę: prostują jej członki, rozpinają skrzydła, jeżeli je posiada, karmią i kierują pierwszymi jej krokami, zaspokajając wszystkie jej potrzeby, nim o swoich siłach ta nowa pracownica będzie mogła krzątać się około dobra ogólnego i tym sposobem wypłacić innym dług wdzięczności na siebie zaciągnięty.

Każdy ciekawy pewnoby rad obejrzał śpichlerze wspólnej żywności, na nieprzyjazną porę zgromadzonej. Atoli u naszej mrówki owe głośnie magazyny są to raczej materiały budowlane, a nie składy żywności, bo przezorne mrówki zaledwie tylko na dni kilka przed mającą nastąpić niepogodą zaopatrują się w pożywienie. Wszakże one na zimę zasypiają i ze snu swego nie prędzej się budzą, aż za nadejściem ciepłych dni wiosennych — więc na cóżby im zapasy przydać się mogły?

Są jednakże (n. p. w Indyach Wschodnich) takie gatunki mrówek, które mrowiska swoje na zimę, t. j. na czas mokrej pory roku, obficie zaopatrują w żywność. Pewien uczony angielski opowiada, iż sam widział, jak gospodarne mrówki po upływie zimy wynosiły z mrowisk swoich pozostałe ziarna dla wysuszenia ich z wilgoci, która się do magazynów zakradła.

Oprócz mrówek, zakładających swe siedliska na powierzchni ziemi lub w jej głębi, znajdują się w Indyach Wschodnich jeszcze i takie, co swoje mrowiska nad nią budują. Gniazda tych owadów, kształtu jajowatego, osadzone są na konarach drzewnych i zwykle przeszyte kilku gałązkami. Wnętrze ich dzieli się na mnóstwo komórek, piętrami uszykowanych, a wznoszących się nad jedną środkową, największą. W niejto przebywa matka całej tej rodziny, zamieszkałej w napowietrznym grodzie.

Są też mrówki wędrowne, mieszkanki Ameryki południowej, głośnie z osobliwych swoich wędrowek. Każdego prawie roku w pe-

wnych czasach, opuściwszy swoje podziemia, nawiedzają one niezliczonymi orszakami domy i wsi, a wygubiwszy wszelki owad i wypłoszywszy szkodliwe zwierzęta, powracają później do swoich kryjówek. Dlatego też ludzie, chociaż za ich nadejściem chronić się muszą, radzi są przecież tym odwiedzinom i każdy sprzęt zamykający się otwierają dla tych gości, ażeby za ich pomocą pozbyli się wszelakiego owadu i robactwa.

131. Konik polny i mrówka.

Konik polny, co swój cały
W pośród lata czas prześpiewał,
Tak był na zimę zgłodniały,
Ze tylko wiatr nim powiewał.
Żeby też odrobina jaka

Z muchy lub robaka —

Nic zgoła!

A więc idzie, płacze, woła,
U skrzętnej mrówki kołace.
»Pożycz, jej, pożycz, powiada,
Kilka ziarenek dla sąsiada;
Jakem konik, tak zapłacę,
By tylko sierpień zawitał,
I procenta i kapitał!«

Mrówka na to: »Opatrz Boże!

Ja nikomu nie pożyczam;

Do wad moich to zaliczam

Nawet i najmniejszych może.

Ale już mnie nie naprawisz.

Raczej odpowiedz mi na to:

Co robiłeś całe lato,

Że się dziś żebraniem bawisz?«

— »Tak w dziennej jak nocnej dobie

Wciąż śpiewałem bez ustanku«.

— »Śpiewałeś? Dobrze, kochanku;

Teraz skakaj sobie!«

F. Morawski.

132. Mrówka i pszczoła.

W jesiennej porze, gdy straszna nawała

Całe zniszczyła mrowisko

I, jak wieść niesie, dwa tysiące blisko

Mrowiego ludu zalała:

Jedna z nich, biedna, płynąc przez czas długi

Na drobnej słomce, jakby Noe drugi,

Gdzieś się tam na brzeg wywlokła,

A szczęsnym pszczółkę napotkawszy losem,

Zziębła, drżąca, głodna, zmokła,

Takim zapłakała głosem:

»Posil mię, posil, pszczółko dobra, tkliwa!

Patrz, jak jestem nieszczęśliwa:

Nie mam i jutra czem dożyć.

Nikt na litości nie traci:

Niebo ją stokroć odpłaci;

A i ty możesz zubożeć:

Wesprę cię wówczas, jak ty mnie w tej dobie;

Bo jak ty drugim, tak i drudzy tobie!«

»Wymowną jesteś — pszczołka jej odpowie; —
Lecz kiedy taka boleść cię przenika,
Przypomnij sobie biednego konika,
Co także w pięknej wymowie
Twej się litości domagał;
Wszakże o ziarno tylko błagał,
A ty nie tylko, żeś mu nie nie dała,
Jeszcześ mu skakać kazała!«

Mrówka się łzami w swym zalewa wstydzie,
Zwraca się, milczy i umierać idzie,
Kiedy z natury swej pocziwa pszczoła
Tak ją odwoła:

»Wróć, wróć — nie chciałam z twojej szydzić biedy;
Przybliż się, zasil w potrzebie.
Lecz jeśli znowu z bogacisz się kiedy,
A nędzarz przyjdzie do ciebie,
O, niechże prośbą nie błaga daremną!
Nie gardź tą niebios przestrogą:
Pomnij, że i ty płakałaś przede mną
I jak on byłaś uboga«.

F. Morawski.

133. Miłosierdzie.

Pewien wieśniak francuski, który się w kilku kampaniach Napoleońskich chlubił odznaczyć, musiał wskutek ciężkiej rany wcześniej od towarzyszków broni wrócić w progi rodzinne. Tu ożeniwszy się, wiódł życie spokojne i pomyślne na ojcowskim zagonie. Mała winnica przynosiła mu znaczny dochód, a skrzętna żona pracą i oszczędnością podnosiła dobrobyt domowy. Jednego im tylko nie dostawało do szczęścia: nie mieli dzieci, nie było więc dla kogo przyrabiać majątku.

Pewnego dnia, w zimie r. 1813., patrząc z progu swej chaty na sypiący się śnieg i mroźną zadymkę, zoczył opodał szkółki wiejskiej małego kominiarczyka, który, acz zziębnięty do kości, zdawał się na coś czekać i czegoś wyglądać. Zagadnięty odparł, że czeka na dziatwę szkolną, która, wracając do domu, daje mu niekiedy resztki swego śniadania.

— Alboż ty nie masz rodziców, rodziny? — zapytał zdziwiony wieśniak.

— Nie mam już nikogo — odpowiedział chłopiec.

— Skądżeś rodem?

— Hen, daleko z za gór.

Wtem otworzyły się drzwi szkoły i tłumnie wysypały się dzieci. Jeden z chłopców rzucił kominiarczykowi kromkę niedojedzonego chleba. Głodny chłopczyzna ze smutkiem podjął nieobfite dziś żniwo.

— Czy ty nie jadłeś dziś śniadania? — zapytał wieśniak.

— Nie miałem dotąd nic w ustach.

— Gdzież sypiasz?

— Jak się uda: w pierwszej lepszej stodole lub oborze.

— A z czego mieć będziesz dziś obiad?

— Nie wiem.

Ulitował się wieśniak nad biednym chłopcem, zabrał go do chaty, nakarmił zgłodniałego, a gdy chłopczyzna wdzięczny odchodząc z łzą w oku dziękował za przytułek i posiłek, powiedział mu wieśniak:

— Ilekroć tędy przechodzić będziesz, pamiętaj, że znajdziesz u mnie wieczerzę i nocleg.

Zdarzenie to wywarło nadzwyczajne na poczciwym wieśniaku wrażenie. Nazajutrz długo chodził zadumany. Przypomniawszy sobie przykrości żołnierskiego życia, długie pochody bez wypoczynku, głód i chłód, noclegi pod gołym niebem, dni znużenia i znoju. Te przypomnienia obudziły dziś w jego sercu jakąś nieskończoną litość dla tych wszystkich, którzy cierpią, którym głód lub pragnienie dokucza, którzy nie mają gdzie skłonić głowy w przymusowej wędrowce. Latem jak latem — myślał; — ale zimą, kiedy mróz ścina oddech, kiedy noc przeciąga się bez końca, kiedy sama nawet przyroda zda się odpychać nieszczęśliwych i pchać ich ku śmierci!...

Iluż podobnych biedaków — tak dumał poczciwy wieśniak, pochyliwszy ku ziemi zachmurzone czoło — przeszło tą drogą, przechodzi nią dotąd! a jam nie przyjął żadnego, nie spostrzegł, nie ugościł! Godneż to serca chrześcijańskiego, godne wysłużonego żołnierza?

Nagle wypogodziło się jego oblicze; jakaś myśl zajaśniała mu w oczach, jak promień słońca, gdy z poza chmur wystrzeli.

— Nie! — rzekł do siebie — odtąd każdy, na wzór tego kominiarczyka, gotowy pod moim dachem znajdzie przytułek: kiedy dzieci Bóg mi nie dał, niech mi je biedni podróżni zastąpią.

Piękna ta myśl podobała się żonie wieśniaka i odtąd dom ich, przy drodze stojący, na oścież się otworzył. Czy to był robotnik, szukający zarobku, czy żołnierz, wracający z urlopu, czy żebrak zgłodniały, rzemieślnik, wędrowiec czy podróżny — każdego przyjmował, witał, gościł, byle tylko miał pewność, że ratuje pracę i potrzebę, a nie próżniactwo i włóczęgę. Zacni małżonkowie prześcigali się w miłosiernej posłudze. Czasem po kilka razy na dzień wypadło im rozniecić ogień dla coraz nowych przechodniów.

Szlachetne serce poczciwego wieśniaka zjednało mu cześć powszechną. Kiedy się Akademia paryska dowiedziała o pięćdziesięcioletnim istnieniu gościnnego tego domu, chcąc uczcić tę cichą cnotę i poświęcenie, przesłała pochylonemu wiekiem starcowi nagrodę, aby tem świetniej i hojniej mógł obchodzić tę tak uroczystą chwilę swego życia.

134. Pielgrzym.

»Puście mnie, puście w podwórzec zamkowy,
Pysznych podwojów odsuniecie wrzeczadze¹⁾;
Śnieg zimny bije, świszcze wiatr grudniowy,
Zmokły, przeziębły — i błędę i błędę.

»Nie jestem wcale natrętny podróżny,
Wszystko mam z sobą, nie pragnę jałmużny;
Wszakże ktokolwiek w tak okropnej nocy
Ma prawo ludzkiej zażądać pomocy.

»Śniegiem zawiana znikła z oczu droga,
Tu pokutnika zaskoczyła zima:
Puście mnie, puście! zaklinam na Boga,
Błogostawieństwo odbierzcie pielgrzyma.

»Wędruję z Rzymu, wspólnej naszej matki,
Niosę odpusty i świętych ostatki,
Niechaj was o tem anieli ostrzegą;
Puście mnie, puście, przez miłość bliźniego.

»Przelekły zając kryje się do nory,
Jeleń przy łani ucieka przez błonie,
Ja, biedny starzec, zwątlony i chory,
Gdzież się, ach! gdzież się przed burzą uchronię?...

¹⁾ wrzeczadz, zasuwają do drzwi.

X »Z rozgłośnym hukiem wre rzeka burzliwa,
Gniewna, wezbrana w falach się rozplywa;
Popłynę przez nią, choć zimno i ciemno,
Gdybym litości nie wbudził nade mną.

»Pukam i darmo — żelazne podwoje,
Lecz twardsza od nich pana zamku dusza,
Gdy go bliźniego los ni lata moje
Ni prośba w imię Boga nie porusza.

»Żegnam cię! niechaj Pan ziemi i nieba
Przedłuży w łasce i szczęściu twe lata;
I oby nigdy nie było ci trzeba
Żebrać litości na starość u świata«.

O mury starca rozbiły się słowa,
Ale pan zamku nie będzie miał ciszy;
Ileć burza zaszumi grudniowa,
W poświstał wiatru znowu je usłyszy.

Bo gdy po nocy z jutrzrenką rumianą
Mgły z ponad wody podniosły się rano,
Fala rzucone pomiędzy opoki
Zimne pielgrzymu znalaziono zwłoki.

X *Bohdan Zaleski.*

135. Góra św. Bernarda.

Szwajcarya, kraj górzysty i w ogólności mało urodzajny, zwiedzany bywa przez podróżujących wszystkich krajów dla swych osobliwości. Widzi tu wędrownik przyrodę w całej jej okazałości, albowiem niczem są najpiękniejsze równiny w porównaniu z czarującymi okolicami wśród Alp niebotycznych. Uniesiony duch człowieka ogląda tu wszechmocność Stwórcy, uznaje słabość swoją; nie zważa na trudy i niebezpieczeństwa, pnie się na szczyty gór, odwiecznym okryte śniegiem, gdy pod nogami jego chmury rozbijają się, a dopiąwszy celu swego, dziwi się cudom nigdy niewidzianym nie bez przyjemnego wzruszenia.

Pasma gór alpejskich, w wielu miejscach nieprzebytych, oddziela Szwajcaryę od północnej części Włoch. Mieszkańcy, chcąc ułatwić sobie z sąsiednimi krainami związki handlowe, zmuszeni byli w miejscach, gdzie położenie tego dozwalało, porobić drogi, któremi by towary swe przeprowadzać mogli. Jeden z takich gościńców,

ręką ludzką z niezmiernymi trudnościami wśród przepaści bezden-nych zrobiony, prowadzi przez górę św. Bernarda, na 2591 *m* wyniosłą nad powierzchnią morza. Ponieważ droga ta (prowadząca od Genewskiego jeziora przez kanton Wallis do doliny Aosty i Piemontu) z wielu połączona jest niebezpieczeństw, dla wędrowników, założyła tu pobożność schronienie i przytułek dla nieszczęśliwych i potrzebujących pomocy i ratunku.

Wpośrodku góry jest dom gościnny, utrzymywany przez pobożnych zakonników, którzy dla miłości bliźniego wyrzekli się wszystkich wygod i przyjemności życia, a poświęcili się na usługę nieszczęśliwym wśród dzikiej okolicy, gdzie nawet w lecie zimno nieznosne panuje, gdzie żadne drzewo nie rozwesela swą zielonością strudzonego oka, gdzie nic prócz skał śniegiem okrytych nie widać. Jest podanie, iż przed tysiącem lat wzniósł skromne to mieszkanie na schronienie dla pielgrzymów, dążących z Niemiec do Rzymu, Bernard de Menthon, Sabaudeczyk, i oddał je zakonnikom, żyjącym podług ustaw św. Augustyna. Religia i poświęcenie się dla dobra ludzkości wybrały smutne to miejsce, aby przyjmować wszystkich podróżnych w gościnę, zasilać utrudzonych, zbłąkanych na dobrą naprowadzać drogę, ratować chorych i nieszczęśliwych, których lawiny śniegu zasypały.

W tem zajęciu wielką pomocą są im wprawne psy, sprowadzone z Hiszpanii; przebiegają bowiem wszystkie ścieżki, szukając nieszczęśliwych. Codziennie rano wysyłają zakonnicy dwa takie psy, przywiązawszy jednemu do szyi płaszcz ciepły, drugiemu koszyk z pożywieniem. Podziwienią godną jest zmysłność tych zwierząt: naprowadzają bowiem zbłąkanych lub osłabionych na drogę do klasztoru, odgrzebują zasypanych śniegiem, ogrzewając znalezionych własnem ciałem, wyciem dając znać swym panom, aby przybyli ratować nieszczęśliwych. Zakonnicy idą za głosem psów, biorą zamartłych, zanoszą do klasztoru, pielęgnując, starają się znowu do życia przywołać; a jeżeli usilność ich jest bezskuteczną, składają ciała takich nieszczęśliwych w osobnem do tego miejscu, gdzie dla ustawicznego mrozu nienaruszone zostają, aby od krewnych lub znajomych po kilku nawet latach poznane być mogły.

Przed kilkunastu laty szło drogą przez górę św. Bernarda kilku podróżnych, a z nimi niewiasta z dwojgiem dzieci. — Straszliwa lawina śniegu zasypała całą przestrzeń, podróżni zbłądzili z prawej drogi; nieszczęśliwa matka została z dziećmi swemi

w śniegu. Zimno dokuczało nieznosne; niewinne istoty tuliły się do matki, wołającej napróżno o pomoc. Utrudzenie i bojaźń pozbawiły nieszczęśliwą sił, a zimno ścięło jej krew w żyłach, matka z mniejszem dziecięciem padła ofiarą śmierci, starszy chłopczyk został przy życiu i zmorzony snem w głębokim śniegu leżał. Po kilku godzinach nadszedł pies, nazwiskiem Jowisz, wysłany przez zakonników, odgrzebał martwych, leżących w śniegu, ogrzewał ich sam sobą, chcąc przywołać do życia, ale nadaremnie; chłopczyk tylko przyszedł do siebie, a zwierzę uradowane zmusiło go przymilaniem się swojem wsiąść na grzbiet swój i przyniosło go do drzwi klasztoru, żalosnem wyciem dając znać o dwóch innych ofiarach. Zakonnicy, zaopatrzywszy się w potrzebne do ratunku rzeczy, poszli za nim, lecz nie zdołali już matki z dziecięciem do życia przywołać. Na pamiątkę zdarzenia, ciała ich do dziś dnia spoczywają w miejscu przeznaczonem dla ofiar, które śmierć w pustyni tej spotkała.

136. Miłość ojczyzny.

Przy pierwszym nagłym zbliżeniu się Francuzów pod Wiedeń (1809) wziął sobie nieprzyjaciół jednego wieśniaka przemocą za przewodnika. Pod osłoną nocy postanowił sobie znaczny oddział wojska francuskiego ważny plan wykonać za jego przewodnictwem, ale wieśniak w żaden sposób nie chciał przyjąć na siebie tak przykrego obowiązku. Gwałtownie nalegał na niego dowodzący przednią strażą oficer, ale niewzruszony włościanin nie dał się niczem skłonić do tak niecnej usługi. Oficer obiecywał mu hojne wynagrodzenie, a wreszcie ofiarował mu własny woreczek, dobrze złotem naładowany, ale wszystko nadaremnie.

Tymczasem nadeszła cała kolumna wojska, a dowodzący nią generał zdziwił się i rozgniewał, zastawszy jeszcze na tem miejscu straż przednią. Oficer uniewinnił się uporem tego człowieka, który jest dobrze obeznany z miejscowością, ale mimo wszelkich przedstawień przewodnikiem być nie chce.

Generał kazał go stawić przed sobą i rzekł do niego ostro:

— Albo nam wskażesz niemyślną drogę, albo cię każę natychmiast rozstrzelać.

— Dobrze — odparł wieśniak — zginę, ale zdrajcą kraju za nic w świecie nie będę!

Zdumiony tą odpowiedzią prostego chłopca generał, podał mu rękę i rzekł:

— Idź z Bogiem, pocziwy człowiecze, my sobie tu sami jakoś damy radę.

Takto i nieprzyjaciół potrafi ocenić miłość ojczyzny.

Pięknie o tem wzniosłem uczuciu wyraża się Ign. Krasicki:

Święta miłości kochanej Ojczyzny!
Czują cię tylko umysły pocziwe.
Dla ciebie zjadł smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta — niezelżywe;
Kształcisz kalestwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe.
Byle cię tylko można wspomódz, wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.

137. Ojczyzna.

Ojczyznę, dziatwo, to bracia twoi,
Twoi ojcowie i twoje matki!
Dawni rycerze w skrzydlatej zbroi,
Dawne pałace i kmiecie chatki!
Ojczyznę, dziatwo, to łąny twoje,
To groby przodków, skryte żałobą;
Rodzinne gaje, łąki i zdroje,
I te niebiosy, co lśnią nad tobą!

Wł. Betza.

138. Zadziwiająca pamięć trzmieli.

Pewien przyrodnik przez wiele lat przypatrywał się sposobowi życia trzmieli i bardzo ciekawe w tym względzie poczynił spostrzeżenia. Szczególnie zajmujące są jego uwagi o pamięci tych owadów.

Znalazł on raz gniazdo trzmiela ziemnego na wsi, w odległości jednej godziny drogi od swego mieszkania. Po odkopaniu gniazda, dość głęboko w ziemi położonego, wyłapał wszystkie trzmiele, które broniły gniazda, nadto schwytał matkę i trzmiele robocze, które powracały z pola, a po trzech godzinach już ani jeden trzmiel nie latał w sąsiedztwie wybranego gniazda. Przyniósłszy cały rój trzmieli do domu, umieścił go w stosownym pudełku i postawił przed oknami swego mieszkania, aby nań tem łatwiej mógł uważać. Po niedługim czasie tak się trzmiele oswoiły z nowem swem

mieszkaniem, że bardzo prawidłowo jedne wylatywały, a drugie wracały do swego nowego domku. Atoli raz w nocy straszna była burza, podczas której pudełko z trzmielami, niedokładnie przykryte, otworzyło się i większa część roboczych trzmieli wraz z królową została z pudełka wyrzuconą. Nazajutrz rano znaleziono królowę nieżywą, a kilkadziesiąt trzmieli roboczych niespokojnie latało około domu, szukając swego gniazda. Część trzmieli odnalazła swe mieszkanie i weszła przez wylot do pudełka; tymczasem większa część owadów długo jeszcze latała dokoła domu, nie mogąc się uspokoić. Stopniowo jednak znikwały te błędnie latające trzmiele, aż wreszcie około godziny 10. rano już nie było ani jednego z nich. Domyślił się zaraz ów przyrodnik, iż trzmiele zapewne powróciły do dawnego swego mieszkania; poszedł tam więc i zobaczył rzeczywiście cały rój latający dokoła właściwego swego miejsca rodzinnego.

Tenże sam uczony podaje jeszcze inne, bardzo wymowne dowody zadziwiającej pamięci trzmieli.

Znalazł on przed kilku laty w lipcu trzy gniazda trzmieli górskich, na znacznej wysokości żyjących. Przyswoił je i rozmnożył w ciągu sierpnia, września i na początku października tak, że rój ich wcale już był znaczny. Jednakże w połowie października wszystkie trzmiele gdzieś zginęły; ich gniazda zachowano w zbiorze.

Następnego roku w kwietniu o godzinie dziesiątej rano duży czarny trzmiel górski latał około okna, na którym przed kilku miesiącami stały owe pudełka z trzmielami. Około godziny 12. przybyło jeszcze kilka trzmieli, a wszystkie latały ciągle koło tego samego okna. Postawiono więc pudełka dla trzmieli na desce pod oknem. Wkrótce też samice wpelzły do środka, odszukując w nich gniazda, które pozostawiły zeszłego roku. Najstaranniej obeszły ściany pudełka, powróciły do wylotu, wyleciały na zewnątrz, obejrzały pudełko ze wszystkich stron, wleciały napowrót do środka i nareszcie oddaliły się ponad domami miasta dość szybkim lotem. Wkrótce wróciły, ale już nie same; przybyło ich tyle, iż zajęły dwa pudełka postawione pod oknami.

Przykład ten bardzo wymownie przekonywa, że trzmiele obdarzone są szczególną pamięcią, skoro nawet po półrocznej blisko przerwie przypominają sobie miejsce swoje rodzinne i odnajdują je wśród wielu podobnych domów w mieście.

139. Wulkany.

Włochy, kraj najpiękniejszy w Europie, ciągną się ku południowi na sto czterdzieści mil wzdłuż pomiędzy dwoma morzami. W południowej części tego kraju leży nad morzem bardzo piękne i rozległe miasto Neapol, a niedaleko od tegoż wznosi się góra, Wezuwiuszem zwana. Z jejto łona od niepamiętnych czasów zawsze wydobywa się dym, a od czasu do czasu, ogień, popiół, kamienie i lawa roztopiona, co płynąc szeroką strugą, rozlewa się po całej pochyłości góry. Takiemu wybuchowi Wezuwiusza towarzyszy zwykle trzęsienie ziemi, które bywa nieraz tak silne, że domy, kościoły i miasta zapadają się lub rozsypują w gruzy.

Zwykle, nim wstrząśnienie nastąpi, głuchy grzmot daje się słyszeć pod ziemią. Grzmot ten, znany z doświadczenia lub opowiadania, trwogą i rozpaczą przejmując nieszczęśliwych mieszkańców, u stóp góry swoje siedziby mających. Nawet bydło, spokojnie pasące się lub pracujące w polu, zdaje się przeczuwać grożące mu niebezpieczeństwo, bo usłyszawszy ten grzmot, rozbiega się na oślep i żadną siłą zatrzymać się ani uspokoić nie daje.

Nagle chmury popiołu dobywają się z otworu na szczycie góry i są tak gęste i ciemne, że z dnia robi się noc. Popiół ten, który wiatr roznosi bardzo daleko, okrywa sąsiednie wzgórza, winnice, łąki i pola, wsi i miasteczka i jest tak gorący, że liście na drzewach jakoteż zasiewy pali w mgnieniu oka i tam, gdzie przed chwilą widać było świeżą zieloność, tworzy się step pusty.

Kto może uciekać, kogo nic nie zatrzymuje w miejscu, ten gotuje się do ucieczki i śpieszy do Neapolu. Po drodze spotyka mnóstwo osób, tą samą drogą dążących; majątni w powozach, ubodzy pieszo uciekają, a na wszystkich twarzach maluje się przestrahach największy i najokropniejszy smutek, bo przygotowani są na utratę całego pozostawionego mienia, przygotowani są, że już więcej nie ujrzą domów, które zamieszkiwali, a za powrotem na miejsce nieszczęścia zastaną tam tylko stos popiołu i gruzów lub szklistą skorupę lawy.

Ciemności nocne zalegają całą okolicę, głuchy grzmot podziemny po kilkakroć się powtarza. Nareszcie huk straszliwy daje się słyszeć i na szczycie Wezuwiusza wybucha ogień. Widok to zarówno wspaniały, jak okropny i przerażający. Płomienie wznoszą się słupem ku niebu i oświetlają okolicę. Ogień ten sam przez się

nie jest szkodliwy, ale lawa, która się jednocześnie wylewa, gorzej niż ogień, gorzej niż wezbrana rzeka lub rozhukane morze pustoszy okolicę i niczem jej wstrzymać, niczem się od niej zasłonić nie można.

W roku 79. po narodzeniu Chrystusa Pana Wezuwiusz tyle lawy wyrzucił, że strumień stąd powstały miał 20 do 30 *m* głębokości. Straszny ten ogrom wrzącej, płynnej masy i gorącego popiołu wylał się na kwitnące podówczas miasta: Herkulanum i Stabie i zalał je zupełnie. Wspaniałe świątynie, teatry, cyrki, ulice, place, ogrody cieniste, wszystko to lawa powlokła. Po niejakiem czasie ochłodziło to morze ogniste, lawa stwardniała na kamień i w miejscu, gdzie leżały wspomniane miasta, utworzyła się gładka jak szkło równina. W późniejszych znowu czasach na tem miejscu powstały dwa miasteczka Portici i Resina. Trzecie bogate miasto Pompei zasypał w owym roku popiół. Tutajto w 1700 lat potem zaczęto robić poszukiwania i natrafiono na ślad dawnych zagrzebanych siedzib ludzkich.

Od stu przeszło lat liczni robotnicy pod umiejętnym kierunkiem pracują nad odkopywaniem tego miasta starożytnego i dobywają całe budynki, malowidła, posągi, zwitki papyrusowe z rękopismami, sprzęty domowe, rzeczy do ozdoby służące, broń i t. p.

U krańca półwyspu włoskiego, najwięcej ku południowi posuniętego, cieśnina Messyńska oddziela wyspę Sycylię od stałego lądu. Na tej wyspie znajduje się inna góra, także ogień wyrzucająca; ta nazywa się Etna i jest najwyższym wulkanem w Europie, ma bowiem 3.500 *m* wysokości.

Otóż takie góry, jak Wezuwiusz i Etna, ogień ziejące, nazywamy wulkanami, przyjąwszy tę nazwę od pogańskich Rzymian, którzy wierzyli, iż są one mieszkaniem bożka Wulkanu. Ten miał być synem najstarszego z bogów, Jowisza, ale obraziwszy ojca, został przez niego z nieba wygnany i strącony na ziemię. Leciał przez dzień cały, a spadłszy na ziemię, złamał nogę i okulał na zawsze. Zamieszkawszy odtąd pod ziemią, założył w rozmaitych miejscach warsztaty kowalskie, z których największy był w łonie góry Etny. Tam Wulkan z jednookimi olbrzymami, którzy się Cyklopami zwali, stał nad kowadłem i kuł pioruny dla swego ojca, zbroje dla bożka wojny Marsa, wóz dla Apollina, bożka słońca, i podarki dla innych mieszkańców nieba. Gdy starożytni ujrzeni dym i ogień, dobywający się z otworu gór, zwanego kraterem, mówili, że Wulkan pracuje.

Tak utrzymywali starożytni, mając nader niedokładne i po większej części mylne pojęcia o składzie ziemi. Pojęcia te upadły z postępem nauk przyrodniczych, które wykazały, czem właściwie są wulkany.

Ponieważ we wnętrzu ziemi znajduje się ognistopłynna masa, przeto im głębiej się zapuszczamy z powierzchni do środka, tem większe uczuwamy ciepło. Dowodem tego są głębokie kopalnie, w których dla gorąca trudno nawet pracować. Dlatego też woda, gdy się dostanie w głębsze pokłady, zamienia się w parę, która przez otwory wulkanów wydostaje się na powierzchnię ziemi. Można przeto wulkany uważać za klapy bezpieczeństwa, bez których para ta, nagromadzona w wielkiej ilości, rozerwałaby skorupę ziemi i ogromne sprawiłaby spustoszenia.

To nasuwa nam myśl, jak mądrze i przezornie urządziła wszystko Opatrzność Boska. I ogień odwieczny w łonie ziemi największem jest Opatrzności dobrodziejstwem; gdyby bowiem zamiast niego tylko zimne, martwe skały mieściły się pod powierzchnią naszego planety, natenczas ludzie, zwierzęta, rośliny, słowem wszystko, co się tu znajduje, zmarłoby od zimna, pomimo najsilniejszego działania słońca. Ogień ten pod ziemią ukryty, ogrzewający nas mimo naszej wiedzy, jest dla ziemi równie zbawiennym jak ożywcze słońca promienie.

140. Arcyksiążę Karol.

Arcyksiążę Karol, brat cesarza Franciszka, najławniejszy swojego czasu wódz austriacki, zjechał był w r. 1800. do Czech, aby objąć naczelne dowództwo nad armią, która walczyła tam przeciwko Francuzom.

Przejeżdżając pewnego razu przez pobojowisko, kurzące się jeszcze świeżą krwią, zobaczył arcyksiążę wielu rannych, którzy, nie mogąc się pomieścić na przepełnionych już i tak furgonach, wlekli się drogą z ostatecznem wysileniem. Dla braku koni zaprzęgli się więc jego żołnierze do wozów i ciągnęli swoich nieszczęśliwych towarzyszyw broni, aby ich ratować od niewoli nieprzyjacielskiej.

Właśnie podtenczas zbliżało się kilka dział austriackich do tego samego miejsca. Pędziły one w śpiesznym odwrocie, gdyż oddział francuskiego wojska ścigał je zawzięcie. Szlachetny arcyksiążę, przejęty do głębi serca widokiem nieszczęśliwych rannych, pozba-

wionych pomocy w obliczu nieprzyjaciela, kazał stanąć działom, wyprzęgnąć konie i zaprzęgnąć do furgonów z rannymi, wołając z zapalem: »Mniejsza o te działa! Ci nieszczęśliwi żołnierze, którzy przelewali mężnie krew swoją za ojczyznę i cesarza, zasługują bardziej na to, żebyśmy ich ratowali, niż działa!«

Ranionych uprowadzono, a działa dostały się łupem w ręce Francuzów.

Ale francuski głównodowodzący generał Moreau¹⁾, dowiedziawszy się, dlaczego arcyksiążę Karol działa te na pobojuwisku zostawił, kazał je odesłać Austryakom, mówiąc: »Byłoby to nikczemnością zabierać łup, który zostawiono z takich powodów. Arcyksiążę Karol do swych zwycięstw orężem dodaje dziś równie świetne zwycięstwo sercem«.

141. O warunkach istnienia owadów.

Wszędzie, gdzie tylko oczy zwrócimy, spotykamy się z owadami. Czy w domu i w ogrodzie, czy w lesie, na polu i w wodach, wszędzie ich pełno. Ani kroku postąpić nie można, by nie powitać albo najlepszego przyjaciela, wyświadczającego nam uprzejmą usługę, albo zaciętego i uprzykrzonego wroga, niepostrzeżenie pracującego na naszą zgubę, na zniszczenie naszego mienia. Mimo woli tedy zwracają owady naszą uwagę i nastroczają pytanie, skąd się ich tyle bierze, jakie są warunki ich istnienia?

Więcej owady, niż inne zwierzęta, zawisłe są od ogólnych praw fizycznych. Istnienie ich zatem zależy od pięciu głównych warunków życia, t. j. od odpowiedniej ciepłoty, światła, powietrza, wilgoci i żywności. Suma tych pięciorakich czynników wywołuje nie tylko pod każdym podniebieniem, lecz i w każdej okolicy właściwy świat owadów i staje się najważniejszym warunkiem utrzymania ich życia. Nie wszędzie jednak dane są też same warunki, to też ze zmianą ich i świat owadów innej nabywa cechy.

Pierwszym głównym warunkiem istnienia owadów jest odpowiednia ciepłota. Polarne okolice żywią krocie owadów, nieznanych pod gorącym stropem nieba podzwrotnikowego. Małutkie komary Laponii i Grenlandyi niemniej są dokuczliwe, jak moskity na stepach amerykańskich lub małutkie nasze górskie symulie. Gorący zaś pas

¹⁾ Czyt. Moro, z przyciskiem na zgłosce ostatniej.

równika żywi mnóstwo brylantami błyszczących żuków lub motyle, przyćmiewające jaskrawością barw najpiękniejsze nasze owady, pod umiarkowanym wylęgle podniebieniem. Palmy, tonące pierzastą koroną w ciemnym błękicie brazylijskiego nieba, zarówno mają srogich swych dręczycieli z działu chrząszczów, jak nasze dęby i jodły, jak brzozy na skałach skandynawskich. W krainie hal Tatr naszych kobierce roślin alpejskich nie mniejszym ożywione są rojem owadów, jak nasze ciepłe równiny i doły. Na samych szczytach nawet, 2.200—2.500 *m* wysokich, obnażonych z szaty wyższej roślinności, po granitach, szorstkim porostem okrytych, żyje jeszcze wraz z alpejskimi kozicami i świstakami do kilkuset gatunków owadów, dla których dziewięciomiesięczna prawie zima nie jest za ostrą.

Nie wszystkie jednak owady równie są wytrwałe na skrajne zmiany ciepłoty; wiele z nich nie może znieść długotrwałej słoty lub ostrych mrozów, życie bowiem owadu potęguje się zwykle z ciepłem, a spada w zimie, jak życie roślin. Owady doskonałe zapadają w zimie, ukryte pod mchem, pod liściem opadłym, w szczelinach lub za korą drzew, w odrętwienie, podobne do uspienia kręgowców. Gąsienice i poczwarki w kilkumiesięcznym letargu czekają zmartwychwstania pod wpływem wiośnianych promieni, które wnet obudzają czynność organiczną i przyspieszają rozwój ciała. Towarzysko żyjące owady, jak pszczoły, nie zapadają w dočasowe odrętwienie, lecz zbijając się w gromadną kupę, utrzymują w ten sposób nieustannie ciepłotę wyższą, niż ma otoczenie. Nigdzie może w świecie zwierzęcym nie daje się bardziej czuć magiczny wpływ ciepła jak w dziale owadów.

Drugim ważnym warunkiem istnienia owadów jest światło. Większa lub mniejsza ilość światła oddziaływa niezmiernie na pobyt, pojaw i ubarwienie owadu. Znaną jest rzeczą, że są owady, jak inne zwierzęta, a osobliwie rośliny, lubiące albo zupełną ciemność, półmrok wieczoru lub jasność słoneczną. W promiennej jasności n. p. przebywają wyłącznie dzienne motyle, wiele chrząszczów, ważki, koniki, większa część much, i inne; w skwarze tylko lipcowym i sierpniowym nuca koniki polne monotonne swe piosenki, a szarańcza tylko w dni gorące i jasne zlatuje chmurami na dojrzewające niwy. Inne owady szukają tylko cienia lub wieczorem dopiero, do zachodzącego słońca lub zapadającego mroku, wyprawiają ciekawe harce, np. komary, chrząszcze majowe i émy wieczornice; inne znowu, jak np. szare émy nocne i świerszcze,

dopiero po zachodzie słońca opuszczają swe kryjówki i poczynają nocne życie wraz z nietoperzami i sowami. Z tego też powodu co do pojawu dzielą się owady naienne, wieczorne i nocne.

Innym ważnym wpływem światła jest ubarwienie owadu, zawsze zwykle od promieni słonecznych w miejscu pobytu. Dlatego owady i ich gąsienice, mieszkające w miejscach ciemnych, mają mdłą barwę białawą, szarawą lub brunatną; przeciwnie, żyjące na otwartem polu, po świetlistych zaroślach i łąkach, zazwyczaj jasno są ubarwione. Cmy, żyjące na drzewach, a siedzące za dnia w szczelinach kory lub na niej, mają zwykle barwę podobną do kory. Koniki polne lub łąkowe odpowiadają jaśniejszej lub ciemniejszej albo też brudnej zieleni roli lub łąki. Gąsienice zwykle podobnie są ubarwione, jak liść, kwiat lub łodyga rośliny, na której żyją; tak też i owad doskonały, którego czasem trudno rozeznąć od tego, na czym przebywa. Ubarwienie zatem jest zarówno korzystnym warunkiem, ubezpieczającym istnienie owadu, jak pora pojawu, pobyt i sposób życia.

Trzecim niezbędnym warunkiem do utrzymania życia jest powietrze, bez którego owady, jak wiele innych zwierząt, żyćby nie mogły. To też wszystkie owady opatrzone są po bokach pierścieni dychawkami, wiodącemi do rurkowych rozgałęzień po całym ciełe. W stanie gąsienicznym żyje wiele owadów w wodzie, jak np. zwykły nasz komar, ważki, chrząszcze, pływaki i niektóre pluskwy; natenczas jednak zapomocą skrzelowatych przyrządów wciągają w siebie powietrze, zawarte w wodzie.

Czwartym fizycznym warunkiem, nader ważnym, jest wilgoć, której rozmaite stopnie, podobnie jak światło, na pobyt i pojaw owadu niezmiernie oddziałują. Wiele pluskw i chrząszczów nawet w doskonałym stanie zaludnia nasze wody, a liczne muchy komarowate i sieciówki żyją jako gąsienice w wodzie. Mnóstwo gatunków lubuje sobie tylko na mokrych brzegach rzek i stawów lub na grzązkich bagnach; inne obierają sobie już suchsze miejsca, lubo jeszcze wilgotne, w bujnych i cienistych zaroślach lub w lasach; inne żyją wyłącznie na suchych ugorach i porębach leśnych; a najmniej przebywa na piaskach, gdzie żadna nie zieleni się trawka.

Ostatnim, najważniejszym warunkiem jest świat roślinny i zwierzęcy, będący właściwą podstawą życia owadów.

Przed nami ściele się zielony kobierzec łąki, utkany pstrymi kwiatami, roztwierającymi ku słońcu swe zdobne kielichy. Zdaje

się, że życie rośliny płynie tu swobodnie, że nic nie przeszkadza bujnemu wzrostowi, ni gleba zbyt twarda, ni wiatr północny, ni palący promień słońca. Zbliży się jednak, zatrzymajmy się wzrokiem na łądkach, na liściu i kwieciu, a wnet do ucha naszego zaleci brzęk przygłuszony, przerywany szelest lub urywkowy skrzek niedokształconego konika. Wnet przy natężonej uwadze obaczmy mnóstwo snujących się muszek, zdradzi się nam złotolśniący chrząszczyk, ogryzający pilnie listki, wymknie się z pod grudki ukryta ćma szara lub biały przeleci motyl. Po chwili otwiera się nam cały obraz życia owadów i to już na przestrzeni kilku stóp zaledwie. Roślina, wydająca się nam zdala zdrową i pełną życia, chorzeje: jej liść, wielokrotnie pokłuty i pogryziony, i kwiat, przeznaczony na zgubę, pielęgnuje w swem wnętrzu toczące gąsienice, które się niedawno wylęgły i na koszt obcy żyć poczynają. Tam w korzonkach podgryziona trawa żółknie i usycha, ustępując miejsca drugiej, żywotniejszej. Tu znowu prowadzi norka głęboka, którą właśnie teraz wyłazi turkuć podjadek z kreciami nóżkami przednimi, zwany u ludu niedźwiadkiem.

Idźmy do lasu. Smukłe sosny i barczyste dęby, niby słupy wspaniałej świątyni, wystrzeliły ponad nami. Na świetlistych ostępach rozpiera się leszczyna jasną zielenią, szarawą korą buk w głębi świetleje i brzoza, jak smukła kolumna z marmuru białego, podpira gmach leśny. Spodem ścielą się borowiny i paprocie rozpuściły pierzaste wiechy. Czy wolne te olbrzymy państwa roślinnego od gryzących owadów? Tam wichrem przeszłorocznym wywrócona leży sosna, oparta gałęziami o poduszki mechu miękkiego. Oddzieramy, gdyby śrutem drobnym podziurawioną korę, a pod nią labiryntowe chodniki rozmaitej szerokości ciągną się po bielu drzewa, niektóre większe i w głąb sięgają. Tutaj obrali sobie siedzibę najniebezpieczniejsi nieprzyjaciele lasu, brunatne korniki i inne chrząszcze drzewotoczne. Liście leszczyny skręca w trąbkę czerwony ryjkowiec, leszczyniak, a śniady słonik przewierca zielone jeszcze orzechy. Na korze, liściu i kwieciu mnóstwo drobnych owadków. Tu na bukowym liściu drobniotka muszka stożkowe sprawia naroście; tam na dębie galasówka zmusza soki do nieprawidłowego przyływu, by na liściu galkę utworzyły, w której jej gąsienica przemianę odbywa; inny znowu owad żołądz psuje. Indziej znowu pilarz, wylęgający się w młodych pędach, nie pozwala na wzrost

drzewka, lub mszyce wysysają najżywotniejsze soki. I tu obok życia śmierć i zniszczenie.

Zwróćmy się dalej do roli. Przed nami morze łąnów zbożowych za powiewem wiatru falisto się ugina. Jest to państwo odrębnego świata zwierzęcego. Mnóstwo rozmaitych owadów płacze się w tym lesie żdźbeł bez końca, a każdy z nich co innego ma do czynienia. Pod grudką w brózdzie siedzi teraz łośka garbata, objadająca porą nocną żdźbła soczyste i dojrzewające kłosy. Gąsienica jego wraz z gąsienicą majowego chrząszcza i innych żuków ogryza chciwie korzonki. Na wysypujących się kłosach przesiaduje nałan kłosiec, objada kwiat i wypija mleczko z niedojrzałych ziarenek. Tam znowu wygląda z pod miedzy szara ćma, zanocnica zbożowa, której gąsienica psuje czasem do szczytu ozime posiewy. Wewnątrz żdźbła toczy kolanka i włókieńka maluchna gąsieniczka muchy niezmiarki. Brózdą cwałują rozmaite szczypice, polujące na owady, i pająk ziemny zdradne rozstawia sieci. Łany rzepaku, chmielu, ziemniaków, koniczu — ileż nie żywią właściwych sobie owadów, z których jeden i drugi w ten lub inny sposób pomaga lub szkodzi mozolnej uprawie?

Zagłębmy teraz do sadów i warzywnych ogrodów w porze, kiedy kwieciami osypują się drzewa, a młode jarzynki wykiełkowały. I tu życie owadu nader bujne i różnorakie. Tam boleje i usycha liść rosnącego szczepu, bo nieprzyjaciół podziemny popodgryzał korzenie, a ogłodek biel pod korą wyjada. Pomiędzy kwiatem grusz i jabłoni uwija się kwiatomirek z działu ryjkowców i psuje kwiat, pieszczący owoc, który przed czasem jeszcze oblatuje. Chrząszcze majowe starają się z liści ogołocić zieloną koronę i pozbawić ją cienia. Drobną pędrak niebieskawą psuje młode pędy i kwiaty wraz z tutkarzem bachusem i obcinaczem, które się karmią sokiem pączków kwiatowych i w tym celu dziurawią je rykiem swoim. Ogrodowe jarzyny cierpią wiele przez rozmaite owady, czyto w korzeniach ogryzane przez żarłoczne gąsienice, na które kret pocziwy lub brzydka ropucha poluje, czyto na liściu, które gąsienica białawców wraz z pchłami ziemnymi skrzętnie szkieletuje.

Nie na tem jednak koniec. Za składem drzewa i żywności wciskają się owady jeszcze do naszych pomieszczeń, śpichlerzy i pokarmów. Kołatki z pustoszem i bielotoczem prześwidrowują nam sprzęty domowe i po niewielu latach w próchno je obracają. Skórniki i mole, rade w domach mieszkające, psują nam odzież i obicia.

Mącznik zagnieżdża się w szpizarniach, a złowrogi, malutki wołczek zbożowy niszczy składy zbóż. Nie mówimy tu już o znanych muchach domowych i dokuczliwych zarówno świerszczach i karaczanach, które wraz z wiernymi myszami stały się domownikami, dzielącymi się chętnie owocem naszej pracy.

Wszędzie więc, gdzie tylko ziemia w roślinną przybiera się szatę, jawią się owady w nieprzeliczonych formach. Bardziej bowiem, niż inne zwierzęta zawisły one od państwa roślinnego, z którego swój pokarm biorą, a tylko mniejsza ich część żywi się pokarmem zwierzęcym.

142. Pszczółka.

Oj, nie zła to dola
I pszczółką być małą,
Okrażać swe pola
Wytrwale, nieśmiało!

Jej latem i wiosną
Czas bieży jak woda,
Przy pracy radosno,
Przy słońku swoboda.

Uroczą i cicha
Wśród wiejskiej zagrody,
Z kwietnego kielicha
Pożywne ssie miody.

Co zbierze i zgarnie,
Do piersi przytula
I niesie osiarnie
Do matki, do ula.

Nie zbliży się do niej
Swawolne pachole,
Bo pszczółka dogoni
I żądłem zakole.

Obiegaj zagony,
Robaczku ty Boży,
A ciche twe plony
Bóg łaską rozmnoży.

Zioł! nie brak w te czasy,
Wydają ich siła
Ugory i lasy
I cicha mogiła.

Twa praca wytrwała
Niech sennych rozbudzi!
O pszczółko ty mała,
Bądź wzorem dla ludzi!

Seweryna Pruszkowa.

143. Ul.

Gwarno i rojno; od blasków słońca
Pszczółki jak gwiazdki migocą złote;
Tam i napowrót lecą bez końca
I dalej swoją wiodą robotę:
Ta na kwiateczki i zioła siada,
Zbierając słodycz z każdej jagody;
Ta żółte plastry miodu układa;
A inna wonne wysącza miody.
O! pilnie trzeba nam trudzić czoła,
By nie prześcigła nas w pracy — pszczoła!

Wład. Bełza.

144. Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.

Przez wiele lat nadzwyczaj szczęśliwie wiodło się Napoleonowi I. Staczał on boje z przemożnymi nieprzyjaciółmi w Europie, nawet w Afryce i Azji zwycięstwo odnosił po zwycięstwie, jedno świetniejsze niż drugie; zdawało się nawet, iż nikt go już nie pokona.

Atoli wielką wyprawa przeciwko Rosji, w r. 1812. podjęta, skończyła się dla Napoleona straszną klęską.

Odtąd zbladła już gwiazda tego wielkiego wojownika. Przeciwnicy jego, nabrawszy teraz tem większej otuchy, połączyli się razem, ażeby korzystając ze sposobności, zadać mu cios ostateczny. Przyszło do wielkiej bitwy pod Lipskiem r. 1813., w której Napoleon musiał się bić ze wszystkimi prawie narodami Europy. Francuzi walczyli z nieustraszoną odwagą przeciw przemocy wrogów, a dzielnie dopomagali im Polacy, którzy pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego przez trzy dni w najzaciętszym boju zasłaniali armię francuską od nawały nieprzyjacielskiej. To też w uznaniu waleczności Polaków w drugi dzień bitwy przesłał Napoleon księciu Józefowi gorące podziękowanie, przyczem mianował go marszałkiem Francji.

Atoli pomimo tak wielkiego męstwa musiały się wojska francuskie cofnąć przed przemagającymi siłami nieprzyjacielskimi. Ustępując, polecił Napoleon księciu Józefowi, aby zasłaniał odwrót armii francuskiej. Książę ehłubnie wypełnił polecenie cesarza, wspierany nadludzkim prawie męstwem Polaków.

Pod naciskiem nieprzyjaciela dotarło wojsko polskie do rzeki Elstery. Tutaj niespodziewana czekała ich przeszkoda: Francuzi, przeprawiwszy się sami, w zamieszanu bitwy zawczasie za sobą wysadzili most w powietrze. Nie pozostawało tedy Polakom nic innego, jak przeprawić się wpław przez rzekę.

Wezbrane właśnie nurty rzeki były gwałtowne i spienione, dno jej nadzwyczaj było głębokie, a brzeg bardzo stromy i urwisty.

— Naprzód, bracia! — krzyknął książę Józef do towarzyszy, spiął konia i skoczył w bystre fale Elstery. Lecz niebawem osłabł koń księcia, nie mógł utrzymać się na powierzchni wody. Rwący prąd wody pochwycił dzielnego wodza. Chwilę jeszcze trzymał się książę nad wodą, jeszcze resztek sił dobywał, aby się ocalić; lecz wszelkie jego usiłowania były daremne — prąd rzeki porwał go gwałtownie i pochłoniął.

Dopiero w kilka dni znaleziono zwłoki walecznego księcia. Smutek i żal po nim był niezmierny. Towarzysze ze skrwawionem sercem opłakiwali swego ukochanego wodza, a ziemia ojczysta wydała jęk boleści nad grobem jednego z najwaleczniejszych swych synów.

Zwłoki jego przywieziono do kraju i złożono w grobach królewskich na Wawelu, obok zwłok Sobieskiego.

145. Niedźwiednik.

Żył przed laty szlachcic, zwany Niedźwiednik. Był to jego przydomek od nadzwyczajnej siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał; właściwie zaś nazywał się Roch Dąbrowa. Postać nie okazywała bynajmniej tej olbrzymiej siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu; poruszenia żywe, ręka niewielka, ale żyłasta; twarz wesół i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, niewiele różniącym się od chałupy wieśniaka: mały ogród i jeden zagon 8 *m* szeroki, a do 200 *m* długi, były całym dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy, siedł na grubego zwierza w obszerne knieje, co nie były tak puste jak dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia ni łosia. I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie strzelał on do zająca ani do lisa; każdego ptaka omijał; lecz za to w obszernej kniei nie przepuszczał niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom. Ale i w tem zachowywał szczególny zwyczaj. Żaden z myśliwych nie widział, żeby użył strzelby na niedźwiedzia, chyba, że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak nazywał, kija. Kij ten była to pałka, jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona na kształt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnymi gwoździami grubymi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny, dziurk. Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia i, gdy ten rozjuszony, na dwóch łapach spięty, zbliżył się do Dąbrowy, pchnął go naprzód dziurtem, a potem za jednym uderzeniem pałki rozciągnął u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiej czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwskiego noża i nie tylko że odcinał po zdjęciu skór łapy niedźwiedziowi (ulubiony przysmak na

wielkich stołach), ale nadto wykrawywał pieczenie, które swemi delicyami nazywał.

Sąsiedni kmiecie, często rozmawiając o nim, gdy przyszło wspomnieć o nadzwyczajnej sile, zawsze mówili: »Nie dziwota, musi być mocny jak niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z niedźwiedzi«. Mimo to wszakże nie mogli pojąć, jak człowiek tak może być zdrow i silny, nie pijąc ani wódki ani miodu ani piwa; napojem zwyczajnym była u niego kryniczna woda. Łowy były dla niego rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawić i zebrać. Ogród warzywny i sad, pełen smacznego owocu, dostarczały mu dość żywności przy obfitej zwierzynie.

Na cały powiat Niedźwiednik był osobliwością, a trzeba wiedzieć, że wtedy nie brakło u nas silnych ludzi i dobrych myśliwych; wszakże wszyscy przy nim gasli. Niedosć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie; ile razy dziedzicowi chciał podarek zrobić — a zawsze to czynił na kolędę i przed wielkanocą — przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się temu dziwił i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, aby zobaczyć tak osobliwego strzelca. Chłopsstwo oskarżało go o czary, że ma związki z dyabłem, lecz to było kłamstwo wierutne.

Jeden nasz znajomy, który był jego sąsiadem, opowiadał o nim następujące zdarzenie:

»Mój ojciec świętej pamięci mieszkał o sześć mil od tej wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym kuligu zajechał z dziatwą i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka i dwie dorosłe panny siostry, ojciec przy woznicy sam powoził.

W ostatni wtorek, podochocony, wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, aby doma na popielec stanąć. Za dużym lasem, — pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć — iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił-ci i księżyc w pełni; tak widno było, że szeląg znaleźć było można. Nagle konie parskać poczęły, a nieboszczyk mój ojciec, widząc, co się święci, świsnął -- i jak wiatr posunęły się po ślizkim śniegu sanie.

Wilków stado zabiegało nam z boku. Skręcił końmi w inną stronę i na nieszczęście w rów wyrzucił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy przestraszony zawołał, podniósłszy sanie: »Prędkiej do sani! bo jeżeli nie uciekniesz, zginiemy na zawsze«. Matka i panny siostry usiadły prędko; ruszył, co koń wyskoczy, a ja, za-

grzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę, widziałem, jak za ojcem pędzą wilki; z przestachu przysiadłem i powoli sen mnie ogarnął.

Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika; nacierał mi twarz śniegiem, cztery ogromne kundle stały obok niego, a dalej jednokonne sanki, pełne lisów, i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł do sanek i zawiózł do domu, lecz nie zostawił mnie w ciepłej izbie; rozebrał do naga i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem. Wtedy obwinął mię w skórę wilczą i położył na swoim łóżku. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik, dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł mię do domu. Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowej drogi i dwór mego ojca. Zostawił mię w saniach, a sam wszedł do komnaty.

Owego nieszczęsnego wieczora ojciec dopiero za powrotem do domu zobaczył, że syna stracił, matka zaś i siostry tak były przestraszone, że ze strachu nawet wysiąść z sań nie mogły. W całym dworze powstał lament i płacz wielki, porozsyłano czeladź, ale szukano napróżno. Wszyscy pewni byli, że już nie żyję. Dlatego teraz postanowił Niedźwiednik działać ostrożnie, ażeby zbytnia radość nie zaszkodziła matce. Wszedłszy tedy do komnaty, prosił ojca do osobnej izby. Tam mu powiedział, jak mu syna uratował i że przywiózł go z sobą. Pan ojciec nie wiedział, jak mu dziękować; płakał z radości i całował mego wybawcę.

Powrócili zatem do komnaty, gdzie matka i siostry po mojej stracie zapłakane siedziały. Ojciec kazał teraz jednej siostrze pobiedz do piwnicy po węgryzna, a sam rzekł do matki mojej: »No, dzieweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszu«. — »Żyje? zawołała. — »Nie tylko żyje, ale przyjechał«. I zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i pani matce, a Niedźwiednik płakał i wszyscy. Kiedy go chciał węgryznem ojciec częstować, podziękował za wino i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę jako pamiątkę. »Jeżeli wielmożny chorąży« — powiedział ojcu — »chce mi wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika (bo i sam się tak z chlubą nazywał) często pan Tadeusz nawiedza. Nauczę go strzelać, a te odwiedziny rozweselać będą starego myśliwca«. Niedługo się bawił, bo spieszył, jak mówił, ścigając lisy z samolówki.

Od tego czasu zawsze co miesiąc na cały tydzień do niego wyjeżdżałem; on mię wprowadzał do strzelby i mogę rzec bez chluby, że po nim w naszej ziemi jako myśliwy rej wodziłem, a nie miałem jak szesnasty rok. Często spraszał mój ojciec przyjaciół i krewnych na łowy, a miał u siebie duże knieje; wtedy i mój wybawca zjeżdżał. Pamiętam dobrze, pokazał się raz ogromny niedźwiedź i szkody niemało nam robił; trzeba było go sprzątnąć. Wielu sąsiadów myśliwych zebrało się razem, był i Niedźwiednik; stałem blisko niego i mojego ojca. Prędko zwierza psy ruszyły, pokaleczyły z nich kilka i wpadł na drogę, kędyśmy stali. Niedźwiednik miał czerwoną czapkę. Ku tej więc stronie rzucił się wściekły; Niedźwiednik przypuścił go może o cztery kroki i wtedy podniósł jeszcze nakrywkę panewki u strzelby, spojrział czy dobra nasypka, zmierzył, a wraz z połyskiem strzelby powalił się niedźwiedź, ale tak blisko, że musiał uskoczyć, bo przygniótłby go ogromem swoim. Wesołe okrzyki rozległy się po lesie, a zwycięzca oddawszy skórę i łapy, wykroił pieczeń i schował do torby.

Nadchodziły imieniny mego ojca: pojechałem do niego, żeby zwierzyny przysposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem i bez strzału dwadzieścia par złowili. Wtedy Niedźwiednik rzekł do mnie: »No, mój Tadeuszu, trzeba coś grubszego panu ojcu zawieźć; pojutrze jego imieniny. Jutro ze świtem złapiemy dzika żywego, i tak zdrowego zawieziem, jak te kuropatwy«. Serce biło mi z radości, jeszcze bowiem nie widziałem, jak to można wziąć żywego dzika w kniei. Mało co spałem; przed świtem byłem już na nogach, ubrany. Niedźwiednik wziął cztery kundle, zarzucił strzelbę i wyostrzone przywiązał żelazo obosieczne. Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilę usłyszałem szczekanie psów głośnie, a prędko potem słychać było jeno ciche warczenie. Poskoczyłem; patrzę — i widzę, jak na małej łące kundle przytrzymały ogromnego dzika: dwa trzymały go za uszy, a dwa za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi i wnet pokazał się Niedźwiednik. Leciał prędko; widać, że pędził za psami, w ręku mu błyszczało ostre żelazo. W pełnym biegu wsiadł na grzbiet dzika i sznurem surowcowym, co go miał za pasem, skrępował ryj jego, wybił kły żelazem i przebiwszy niem przednie przed kolanami racice, poza żyły tenże sznur przeciągnął i silnie związał; a ów dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilny padł. Wtedy stanąwszy nad nim, rzekł do mnie: »Tadeuszu, przy trzech brzo-

zach stoi fura, sprowadźcie ją tutaj, ruszymy do dworu pana ojca z podarkiem myśliwskim«. Siedząc na dziku uradowani, z pełną furą zwierzyny, żwawo popędzaliśmy konie i stanęliśmy przed wieczorem. Ja ojcu ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę i kilka zajęcy, a Niedźwiednik, przywiązawszy na długim sznurze dziką u lipy, co stała na środku obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował i prosił, aby wyszedł zobaczyć podarek starego łowca.

Już wiele było gości; wszyscy, zdjęci ciekawością, wybiegli. Jaki był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dziką, co obchodził wokoło lipę! Ojciec mój, rozradowany, wypił zdrowie dzielnego myśliwca z ogromnego pucharu i sąsiedzi z radością powtórzyli to wszyscy. Wnet wyniesiono strzelb kilka; zaczęli strzelać podochoceni goście, a gdy dziką powalili na ziemię, trąbki myśliwych ogłosiły koniec tej uciechy. Wtedy sąsiedzi porwali Niedźwiednika na ręce i nosili po całym podwórzu, śpiewając ową sławną myśliwską piosneczkę:

Siedzi zając pod miedzą,
Myśliwi o nim nie wiedzą.

Stary strzelec płakał z radości. Przy wieczerzy posadzono go na najstarszem miejscu, a on, co nie pijał nigdy, wtedy rozochocił się węgrynem.

We dwa miesiące już płakałem nad jego grobem. Jak żył, tak i skończył; nie umarł zwyczajną śmiercią. Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Już wybrał się Niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem: kij ten czternaście już zgładził niedźwiedzi. Kiedy poruszona z legowiska wypadła rozżarta, wtedy wysunął się Niedźwiednik z za drzewa i ugodził ją ostrym dziryttem, ale ten się zsunął po kości. Już nie miał czasu poprawić ciosu, pochwyciła go w silne łapy. Blisko stojąc, usłyszałem jęk cichy i chrzęst łamanych kości. Zemściłem się, bo z mojej strzelby poległa od razu, ale mój wybawca leżał bez duszy, cały krwią zlany.

Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcej oczy moje nie zobaczą. Oplakiwałem go ciężko, a świętej pamięci mój pan ojciec wystawił piękny dla niego nagrobek z kamienia w tem miejscu, gdzie życie skończył, i na nim dał wyrzeć scenę, jak upadł przed zajądłym niedźwiedziem«.

146. Człowiek i zdrowie.

W jedną drogę szli razem i człowiek i zdrowie.
Na początku biegł człowiek. Towarzysz mu powie:
»Nie śpiesz się, bo ustanieś«. Biegł jeszcze tem bardziej.
Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,
Szło za nim, ale zwolna. Przyszli na pół drogi:
Aż człowiek, że z początku nadwreżył nogi,
Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem
Przybliżyło się zdrowie i odtąd szli razem.
Coraz człowiek ustawał, a że się zadysza:
»Prowadź mię, iść nie mogę!« — rzekł do towarzysza.
»Było mnie zrazu słuchać!« — natenczas mu rzekło.
Chciał człowiek odpowiedzieć.... lecz zdrowie uciekło.

Ign. Krasicki.

147. Mickiewicz w Weimarze.

Było to w roku 1829., gdy Mickiewicz, przejeżdżając przez Niemcy, ze swym przyjacielem Odyniec w Weimarze przebywał. Jednego dnia przyszedł Odyniec do hotelu, w którym zwykle z Mickiewiczem jadał, już po obiedzie. Przed wejściem do sali jadalnej usłyszał jednak żywą rozmowę, prowadzoną w języku francuskim — otworzył tedy drzwi i ujrzał swego przyjaciela, rozmawiającego z dwoma Francuzami. Jeden z nich, starszy, mający lat około 40, niskiego był wzrostu; drugi, brunet, wyższego był wzrostu, z dużemi palającemi oczyma i z długimi włosami, spadającymi mu aż na szyję. Tento właśnie gadał tak głośno, a pierwsze słowa, które Odyniec wyraźnie posłyszał, były: »Nie, nie, to nie jest jego nazwisko! Mik... Mis... Mik... ach! jakże się zowie wasz wielki poeta?« Mickiewicz spojrzał na Odynca i z lekka potrząsnął głową, dając mu tem znak, żeby milczał. Odyniec, usłyszawszy odpowiedź przyjaciela, pojął dopiero, o co rzecz idzie. Francuz, chcąc się widać pochwalić, że zna polską literaturę, mówił o świeżem wydaniu dzieł wielkiego poety, którego nazwiska zapomniął. Ponieważ jednak mówił o wielkim poecie, odpowiedział mu przeto skromny Mickiewicz, że zapewne ma na myśli Krasickiego, którego zasługi w polskiej literaturze są wielkie. Francuz niecierpliwił się i nie mógł bynajmniej ukryć oburzenia, że Polak nie zna nazwiska swego wielkiego poety. Mickiewicz tymczasem wypił kawę i wyszedł. Wtedy zwrócił się

ów młody Francuz do Odyńca z zapytaniem, jakiej jest narodo-
wości? Gdy mu na to Odyniec odpowiedział, że jest Polakiem,
zapytał go, czy i on nie zna nazwiska największego swego poety.
»Pan chcesz mówić zapewne o Adamie Mickiewiczu? — odrzekł
Odyniec. »Tak jest, tak się nazywa!« — wykrzyknął uradowany
Francuz. Na to odpowiedział mu spokojnie Odyniec: »To właśnie
ten, który opuścił tę salę«.

Francuz zaczerwienił się cały jak burak i prosił, aby go na-
tychmiast do Mickiewicza zaprowadził, co też Odyniec chętnie
uczynił.

Wedł. Ant. Edwarda Odyńca.

148. Śniadanie.

— W cichym i samotnym domie
Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoły,
Jak w ulu pustym, kiedy węń wlatują pszczoły.
Był to znak, że wracali goście z polowania
I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki:
Roznoszono potrawy, sztucce¹⁾ i butelki.
Mężczyźni tak, jak weszli, w swych zielonych strojach,
Z talerzami, szklankami chodząc po pokojach,
Jedli, pili lub wsparci na okien uszakach²⁾,
Rozprawiali o flintach³⁾, chartach i szarakach.
Podkomorstwo i Sędzia przy stole — a w kątku
Panny szeptały z sobą. Nie było porządku,
Jaki się przy obiadach i wieczarach chowa;
Była to w staropolskim domu moda nowa:
Przy śniadaniach Pan Sędzia, choć nierad, pozwalał
Na taki nieporządek, lecz go nie pochwalał.

Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy:
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane
I z porcelany saskiej złote filiżanki:
Przy każdej garnuszek mały do śmietanki.
Takiej kawy jak w Polsce niema w żadnym kraju.
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju

¹⁾ sztuciec, widelec. — ²⁾ uszaki, belki u okien, drzwi, kominów. —

³⁾ flinta, strzelba.

Jest do robienia kawy osobna niewiasta —
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta
Lub z wicin ¹⁾ bierze ziarna w najlepszym gatunku
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach mokki ²⁾ i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czem dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nietrudno o nią; bo kawiarka zrana,
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę:
Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
W którym twaróg ³⁾ gruzłami ⁴⁾ posiekany pływa.

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru;
Półgęski tłuste, kumpie ⁵⁾, skrzydliki ⁶⁾ ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
Uwędzone w kominie dymem jałowcowym.
Wkońcu wniesiono zrazy na ostatnie danie —
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

A. Mickiewicz.

149. Trafła kosa na kamień.

Ilećkroć kto przechodził mimo góry Dżuga nad Niemnem, spostrzegał tam dyabła w kusym fraczku, przeskakującego z drzewa na drzewo. Wszyscy też ludzie omijali tę górę ze strachem, bo jeżeli kto tylko się ośmielił zapuścić w głąb lasu, wnet go duch nieczysty na rozmaite wyzywał zakłady, a gdy kto przegrał, porywał go i dusił. A że to prawie każdego trafiało, to ma się rozumieć samo przez się, bo z dyablem niełatwa sprawa. Jednakże pewien odważny wieśniak ze wsi pobliskiej przybył do bagna, leżącego tuż przy górze, i począł pleść łapcie dla siebie z łyka łoziny, rosnącej w tamtym miejscu. Po kilku chwilach przychodzi dyabeł.

— Co tu robisz, człowiecze?

— Łapcie plotę.

— Któż ci to pozwolił?

¹⁾ wicina, statek handlowy, pływający Niemnem do Prus. — ²⁾ mokka, kawa arabska. — ³⁾ twaróg, mleko zgęstniałe, z którego robi się ser. — ⁴⁾ gruzel, grudka. — ⁵⁾ kumpie, szynki. — ⁶⁾ skrzydliki, płatki.

— Kiedy co robię, nikogo o pozwolenie nie pytam.

— Jak śmiesz na mojej ziemi i z moich drzew zdzierać łyko? — Ja jestem panem tych okolic; musisz więc założyć się ze mną o trzy rzeczy, a jeżeli nie wygrasz, natychmiast zginiesz.

— Zgoda; — a jak wygram, co mi dasz?

— Kapelusz pieniędzy.

— Jakiż więc będzie pierwszy zakład?

— Spróbujmy się, kto silniejszy.

— Dobrze.

— No, mocujmy się.

— Dałbyś sobie pokój! — Co tobie ze mną się porywać, kiedy ty nawet mego stuletniego dziada, który oto śpi o kilka kroków, nie zmożesz.

To mówiąc, wieśniak wskazał na leżącego opodal niedźwiedzia. Dyabeł poskoczył ku niemu i chwycił oburącz za szyję. Niedźwiedź rozjątrzony rzucił kusego o ziemię i począł chłostać swą łapą. Zmordowany, zbity, ledwie się wydobył biedny dyabeł z uścisków niedźwiedzia.

— No, jeden zakład wygrałeś; teraz drugi: rzucajmy, kto dalej zarzuci.

To mówiąc, porwał blisko leżący ogromny kamień i cisnął nim w powietrze; — kamień spadł za trzy godziny. Chłop zaś miał w ręku skowronka i puścił: głupi dyabeł rozumiał, że to kamyczek. Czekają godzinę, czekają drugą, trzecią, czwartą, piątą i jeszcze dłużej; — kamień nie spada.

— Wygrałeś, człeczko, drugi zakład. No, jeszcze ostatni zakład i pieniądze będą twoje. Spróbujmy się, kto silniej gwizdnie. — Poczekaj, ja tak głośno świsnę, że aż w piekle usłyszą i pomogą mi ciebie zabrać

— No, gwizdnij, gwizdnij! — chłop rzecze.

A dyabeł jak świsnął, z pobliskich drzew liście opadły, ptaki pierzchliwie uciekły i słysać było, jak po wsiach ze strachu psy wyły. Chłop tymczasem robił obrączkę, a dyabeł do niego:

— Porzuć niepotrzebną robotę i gwizdnij głośniej ode mnie.

— Zaraz — odpowie chłop — tylko skończę tę obrączkę.

— A to na co?

Chłop spokojnie odpowiedział: Obręcz ta potrzebna na twoją głowę, bo gdybym ja gwizdnął, a nie miałbyś na swoim łbie tej obręczy, to ten twój łeb, choć tak wielki i twardy, na półby ci się rozpekł.

— Nie gwizdaj, nie gwizdaj, kiedy mi łeb ma pęknąć; a cóżby mi ta słaba obręcz pomogła? — prędko wymówił dyabeł; a chłop tym sposobem i trzecią próbę wygrał. Ale dyabłu żal było uznać się zwyciężonym przez chłopą; rzecze więc do niego:

— Ale pozwól jeszcze na jedną próbę, a dodam ci garść złota, jeżeli wygrasz: będziemy się ścigać, kto kogo przegoni.

Chłop przystał; spostrzegł bowiem w łomie śpiącego zająca, którego pokazując dyabłu, rzekł:

— Na taką bagatelkę nie będę się sam fatygował, lecz oto ten nawet mój mały brat przegoni ciebie. Dyabeł obejrzawszy zająca, był pewny, że brat chłopą tak malenkiemi nóżkami nie potrafi go prześcignąć.

Stanęli więc w równi.

— Raz, dwa, trzy! — krzyknął chłop śpiącemu zajęcowi tuż nad słuchami i dyabeł ruszył z kopyta jak chmura; ale zając, przestraszony przez chłopą, jak da drapaka; pogonił zwyczajnie jak zając i dyabła przepędził. Dyabeł zaś poleciał za nim, chcąc go za słuchy lub skoki uchwycić; a gdy mu się to nie udało, widząc, że wszystkie zakłady przegrał i że chłopu sownie będzie musiał zapłacić, czmychnął dalej i już od tego czasu nigdy na górze Dżuga ani w okolicy się nie pokazywał i ludzi już nie napastował, a kto wie, czy jeszcze do dzisiaj nie czmycha.

150. Błogosław Boże.

Błogosław, Boże, rolnika dłoni!

Nie dopuść nigdy nań głodu.

Gdy sieje, niech mu skowronek dzwoni;

Gdy zbiera, użyż mu chłodu.

Błogosław ludziom, którzy Twą wolę

Spełniają w bratniej miłości:

Jasną im ciszą opromień dolę,

Twój anioł niech u nich gości.

Mieczysław Romanowski.

151. Rolnictwo.

Człowiek, wyrokiem Bożym na pracę skazany, przedewszystkiem starał się o wyszukanie najważniejszych środków do utrzymania swego bytu na ziemi.

Dzikie narody żyją jeszcze dotąd owocami, rybą i surowem mięsem; oświecone zaś wynalazły chleb jako najlepszy pokarm i jako najpierwszy odpowiedni środek do utrzymania sił człowieka. Wiadomo, że chleb robi się ze zboża; najgłówniejsze zatem w życiu wszystkich ludów stanowisko zajmuje bez wątpienia rolnictwo.

W najdawniejszych czasach nie miano wyobrażenia o narzędziach rolniczych. Wzruszano ziemię muszlami, kością lub ostrym krzemieniem i na los Opatrzności wrzucano w nią ziarno. Były to jeszcze trudne początki rolnictwa, słabe usiłowania jednostek. Dopiero kiedy człowiek zaczął oswajać zwierzęta i używać ich do uprawy ziemi, rolnictwo weszło powoli najpierw w zwyczaj, a potem stało się potrzebą wszystkich narodów i odtąd rozpoczyna się prawdziwa jego historia.

Pierwszy pług, a raczej socha, której obraz przechował się do dziś dnia na Litwie, był zrobiony z samego drzewa, bez kółek i lemiesza, zapewne z młodego odziomka, z zakrzywionymi na kształt kotwicy korzeniami. Największe upowszechnienie znalazł on w Egipcie z powodu corocznych wylewów Nilu. Dlatego też Egipcyan uważają powszechnie za pierwszych wynalazców pługa i brony, chociaż te narzędzia znane były równocześnie innym narodom. Grecy przypisywali wynalazek owych pierwszych przyrządów rolniczych *Demeterze* jako bogini rolnictwa, Rzymianie zaś czcili bożka *Saturna* jako pierwszego rolnika. Stąd możemy wnioskować, że chociaż owe starożytne narody nie zajmowały się w takim stopniu rolnictwem, jak my dzisiaj, to jednak było ono w wielkiem u nich wszystkich poważaniu.

W starożytności uprawiano najwięcej pszenicę i jęczmień. Chleb pszeniczny służył za pokarm dla bogatszych, chleba zaś jęczmiennego używała uboga klasa ludu.

Ludy niemieckie, już to z powodu górzystego kraju i zbyt ostrego klimatu, już też z powodu ciągłych wojennych wypraw i napadów, nie bardzo zajmowały się u siebie rolnictwem, zdając je pieczy kobiet i niewolników. Uprawiano tylko jęczmień i owies, jako letnie (jare) zasiewy, gdyż ozimina nie dojrzewała w starożytnej Germanii. Z owsa robili Niemcy chleb i kaszę, a z jęczmienia piwo.

Przeciwnie zaś Słowianie, naród z natury rolniczy, najpierwsze swoje usiłowania obracali na uprawę ziemi, karczowanie lasów, osuszanie bagien i budowanie wsi. Lech pierwsze swoje zdobycze

rozpoczął pługiem, a Piast wprost od pługą postąpił na tron, potomkowie zaś jego przez pięćset lat słynęli skarbami, sławą i potęgą głównie przez rolnictwo. Któryż z monarchów był i będzie tak wzorowym rolnikiem, jakim był Kazimierz Wielki, który szczególną opieką otaczał stan rolniczy, chłopków!

Słowiańskie ludy uprawiały od najdawniejszych wieków żyto. W VI. wieku po nar. Chr. wprowadzili je Słowianie w czasie swoich wędrówek także do Niemiec. Żyto służyło dotąd na północy do wypiekania chleba, w Niemczech zaś używano na chleb pszenicy za przykładem ludów południowych i zachodnich. W XVI. stuleciu dostała się gryka z Azji do Niemiec i na równinach północy znalazła gościnne przyjęcie i rozpowszechnienie. Wprzód jednak, niż w Niemczech, bo już w XV. stuleciu znano ją w Polsce. Tatarzy bowiem rozpowszechniali ją po Rusi i Polsce, skąd zapewne przeszła i do sąsiednich Niemiec. Gryka zatrzymała jeszcze do dziś dnia w niektórych okolicach Polski nazwę tatarską.

Ziarno wydeptywali z początku z kłosów sami ludzie, w późniejszych czasach napędzano na nie bydła, jak nas o tem sama Biblia przekonywa. Dotąd jeszcze w niektórych okolicach zachował się ten sposób wymłacania zboża, co zwykle odbywa się na polu, na ubitym z gliny toku czyli klepisku.

Użycie cepów, wynalezionych przez Rzymian, utrzymało się mimo rozmaitych mechanicznych ulepszeń w tej gałęzi rolnictwa aż do naszych czasów. Jest to jak się zdaje jedyny, choć może ze stratą czasu połączony, sposób korzystnego wydobywania ziarna z kłosów i czystego składania w snopy długiej słomy potrzebnej na pokrycie dachów, na sieczkę i t. p. Przy młóceniu na odkrytych tokach zauważyli ludzie, że wiatr oddzielał czyste ziarno od plewy, stąd wpadli na myśl przewiewania ziarna zapomocą ręcznych narzędzi. Szufla była już zatem od dawna w użyciu, przeciwnie młynki do czyszczenia zboża i wialnie są wynalazkiem ostatnich czasów.

Sito znali już Egipcjanie, robiąc je z łyčzków papyrusu. Hiszpanie splatali sita z nici, Gallowie i Frankowie z końskiego włosa, Niemcy zaś składali je z łupanej trzciny. Obydwa ostatnie rodzaje sit i rzeszot, znane także w dawnej Polsce, dochowały się do dzisiejszych czasów.

152. Modlitwa podczas pracy w polu.

Boże! z Twoich rąk żyjemy,
Choć naszemi pracujemy.
Z Ciebie plenność miewa rola,
My zbieramy z Twego pola.

Ty, co rządysz ziemią, niebem,
Opatrz dzieci Twoje chlebem;
Ty nam daj urodzaj złoty,
My Ci dajem trud i poty.

Wszystko Cię, mój Boże, chwali;
Aleśmy i to poznali,
Że najmiłszą Ci się zdała
Pracującej ręki chwała.

Kiedyś przyjdziem na godzinę,
Gdy kończąc ziemską gościnę,
Z Łazarzem po naszym zgonie
Odpocniemy na Twem łonie.

Franciszek Karpiński.

153. Babie lato.

Gdy wymknie się pierwszy liść pożółkły z warkoczy brzozy, a dłuższe wiatry odzierać zaczną letnią szatę z lasów i gajów, i wierzba, lipa, dąb, topola obnażą się z liści: wtedy to w mnogich stadach ciągnie milczące ptastwo, a szum ich skrzydeł ze szumiącym po nagich konarach wiatrem łączyć się zdaje. Wkrótce potem wilgotne pary, wznoszące się z wód kłębam, nasycą powietrze i nastaje przeciągły, nudny deszcz, a cała przyroda zdaje się płakać nad swym zgonem i przygotowuje się do snu zimowego. Jednak i wtedy jeszcze, jakby na pożegnanie, czasem słońce jasno zabłyśnie i choć na chwilę silniej przygrzeje; cieszy się człowiek i cała przyroda widokiem powracającego lata, ale już nie na długo.

Wówczas to trawa, ścierniska i krzaki pokrywają się tysiącami sznurów pajęczyny, na których delikatne kropelki rosy niby drogie kamienie w niezliczonej ilości. Parkany, płoty, suche żdzbla i łodygi pokryte są całkiem siatką pajęczą, a tu i ówdzie lekkim wietrzykiem unoszona bieleje niby smużka cieniuchnej chmurki na błękicie śnieżna pajęczyna i unosi się spokojnie, póki nie uwiśnie na jakim przedmiocie. Zjawisko to zowiemy babiem latem.

Pospolicie mniemają ludzie, jakoby wiatr poprzerywał sznurki pajęczyny i te resztki unosił w powietrzu, dopóki się gdzie nie przyczepią. Baczniejsze jednak oko przyrodnika inną znalazło tego zjawiska przyczynę. Oto na płynącej w powietrzu pajęczynie wisi zwykle u dołu pajęczek i unoszony prądem lekkiego wietrzyka wzbija się niby balonem w błękit. Wspaniała to przejażdżka. Nawet takie poziome stworzenie jak pajak próbuje polotu skrzydlatego wyższych sfer mieszkańca.

Sprawcami babiego lata są najczęściej gatunki drobne z rodzaju namiastków, wilkoszów, omatników albo też młode krzyżaki, trzcinniki, prządki i inne; a tworzą je w sposób następujący:

Pajaczek taki, siedząc na liściu lub na suchym konarze, zwraca się przeciw wiatrowi do słońca, podnosi kałdun do góry i snuje z gruczołów, tak zwanych kądzielników, długie nici pajęczyny, którym wiatr igra. A gdy już tak wielki węzeł nici wysnuje, iż zdolają unieść śmiałego żeglarza, zasiada w ich końcu spokojnie i oczekuje chwili, kiedy ciepły prąd wiatru uniesie te sznury w powietrze. Nieraz na jesiennych wycieczkach, zwłaszcza w ciepły dzień październikowy, o godzinie południowej można oglądać to zjawisko nawet w bliskości miasta, a najlepiej na miejscu podwyższonem, jak n. p. na Wysokim Zamku we Lwowie. Jeśli zwój lotnej pajęczyny uwiśnie na jakim przedmiocie, natychmiast sternik snuje nową linkę, po której spuszcza się na miejsce bezpieczne, skąd znowu po jakimś czasie powyższym sposobem w dalszą się puszcza wędrówkę.

Zjawisko babiego lata badali różni przyrodnicy, a jeden z nich wywołał je nawet następującem doświadczeniem. W naczyniu napełnionem wodą ustawił pionowo niewielki patyczek i posadził nań małego krzyżaka. Po chwili pajak, pokręciwszy się wokoło, wysnuł z kałdunu nitkę pajęczyny; jeden jej koniec przytwierdził do patyczka, drugim zaś powiewał lekki wiaterek. Potem pajak usiadł spokojnie i wyczekiwał dopóty cierpliwie, póki ta lepka nitka nie przyczepiła się do krawędzi naczynia. Spróbowałwszy zaś, czy się przymocowała dość silnie, przesunął się po niej szybko i uwolnił z więzienia. Inny przyrodnik osadził podobnież pajaka na wysepce. Pajak zachowywał się zrazu spokojnie; ale kiedy nań ów badacz trochę podmuchał, zaczął się pajak ruszać i snuć nitki, które wiatr unosił; a gdy się te przyczepiły do krawędzi naczynia, użył ich jako kładki do ucieczki.

W podobny sposób budują sobie pajaki mosty napowietrzne pomiędzy drzewami lub nawet nad mniejszymi strumieniami, jeżeli się chcą przenieść na miejsce dogodniejsze.

Że pajaki mogą się unosić zapomocą pajęczyny nawet daleko, świadczą liczne w tym względzie spostrzeżenia. Zauważano n. p. nieraz w odległości 10 mil od wybrzeży afrykańskich, na otwartem morzu, unoszone prądem ciepłego powietrza całe gromady pajęczków, które się przyczepiały do masztów i do lin okrętowych.

Dlaczego właśnie w jesieni snują pająki w ten sposób pajęczynę i stają się twórcami babiego lata, różni przyrodnicy różne dotychczas podawali przyczyny. Jedni mniemają, że mając jesienią podostatkiem żeru, czynią pajęczki swoje wycieczki dla przyjemności, inni porównywią to zjawisko z ciągiem ptaków. Najprawdopodobniej jednak pajęczki wygłodzone przez czas słotny, wychodzą z wilgotnej trawy na wyniosłe, suche przedmioty i puszczają się przy pomocy pajęczyny w powietrze na połów drobnych muszek, które tysiącami w tym czasie bują do słońca w powietrzu.

Porozwieszane po drzewach sznury pajęczyny są i latem, nie widać ich jednak, ponieważ są zakryte liśćmi; dopiero też gdy liście opadną, wychodzą na jaw owe nici pajęcze, które wiatr jesienny rozrywa, a strzępki ich z sobą unosi.

154. Szlachetność wodza.

Jednym z największych wodzów austriackich wieku XIX. był Jan Józef hr. Radecki Z jego to życia opowiemy tutaj drobne zdarzenie.

Odniołszy raz świetne nad nieprzyjacielem zwycięstwo, wstąpił feldmarszałek Radecki do poblizkiej gospody, ażeby po trudach dnia tego nieco odpocząć. W liczmem kole dzielnych swych towarzyszy zasiadł do stołu i przy puharze dobrego wina wesoła wszczęła się rozmowa.

Naraz głośna wrzawa powstała u drzwi gospody. Jakiś nieznaną człowiek chciał wejść do środka, a straż u drzwi stojąca w żaden sposób wpuścić go nie chciała. — »Niech go tylko zobaczę! niech nań raz jeszcze popatrzę!« — wołał natrętny ów przybysz i prawie przemocą dostał się do izby. Był to człowiek niemłody i ubogo odziany, ale z wyniosłej postawy i ze szczudła, które mu nogę prawą zastępowało, łatwo można było poznać, że to stary żołnierz, który się w krwawym boju widocznie nie oszczędzał. Stukając szczudłem o podłogę, postąpił naprzód, zwrócony ku Radeckiemu. Straż rzuciła się za nim, aby go zawrócić, ale hr. Radecki, który widocznie poznał owego żołnierza, powstał prędko, zbliżył się ku niemu, nazwał go po imieniu i serdecznie uściśnął mu prawicę; a kiedy biedny żołnierz, rozczulony uprzejmością ukochanego wodza, ani słowa nie zdołał wymówić, Radecki wziął go za rękę, przedstawił swoim towarzyszom i posadził koło siebie, mówiąc:

»To mój niegdyś towarzysz broni, który przy boku moim w niejednej był potyczce, nieraz dzielnie spełniał rycerski swój obowiązek. Niestety! nierówne było nasze szczęście: jam krzyż zdobył zasługi, jemu dostało się szczudło!« Po tych słowach sam nalał mu puhar wina i rzekł: »Pij, kolego, i dobrej bądź myśli; jesteś tu między swoimi!« Potem wziął jego czapkę, wsypał w nią pełną garść dukatów i podał ją innym towarzyszom, siedzącym za stołem. Za chwilę powróciła czapka napełniona złotem.

Głęboko wzruszony szlachetnością wodza, nadto tak hojnie obdarzony przez zgromadzonych, powstał stary żołnierz i ze łzami w oczach wychylił puhar na zwycięstwo najmiłościwszego monarchy, jakoteż na pomyślność ukochanego wodza!

W podobnie szlachetny sposób postąpił sobie generał wojsk polskich oraz poeta, Franciszek Morawski.

Razu pewnego wszedł do jego mieszkania ubogi żebrak, prosząc nieśmiało o jałmużnę. Generał wyciągnął już rękę, aby wesprzeć przybyłego, gdy wtem spojrzał na twarz jego, zmarszczkami okrytą i wynędzniałą. Oblicze to wydało mu się nie obcem. Istotnie, znał generał tego nędzarza: był to niegdyś żołnierz, który służył pod jego rozkazami i przy jego boku w wojnach Napoleońskich nieraz dla sprawy narodowej narażał swe życie. Morawski dowiedział się teraz, iż biedak ów, powróciwszy do ziemi ojczystej, popadł w nędzę i wreszcie zmuszony był wyciągać rękę z prośbą o jałmużnę.

Litością zdjęty, postanowił szlachetny wódz skuteczniej w pomoc przyjść biednemu żołnierzowi. Ułożył dla niego następującą piosnkę.

Jeszczem dzisiaj nie jadł, nie pił,
Nikt mnie w drodze nie pokrzepił:
Biorę Boga w świadka.
A więc dajcież, dajcie, proszę,
Kawał chleba lub trzy grosze
Dla biednego dziadka.

Bywał ci ja i na wojnie
I chodziłem szumnie, strojnie,
Niejednogom miał dukatka;

Dzisiaj nie mam lichej szaty,
Same strzępy, same łąty
U biednego dziadka.

Na jałmużnie nikt nie straci;
Co mi dacie, to odpłaci
Bóg i Jego Matka:
A więc dajcież, dajcie, proszę,
Kawał chleba lub trzy grosze
Dla biednego dziadka.

Z piosnką tą, napisaną przez powszechnie znanego i lubionego poetę, chodził żebrak od domu do domu i błagał pomocy. Skutek był nadzwyczajny. Posypały się tak hojne datki, iż zebrał się niebawem fundusz na zakupienie skromnego gospodarstwa i stary żołnierz osiadł na własnym kawałku ziemi, błogosławiąc pamięć szlachetnego wodza.

156. Wielki gejzer islandzki.

Islandya, której północne przylądki dotykają koła biegunowego, a środkowe, w większej części nieznane wyżyny zalegają wieczne śniegi i lodowce, jest jakoby tylko skrzepłą skorupą, okrywającą olbrzymie ognisko wulkaniczne.

W ciągu dziesięciu wieków, t. j. od czasu, jak ją zamieszkują Europejczycy, spustoszyło Islandyę 27 rozmaitych wulkanów (o ile wiadomo) 85 strasliwymi wybuchami, wylewając tak olbrzymie strumienie lawy, że możnaby wyspę całą nazwać krainą law. Jakoż istotnie obok lodowców, z którymi tylko lodowce krajów podbiegunowych równać się mogą, znajdują się na Islandyi największe na kuli ziemskiej lawy.

Oba te wrogi wszelkiego życia przeistoczyły środkową Islandyę w istotną krainę śmierci, w dziką i głuchą pustynię, w której nagich skałach mieszka chyba tylko stugębne echo.

Po krańcach tej pustyni środkowej rozpościerają się trawne doliny nad rwąciami rzekami, które, wypływając ze śnieżnych gór w głębi kraju, to szumią wodospadami po stromych ścianach skał, to rozlewając się szeroko, zatapiają milowe obszary i tworzą bagna i bagniste jeziora, dopełniające pośępnosci islandzkich krajobrazów. Pośród tych dolin, ocienionych z rzadka rozprószonemi kępami brzoź i wierzb, zarośniętych gdzieniegdzie wikliną i rokiciną, leżą biedne

osady Islandczyków, złożone po największej części z chat, budowanych z lawy, krytych darnią, a otoczonych wałami z ziemi lub kamienia; drzewo bowiem, sprowadzane aż z za morza, jest budulcem bardzo kosztownym, na który stać tylko zamożniejszych, a w gminach biedniejszych używane bywa tylko do budowy kościołów.

W tychto dolinach znajdują się sławne wary islandzkie, biją wodotryski wrące, gotują się błotne kałuże. Są one połączone w cztery wielkie grupy, a najwspanialszą z nich jest grupa Wielkiego gejzera, tego cudu Islandyi, któremu ona głównie zawdzięcza częste odwiedziny miłośników i badaczy przyrody. Grupa warów Wielkiego gejzera leży w południowej stronie wyspy i składa się z dwóch wielkich wodotrysków czyli gejzerów, dokoła których znajduje się jeszcze 40 do 50 mniejszych krynic wrących i wodotrysków.

Już z daleka widać snujące się ponad ziemią lekkie, białe pary, z pomiędzy których wiją się gdzieniegdzie gęściejsze kłęby i słupy. Wznoszą się one z całego szeregu gotujących się studzien i źródeł, które wydobywają się z licznych, równoległych szczelin.

Wielki gejzer wytryska z krzemionkowego stożka, którego wysokość wynosi około 9 *m*, a średnica liczy przeszło 63 *m*. Ścięty jego wierzchołek jest zakłębiony i tworzy basen, około 2 *m* głęboki. W środku dna tego basenu otwiera się okrągła studnia, przeszło 23 *m* głęboka, która rozgałęzia się dalej w głąb ziemi ukrytymi kanałami. Prostopadłe ściany studni i dno całego basenu zbudowane są z przedziwnie gładkiego osadu krzemionkowego, tak twardego, że go nawet młotkiem odłupać nie można.

W zwyczajnym stanie jest basen gejzera napełniony wodą niebiesko-zieloną, jak woda morska, a tak czystą, że można przez nią dokładnie oglądać całe wnętrze studni. Przelewa się ona przez wyszczerbione brzegi basenu i spływa trzema rynnami ku południowo-wschodniej stronie, szmerząc po nierównym stoku stożka. Temperatura jej na powierzchni dochodzi od 76° do 85°, ale powoli gorąco wzmaga się od spodu, tworzą się na dnie pęcherzyki, które podchodzą do góry i pękają na powietrzu. Następnie pokazują się w przejrzystej głębi obłoczki pary, które, wzniosłszy się wyżej, w zimniejsze warstwy wody, znikają, ale po nich następują inne, coraz większe i gęściejsze kłęby, podchodzą coraz wyżej i wyżej, aż wkońcu dosięgają basenu i napełniają go woda poczyną wrzeć, wzdymać się, kłębić i ciskać parę, która osłania gęstemi chmurami

stożek, jeżeli jej wiatr nie rozpędzi. Równocześnie daje się czuć drżenie ziemi pod nogami i słysząc podziemne grzmoty, które o wiele mniej donośne, podobne są jednak zupełnie do tych, jakie poprzedzają wybuchy wulkanów. Po kilku sekundach uspokaja się wszystko, aby po jakimś czasie tem silniej zakipieć. Woda znowu wzdyma się w basenie, na jej powierzchni występują bańki, które pękają i pryskają wrzątkiem na kilka metrów wysoko, a dokoła przewalają się coraz gęściejsze białe chmury pary i pędzone wiatrem ścielą się daleko po równinie.

W przestankach, trwających z początku godzinę, potem coraz krótszych, powtarzają się takie wzburzenia z coraz większą gwałtownością przez 24 do 30 godzin, aż w końcu następuje wielki wybuch. Zapowiada go głośniejszy grzmot i silniejsze drżenie ziemi. Z kłębiącej się i wirującej wody basenu strzela nagle z szybkością błyskawicy promień wody 20 do 30 *m* wysoko w górę i rozpryska się w powietrzu na olśniewający pył brylantowy. Nim jeszcze ten deszcz brylantów spadnie na ziemię, wzbija się już drugi i trzeci, jeszcze wyższy pęk promieni, z których jedne tryskają na boki w mniejszych łukach, inne strzelają prosto w górę roztrzęsionymi snopami i sypią dokoła gradem pereł wodnych, sycząc i szumiąc jak rakiety w ogniach sztucznych. Chmury pary przewalają się jedne przez drugie i zasłaniają w części tę cudną grę wód. Jeszcze jedno uderzenie, jeszcze jeden przygłuszony grzmot z głębi ziemi i jeszcze jeden promień wody, wszystkie inne przewyższający, wznoszący się często na 63 *m* wysoko, a lśniący, mieniący się, jak lity słup z kryształu, z którym wylatują czasem nawet kamienie, jak kule z armaty... i całe zjawisko po kilku minutach trwania, zapada się w ziemię, jak uroczne widzenie senne.

Nim jeszcze wiatr rozpędzi osłaniające stożek tumany pary i nim spłynie woda wróca po jego bokach, już jest basen gejzera zupełnie próżny i suchy i dno jego zamiast wody zasypują tylko ziarenka nacieku krzemionkowego, a w prowadzącej w głąb studni, która przed chwilą brzmiała taką burzą, połyskuje na dwa metry głęboko od brzegu zwierciadło wody, tak spokojne i gładkie, jak w każdej zwykłej studni. Dopiero po upływie doby lub później powtarzają się znowu w przestankach takie same wzburzenia, poprzedzające nowy wybuch.

156. Pies mścicielem.

Przed pięciuset laty żyli na dworze króla francuskiego Karola V. dwaj rycerze, którzy nad innych odznaczeni się męstwem i odwagą; jeden nazywał się *Aubry*, drugi *Macaire*¹⁾. Jakkolwiek wszyscy zgadzali się na to, że ani na polu bitwy ani w turnieju nikt im obu nie wyrówna, to jednak powszechnie przyznawano pierwszeństwo Aubremu. Ten bowiem posiadał obok dzielności i męstwa także i inne umysłowe zalety, które serca ludzkie ku niemu skłaniały: był bowiem uprzejmy i usłużny, towarzyski i wesoły, a jego twarz pogodna i uśmiechnięta, jego mowa otwarta, szczerza i śmiała, niemniej jak jego uczynki, świadczyły o dobroci serca i prawości charakteru. Inaczej zupełnie przedstawiał się oczom ludzkim kawaler Macaire: zamknięty w sobie, milczący, ponury i zawsze zamyślony, stronił od towarzystw i zabaw, a jeżeli się odzywał, to najczęściej z przekąsem i złośliwie. Będąc przytem sam chciwym sławy i zaszczytów, niechętnie widział, jeżeli szczęście i drugim sprzyjało. Zdawało się, jak gdyby wszystkie dobra tego świata dla siebie tylko chciał zagarnąć. Z szczególniejszą zaś zawiścią patrzył na powodzenie Aubrego, który był jego najniebezpieczniejszym współzawodnikiem na drodze zaszczytów wojskowych.

Właśnie szczęśliwie zakończono wielką wyprawę wojenną, w której Aubry nową okrył się sławą. Król tedy za powrotem do Paryża nadał mu wobec świetnego zgromadzenia rycerzy wyższy stopień wojskowy, a nadto obdarzył go w upominku pięknie wyrabianą szpadą honorową. Kiedy Aubry, ukląkszy na prawe kolano przed królem, z rąk jego odbierał tę świetną odznakę, stał Macaire w głębokiem sklepieniu gotyckiego okna sali z twarzą pożółkłą z zazdrości i zsiniałemi od gniewu ustami.

W kilka dni potem przez gęsty las przejeżdżał wojskowy na koniu. Głowę miał odkrytą, broń wisiała na ramieniu; w jednej ręce trzymał szyszak, który dla gorąca zdjął z głowy, drugą ręką dawał znaki pięknemu wyżłowi, co biegał naokoło i głośno szczekał. Nagle pies zatrzymał się na jednym miejscu, jakby spostrzegł w gęstwinie lasu łanię lub sarnę. Aubry wstrzymał konia, utkwiał tam wzrok i oczekiwał chwili, aż pies się ukaże. Wyżeł nagle wrócił

¹⁾ Czytaj z przyciskiem na ostatniej zgłosce: Obri, Maker.

do niego, a Aubry uważał z podziwieniem jego niespokojne poruszenia; tymczasem z krzaków wyskoczył człowiek i mieczem bok mu przeszył. Aubry obrócił się, chciał chwycić za broń, lecz napastnik zadał mu nową w pierś ranę, i Aubry spadł nieżywy z konia. Wtedy między zabójcą a psem wszczęła się zawzięta walka, w której biedne zwierzę zostało zwyciężone. Zabójca, myśląc, że pies nieżywy, rzucił go do wozu; potem chcąc ukryć ślad zbrodni, wykopał dół pod drzewem i schował tam trupa Aubrego. Koń uciekł i znikł.

Ale pies był tylko ogłuszony uderzeniem, zadaniem mu przez Macaire'a, i przyszedł do siebie, gdy zabójca odjechał. Wierny pies, nie widząc swego pana, żałośnie wyć zaczął i wkrótce doszedł węchem miejsca, gdzie pan był pochowany. Położył się tam i wyć nie przestawał. Nareszcie trapiiony głodem i pragnieniem, pobiegł do Paryża i przyszedł do przyjaciela swego pana. Tam zdawało się, że wyciem chciał powiedzieć o swojej stracie; lecz go nie rozumiano. Zaspokoiwszy głód i pragnienie, znowu zaczął wyć, poszedł do drzwi, oglądając się, czy kto nie idzie za nim; wrócił się, chwycił za suknię tych, którzy go karmili i poili, ale usiłowania jego były nadaremne. Wreszcie sam wrócił, gdzie był Aubry pochowany.

Tymczasem zwrócono uwagę na zniknięcie Aubrego, a kiedy pies wygłodzony znowu przyszedł do Paryża, jego przyjaciele, zdziwieni niezwykajnem psa postępowaniem, postanowili go śledzić. Zaprowadził on ich do lasu, a zboczywszy nagle z drogi, zatrzymał się na tem miejscu, gdzie ziemia zdawała się być niedawno poruszoną. Pies drży, grzebie ziemię łapami i wyje. Natychmiast trupa wykopano. Rany świadczyły o przyczynie śmierci Aubrego. Morderstwo było oczywiste! Któż był zabójcą? — Naprawdę domyślano się tego i nakoniec całą sprawę oddano pod sąd Opatrzności, która prawie zawsze wykrywa przestępstwa i zbrodnie.

Aubrego pochowano, psa wziął do siebie jeden z jego krewnych, z którym się odtąd nie rozstawał. Raz, przypadkiem czy też z przeznaczenia niebios, pies spotkał się z zabójcą pana swego: z wściekłością rzucił się nań i uchwycił go za gardło; odpędzono go, lecz znowu rzucał się i chciał go zagryść. Macaire zmuszony był uciekać. Od tego czasu, gdzie tylko go spotkał, rzucał się pies na niego z szaloną wściekłością. Takie napady ciągłe i uporczywe

biednego wyżyła, który zwykle nadzwyczaj był łagodnym, zaczęły obudzać podejrzenia.

Kawaler Macaire — mówiono ze wszystkich stron — nie lubił Aubrego, często okazywał ku niemu złość i nienawiść. Gdy Aubry znikł, Macaire był na urlopie. Może to on zabił Aubrego?

Te słowa i inne pogłoski doniesiono królowi, który dowiedziawszy się o uporczywości psa, chciał być świadkiem, jak napada na domniemanego zabójcę Aubrego. Kazał przywołać Macaire'a i postawił go w licznym tłumie dworzan; potem kazał wpuścić psa. Zaledwie wszedł, rzucił się na zabójcę ze zwykłą wściekłością i zdawało się, że żalosnem szczekaniem wołał o zemstę i błagał monarchę o sprawiedliwość.

— To rzecz dziwna — zawołał król. — Niech Macaire zbliży się do mnie.

Szlachcie ukląkł na jedno kolano przed Karolem V., który dawszy znak, aby powstał, zaczął go badać.

— Obwiniają cię, żeś podstępnie zabił jednego z moich żołnierzy, do którego ten pies należał.

— To jest potwarz na mnie rzucona — odpowiedział Macaire.

— Jakże wytłómaczysz zaciętość psa przeciw tobie?

— Raz pokłóciłem się z jego panem, wtedy pies rzucił się na mnie, a ja go uderzyłem. Od tego czasu złość jego przeciwko mnie objawia się przy każdym spotkaniu ze mną.

— To jest coś nadzwyczajnego! Gdzieżeś był, kiedy Aubry znikł? Dlaczego byłeś niespokojnym, kiedyś wrócił z urlopu?

— Najjaśniejszy Panie! nie mogę przypomnieć sobie żadnej z tych okoliczności, lecz przysięgam na Boga, że jestem niewinny.

— Przeciw tobie świadczą pewne domysły, obawa kary przeszkadza ci przyznać się do zbrodni. Odwołujesz się do Boga, jako do świadka twojej niewinności: niech tak będzie, niech Bóg tę sprawę rozstrzygnie! Rozkazuję, abyś wystąpił do pojedynku z psem, który, jak się pokazuje, ciebie zaskarża. Będą to sądy Boże.

Wówczas istniało prawo, podług którego podejrzany o przestępstwo powinien był udowodnić swoją niewinność, walcząc z oskarżycielem. Takie pojedynki nazywano sądami Bożymi. Na plac bitwy Macaire'a z psem przybył król z całym swoim dworem. Sędziowie zajęli swoje miejsca. Macaire był uzbrojony kijem grubym i ciężkim; dla psa postawiono beczkę, z której wyjęto dna i do której mógł się chować. Dano znak, aby puszczono psa. Ten rzuca

się na wroga, kręci się naokoło niego, uchyla się przed jego zamachami, zagraża to z tej, to z owej strony, nakoniec kiedy Macaire już był zmęczony, chwytą go za gardło i ściska tak mocno, że zabójca upada i błaga o litość. Potem wyznał swoją zbrodnię i został śmiercią ukarany.

157. Arcyksiążę Franciszek Karol¹⁾ opiekun ubogich.

Było to w zimie roku 1876. Korzystając z pogodnego, choć mroźnego dnia, przechadzało się raz po południu dwóch mężczyzn w zwykłym cywilnem ubraniu po alejach Prateru¹⁾. Jeden z nich był już podeszłym staruszkiem z siwym włosiem i białą brodą, drugi znacznie młodszy. Niespodziewanie podbiegła ku nim mała, może dziesięcioletnia dziewczynka i żebrząc, wyciągnęła skostniałą od zimna rączkę. Młodszy wiekiem sięgnął czempredziej do kieszeni i podał dziecku jałmużnę, dziewczynka zaś, podziękowawszy, pośpieszyła do ubogo odzianego ojca, który pokornie stał na uboczu, i wszystko mu oddała. Wtem zbliżył się do żebraka lokaj w dworskiej liberyi i zaczął wyrzucać dziewczynce, jak śmie w publicznem miejscu naprzykrzać się dostojnej osobie, należącej do cesarskiej rodziny. Zmieszana dziewczynka, która nie wiedziała, co by to byli za panowie, nie zdołała jeszcze słowa przemówić na swe usprawiedliwienie, kiedy nadszedł policyant i chciał żebraków odprowadzić do więzienia. Lecz w tejże chwili znany z miłosierdzia arcyksiążę, oglądnąwszy się przypadkiem i zobaczywszy powyższą scenę, odezwał się: »Dajcie pokój tym biednym ludziom, wszak nic złego nie uczynili; ja sobie tego życzę«. Dostojny staruszek, powiedziawszy to, zwrócił się następnie do ubogiego i rzekł: »Idźże teraz spokojnie swoją drogą, a jutro po południu przyjdź do mnie; jestem arcyksiążę Franciszek Karol«.

Stary żebrak oddał się ze łzami wdzięczności w oczach.

158. Trzęsienie ziemi w mieście Karakas.

Wstrząśnienie, które w Karakas dało się uczuć w grudniu 1811. r., było jedyne, jakie poprzedziło okropny wypadek z 26. marca

¹⁾ Arc. Franciszek Karol, ojciec ces. Franciszka Józefa I., um. r. 1878.

²⁾ Prater — ogród publiczny w Wiedniu.

1812. r. Prowincya Venezuela doznawała w owym czasie wielkiej posuchy; w Karakas i na 90 mil wokoło w ciągu pięciu miesięcy, poprzedzających zniszczenie tej okolicy, nie było ani kropli deszczu.

Dzień 26. marca był z rana bardzo gorący; w powietrzu panowała zupełna cisza, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Nic zgola nie zapowiadało zbliżającego się okropnego nieszczęścia. Była to wielka sobota, więc lud tłumnie gromadził się po kościołach. Naraz, w siedm minut po czwartej po południu, dało się uczuć pierwsze wstrząśnienie. Trwało ono pięć do sześciu sekund i było tak silne, że wprawiło w ruch wszystkie dzwony kościelne. Wnet po niem nastąpiło drugie wstrząśnienie, trwające dziesięć do dwunastu sekund, które wprawiło ziemię w ruch falisty, nakształt wody wrącej. Już myślano, że niebezpieczeństwo minęło, gdy wtem dał się słyszeć przerażający huk podziemny, podobny do uderzenia piorunu, ale nierównie głośniejszy i dłuższy. Niezwłocznie po nim dało się uczuć mocne wstrząśnienie pionowe, trwające trzy do czterech sekund, a następnie przeszło w falowanie, nieco dłuższe. Wstrząśnienia te szły jakby fale w kierunkach przeciwnych i krzyżujących się, mianowicie od północy ku południowi i od wschodu ku zachodowi. Temu ruchowi z dołu w górę i tym krzyżującym się chwianiom nic nie zdołało się oprzeć: miasto Karakas runęło od nich w gruzy, a tysiące jego mieszkańców znalazły grób pod rozwalinami domów i kościołów.

Było to właśnie w chwili, kiedy miała wychodzić procesya z kościołów, więc też natłok do nich był tak wielki, iż trzy do czterech tysięcy ludzi zginęło pod gruzami walących się sklepień.

Najgwałtowniejsze było trzęsienie w stronie północnej miasta. Kościoły: Świętej Trójcy i Alta Gracia, które miały więcej niż po 150 stóp wysokości i których nawy wspierały się na kolumnach 12 do 15 stóp grubych, zamieniły się w kupy gruzu, wysokości nie większej nad 5 do 6 stóp; a zniszczenie ich było tak zupełne, że z filarów i słupów nie zostało prawie śladu. Koszary, leżące na północ od kościoła Świętej Trójcy, znikły prawie do szczytu. Pułk wojsk liniowych stał w nich właśnie pod bronią, mając się udać na procesję: wyjąwszy małą liczbę, wszyscy żołnierze znaleźli zgon swój pod rozwalinami tej wielkiej budowli.

Mniej cokolwiek zniszczenia sprawiło trzęsienie w częściach miasta zachodniej i południowej, między wielkim placem i ciągnącym

się za nim wąwozem. Tutaj między innemi budowlami ocalał ogromny kościół katedralny, podparty potężnymi filarami.

W ciągu jednej straszliwej minuty dwiewięć dziesiątych części tego wielkiego i wspaniałego miasta, jednego z najpiękniejszych w Ameryce południowej, zostało zburzonych do szczętu. Mała tylko ilość budynków ocalała od upadku, ale i to na pozór tylko; były one bowiem tak uszkodzone, iż za mieszkanie nadal służyć nie mogły. Liczbę zabitych wskutek tego wstrząśnienia podają na 9—10 tysięcy ludzi; było jednak, jak zwykle w takich razach, daleko więcej pokaleczonych, z których wielu w krótkim czasie zmarło z braku pokarmu i opatrzenia.

Po dniu pełnym grozy nastąpiła noc cicha i pogodna; trzęsienia ustały zupełnie, tuman kurzawy, wznoszący się ponad zwaliska i zaciemniający widnokrąg nakształt mgły grubej, opadł powoli na ziemię. — Księżyc, prawie w pełni, oświecił bladem swoim światłem miejsce niewypowiedzianej klęski i odsłonił straszliwą sprzeczność między łagodnym obrazem nieba a okrytą gruzami i trupami ziemią.

Wszystkie okropności zniszczenia, jakie wskutek takiej klęski dały się gdzieindziej przedtem widzieć, jak w Lizbonie w r. 1755. lub w Kumanie w r. 1797., powtórzyły się tutaj jakby razem zebrane.

Resztki ludności z jękiem i z płaczem błąkały się pomiędzy zwaliskami, z pośród których dobywały się jęki rannych i wołania o ratunek żywcem zagrzebanych.

Po przebyciu tej straszliwej klęski wzięto się przedewszystkiem do ratowania tych nieszczęśliwych. W braku rydlów i motyk rozkopywano gruzы rękoma i przeszło 2000 ludzi wydobyto w ten sposób. W braku jakiegokolwiek schroniska złożono rannych za miastem nad brzegami rzeczki, pod cieniem drzew. Jednak pośród tego ogólnego zniszczenia brakło wszystkiego, nie tylko narzędzi chirurgicznych, ale wszelkich naczyń, łóżek i bielizny, nareszcie i żywności. Nawet wody zabrakło, bo wszystkie źródła i studnie w części znikły, w części zostały zawalone ziemią. Dla dostania wody musiano biegać nieraz z najodleglejszych stron miasta do owej rzeczki, która natenczas była wezbrana; ale tu znowu brakło naczyń do czerpania i noszenia wody.

Po tak ciężkich trudach dla zachowania przy życiu tych, co przeżyli ów dzień zniszczenia, wzięto się do oddania ostatniej po-

sługi tym, którzy padli jego ofiarą. Niepodobna było grzebać tak niezmiernej ilości trupów, a nadto lękano się szkodliwych wyziewów z ich zgnilizny, przeto na zwaliskach miasta układano je na stosach i palono przez dni kilka.

Wskutek takiej straszliwej klęski ogarnęła ocalałych wielka trwoga i, jak to zwykle w wielkich nieszczęściach bywa, nawróciła ich do Boga. Widziano wtedy wszystkich bez wyjątku korzących się w rzewnych modłach przed Panem, widziano zaciętych wrogów po wielu latach nienawiści rzucających się sobie z płaczem w objęcia i darowujących wzajemne urazy: zgola wszyscy weszli w siebie na tak groźne widowisko jakoby powszechnego sądu i kary.

Nierychło dopiero potem nowe życie zaczęło kiełkować i rozwijać się na tym ogromnym, świeżym grobie, lecz powoli wszystko znowu i tam wróciło do swego zwyczajnego trybu.

159. Modlitwa.

My nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko Cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy.

Nie baczym, że to z Twej łaski nam płynie,
A także prędko minie,
Kiedy po nas wdzięczności
Nie uznasz, Panie, za Twe życzliwości.

Miej nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha;
Niechaj na Cię pomniemy
Przynajmniej w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

Ale ojcowskim nas karz obyczajem,
Boć przed Twym gniewem stajem
Tak, jako śnieg niszczyje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje.

Zgubisz nas prędko, wiekuisty Panie,
Jeśli nad nami stanie
Twa ciężka Boska ręka;
Sama niełaska jest nam sroga męka.

Ale od wieków Twoja litość słynie;
A pierwszej świat zaginie,

Niż Ty wzgardzisz pokornym,
Chociaż był długo przeciw Tobie spornym.

Wielkie przed Tobą są występki moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszystkie złości:
Użyj dziś, Panie, nade mną litości!

J. Kochanowski.

160. Perły.

Jedynym mięczakiem, który z ostrygą jadalną współzawodniczy wartością, jest muszla perłopław, której zawdzięczamy tak drogocenny klejnot, jak perły. Należy ona do tego rzędu zwierząt, co i ślimaki; różni się jednak od nich brakiem głowy, gdyż ma pysk ukryty między dwoma fałdami silnie rozwiniętego płaszcza, jako też dwiema skorupami, zamykającemi jej ciało. Jest ona z rodzaju kosmaczów, bo czepia się skał na dnie morskiem kosmykiem włosów (*byssus*) i żyje podobnie jak ostryga gromadnie, tworząc szerokie ławy małżowe. Skorupa perłowa jest gruba, płaska, tworzy niecałkiem kulisty krążek, mający wzdłuż 20 *cm*, a wszcz nieco więcej. Zewnętrzna strona skorupy jest szaro-zielona z białymi plamami, wewnętrzna zaś wyłożona dość grubą warstwą perłowej macicy, zawdzięczającej piękny swój połysk właściwemu łamaniu się światła. Dla żywszego unaocznienia przypomnijmy sobie zwykłe nasze małże rzeczne i stawowe, pospolicie zwane skójkami lub czerepachami, a będziemy mieli zbliżony obraz perłopławu.

Przypatrzwszy się wewnętrznej budowie skorupy, poznamy, że i perły, które owe małże z siebie wytwarzają, z tegoż samego powstają materiału, co i perłowa macica. Cała skorupa bowiem jak i perły powstają z cieczy, którą zwierzę nieustannie ze swego płaszcza wydziela. Ciecz ta składa się głównie ze zwierzęcej galarety, która następnie twardnieje i zamienia się w perłową macicę. Wypacanie pereł pochodzi tylko z chorobliwego stanu małży; przyczyną bowiem ich wytwarzania są zaleciałe pod skorupę ziarenka piasku, drażniące ciało zwierzęcia, które z tego powodu obleka je ową klejowatą cieczą.

Można też i sztucznie przymusić zwierzę do tworzenia pereł, jak to osobiwie w Chinach praktykują. Chińczycy oddawna trudnią

się hodowlą pereł w ten sposób, że młodym małżom wywiercają dziurki w skorupie, lub między nią a płaszcz wtykają małe perełki, kamyczki lub inne przedmioty. W taki sposób przyrządzone małże rzucają znowu w morze i dopiero po kilku latach zabierają się do połowu dorosłych już pereł. Tym samym sposobem wydostał także Linné ze skójki rzecznej perłę znacznej wielkości, którą za 500 dukatów spieniężył.

Półow pereł, trwający od kwietnia do końca maja, jest nader mozolną pracą, połączoną z niebezpieczeństwem życia. Zatrudnienie to wymaga wytrwałych nurków, mogących przeszło 5 minut wytrzymać w wodzie bez oddychania. Najwprawniejszymi w tym względzie nurkami są nadbrzeżni Indyanie, tworzący pomiędzy ludnością tameczną kastę oddzielną. Nurek, uwiązawszy się w pasie do liny i uczepiwszy do nogi kamień dla prędszego zanurzenia, spuszcza się na dno morza. Tam odrzyna spieszenie jak najwięcej perłopławów, wrzuca je do torby siatkowej, a gdy już dłużej nie zdoła przytrzymać oddechu, tedy poruszeniem liny daje znak, aby go corychlej wyciągano. Nurek wprawny spuszcza się w głąb morza na dzień 50—60 razy, przyczem jednak bardzo nadwęża swe zdrowie. Nie dość bowiem, że mu się często pod wodą puszcza krew nosem i ustami, lecz nieraz przypłaca życiem zbyt śmiałą swą wyprawę, gdy przypadkiem nadpłynie krwiożerczy ludojad i albo go zaje albo co najmniej odkąsi mu rękę lub nogę. Prócz tego grożą mu jeszcze inne niebezpieczeństwa. W nowszych czasach używają do połowu pereł także tak zwanego dzwonu, którym daleko bezpieczniej odbywa się owa podróż podwodna. Wydobyte z wody perłopławy zostawiają kilka dni na wybrzeżu, aby zwierzę zginęło, przez co łatwiej można otworzyć skorupy, za życia silnie zamknięte. Nieraz i w 20 małżach ani jedna perła się nie znajdzie, lecz za to jedna małża zamyka w sobie czasem kilkanaście pereł.

Perły, leżące wolno pomiędzy płaszczem a skorupą, zwłaszcza jeśli znacznej dochodzą wielkości, są wielce poszukiwane i drogie; wytworzone zaś na skorupie i z nią zrosłe mają bardzo małą wartość.

Od najdawniejszych czasów były perły orientalne przedmiotem handlu i zajmowały dla swej rzadkości i właściwego połysku pierwszorzędne miejsce obok innych klejnotów, ustępując tylko diamentom. Już Fenicyanie, najdawniejszy naród kupiecki, prowadzili bogaty handel perlami, wyławianemi na wybrzeżach morza Indyj-

skiego, a osobliwie w zatoce Perskiej, która dziś jeszcze najpiękniejszych dostarcza pereł. W samej zatoce, szczególnie przy Ormus i około wysp Barskich, zatrudnia zyskowny ów połów blisko 30.000 ludzi. Perskie przysłowie mówi nawet, że »gdyby ziemia była pierścieniem, to Ormus błyszczałby w nim jako najbogatszy klejnot«. W XVI. stuleciu mieli tameczni mieszkańcy rocznie 50.000 dukatów (250.000 zł.) dochodu. I dziś jeszcze rok rocznie sprowadzają pereł do Chin i do Indyi za 30.000 talarów (50.000 zł.). Koło Manaar na zachodnim wybrzeżu Ceylonu w odnodze Condeatchy utrzymują Anglicy monopol pereł i mają z niego 25.000 do 200.000 funtów szterlingów (250.000—2,000.000 zł.) rocznego dochodu.

Pewien podróżny, jako naoczny świadek, opisuje połów pereł w Ceylonie w następujący sposób: »Pusty i lichi obszar ziemi zamienia się w czasie połowu pereł w widownię, przewyższającą wszystkie jarmarki i wystawy światowe. Tysiące ludzi rozmaitych narodowości, kast i zatrudnień przewija się w tym pstrym tłumie jak w kalejdoskopowym obrazie. Widząc ogromną liczbę namiotów rozbitych i chat tymczasowo postawionych nad wybrzeżem koło placu targowego; widząc mnóstwo łodzi dopływających do brzegu, gdzie z niecierpliwością wyczekują ich właściciele o twarzach, w których gorączkowa żądza zysku, radość lub smutek, nadzieja lub zwątpienie wyraziście się odzwierciedla; widząc tylu jubilerów, stręczycieli i kupców krajowych i obcych; tę różnorodność zajęcia, jak jedni pereły wyszukują, układają, inni ważą, liczą, inni znowu oglądają, cenią i sprzedają; słysząc nieustanny ten hałas i gwar mieszających się jak w Babelu języków — można już naprzód wnosić o ważności i cenności przedmiotu, który się staje powodem tego ożywionego ruchu tylu ludzi«.

Daleko mniej pereł dostarcza zatoka Meksykańska. Słynęła tam dawniej z obfitości pereł zatoka wyspy Margerita. Łowią także pereły w odnodze Kalifornijskiej, na zachodnim wybrzeżu północnej Ameryki.

Europejskie i północno-amerykańskie pereły pochodzą ze skójkii rzecznej, która zamieszkuje górskie strumyki i rzeki północnej Europy, mianowicie Anglii, Francyi i Niemiec, szczególnie zaś Saksonii i Bawaryi. Wartość tych pereł jest tylko nieco mniejszą od wartości pereł morskich.

Od najdawniejszych czasów były perły jedną z głównych ozdób okazałego stroju. Już przed Chrystusem Panem lubowały sobie Rzymianki szczególnie w stroju, jak najobficiej perlami wysadzanym: nosiły perły nie tylko na palcach, ale i na uszach, a nawet i rzemyki i podeszwy u trzewików wykładały niemi. Rzymianka Lollia Paulina do zwykłych nawet biesiad stroiła głowę, włosy, uszy, ręce, palce i nogi mnogiemi perlami, dochodzącemi ogromnej wartości; a niejaka Servilia miała perłę, która na dzisiejsze pieniądze 400.000 zł. kosztowała. I później w Europie lubowano sobie w perłach, a wielcy panowie, książęta, monarchowie nosili suknie wyszyte perlami.

Wartość perły zawisła od jej wielkości, kształtu, barwy i połysku. Perły doborowe, pierwszorzędnej wartości muszą być wielkie, równe i okrągłe. Perłę zupełnie okrągłą o 2·5 *cm* średnicy cenią na 1500 zł. Mniejszą już wartość mają perły, chociaż wielkie, ale nierówne i graniaste, tak zwane *perles baroques*. Perły karłowe, półkuliste lub soczewkowate zajmują ostatnie stanowisko, a najmniej są cenione drobnutkie ziarenka perłowe, które tylko do pomniejszych ozdób służą. W Europie największą wartość mają białe, w Ceylonie różowe, a na Wschodzie żółtawe perły. W Europie największą perłę posiadał król hiszpański Filip II.; była bowiem wielkości gołębiego jaja i ważyła 250 karatów. Papież Leon X. kupił od kupca weneckiego perłę za 88.000 talarów, a pewien złotnik, podróżujący po Persyi, widział u szacha perskiego perłę o średnicy 3·6 *cm*, którą na pół miliona zł. cenił.

W nowszych czasach mamy i sztuczne czyli fałszywe perły, które jużto ze szkła, jużto z gipsu i łuski pewnej ryby morskiej w Wenecyi wyrabiają.

Jak u oświeconych narodów perły do najcenniejszych liczą się klejnotów, tak i skorupy małżów u dzikich narodów podobnego doznają zaszczytu. Czarna murzynka wybrzeży afrykańskich, rada się przystroić, w braku drogich pereł przyczepia skorupy z rodzaju porcelanek (*Cyprea*) niby kółczyki do uszu i nosa i zawiesza na szyję sznur nawleczonych gładkich zwijków (*Voluta*). Wydać się może śmiesznym ten rodzaj stroju, ale cóż robić? — jedni lubują sobie w skorupach ślimakowych, a drudzy cenią tylko ich perły!

161. Mądry Maciuś.

W pewnej wsi mieszkał owczarz, który miał trzech synów; dwaj starsi byli mądrzy, a trzeci był głupi i nazywał się Maciuś.

Trafiło się raz, że owczarz poszedł na jarmark; więc dwaj starsi synowie mieli paść gromadę. Maciuś nie chciał iść w pole, bo zawsze siadywał w piecu i piekł perki (ziemniaki) w popiele i spał. Tego jednak dnia zbudzili go matusia w samo południe, kazali mu zanieść braciom obiad i dali mu dwojaczki; w jednym garnuszku było kwaśne, a w drugim kluski; w torbę włożyła matka pół bochenka chleba i rzekła: »Idź, Maciuś, do owczarków, a bądź mądry po drodze!« Usłuchał Maciuś matki i poszedł w pole.

Ale zaraz na zapłociu miał przechodzić po moście, w którym była dziura; bał się tedy Maciuś, ażeby w nią nie wpadł i nogi nie złamał; bo nogę złamać jest to wielkie głupstwo, a matula kazali mu być mądrym! Poszedł więc do głowy po rozum: dobył z torby pół bochenka chleba i zatknął ową dziurę; potem ją przeskoczył i obejrzał się, czy nie wpadł.

A gdy się obejrzał, postrzegł cień swój za sobą; wyłkł się okropnie, bo mu się zdało, że to coś za nim stoi i chce go zjeść. Więc w nogi, mój drogi! Jak zacznie zmykać przez rowy, przez zagony, aż się za nim kurzyło; ale co się obejrzy, to ten cień bliżej niego; co Maciuś prędziej, to cień też prędziej. Więc się też już wreszcie zmęczył i stanął, otarł pot z czoła i rzekł do cienia: »Jeżeli mnie nie zjesz, to ci dam klusek z okrasą!« — i rzucił jedną kluskę za siebie, potem jeszcze jedną, potem trzecią i czwartą, i tak rzucał, póki mu nie zabrakło. A gdy brakło klusek, strach nowy, bo matusia kazali być mądrym, a to jednak wielkie głupstwo dać się zjeść. Rzekł tedy Maciuś do cienia: »Jak mnie nie zjesz, to ci dam kwaśnego z flaczkami!«; i wylał jedną łyżkę za siebie, potem drugą, trzecią, póki nie zabrakło. A gdy i kwaśnego brakło, więc na nowo uciekać zaczął i przybiegł do braci swoich i dał im dwojaczki, które były próżne. »Gdzież strawa, niegodziwce?« — zapytali owczarkowie; a Maciuś pokazał cień swój i rzekł: »Oto ten czarny dyabeł gonił mnie i chciał mnie zjeść; więc dałem mu klusek i kwaśnego, żeby mnie nie zjadł!«. Owczarkowie gniewali się bardzo i mówili: »Przecie to cień, nie dyabeł, głupcze!«

— »A toście mi mogli powiedzieć«, rzekł mądry Maciuś, »teraz już nie będę taki głupi!«.

Coż po tem, kiedy owczarkowie byli głodni. Postanowili zatem iść do domu, a Maciusiowi kazali paść przez ten czas gromadę i uczyli go, ażeby strącał owce do kupy, jak mu się zaczęła rozchodzić; i mówili: »Paś owce, Maciusiu, a bądź mądry!«

Maciusz uważał dobrze, co starsi bracia mówili; więc wziął maczugę i zaczął potrącać owce, które szły w szkodę, a potrącone znosił na kupę. Jeszcze niewiele było z południa, a już porządna kupa owiec leżała. — Gdy potem bracia wracali z obiadu, Maciusz wybiegł ku nim i wołał: »Patrzcie, jak ładnie pasę wam owce, prawie wszystkie mam w kupie!« — a oni poczęli wyrzekać i płać, bo większa część gromady była zabita, i mówili: »Cóżes ty nieszczęśliwy zrobił, głupcze!«

— »A toście mi mogli wrzód powiedzieć«, odrzekł Maciusz, »teraz już nie będę taki głupi«.

Nie wiedzieli potem, co czynić; więc im Maciusz doradził, aby poodnosić zabite owce do owczarni, zamknąć i umykać do boru, póki tatuś nie wróci. Zaczęli więc dźwigać owce do owczarni, zawsze po dwie naraz, a Maciusiowi kazali brać po trzy albo po cztery. Kiedy już wszystkie poznosili, zabrali się w drogę i uciekali do boru. Ubiegli już spory kawał lasu, gdy im się przypomniało, że nie zamknęli owczarni; więc rzekli do Maciusia: »Idź ty co tchu nazad i zamknij wrótnię, żeby jej nikt nie mógł otworzyć; bo jak zobaczą zabite owce, to nas będą gonili; przynies też co do jedzenia«. Maciusz wrócił tedy do wsi, nakradł matce uleżałek i porwał banię z octem; potem poszedł do owczarni, zamknął wierzchnią połowę wrótni, a spodnią wysadził z zawias i wziął na plecy i myślał sobie: »Kiedy wrótnię mam na plecach, to jej nikt nie otworzy«. Nie uciekał też bardzo, bo się bał, żeby go kto nie gonił; a gdy przyszedł do braci, podał im wrótnię i rzekł: »Możecie sami pilnować, żeby jej nikt nie otworzył«. A oni mówili: »Takiś ty to mądry, głupcze: ale poczekaj jeno, kiedyś wrótnię przyniosł, to ją poniesiesz i dalej!« — »Wrótnię poniosę«, odpowiedział Maciusz, »ale uleżałki i bania ciężą mi bardzo, więc je powieszę na wrótni, niech ona też trochę dźwiga«.

Jak powiedział, tak zrobił; potem szli znowu wszyscy trzej głębiej w gąszcz, a szli póki się nie ściemniło; dopiero w nocy weszli na wysoką sosnę, aby tam przenocować. Ledwo co się na nią wdrapali, usłyszeli hałas jakiś pod drzewem. Nadeszli tam bowiem ludzie, którzy kupują to, czego nikt nie sprzedał, a znajdując

rzeczy, które jeszcze nie były zgubione; po prostu nazywają ich złodziejami. Wszystkich razem było sześciu, a każdy chłop w chłopa jako dąb. Usiedli oni sobie pod sosną i zaczęli niecić ogień, a przy ogniu piekli pieczenie. Na sośnie ledwo dychali owczarkowie ze strachu i pocili się jak myszy; ale Maciuś najbardziej się pocił, bo ciągle trzymał jeszcze na plecach ową wrótnię, która mu bardzo ciążyła; jemu się zdało, że to uleżałki mu tak ciężą: rzekł więc po cichu do starszego brata: »Stachu! Stachu! bo rzucę uleżałki!« — »Nie rzucaj, głupcze!« odpowiedział Stach. Ale uleżałki już po gałęziach na dół leciały; więc złodzieje mówili: »Niedaleko do rana, bo wiatr mocniejszy otrząsa szyszki«.

Maciusiowi nie przestała ciążyć wrótnia, a on myślał, że to pewnie bania z octem taka ciężka, i rzekł znowu: »Stachu! Stachu! bo puszcę banię!« Stach nie dał mu puszczać i mówił: »To nas wyda!« — ale Maciuś puścił ją jednak. Na szczęście zawiesiła się bania na gałęziach i tylko ocet się wylał, a rozbity o iglice spadał kropelkami na ziemię; więc jeden złodziej rzekł: »Niedaleko do rana, bo rosa już pada«.

Wtenczas pomyślał sobie Maciuś: pewnie to ta wrótnia mi ciąży, i puścił ją także, a ona z wielkim trzaskiem leciała po gałęziach; złodzieje zaś wołali: »Dyabeł zlatuje z drzewa!« — i zaczęli uciekać jak oparzeni. Ale jeden był między nimi kulawy, nie mógł tak prędko podnieść się z ziemi; więc drzwi spadły na niego właśnie wtedy, gdy kładł kawał mięsa w gębę, i ucięły mu język. Gonił i on potem za drugimi i chciał wołać »poczekaj!« — lecz mu się zawsze wymówiło »poklekaj«, a biegnącym na przodzie здавало się, że on woła »uciekaj«: więc jeszcze bardziej uciekali.

Wtenczas dopiero zleźli owczarkowie z drzewa i poczęli dojadać pieczystego; złodzieje bowiem odbiegli w strachu wszystkiego, nawet dwóch miechów pieniędzy, które owczarkowie zabrali do domu i zapłacili szkodę i zostało im się jeszcze półtora miecha pieniędzy. Więc za nie kupili sobie dom i suknie z bławatnych materyi i jedwabne chusteczki; Maciusia też ubrali, ale on zawsze był Maciusiem i zawsze piekł perki w popiele.

162. Cesarz Franciszek Józef w szkole wojskowej.

Nieraz odwiedza cesarz Franciszek Józef akademię wojskową w Wiener-Neustadt, chcąc się osobiście przekonać o postępach

kształcącej się tamże młodzieży. Godzinami całemi bawi czasem w zakładzie, przysłuchując się nauce, a nawet sam niekiedy uczniom zadaje pytania.

Razu pewnego zupełnie niespodzianie przyszedł cesarz do akademii — tak opowiada naoczny świadek, jeden z ówczesnych uczniów — i wszedł wprost do naszej klasy. Właśnie profesor nasz, pułkownik Ebersberg, wykladał historję, kiedy się nagle drzwi klasy otwały i wszedł cesarz Franciszek Józef w towarzystwie adjutanta. Powstaliśmy wszyscy, oddając cześć tak dostojnemu gościowi, a cesarz, pozdrowiwszy nas ze zwykłą uprzejmością, zwrócił się ku stołowi i rzekł do pułkownika Ebersberga:

— Panie pułkowniku, proszę dalej wykladać; ja nie przeszkadzam.

Po tych słowach położył cesarz kapelusz swój generalski na pierwszej ławce, tuż przed kolegą moim Juliuszem B., a oparłszy się ręką o ławkę, uważnie przysłuchiwał się wykładowi. Ja tymczasem patrzałem ciągle na wspaniałą postać monarchy, podziwiając łagodność i dobroć, która się malowała na jego twarzy.

Naraz zadrżałem ze strachu. Wzrok mój padł na kolegę mego Juliusza B. i spostrzegłem, jak on nieznacznie jedną ręką chwycił pióro kapelusza cesarskiego, a drugą przytrzymał sam kapelusz, poczem rzuciwszy okiem na cesarza i jego adjutanta, ażeby się przekonać, czy nań nie patrzą, w jednej chwili szarpnął ręką i, zdobywając dla siebie drogą pamiątkę, pozbawił kapelusz jednego pięknego pióra.

Czyn ten zuchwały spostrzegli i inni koledzy. Atoli na nich on odmienne wywarł wrażenie, niż na mnie: oni, zazdroszcząc Juliuszowi tak drogiej pamiątki, zapragnęli wszyscy mieć po jednym takim piórku.

Ze wszech więc stron dawano mu znaki, zachęcające go do powtórzenia zamachu na kapelusz dostojnego gościa. Juliusz zrazu się opierał, lecz potem, czyniąc zadość natarczywym prośbom kolegów, wyrwał jedno pióro po drugim i natychmiast rozsyłał je po całej klasie.

Lecz zuchwalstwo wydało się prędzej, niżby się tego można było spodziewać. Kiedy Juliusz wyrwał — nie pomnę już które pióro, wymknął mu się kapelusz i uderzył cesarza w rękę.

Cesarz odwrócił się i spostrzegł winowajcę, który jeszcze ostatni dowód swej winy trzymał w ręce. Zbladły i drżący ze stra-

chu stanął Juliusz przed cesarzem, czując dopiero teraz cały ogrom swej winy. Pewny był, że go nie minie surowa kara, nawet wykluczenie z zakładu przyszło mu na myśl; drżąc więc oczekiwał wyroku z ust gniewnego monarchy. Tymczasem stało się inaczej. Cesarz ze zwykłą dobrocią zapytał chłopca:

— Na co ci było tych piór potrzeba?

— Na pamiątkę, Najjaśniejszy Panie! — odrzekł Juliusz, łaskawością monarchy ośmielony.

— A jedno nie byłoby ci wystarczyło?

— Nie, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział Juliusz, śmiało już patrząc w oczy dobrotliwego Pana; — koledzy moi także po jednym mieć chcieli.

— Ha! to nie pozostaje mi nic innego, jak zostawić wam cały pióropusz — rzekł śmiejąc się cesarz i, własną ręką oddzieliwszy pióra od kapelusza, oddał je uszczęśliwionemu Juliuszowi.

— Panie pułkowniku — rzekł następnie cesarz do profesora Eb. — pozwól mi pan łaskawie swej czapki, ażebym mógł powrócić do domu.

To rzekłszy, wyszedł uśmiechnięty z sali, a z piersi wszystkich uczniów zabrzmiało głośnie: »Niech żyje!«

163. Cierpliwość.

Cierpliwości na ziemi uczą nas zmartwienia,
Cierpliwość zaś dobroci, dobroć przebaczenia,
Przebaczenie znów do bram niebios nas przywodzi:
Tak jeden skarb zdobyty tysiąc innych rodzi.

F. Morawski.

164. Wyprawa na połoniny.

Wielkieto święto w górach, powszechna u Huculów radość, gdy z brzaskiem wiosny zazielenią się pasze na połoninach i przyjdzie pora wyruszenia z owcami i bydłem na całe lato w połoniny.

Z początkiem czerwca ożywiły się wszystkie gór wierzchołki. Już czarny las zaczął się okrywać zielonym liściem, »Czeremosz szumi po skałe«. Huculi wyruszają ze swych chat z owcami i bydłem i spędzają je gromadnie, ażeby potem uroczyście wyruszyć w pochód na połoniny. Przez cały tydzień ściągają się zewsząd trzody,

brzmi zewsząd huculska muzyka, odbijając się rozgłośnem echem po gór załomach.

Dnia 13. czerwca odbywa się uroczystość, zwana mieszaniem. Wówczas spędzają wszystkie owce razem i dzielą je na hurmy, po kilkaset, a czasem po kilka tysięcy sztuk liczące, a to stosownie do rozległości połonin, na które udać się mają. Następnie obierają bacę czyli watażkę, t. j. najstarszego pasterza dla każdej hurmy, który przez całe lato na połoninie najwyższą posiada władzę nad wszystkimi butejami, t. j. dodanymi mu do pomocy owczarzami. Na tę uroczystość wyruszają Huculi z całemi rodzinami. Bogaci pędzą po kilkaset sztuk owiec, po kilkanaście bydła rogatego, ubożsi po kilka, a biedacy, nie mający własnego dobytku, ciągną pomimo tego także za innymi, aby być świadkami powszechnej radości i powszechnego święta.

Jakiż to ruch, jakie wesele, gdy się zbliżają ze wszech stron ku sobie! Bieleją się góry i ścieżki stadami owiec, grzmią ze wszech stron powitalne wystrzały, gdyż Huculi, zbliżając się ku sobie, palą ze strzelb i pistoletów na wiwat; gra muzyka, wesoło parskają żwawe koniki i przyspieszają kroku, czując radość powszechną. Zbliżywszy się ku sobie, witają się z koni dawni znajomi, ściskają się i całują, starzy i młodzi, bliźcy i dalsi, częstując się wzajem winem albo wódką z przewieszonych u koni baryłek. Kobiety szykują się na uboczu i przypatrują z dala powszechnemu weselu.

Nowo wybrany wataha przystępuje teraz do głównej roboty, mianowicie do rozgatunkowania owiec, do wydoju i wymiaru, ile mleka wydają owce każdego z właścicieli, aby według tego wiedzieć, ile któremu wypadnie następnie wydzielić bundzów i bryndzy z ogólnego podoju. Czynność to bardzo ważna, wymagająca znawstwa i sprawiedliwości ze strony watahy.

Doświadczony baca rozpozna natychmiast, która owca lub jagnię, schorzałe i słabe, nie wytrzyma wędrówki na połoniny. Takie wydzielają i rozdają ubogim wdowom lub sierotom. Ileż radości bywa z tego ubożuchnego daru! Mała sierotka, która dotąd nic swego na Bożym świecie nie posiadała, jakże się cieszy z tego swojego skarbu! jak zapobiegliwie pielęgnuje owo jagniątko, aby się z niego owcy, a z owcą spełnienia najbujniejszych nadziei doczekać! Błogosławi dzień ów i ową dobroczynność starszych, którzy, posiadając wiele, i o uboższych od siebie nie zapominają.

Gdy się to dzieje, gdy starsi zajęci są tak ważną dla nich czynnością, tymczasem młodzież, otaczająca wokoło całą równinę, zabawia się wesoło strzelaniem o zakład do celu i rzucaniem toporkami. Ile tam śmiechu, wrzawy i wesela! Gdy ponad rzeszą wesołą orzeł przeleci, to dobra wróżba; ale kiedy zawiśnie w powietrzu i długo ponad głowami w jednym punkcie krąży, niedobrze to o przyszłym lecie wróży; smutni wzdychają buteje, powtarzając sobie żłowieszco, że przyjdzie jakieś ›lichó‹ (nieszczęście).

Po ukończonej czynności wymiaru mleka i podziału trzód następuje uczta, której ofiarą pada najtłuszcniejszy baran. Oprócz tego gotują na śmietanie z mąki kukurudzianej ›mamałygę‹, która jest najulubieńszym przysmakiem Hucuła. Po uczcie rozpoczyna się uroczysty pochód na połoniny. Rozchodzą się wszystkimi ścieżkami ku połoninom białe stada owiec, jakby rozlewające się wokoło potoki. Przodem idą buteje, w czarnych, wymoczonych w tłuszczu koszulach, brzmia nawoływania pasterzy, ryk bydła, naszczekiwanie psów owczarskich, wrzawa i pożegnania. Kobiety i starcy wracają do domów, młodzi przez całe lato pozostają na połoninach.

Każda połonina ma mniej więcej około 500 morgów; roślinność na niej bujna, jest więc gdzie paść trzody, a zdrowie i myśl wesoła służą Hucułowi przez cały ten ciąg pasterskiej wędrówki po górach. Gdy jedną połoninę wypasą, ruszają dalej i tak przez całe lato wiodą życie koczownicze. Przybywszy na połoninę, zabierają się naprzód do ogrodzenia koszary na bydło i do postawienia szałasów na mieszkanie dla siebie i na skład nabiału. Tam nieustanny płonie ogień, głównie dla odstraszenia wilków i niedźwiedzi od napaści na trzodę. Całe lato przyrządzają tam bundze i żętycę, biją bryndzę; żętyca z bryndzą i mamałygą kukurudzaną jest też zwykłym ich pożywieniem.

Do tego obozowiska przyjeżdżają właściciele owiec na swych konikach, obwieszonych podłużnymi beczułkami, po swe bundze i bryndzę, a napełniwszy beczułki, wracają z tym plonem do domu, przywożąc do wsi wieści o tem, co się dzieje na połoninach, czy bujne pasze i obfity podój i czy nie było jakowej szkody.

165. Sobótka.

Po raz pierwszy widziałem Sobótkę w Sanockiem, u Górali pod Beskidem.

W wigilię św. Jana Chrzyciela, znacznie przed wieczorem, powstał ruch wielki między dziećmi wiejskimi i pasterzami; zaczęli bowiem, jak się zwykli wyrażać, ściągać sobótkę, t. j. znosić z lasu suche gałęzie jałowcu i łomy jodeł i świerków; potem układali je na bitym gościńcu, w miejscu rozległym, gdzie się prawie wszystkie wygony bydła z lasów i z pól przed wioską zbiegały, w pięknej dolinie nad rzeczką Oslawą. Przeszło dwie godziny trwała ta robota, a odprawiała się gorliwie wśród radosnych okrzyków dzieci i ku wielkiej ucieście pasterzy.

Kiedy cała robota już była ukończona, spędzono wszystkie trzody wioski razem i zatrzymano je na stronie. Pomiędzy niemi a wioską wznosił się olbrzymi stos, który całą szerokość drogi zajmował, a środkiem wysoko był wypiętrzony.

Kiedy już zmierzch padał, zaczęły się zbierać starsze niewiasty i dziewczki, a za niemi szli gazdowie, gwarząc i paląc lulki. Wszyscy obstąpili stos dokoła, niewiasty starsze zasiadły brzeg, nad drogą wyniesiony, a młodsze rozpoczęły pieśń.

Ściemniło się wkońcu. Czas był spokojny, a noc ciepła, czerwcową. Zdala szumiała po kamieniach Oslawa. Roje świętojańskich muszek latały dokoła...

Zapalono sobótkę. Z trzaskiem objął ogień w jednej chwili stos cały; skacząc i klaszcząc w ręce cieszyły się dzieci.

Radosna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski...
Dziewice w kwiatkach, chłopcy z długim włosiem,
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki —
Wszystko to naraz uderzyło głosem
I grzotnym krokiem do tańca sobótki!...

Nadjechali Węgrowie z za Beskidu, wioząc bryki winem ładowne; stanęli na drodze i przystąpili do ognia. Nie mogąc jechać dalej, gwarzyli z Góralami o sobótcę, a dziwnie odbijały ich ostre, ogniem oświecone twarze przy łagodnych twarzach naszych Górali.

Ogień wznosząc się coraz wyżej, oświecił całą okolicę, a ryk bydła, przerażonego ogniem, odgłos tysiącletnich pieśni, śmiech niewiast, radość dzieci, ten gwar nakoniec poważnych gazdów — to wszystko razem odbijało cudownie przy tej świeżej

zieloności czerwcowej, czerwoną łuną oświeconej, i przy tym spokoju nocnym, w którym się ciemne świerkowe góry wznosiły nad Oslawą!...

Gdy stos na wpół już opadł, zaczęto na gwałt pędzić trzodę w ogień: i z rykiem skakało bydło przez gorejące jeszcze ognisko. Za niem i przed niem skakali tam i sam chłopaki po wiele razy, hałas wielki czyniąc. Jest bowiem mniemanie u ludu, że tym sposobem zachowuje się bydło od zarazy i uroków. To samo przekonanie jest i o ludziach, bo pieśń mówi wyraźnie:

Kto na sobótce nie będzie,
Głowa go boleć wciąż będzie.

Gdy stos już przygał, poczęli się zwolna rozchodzić gazdowie. Niewiasty z pieśnią wracały do wioski. Góralska ligawka i trąba straży nocnej ozwała się od cerkwi i dworu; a z poza ciemnej góry świerkowej podniósł się zwolna miesiąc i patrzył spokojnie w nurty Oslawy, oświecając dym sobótki, który się błękitnawym pasem powlekł po dolinie...

Wincenty Pol.

166. Wieczór letni na wsi.

Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło.
Mniej silnie, ale szerzej niż we dnie świeciło,
Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze,
Na spoczynek powraca. Już krąg promienisty
Spuszcza się na wierzchołki boru i już pomrok mglisty,
Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa.
I bór się czernił nakształt ogromnego gmachu,
Słońce nad nim czerwone jak pożar na dachu.
Wtem zapadło do głębi: jeszcze przez konary
Błysnęło, jako świeca przez okiennic szpary —
I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
We zbożach i grabliska suwane po łące
Ucichły i stanęły: tak pan Sędzia każe,
U niego ze dniem kończą prace gospodarze.
»Pan świata wie, jak długo pracować potrzeba;
Słońce, Jego robotnik, kiedy zejdzie z nieba,
Czas i ziemianinowi ustępować z pola« —
Tak zwykł mawiać pan Sędzia: a Sędziego wola

Była ekonomowi pocziwemu świętą;
Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły;
Cieszą się z niezwykłej ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,
Wesołe, lecz w porządku. Naprzód dzieci małe
Z dozorcą, potem Sędzia szedł z Podkomorzyną,
Obok pan Podkomorzy, otoczony rodziną:
Panny tuż za starszymi, a młodzież na boku;
Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku —
Tak każe przyzwoitość. — Nikt tam nie rozprawiał
O porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał:
A każdy mimowolnie porządku pilnował;
Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował
I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu
Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu.
»Tym łaodem — mawiał — domy i narody słyną,
Z jego upadkiem domy i narody giną«.
Więc do porządku wykli domowi i słudzy;
I przyjezdny: gość, krewny albo człowiek cudzy,
Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,
Przyjmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru
I z łąk i z pastwisk razem wracało do dworu.
Tu owiec trzoda becząc w ulicę się tłoczy
I wznosi chmurę pyłu; dalej zwolna kroczy
Stado cielie tyrolskich z mosiężnymi dzwonki;
Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki.
Wszystko bieży ku studni, której ramię z drzewa
Razwraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.
Sędzia, choć utrudzony, chociaż w gronie gości,
Nie chybił gospodarskiej ważnej powinności:
Udał się sam ku studni. Najlepiej z wieczora
Gospodarz widzi, w jakim stanie jest obora.
Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy:
Bo sędzia wie, że oko pańskie konia tuczy.

Ad. Mickiewicz.

167. Gąbka.

Ileżto razy każdy uczeń w szkole ma gąbkę w rękach, a przecież mało który pewnie zastanawia się nad tem, co to jest ta gąbka, gdzie i jak powstała. Niejednemu też może dziwnem się wyda, gdy usłyszysz, że ona pochodzi ze zwierzęcia morskiego, które niegdyś żyło, ale nawet żywe nie o wiele inaczej wyglądało, jak teraz ta gąbka, zupełnie już martwa. A cóż to było za zwierzę, zapyta ktoś może, które nie ma ani głowy ani ust ani nóg, jak tyle innych zwierząt, ani płetw, jak ryby, ani nawet wnętrzości, jak wszystkie znane nam twory żyjące?

A przecież tak jest w istocie. Gąbka należy do tak zwanych zwierząt jamochłonnych, których liczne gatunki żyją w morzach. Do tej rodziny zaliczają się także n. p. koralce. Wszystkie one są bez głowy, nie mają ani osobnego narzędzia do trawienia pokarmu ani też układu naczyniowego lub nerwowego; za to mają jamę czyli przewody, w których pokarm przyjęty przetrawiają. Niektóre z nich bardzo podobne są do roślin.

Cała gąbka utworzona jest z rogowatej i sprężystej plecionki o licznych mniejszych i większych otworach. Plecionka ta jest tylko szkieletem zwierzęcia, które w niej żyło, ale teraz już go w niej niema. Otwory na stronie wypukłej są to ujścia większych i mniejszych kanalików, z sobą połączonych i przenikających gąbkę całą nawskroś. Ta część nazywa się wierzchnią stroną gąbki. Płaska część gąbki jest to jej spód, którym do skał podmorskich była przyrośniętą. Wszystkie kanaliki wypełnia za życia gąbki jednostajna ciecz galaretowa, zwana pierwoszczą, która może się kurczyć i rozszerzać i po przewodach przesuwac. Tato więc ciecz jest zwierzęciem najniższego ustroju, a gąbka jest jakby rusztowaniem jego ciała.

Zapyta ktoś może, jak i czem to dziwne zwierzę się żywi. Gąbka jest przyrośnięta do skał podmorskich, nie może się więc poruszać, nie może też chwycić i ujmować pokarmu, gdyż nie ma ku temu żadnych narzędzi. Żywi się przeto drobnymi cząstkami roślin i nader małutkimi zwierzętami, które się razem z wodą do jej wnętrza dostają. Ciecz galaretowa, przesuwając i kurcząc się po przewodach, rozrywa się pod powierzchnią w licznych miejscach. W te miejsca wciska się zaraz woda, którą gąbka oddycha, a zarazem chwytając znajdujące się w niej pożywienie i trawi je w swych

kanalikach. Ażeby zaś woda regularnie dostawała się do jej wnętrza, służą jej do tego liczne rzęsy, niby włoski na otworach, które ruszają się, sprawiają ciągły przypływ i odpływ wody. Odżywianie się gąbki odbywa się zatem w sposób bardzo prosty, przyczem ciało jej rozrasta się prędko, a w miarę tego powiększa się także jej zewnętrzna plecionka.

Równie prosty jest sposób rozmnażania się gąbek. Któż z nas nie widział w czasie wiosny pąków na gałązkach wszystkich naszych drzew i krzewów? Z pąków tych wytwarzają się często nowe gałązki, które, odcięte i przesadzone, wyrastają później w wielkie i takie samo drzewo, z jakiego gałązkę odcięto. Otóż w gąbce tworzą się także podobne pąki, które po dojrzaniu odrywają się od niej, pływają jakiś czas wolno w morzu, później przyczepiają się do skał, gdzie znowu rozrastają się w całą gromadę gąbek.

Gąbka żyje w morzu Śródziemnem, w morzu zaś Adryatykiem znajduje się koło wybrzeża dalmatyńskiego. Mieszkańcy tamtejszych krajów nabrzeżnych poławiają ją i mają z tego znaczny zarobek. Muszą to być jednak zręczni i wprawni nurkowie, gdyż nieraz trzeba zanurzyć się w morze, chcąc ostrym nożem odciąć gąbkę od skały. Z gąbki, wydobytej na brzeg, wyciskają galaretowate zwierzę, sprężystą zaś plecionkę płuczą i suszą; w tym stanie dostaje się ona aż do nas.

Zastosowanie gąbki powszechnie jest znane. Służy ona głównie do mycia, a w szkole oddaje wyborne usługi. Najlepszą do mycia, ale zarazem i najdroższą jest gąbka lewantyńska, żyjąca w morzu koło wybrzeży Azji Mniejszej i wysp pobliskich. W morzach żyją rozmaite inne gąbki. Niektóre z nich mają oprócz rogowatych włókien jeszcze ostre wapniste szpileczki, jakby gwiazdeczki, które się łatwo odłamują i w skórę wbijają, co wywołuje przykre świerzbienie.

I w naszych wodach stojących żyje jeden gatunek gąbki, atoli jej plecionka jest nader wåtła; wysuszona, kruszy się łatwo i z tego powodu ani do mycia ani do ścierania nie może być użytą.

168. Cesarz Franciszek Józef i wieśniak tyrolski.

Powszechnie znana jest rzeczą, jak dobrym i łaskawym jest cesarz Franciszek Józef. Przez cały ciąg pięćdziesięcioletnich rządów

swoich tyle razy dał tego dowody, że niepodobieństwem byłoby wyliczyć wszystkie jego dobrodziejstwa i łaski, wyświadczone tym, którzy kiedykolwiek o pomoc jego błagali. Jeden tylko, ale bardzo wymowny, przytoczymy tutaj przykład, jak czułe jest serce jego dla ludzkiej nędzy i niedoli.

Było to w r. 1872. Cała rodzina cesarska bawiła w uroczym zamku Trautmannsdorf, w okolicy Meranu, ażeby wypocząć nieco i odetchnąć świeżem powietrzem alpejskiem. Codziennie rano wychodził cesarz na przechadzkę i bez żadnego towarzysza, w skromnem ubraniu myśliwiskiem wspinał się po okolicznych pagórkach lub zapuszczał się daleko w zaciszne doliny.

Pewnego dnia, samotną krocząc ścieżką, znalazł się koło jakiejś ubogiej, na ustroniu stojącej chaty, z której słysząc było głośny płacz i narzekanie. Chcąc się dowiedzieć, coby było powodem tych skarg żałosnych i jęków, wstąpił cesarz w drzwi owej chaty. W nędznej izdebce ujrzał na ziemi leżącą nieżywą krowę, a nad nią dwoje staruszków, załamujących ręce i co chwila nowym wybuchających żalem.

— Już po nas! — jęczała sędziwa kobiecina; — teraz już po nas!

— Ach! to nieszczęście! to nieszczęście! — powtarzał wieśniak.

Widząc taką rozpacz staruszków, ulitował się cesarz nad nimi, starał się ich uspokoić i pocieszyć; zapytał tedy, ile też warta była krowa, której stratę tak oplakują.

— Ach! Panie! — zawołał niepocieszony wieśniak, który wcale nie znał cesarza; — warta ona była ze 100 zł.

— No, to ja wam dam sto zł., abyście sobie drugą taką krowę mogli kupić — rzekł cesarz łaskawie.

Na te słowa wieśniak i żona jego podnieśli zdumione oczy na nieznanomego pana, nie wiedząc, czy to żart tylko, czy też wierzyć mają w szczerłość tej obietnicy. Uśmiechnął się cesarz, widząc zdumienie staruszków, przystąpił do wieśniaka i rzekł do niego uprzejmie:

— Przyjdźcie tylko, ojcze, do zamku w Trautmannsdorf, a właściciel jego wypłaci wam tę sumę.

Nie podobały się te słowa wieśniakowi; więc, skrobiąc się w głowę, rzekł:

— Ej, wolałbym ja, mój panie, zaraz tutaj otrzymać te pieniądze.

— Ale ja nie mam tyle pieniędzy z sobą — rzekł cesarz.

— No, to ja pójdę zaraz z panem — zawołał wieśniak, nie dowierzający danej mu obietnicy.

Zasłmiał się cesarz i zgodził się na to. Dopiero w zamku, otrzymawszy obiecane pieniądze, dowiedział się wieśniak, kto był tym dobrym i łaskawym panem, który mu dał pieniądze na krowę.

169. Podróż w świat gwiazdzisty.

Nieraz stałeś w nocy na dworze i patrzyłeś z podziwem na niebo. Widziałeś gwiazdy, iskrzące się i mrugające, i mówiłeś sam do siebie: »Jakie to piękne swiatełka! Ile też ich jest na niebie? Kto je zdoła policzyć? Kto zapala je co wieczora? Co tam może być poza nimi?«

Widziałeś księżyc, świecący w pełni, i myślałeś sobie w duszy: »Czy gwiazdy pogasły, że ich tak mało świeci przy księżycu? Czy może tylko zbladły przy jego blasku? Czy księżyc w istocie jaśniejszy, niż gwiazdy, czy tylko wydaje się nam jaśniejszym, bo bliższy? Co też tam widać na księżycu? Czy on istotnie tylko tak duży, jak talerz lub krążek, czy też może jest większym w rzeczywistości?« Nieraz zdawało ci się, że poleciałbyś tam ku księżycowi i ku gwiazdom, gdybyś miał skrzydła ptasie.

Ale niestety! Choćbyś miał skrzydła orła lub sokoła, nie mógłbyś ani do księżyca ani do żadnej gwiazdy dolecieć. Uniósłbyś się wysoko w powietrzu, tak wysoko, jak długo mógłbyś oddychać. Spojrzałbyś na dół, aby zobaczyć znany ci kościółek, oblany światłem księżycowym, a on wydałby ci się tak małym, jak guziczek biały. Spojrzałbyś w górę ku księżycowi i ku gwiazdom i zdziwiłbyś się, że one wyglądają tak samo, jak wyglądały z dołu, i że do nich zawsze jeszcze niesłychanie daleko. Ale wkońcu zabrakłoby ci tchu, czułbyś, że powietrze coraz rzadsze, im dalej od ziemi odleciałeś. Bo też powietrze nie sięga aż do księżyca i do gwiazd, jakby kto myślał; przylega ono do ziemi tak, jak łupina do jabłka. Poza niem niema czem oddychać. Musiałbyś tedy wkrótce wrócić na dół. My ludzie ziemscy tylko duchem zdołamy unieść się w świat tak daleki.

Patrzysz tedy znowu w niebo i żal ci, żeś żadnej gwiazdy nie widział z bliska. Wyobraź sobie, że w tej chwili zbliża się ku tobie anioł Boży i że tak mówi do ciebie: »Dam ci skrzydła zorzy

porannej, któremi w jednej chwili dwadzieścia razy po tysiąc mil ulecisz. Poprowadzę cię przez cały świat gwiazdzisty i pokażę ci cuda tego świata«. I przypiąłby ci anioł skrzydła zorzy i poleciałbyś z nim w górę.

Oglądasz się poza siebie, aby zobaczyć wioskę rodzinną, lecz daremnie wyciągasz oko. Ziemia już tak daleko, że nic na niej nie widzisz, jak tylko plamki ciemniejsze i jaśniejsze. A anioł ci tłumaczy: »Te ciemno-zielone plamy — to morza; te jaśniejsze — to lądy; te białe, błyszczące — to lody na górach wysokich i na morzach lodowatych«.

Patrzysz znowu na księżyc i spostrzegasz, że on rośnie w twych oczach, im bardziej się do niego zbliżasz. Za trzy krótkie chwile stoisz już z aniołem na księżycu. I widzisz ze zdziwieniem, że tam na księżycu takie same góry i doliny, jak na ziemi. Tylko wody płynącej nigdzie nie widać wśród skał i kamieni; ni trawki, ni kwiatka, ni zwierzęcia jakiegokolwiek nie dostrzeżesz. Nie słychać ni śpiewu ptasząt, ni brzęczenia choćby muszki drobnej. Wszędzie tylko zimne, twarde głązy. Spoglądasz tęskno ku ziemi i widzisz ją zawieszoną jak latarnię wśród nieba. Wydaje ci się ona teraz taką, jakim ci się wydawał księżyc, gdyś patrzył na niego z ziemi; tylko że powierzchnia jej 14 razy większa i więcej plamami upstrzona, niż powierzchnia księżyca. A poza nią widzisz słońce takie samo, jakim je z ziemi widziałeś. Anioł odgadł twe myśli i mówi: »Chcesz słońce z bliska zobaczyć? Dobrze, lećmy ku słońcu«. Lecicie tedy nazad ponad ziemię, oglądając ją dokoła; lecicie dalej, a słońce rośnie w twych oczach coraz bardziej, im bardziej do niego się zbliżasz. Ledwie pół kwadransa minęło, a słońce unosi się przed tobą rozżarzone, duże, olbrzymie, potężne, że ci pół nieba sobą zasłania. Oglądasz się poza siebie i pytasz się: »Gdzie ziemia i księżyc?« A anioł pokazuje ci na niebie dwie gwiazdeczki drobnutkie obok siebie i mówi: »To wasza ziemia, to wasz księżyc«. A potem pokazuje ci anioł jeszcze ze trzysta takich gwiazdeczek, mniejszych i większych, i mówi: »Te wszystkie gwiazdeczki tańczą, podobnie jak ziemia, dokoła słońca. Ono je ogrzewa i oświeca. Ludzie za ziemi nazywają je planetami. Ale to wszystko niczem wobec tego niezliczonego mnóstwa innych gwiazd dalszych, które chciałeś widzieć. Z tych każda jest dla siebie słońcem, a wiele między niemi jest takich, które są daleko większe od waszego słońca«.

»Lećmy więc ku tym dalszym gwiazdom!« mówisz do anioła. A anioł na to: »Daleka droga! choć masz skrzydła zorzy, to do najbliższej z tych gwiazd potrzeba od słońca całe trzy lata lecieć«.

I polecieliście dalej w świat nieskończony. Przed wami ciągle nieprzeliczone mnóstwo gwiazd iskrzących; a słońce za wami maleje coraz bardziej w waszych oczach, im bardziej od niego się oddalacie. Aż po jakimś czasie to słońce okazało wydaje ci się małą, małą gwiazdeczką, niepokazną, taką, jakich krocie widzisz obok niego. A ziemia, a księżyc? Ani ich dojrzeć, tak one drobniutkie i małe!

I tak leciecie dalej ku gwiazdzie jasnej, którą ci anioł pokazał, mówiąc, że ona najbliższa słońcu i ziemi. Nie wiesz, ile tymczasem na ziemi minęło dni, tygodni, miesięcy i lat, odkądś udał się w podróż, gdyż już nie możesz poznać po słońcu, kiedy w twej wiosce rodzinnej dzień nastał lub kiedy się skończył. Wierzysz tylko aniołowi, że przy końcu trzeciego roku podróży przylecisz do tej ciekawej gwiazdy. Przybliżasz się do niej i znowu widzisz, że ona w oczach twoich rośnie potężnie, ogromnie, świecąc jak słońce jaskrawe. Aż wkońcu tak urosła olbrzymio, że ci sobą pół nieba zasłania, a blaskiem żaru swego oślepia twe oczy.

Lecz tyś jeszcze niezadowolony; chcesz dalsze jeszcze gwiazdy odwiedzić. I znowu mija kilka lat wędrówki, choć lecisz skrzydłami zorzy porannej. I ciągle widzisz w podróży nieskończone mnóstwo gwiazd przed sobą, za sobą, pod sobą, nad sobą: cały świat iskrzy się gwiazdami dokoła. I ciągle widzisz niebo ciemne, przepasane mleczną drogą jak wstęgą lub obręczem jasnym. I pytasz anioła: »Cóż to za droga tak piękna, którą i z ziemi widać, a która ciągle tak daleko?« A anioł ci rzecze: »Nie jest to żadna droga ani gościniec. To tylko krocie gwiazd, co świecą na pozór obok siebie, a z których właściwie jedna daleko poza drugą. A że do nich bardzo daleko, więc wydają się drobne jak mak świecący. Ale każda z nich jest dla siebie słońcem ogromnem. A do nich olbrzymia droga: choć lecisz skrzydłami zorzy, potrzeba dwa tysiące lat lecieć, aby poza nie się dostać«. »A coż poza niemi? — pytasz. — »Leć ze mną, a zobaczysz!«

I lecisz znowu i mijasz krocie gwiazd po drodze: i każda zrazu wydaje ci się drobniutką, jak iskierka, a potem rośnie olbrzymio, gdy do niej się zbliżasz; a potem znowu maleje, gdy się od niej oddalasz. Nareszcie minąłeś najdalszą gwiazdę w mlecznej

drodze, ku której leciałeś. Spoglądasz poza siebie i wydaje ci się, jak gdybyś miał za sobą rój olbrzymi, w którym pełno nie pszczoł brzęczących, lecz gwiazd iskrzących. A przed tobą dalej ciągle jeszcze niebo, ciemne, niezmierzone, a na niem mnóstwo takich rójów gwiazdzistych, bez liczby i końca.

Cóż wtedy masz uczynić? Choćbyś leciał jeszcze dziesięć tysięcy lat, ciągle będziesz miał przed sobą nowe roje gwiazd, mlecznemi drogami opasanych. Więc chyba wrócisz nazad na ziemię. Ale tam nie masz czego wracać. Pomyśl sobie, jak dawno udałeś się w podróż. Przeszło dwa tysiące lat minęło, odkąd wyleciałeś; aby na ziemię powrócić, znowu dwóch tysięcy lat potrzeba. To czyni razem cztery tysiące lat. Co tam na ziemi tymczasem stać się mogło? Ile tysięcy ludzi umarło? Ile miast nowych wybudowano, a ile dawnych zawaliło się w gruzy? Ile wojen, ile bitew stoczono? Ile królestw nowych powstało i przeminęło? Bo na ziemi wszystko przemija.

Więc anioł rzecze do ciebie: »Tyle tysięcy lat już wędrujemy na skrzydłach zorzy, tyle tysięcy gwiazd minęliśmy, a przeszliśmy zaledwie jedną małą cząstkę świata. I widzisz, że jeszcze nieskończone obszary świata masz do zwiedzenia«. Więc pytasz: »A gdzie jest koniec tego świata?« A na to anioł ci odpowie: »To chyba wie sam Bóg tylko! On jeden przeszedł i przeliczył te gwiazdy, jak pasterz owce liczy, albowiem u niego tysiąc lat, jakby jeden dzień u człowieka. A ten rój gwiazd, któryśmy przebyli, to w rękę Boga tyle, co dla ciebie garść piasku, który rzucisz przed siebie. Od wieków tyle gwiazd unosi się w wszechświecie, a każdą trzyma ręka Boża: każda jest na miejscu, które jej Bóg wszechmocny wskazał«.

Tak powie ci twój anioł stróż, gdy powrócisz na ziemię po tej podróży. I doda potem: »Nie leciałeś ty po niebie skrzydłami zorzy porannej, tylko uniosłeś się ku gwiazdom myślą swoją. Patrz, jak dziwnie cię Bóg stworzył i ozdobił: dał ci duszę, podobną do aniołów. Gdzie promień zorzy potrzebuje tysiące lat lecieć, tam myśl twoja zaszła w krótkiej chwili. Prócz człowieka żadne inne stworzenie na ziemi nie zdoła wznieść się myślami w świat gwiazdzisty; żadne inne stworzenie nie może sobie wyobrazić tego cudownego porządku, jaki w świecie Bożym panuje. Wznosząc się nieraz duchem ku Bogu, uwielbiaj Stwórcę wszechświata i dziękuj Mu za to, że cię wywyższył ponad wszystkie stworzenia! Dziękuj

Mu za to, że ci dał zdolność poznania tylu wielkich i pięknych rzeczy, a żyj tak, aby w twojej duszy był taki piękny spokój i porządek, jaki jest tam, wśród gwiazd na niebie«.

170. Opatrzność Boga.

Wspaniałe słońce już zaszło, wieczorna rosa kroplami ziemię okrywa, a gorące powietrze ochłódło. Kwiaty stulają różnobarwne listki, pochylają zamknięte główki na lekkich łodygach. Małe kurczęta zebrały się pod skrzydła matki i siedzą cicho; ona sama spoczywa. Ptaszki śpiewać przestały, śpią na gałęziach, każdy swoją główkę pod skrzydełko schował. Już pszczoły nie brzęczą koło ulów ani po łąkach nie szukają miodu; skończyły pracę i odpoczywają w swych komórkach z wosku. Baranki leżą na miękkich runach, już ich głosu nie słyszeć na pagórkach. Już ustał gwar rozlicznych głosów i hałas igrających dzieci i stąpanie zatrudnionych ludzi. Już młot kowala nie bije w kowadło, już w ręku ciesli nie rżnie piła. Wszyscy ludzie spoczywają, każdy na jakimś małym posłaniu. Ciemność ogarnęła niebiosy, ciemność okryła ziemię i wszystkie oczy zamknięte, każde ramię spoczywa.

I któż czuwa nad tym uśpionym światem, kiedy nikt o obrotach nie myśli, niebezpieczeństwa nie widzi, choćby było blizkie? Jest oko, które zarówno widzi i w ciemnościach nocy i w świetle słonecznym. Kiedy już niema jasności ani od słońca ani od księżyca; kiedy już w domach światło zgaszono; kiedy nawet z za chmur ciemnych żadna nie wyrzży gwiazdka: to oko wszędzie i wszystko widzi i czuwa nad wszystkimi rodzinami świata.

To oko, które nie śpi nigdy, jest to oko Boga: opieka Jego zawsze nad nami. On dał nam sen dla spoczynku po trudach; stworzył noc, ażebyśmy spać mogli spokojnie. Jak matka cały dom swój przebiega, a palce położywszy na ustach, wszystkim nakazuje milczenie, ażeby się nie obudził uśpiony jedynak, i zasłonę kołyski zaszuwa, ażeby światło nie raziło oczu jego: tak Bóg zaszuwa przed nami zasłonę ciemności, wszystkiemu nakazuje milczenie, ażeby wielka Jego rodzina spocząć mogła w cichości.

A więc, robotnicy, pracą znużeni, i wy, dzieci, zabawą zmęczone, śpijcie spokojnie: Bóg nad wami czuwa. Tak! wy spać możecie, bo Bóg nie śpi nigdy; możecie zamknąć oczy bez trwogi, bo Jego oko otwarte nad wami. Ale skoro znikną ciemności i świa-

tło słoneczne powieki wasze otworzy, zaczynajcie dzień od chwale-
nia Tego, który nad wami w czasie nocy czuwał. Wy, kwiaty,
skoro roztoczyć na nowo listki wasze, na cześć Jego woń wyda-
wajcie! Wy, ptaki, skoro się ockniecie wśród zielonych gajów,
Jemu nućcie pieśń wdzięczności! A wy, dziatki, czcicie imię Boga,
niech pochwały Jego będą w sercach waszych w chwili usypiania,
niech z ust waszych wychodzą zaraz po ocknieniu.

Klem. z Tańskich Hofmanowa.

171. Pieśń dziękczynna.

(Te Deum laudamus.)

Chwała Tobie, Panie, chwała!	Chwała Ci za wszystkie dary,
Świat Cię kornem wielbi pieniem,	Co na ludzkie zlewasz plemię;
Całe niebo, wieczność cała	Tyśto spoił węzłem wiary
Twojem tylko brzmi imieniem.	Siebie z ludźmi, z niebem ziemię
Przyjmij wdzięcznych serc wylanie:	Tyś nam ojcem w każdej dobie,
Chwała Tobie, chwała Panie!	Chwała, Boże, chwała Tobie!

Chwała Ci na polach sławy,
Ty zapalasz ogniem męstwa,
Tyto wspierasz dobre sprawy,
Ty sam wiesz do zwycięstwa.
Twoja to moc wszystko działa:
Nie nam, Panie — Tobie chwała!

F. Morawski.

172. Austriacki hymn ludu.

Było to w roku 1805. Pomimo świetnych zwycięstw nie mógł
oręż austriacki sprostać orężowi francuskiemu.

Pokonawszy wojsko niemieckie pod Ulmem, miał Napoleon
już otwartą drogę na Wiedeń; stolica otworzyła mu swe bramy.

Zdawało się, iż wielkie niebezpieczeństwo grozi monarchii
Habsburgów. Wtedyto wśród gorących modłów, przez wszystkich
obywateli do Boga zanoszonych, zabrzmiał też po raz pierwszy
prześliczny hymn, ułożony przez znakomitego naonczas muzyka,
Józefa Haydna.

Wkrótce potem odwiedzili znakomitego mistrza dwaj jego wiel-
biciele, poeta Ifland i dyrektor teatru Schmid.

Sędziwy starzec wielce rad był swoim gościom, a nawet,
kiedy już mieli go pożegnać, zatrzymał ich, mówiąc:

— Możebym ja wam coś zagrał? Czy chcecie słuchać?

— Panie! — rzekł uradowany poeta — prawdziwą to dla nas będzie przyjemnością, tem większą, iż sami nie śmielibyśmy cię o to prosić, ażeby cię nie trudzić.

— Dobrze więc. Posłuchajcie: zagram wam rzecz niewielką, ale nową — rzekł Haydn i oglądnięt się za swoim instrumentem. Przy pomocy służącego powstał staruszek, zbliżył się zwolna do fortepianu i rzekł, siadając:

— Niestety! Nie wiele ja już grać mogę; ale utwór to niewielki. Ułożyłem go w chwili, kiedy wojska francuskie szły już na Wiedeń. Jest to hymn do Boga, a myślą jego główną jest: *Boże! zachowaj cesarza!*

I zagrał mistrz przesliczny swój hymn, uwydatniając po mistrzowsku wszystkie jego piękności. Już skończył, a goście zachwyceni jeszcze słuchali. Mistrz obie ręce położył na klawiszach i uroczystym rzekł głosem:

— Codziennie rano hymn ten grywam: on mi w dniach smutku i niepokoju pociechę przynosił i ducha dodawał. Jakieś błogie uczucie przejmuję me serce, kiedy go gram, a nawet i potem, kiedy już grać przestanę!

Wkrótce potem umarł mistrz Haydn, a piękny jego utwór stał się ulubionym hymnem wszystkich ludów wchodzących w skład monarchii austriackiej.

173. Hymn za Cesarza.

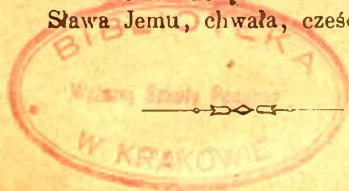
Boże wspieraj, Boże ochroń
Nam Cesarza i nasz kraj!
Tarczą wiary rządy osłoń,
Państwu Jego siłę daj!
Brońmy Przodków Jego koron,
Zwróćmy wszelki wroga cios,
Bo z Habsburgów Tronem złączon
Jest na wieki Austrii los.

Obowiązkom swoim wierni,
Strzeżmy pilnie świętych praw,
W ich obronie niech się spełni
Powołanie do cnych spraw.
Pomni, jakto skroń żołnierza
Świetnie zdoła lauru krzew,
Nieśmy chętnie za cesarza,
Za ojczyznę mienie, krew!

Ludu pilnej pracy zbiory
Niech osłania zbrojna moc;
Niechaj kwitną ducha twory,
Niech rozpędza światło noc.
Austrii, Boże, daj wstawienie,
Na szczyt chwały racz ją wnieść!
Słońca Twego skłoń promienie
Ku jej szczęściu, na jej cześć!

Spólność, jedność powołania
Niech przenika wszystkim lud,
Bo złączonych sił działania
Zdolne przemódz wszelki trud.
Dążąc spólem ku celowi,
Chciejmy bratnio siły złąć;
Szczęść Monarsze, szczęść krajowi:
Austria będzie wiecznie stać!

Przy Cesarzu mile władza
Cesarzowa, pełna łask;
Wszystek lud Jej hołdy składa,
Podziwiając cnót Jej blask.
Franciszkowi Józefowi
I Elżbiecie, Boże, szczęść!
Habsburskiemu szczęść Domowi!
Sława Jemu, chwała, cześć!



Z Drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich
Pod zarządem Juliusza Birkenmajera



